SZARY PROCH

TEJŻE AUTORKI:

ANIMA VILIS — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE

ATMA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.

BŁĘKITNI — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE

BYLI I BĘDĄ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

CZAHARY — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

CZARNY CHLEB — NOWELE.

JASKÓŁCZYM SZLAKIEM — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

JERYCHONKA — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

JOAN VIII. 1—12 — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

KWIAT LOTOSU — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

MACIERZ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

MAGNAT — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

NA FALI — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

NA WYŻYNACH — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

RAGNARÖK — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.

STRASZNY DZIADUNIO — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

WRZOS — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.

MARJA RODZIEWICZÓWNA

SZARY PROCH

POWIEŚĆ

WYDANIE PIĄTE

LWÓW-POZNAŃ 1921
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

POZNANSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A, POZNAŃ

I.

— *Und keine Spur! O Herr Je! O Herr Je!*

Panna Greta Matschke podniosła przy tych słowach do zaczerwienionej twarzy róg fartuszka i otarła rzęsiste łzy; potem załamała ręce ruchem Nioby i spojrzała żałośnie poza lampę i szerokie biuro na rodzica swego, który, rozparty w fotelu, pogrążony był w kontemplacji kresek i linijek na wielkiej morskiej mapie, rozłożonej przed nim. Szeroka jego, czerwona i tłusta twarz miała wyraz głębokiej troski. W obwisłych wargach trzymał zagasłą fajkę porcelanową, ozdobioną wizerunkiem pulchnej, uśmiechniętej turczynki. Malatura ta była jaskrawa i z wyrazem głębokiego zadowolenia z życia; nie licowała wcale z mrocznym pokojem i humorem ojca i córki.

— *Spurlos verschwunden!* — zamruczał Matschke, nie odrywając oczu od karty. — Nie pojmuję, co im się mogło przytrafić. Zboże odwieźli szczęśliwie do Rio i załadowali fernambuk. Miałem list od Lorensa w przeddzień podniesienia kotwicy. Sygnalizowano wprawdzie burzę w zeszłym tygodniu, ale przecież Lorens nie Fryc, a „Margareta“ nie byle szkuta Brucka! Zresztą jużby była wiadomość o rozbiciu. Taki statek, pół miljona wart, a ubezpieczony na dwakroć...

— A taki człowiek, ojcze! — szepnęła Greta nieśmiało.

— Drogi człowiek, drogi! Bruck omal go oczami nie pożre. Dwanaście lat mi służy bez cienia zarzutu!

Jaki u niego ład w głowie, a jaka ścisłość w sumieniu, to ja tylko jeden wiem.

— Ach, ojcze, sam będziesz winien jego zgubie. Bruck takiego człowieka nie narażałby na burze, nie trzymał na marnej posadzie okrętowego kapitana! Statków zostanie ci jeszcze jedenaście, a kapitana Lorensa nikt nie zastąpi!

— Bruck go urzekł! — zamruczał kupiec ponuro. — Kiedy „Margareta“ dawała ostatni znak do odejścia, a Lorens brał sam za koło u steru, Bruck z damby przypatrywał się i coś mamrotał przez zęby. Taki *szpitzbub!*

Umilkł, ciężko odsapnął i znowu wlepił oczy w kartę.

W kupieckim dworze wieczór przerwał robotę. Wyludniły się magazyny i biura, ucichł gwar i wstrząsający sklepienie łoskot frachtowych wozów, dostarczających towary, rozbiegła się rzesza komisantów i urzędników firmy. Pozostał właściciel sam, córka i nieliczna służba w głębi mieszkania.

Za ścianą nieprzerwanym nigdy ruchem i wrzawą roiła się portowa ulica, rozlegały się parowe sygnały, dzwonki, turkot i nawoływania, a ponad to wszystko górował głuchy, potężny huk Bałtyku, bijącego ze złowrogą wściekłością o portowe tamy.

Panna Greta oparła się o biuro, zakryła oczy i prawdopodobnie płakała. Pan Matschke od papierowego Atlantyku oczu nie odrywał, rachując swe straty półgłosem. Zdało mu się w tej chwili, że dzwonek u drzwi zajęczał. Zaklął przez zęby.

— To pewnie kupiec po fernambuk. Jak na drwiny, codzień mi cenę podnosi. A fernambuk z „Margaretą“ na dnie morza! *Hundselement!*

— Czy chodził dziś ojciec do portu? — spytała córka.

— Nie chodziłem! Poco? Żeby posłyszeć złą wiadomość i słuchać ubolewań fałszywych Brucka! Skończone! Niema „Margarety“. Na dnie morza ona!...

W głębi rozwarły się drzwi. Wysoki, barczysty mężczyzna stanął na progu i zatrzymał się, słuchając słów ostatnich. Twarz jego ciemna i sucha zaśmiała się swywolnie, aż zaiskrzyły się oczy siwe, aż rozchmurzyło się czoło, do Marsa nawykłe, aż błysły przepyszne białe zęby. Stał chwilę nieporuszony, trzymając w jednem ręku czapkę, w drugiem pudło niewielkie i rozkoszował się wrażeniem, jakie tutaj sprawi.

— Na dnie morza leżą gapie i hultaje, ale nie my z „Margaretą“. Fernambuk w porcie, panie Matschke.

— Lorens! Pan Lorens!... — wrzasnęli równocześnie wielkim głosem kupiec i jego jedynaczka.

— Do usług pańskich, ja sam! — rzekł marynarz, stawiając pudło u progu i podchodząc bliżej.

Fotel, odsunięty z impetem, stracił równowagę i ukazał w powietrzu cztery swe podpory; z ust pana Matschke wypadła fajka i pulchna odaliska rozprysła się na sto kawałków; a sam kupiec przyskoczył do gościa i, nie mogąc sięgnąć wyżej, objął go w pasie i uścisnął z sił całych.

— *Lorens! Lorens! Mein Liebling! Mein Sohn!* — wołał z wybuchem radości.

Młody ledwo się uwolnił z tych objęć i ku pannie Grecie przystąpił, podając jej z uśmiechem radości swą żylastą prawicę. Znać było po niej, że właściciel nie zawsze nosił rękawiczki, cienki surdut i rangę kapitana.

— Dziękuję pani za współczucie i dobre serce dla mnie, obcego! — rzekł ciszej, nisko się kłaniając.

— *Aber Lorens!* — przerwał kupiec, skubiąc go za rękaw. — Prawdę mówisz? Cała „Margareta“?

— Cała i zreparowana.

— Więc mieliście przypadek?

— Jeden z gorszych. Na wysokości Bermudów burza nas opadła. Straciliśmy dwa maszty, trzech ludzi i ster. Nie pamiętam takiego huraganu! Statek pił wodę, jak kaczka, a bezwładny był, jak martwy wieloryb. Dotarliśmy cudem do Bermudów i tam przestaliśmy w reparacji dwa tygodnie. Na domiar nieszczęścia telegraf coś niedomagał i nie funkcjonował. Wysłałem list przez pocztowy parowiec „Arminas“.

— „Arminas“ rozbił się w Manszy! — przerwał Matschke.

— I mój list z nim razem zamokł tedy! Jestem wytłómaczony. Naprawiwszy okręt, ruszyliśmy do domu całą siłą maszyny. Zarobiliśmy dwa dni czasu i oto jesteśmy.

— A dużo cię remont kosztował? — spytał kupiec niespokojnie.

— Dużo — nie dużo! — skrzywił się kapitan. — Nie wyrzucałem na wiatr pana pieniędzy!

— Wiem, wiem!... — uspokojony potakiwał Matschke.

— Ludzi szkoda! — rzekł Lorens, poważniejąc. — Jeden, to stary Hopf... żonę zostawił i dzieci sporo. Maszt go przywalił. Drugi, to mały Hans — jedyny u starej babki. Bałwan go zmiótł z pokładu, jak szmatę! Pani o tych sierotach nie zapomni! — dodał, zwracając się do Grety.

— Zapiszę ich sobie — rzekł Matschke — będę pamiętał na pamiątkę szczęśliwego ocalenia „Margarety“. Dawno przybiłeś?

— Przed godziną. Zostawiłem pomocnika na pokładzie dla formalności i skoczyłem w szalupę. Jak widmo, witali mnie ludzie w porcie i opowiadali o pana niepokoju! Chciałem być pierwszy z dobrą wieścią.

— *Gott sei gelobt!* Byleś był sam cały, odrobimy stratę. Grete, daj mi palto, laskę i kapelusz.

— Ojciec odchodzi? — zawołała przerażona.

— A cóż myślisz? W taki dzień nie odwilżyć gardła? Dość się nałykałem zgryzoty, a Lorens słonej wody. Pójdziemy „pod Rekina“. Muszę swego kapitana pokazać Bruckowi! Niech go żółć zaleje! No, no, prędzej!

Ze stłumionem westchnieniem obejrzała się, szukając żądanych przedmiotów, gdy wtem z pudła, stojącego u progu, rozległ się dziwny hałas, zaczęło się ruszać, jak żywe.

— Coś ty przyniósł ze sobą?...— krzyknął Matscke.

Lorens uśmiechnął się tajemniczo i, podnosząc skrzynkę, postawił ją na stole.

— Dla panny Grety z dalekich stron przywiozłem... — rzekł, odkrywając zasłonę.

— Ach, śliczności! — zawołała panna.

Pudło okazało się klatką, zawierającą w sobie dwie wielkie, jaskrawe papugi. Na blask lampy poruszyły się żywo i wrzasnęły, jak na komendę, dzikim głosem:

— *Grete! Grete! Du schönste! Du liebste!*

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się całem gardłem Matschke. — Ucieszne ptactwo! Pewnie drogo cię kosztowały! Chociaż tam na południu pospolite to, jak nasze wrony. Dobrze bestje gadają. Można w salonie umieścić! No, no! Podziękuj, Grete! Możesz go pocałować!

Lorensa twarz od rumieńca stała się prawie czarną. Panna ze spokojem Niemki i bez żadnego wahania i wstrętu podała mu do pocałunku pulchny policzek. Marynarz, nieprzygotowany widocznie do tego zaszczytu, nieśmiało i niezgrabnie odpowiedział wezwaniu.

— *Danke!* — szepnęła panna, niewiadomo: za papugi, czy za buziaka.

Matschke patrzał i śmiał się.

— *Schön!* — wołał. — A teraz — punctum. Musimy jeszcze zastać Brucka „pod Rekinem“, więc marsz! Dobranoc, Grete! Jutro na obiad knedle tłuste być powinny!

— Pan Lorens lubi wieprzowinę z kapustą! — szepnęła tonem arcyczułym.

— I owszem! Lubię i ja! — Chodźmy, chłopcze! Kapitan stracił swą swobodę i werwę. Ukłonił się w milczeniu i wyszedł za swym chlebodawcą.

Humor mu wrócił w knajpie dopiero. Matschke umyślnie wiódł go przez całą długość sali, prezentował znajomym i zawistnym; witano go hałaśliwie.

— Skąd, gdzie, jak? Czy to ty we własnej osobie?

— Broń Boże, nie ja, ale latający Holender — odpowiadał ze śmiechem, zamieniając uściski dłoni z kolegami.

Nareszcie usiedli. Naprzeciw nich Bruck, antagonista Matschkego; poznał kapitana i zakrył się ostentacyjnie gazetą.

— Może pan potrzebuje fernambuku, panie Bruck? — spytał go dobrodusznie Matschke.

— Oddawna zaniechałem podobnych drobnostek! To nie interes dla mnie! — była opryskliwa odpowiedź.

— Kto chce być bogatym, żadnym interesem nie pogardza! — wygłosił Matschke sentencjonalnie.

— Już jestem bogaty!

— Wielkie słowo! Winszuję! — Trącił swój kufel o kufel Lorensa.

— *Prosit!*

— *Prosit!*

Wypił, oblizał się i rzekł:

— Bogatym zostać łatwiej, niż bogatym pozostać. Pamiętaj to sobie, chłopcze! Koń ma cztery nogi, a upada; człowiek ma dwie i łatwo może się potknąć. Ty zawsze, do śmierci zbieraj i zbieraj... i myśl o czarnej godzinie!

Kapitan uśmiechnął się pod wąsem z tej pośredniej szermierki, wypił piwo z przyjemnością, podał pryncypałowi cygaro, hawański autentyk, sam zapalił drugi i przechylając się na krześle, rzekł swobodnie:

— Czarna godzina dla mnie to na morzu dnie ciszy i bezczynności. Kocham moje bezbrzeżne oceany, ale rad jestem zobaczyć czasem nasz stary Szczecin i odwiedzić „Rekina“.

— Wiem, wiem! — zaśmiał się Matschke. — Klasztorne życie okrętowe wynagradzasz sobie sowicie w Szczecinie. Chodzą wieści, że bumblujesz.

— Fałszywe wieści! — odparł kapitan z uśmiechem. — Moje lądowe wakacje są ściśle podzielone. Wyładowanie okrętu, rachunki w pana biurach i zabawa z kolegami w knajpie. Mało gdzie bywam!

— A u Willmanów?

— Raz jeden w dzień konfirmacji panny Izy.

— I to wiem. Ho, ho, mam ja oko na ciebie. Przeciem ciebie nie komu, tylko sobie wychował. Ile lat masz służby?

— Do emerytury daleko! Dwanaście zaledwie!

— Patrz! Bruck się wynosi! Zły, jak pieprz turecki. Dobrze mu tak! Zjadł mydło! A wtedy u Will-

manów odmawiał mi ciebie, co? Prawda? Obiecywał złote góry! Myślisz, że dotrzymałby? Aha!

— Nie myślałem o tem, bom nie kawał drzewa, albo worek bawełny, żeby mnie kupowano!

— *Brav so!* Moje procenta mniejsze, ale pewniejsze. Powiedz-no, zebrałeś cokolwiek? Ile?

— Brakuje nieco do miljona! — śmiał się kapitan.

— Serjo? Masz trzydzieści tysięcy?

— *Just* połowę. Co pan chce? To fundusz! Miałbym więcej....

— Żebyś poszedł do Brucka?

— Nie. Żebym wykształcenie miał i naukę. Zacząłem od szorowania pokładu „Margarety". Daleka to droga do kapitaństwa.

— Inni pokład całe życie szorują! Ale ty masz głowę i ja cię wychowałem! Znam się na ludziach! Cóż tedy myślisz dalej robić?

— Dalej? Czy mi pan posadę wymawia?

— Takie brednie! Pytam, bo chcę twe myśli posłyszeć.

— Dalej? Dalej? — powtórzył młody człowiek, jakby to pytanie raz pierwszy sobie zadawał. — Dalej będę pływał i pływał, dopóki starczy „Margarety", sił i towarów dla pana...

— Cha, cha, cha! A na czemże będziesz pływał? Alboż nie wiesz, że stary Dokman obejmuje „Margaretę"?...

— Stary Dokman? A jaż co? — zawołał Lorens, blednąc.

Zamajaczyły mu w głowie fałszywe doniesienia, plotki, niewiara, utrata opinji.

— Ty, mój chłopcze, nie popłyniesz już więcej, chyba dla własnej przyjemności.

— Czym panu źle służył?

— Jakiś ty dziecinny i niecierpliwy! No, pij i pamiętaj to sobie, że nasz cesarz zasłużonym swoim daje ordery, a stary Matschke z zasłużonymi swoimi pije kufel pod „Rekinem“! *Prosit!*

Trącili się kuflami, ale tylko kupiec toast spełnił, kapitan siedział posępny i niespokojny.

— Oto, co jest! — mówił stary dalej. — Czy ty wiesz, że cały Szczecin drwi ze mnie z powodu ciebie? Stary Matschke — powiadają — klepki z głowy potracił. Jego kasjer to łobuz, jego sekretarz to złodziej, a pierwszy komisant to osieł. Ma jednego człowieka z kapitalną głową i żelazną sprężystością, ale ten mu pieprz wozi i kawę, tego on na statku ryzykuje sto razy na śmierć i marnieć mu pozwala na pokładzie dla głupiego ładunku indyga, czy bawełny! I mają *recht!* Tylko, że stary Matschke nie zwarjował — on głowę ma na właściwem miejscu, on lubi, żeby projekt dojrzał jak ananas. On człowieka próbuje nie rok, nie dwa, ale dziesięć. A jak wypróbuje, obrachuje, upewni się — wtedy stary Matschke tego człowieka zabierze z sobą na piwo i po drugim kuflu powie: słuchajno, Lorens, chcesz ty być moim kasjerem?

Kapitan ruchem desperackim potarł czupryne.

— Panie Matschke...

— Czekaj, czekaj! Nie tylko kasjerem — i sekretarzem.

— Oceniam pańskie zaufanie, ale...

— Daj-że mi skończyć! I wspólnikiem.

— Pan żartuje ze mnie! — uśmiechnął się Lorens z przymusem.

— I... zięciem! — dokończył kupiec i popił piwem.

Kapitan podskoczył na krześle, otworzył usta i wnet je zamknął, nie wydawszy żadnego dźwięku. Wyglądał tak, jakby na pełnem morzu ukazał mu się

legendowy wąż i przemówił ludzką mową. Gdy po minucie ochłonął, spojrzał na kupca ze zgrozą w oczach. Posądził go o nagły obłęd. Ale Matschke niczem nie zdradzał anormalnego stanu. Oparł się łokciami o stół i wpółtriumfalnym, wpółzaciekawionym wzrokiem przyglądał się towarzyszowi. Śniade oblicze Lorensa poczerniało łuną oburzenia. Poruszył się żywo i wstał.

— Teraz pan już nie żartuje ze mnie, ale drwi! — wybuchnął. — I dlaczego? Nie warto upakarzać tego, kto nie jest zarozumiałym! Nie jestem też na tyle ograniczony, żebym żywił projekta w stosunku do mnie co najmniej śmieszne! Służyłem panu wiernie, bo mi pan wierzył, ufał i szanował. Straciłem teraz wszystko! Mogę odejść!

Sięgnął po czapkę i chłodnym ukłonem żegnał kupca, ale ten się porwał ze stołka i zatrzymał go za rękaw.

— *Gott im Himmel! Diese Hitze!* Ależ chłopcze, osłabła ci głowa w ostatniej drodze! Po paru kuflach tracisz przytomność! Siadaj-no, siadaj! Pozwól-że dokończyć! Cóż to? Gadaj prawdę! Nie podoba ci się moja Greta?

Lorens spojrzał zpodełba, nieufnie.

— Panie Matschke! To pytanie nie wchodzi w zakres moich obowiązków, ani służby, ani stosunków! — odparł, siadając, bo go kupiec ciągnął z sił całych.

— Jakto nie należy? Co to nie należy? — zaperzył się stary. — To ty myślisz, że ja pozwolę, żeby ze mnie drwił Szczecin, a moje jedyne dziecko zostało bez opieki po mojej śmierci? Żeby mój fundusz dostał się w jakie niegodne ręce? Hę, nie należy! On mi to mówi! Także naiwny! Masz mnie za kretyna? Może ja nie wiem, po kim Greta oczy wypłakuje, pa-

trząc na morze? O fernambuk jej tak chodzi, czy o starego Dokmana? Więc mój spokój nie wchodzi w zakres twoich obowiązków! Cóż to? Moja Greta chroma, czy garbata, że się tak bronisz przed uczciwą propozycją? Chcę go za zięcia, a ten mi się rzuca, jakbym mu kazał kraść, czy rozbijać!

Pofolgowawszy swemu uniesieniu, stary kupiec odsapnął, popił z kufla nektaru i spojrzał na Lorensa, czekając odpowiedzi lub dalszego protestu, żeby znowu piorunować.

Ale odpowiedzi nie było. Oburzenie kapitana opadło. Roziskrzone jego oczy przymknęły się i zgasły. Zaduma i smutek powlokły jego szczerą twarz. Zdawało się, że walczył w sobie z jakiemś ważnem, a trudnem wyznaniem. Potem się znagła wyprostował i, przesuwając rękę po zmarszczonem czole, spojrzał śmiało w oczy kupca.

— Czy pan wie, kto ja taki, panie Matschke? — spytał.

— Zdaje się, że był czas na dobrą znajomość! — zawołał stary dobrodusznie. — Dwanaście lat, ho, ho! Jesteś to samo, co i ja! Niemiec, luteranin, mieszczański syn, chłopak biedny, ale cały zuch! Wybrałem cię sobie za zięcia i basta!

Lorens wcale się nie zachmurzał. Tym samym głosem zmienionym i twardym ciągnął dalej:

— Niczem z tego, panie, nie jestem, co pan wymienił. Ani Niemiec, ani luteranin, ani syn mieszczański...

— *O Herr Je! Nicht etwa Franzose!*

— Nie, panie. Jestem tylko chłop prosty, i nie Niemiec, ale Litwin, katolik z za Niemna. Zrodziła mnie uboga chata i wykarmił czarny chleb. Nazywam się: Wawrzyniec K a r e w i s! Nie taiłem swego po-

chodzenia, ale mnie o to nikt nie pytał. Przed dwunastu laty, bosy i obdarty, ładowałem w Memlu drzewo na „Margaretę“. Piętnaście lat wtedy miałem. Było nas w chacie dwanaścioro, więc na mnie los padł w świat iść za chlebem. Wprosiłem się na posługacza na pański statek. Miałem uczciwą twarz i świadectwo z gminy. Kapitan mnie przyjął, spytano, jak się zowię: powiedziałem Laurenty — zmieniono na Lorens, i tak się zwałem odtąd zawsze—jako posługacz ostatni, jako majtek, jako sternik, jako kapitana pomocnik, jako sam kapitan wreszcie przed całe te lat dwanaście. Sam wreszcie zapomniałem! Teraz dzień taki przyszedł, że to moje niskie pochodzenie i różność naszą powiedzieć muszę. Zięciem pana nie będę, ale uczciwym sługą zostanę.

— No, dobrze, dobrze! Cóż więcej? Przeskrobałeś pewnie w swoim kraju? Zbiegłeś? Gadajże!

— Zbiegłem, panie, od biedy w chacie! Zagon nas dwanaściorga wykarmić nie mógł. Najśmielszy byłem i najsprawniejszy, więc pewnego dnia ojciec mi dał garść miedziaków, matka trochę szmat i chleba — i poszedłem w świat szukać szczęścia. Stary ksiądz nauczył mnie czytać i pisać, rachunków i trochę po niemiecku, resztę sam sobie zdobyłem.

Matschke czekał wciąż czegoś strasznego, aż wreszcie zniecierpliwiony przerwał i rzekł:

— I to wszystko? I nic więcej? Ojoj? I po to tylko taki wstęp okropny? Myślałem, Bóg wie, o jakich występkach!

Lorens nie słyszał. Zapatrzony przed siebie mówił po chwili dalej, zbierając dawne wspomnienia, zatarte kilkunastoletnią przerwą.

— Z początku ciągle wybierałem się z powrotem, czasem mnie w nocy nuda chwytała za gardło, świdro-

wała w oczach i sercu; płakałem, jak dziecko. Karewiszki moja wieś się nazywa, bo nas tam wielu Karewisów siedzi. Nie było jednak z czem wracać, co przynieść do chaty. A potem mi rozum przyszedł. Pojąłem, że w moich rękach i głowie nietylko chleb leży, ale stanowisko, dostatek, szacunek ludzki. Tamta ziemia, rodzona, nędzę mi dała i ciemnotę, a cudza, przybrana, wiedzę i dobrobyt. Zostałem więc jej synem, ażem wreszcie zapomniał o tamtej...

Tego, czegom dzisiaj dostąpił, nie pożądałem zuchwale. Nie kradłem pańskiego zaufania, ani, wprowadzony do domu pryncypała, ja, chłop, nie zamarzyłem o córce dobrodzieja! Służyłem panu, ale nie oszukiwałem w zaufaniu. Pan mnie wypróbować chciał teraz. Ale mi dosyć sinego morza i „Margarety" i droższe mi te skarby pana, które mi są powierzone do handlu, powierzone ufnie w uczciwość, niż te, którebym dostał z córką pańską! Godzi się jej bogaty kupiec ze starem nazwiskiem, a nie obcy chłop innej wiary i niskiego rodu!

— Czyś skończył nareszcie? Chwała Bogu! Wszystko, coś opowiadał, niewarte kropli słonej wody! Chłop jesteś: i cóż to ma do rzeczy? Karewis równie dobry, jak Matschke! Katolik? I to do interesu nie należy. Niech cię Greta, jeśli zechce, nawraca! Pogodzicie się. A dzieci ochrzcicie, jak wam się podoba! Religja u mnie — to fraszka. Grunt: uczciwość i dobra głowa. Potrafisz robić pieniądze! Greta cię kocha, tyś jej nie krzywy; mnie oboje w domu jesteście potrzebni. Płaciłem ci dosyć długo; teraz płacić przestanę. Ho, ho! Śmieje się Bruck, że nie mogę na domu swoim napisać: „Matschke i Syn"; przestanie się śmiać, jak zobaczy: „Matschke i Zięć". — Za lat dziesięć połkniemy i Brucka i jeszcze kilku innych!

No, zaraz knajpę zamkną! Daj rękę na zgodę i wypijmy jeszcze po kufelku! Nim maj się skończy, sprawię wam wesele i dam urlopu parę tygodni na miodowy miesiąc! Hę, myślisz, że mało? Ha, darmo, w kupiectwie i dzień drogi. No, *prosit!*

— Panie Matschke! — wyjąkał młody człowiek nieśmiało. — Tak się nie godzi! Panna Małgorzata będzie mną pogardzać! Posądzi o chciwość i podłość. Będzie myśleć, że ją poślubiam dla pieniędzy...

— Mój chłopcze! To jej dowiedź czego innego po ślubie! Ha, ha, ha! Śmieszni ci młodzi! Spytamy się jutro Grety, czy ci rada! Miała już dziesięć partyj od czasu konfirmacji, ale za każdą propozycją powiada mi: „Ojcze, kocham innego!“ No, posłuchamy, czy jutro to samo powie! Dobry ma gust dziewczyna! Nô, pijmy, zięciu! *Prosit!*

Lorens niepewną jeszcze ręką kufel trącił. Tyle szczęścia nie mieściło mu się w głowie. Ambicja jego, karmiona pochwałami i ogólnem uznaniem, nie sięgała jednak nigdy tak wysoko. Marzył może o córce jakiego kapitana, mniejszego urzędnika, nigdy o dziedziczce pryncypała. Panna Greta podobała mu się — teraz zdało mu się, że ją kocha śmiertelnie. Oszołomiony był, dumny! Jutro świat cały honorować go będzie, zazdrościć, chwalić, a panna Greta nie jeden, ale sto mu da pocałunków. Mógł być pijanym, choć pił mało i oględnie.

— *Prosit.* — odpowiedział, spełniając kufel.

Matschke, czerwony i rozpromieniony, otworzył mu ramióna. Interes był skończony!

Ile potem pili jeszcze, już kupiec nie pamiętał. Lorens go zaniósł prawie do domu i oddał w ręce strwożonej panny. Żegnając się, już śmielej i sprawniej ucałował jej kwitnące policzki i czerwone usta. Poro-

zumieli się daleko prędzej i łatwiej, niż z ojcem, i Lorens, rozpromieniony, pyszny, trochę rozgorączkowany, zawrócił do portu.

— Tak — interes był najzupełniej załatwiony.

Nad morzem ochłonął nieco i począł porządkować doznane uczucia i wrażenia. Wielki, pyzaty księżyc wypłynął z toni i fantastycznie oświetlał szkielety okrętów. Mgła objęła go bladą, brudnożółtą obręczą i tumanami wzbijała się wgórę, niby dymy niewidzialnego pożaru.

Na „Margarecie“ otworzono okienko. Wyjrzała przez nie głowa kapitana. Oburącz oparł się na desce, i, wpatrzony w księżyc, nucił półgłosem sentymentalną, niemiecką balladę. Pierwsza strofa dźwięczała zajęciem i uczuciem, drugą śpiewał machinalnie, w połowie trzeciej urwał. Oczy jego przeszły z nieba na pomarszczone falami morze. Myśl ze swą szczególną szybkością snuła się, snuła, snuła, aż zabiegła w inne światy. Parę razy poruszały się usta, jakby próbując dźwięków, i wreszcie wyszeptał zcicha:

— *Baltas Jura!* (białe morze).

Fale podbijały jedna drugą, biegły, goniły, niosły garście morszczyn i portowe okruchy i coś gwarzyły do marynarza. Żegnały go zapewne, bo już jutro rozstanie się z niemi na zawsze. Nie będą mu te fale śpiewać i wyć, jak przez lat tyle. Opuści sine gościńce i dalekie widnokręgi. Nie będzie już walczył i zdobywał, będzie zbierał pieniądze... Zdawało mu się jednak, że Bałtyk zmienił swą mowę w ten ostatni wieczór, że go nie żegna, jak dotąd, hucznie i szumnie:

— *Grüss' Gott, Kamerad!*

Ale szeptał przeciągle i smutno:

— *Su Diew, jaunis — su Diew!* (Z Bogiem, młody — z Bogiem).

Zastanowił się. Nie Bałtyk to gadał — i nie teraz. W jakimś zakątku pamięci został ten wyraz — ostatni, jaki za nim pogonił od gromadki swoich, co go odprowadzali za wieś, na rozdroże ku Niemnowi, lat temu dwanaście. A przez te lata już nigdy tej mowy nie posłyszał. Po niemiecku mówił i myślał, po niemiecku śpiewał i klął, po niemiecku pacierz odmawiał i grzechy wyznawał na spowiedzi! Teraz nieruchomy, zgarbiony, z zagasłem cygarem, patrzał w jeden punkt przestrzeni. Zdało się, że usypia. On czuwał. I myśl jego w labirynt dziecinnych wspomnień zstępując, rozgrzebywała rumowiska pamiątek, dziwiła się wybladłym obrazom, echom jakichś pieśni, odnajdywała twarze, uśmiechy, dźwięki dawno przebrzmiałe. I wreszcie kapitan Lorens zginął, a odnalazł się wyrostek bladawy, bosy, na klaczce wilczatej, zaganiający długiem biczyskiem wioskową stadninę. Głodny był i zmęczony. Za rzeczką widział ogień w ogrodzie Karewisów, pod lipą starą. U ognia tego czekano go na wieczerzę, na pacierze, wyglądała matka. A on o zmierzchu do chaty dążył, do swoich.

— Do swoich! — zaszemrało, jak echo, w kajucie.

Głowa kapitana opadła na ręce i dojmująca tęsknota objęła go całego.

Do swoich... Choć na godzinę, na chwilę marną! Do ojców! Tyle lat przeszło, aż zapomniał. Do swoich!

Wyprostował się. Co wart podziw jutrzejszy Szczecina, co wart jutrzejszy triumf! Tam daleko podziw dopiero będzie i duma! Tam, gdzie go widziano głupim i biednym, w kamizelce ojcowskiej na grzbiecie, pastuchem bosonogim, tam niech go teraz ujrzą, dorosłym i bogatym, w cienkiej odzieży, przy

złotym zegarku, z pierścionkiem zaręczynowym najbogatszej szczecińskiej dziedziczki.

Zabiło mu serce gwałtownie.

Pojedzie! Widzieli go nędznym, zobaczą bogaczem — żegnali w biedzie, powitają w chwale! Dary im piękne zawiezie, ojców o błogosławieństwo poprosi, papiery swoje z parafji weźmie do ślubu z Gretą. Będą go na ręku nosić, rówieśnicy zazdrościć, a wieś cała opowiadać sobie będzie o nim w długie lata. Po licu jego snuła się duma wyższości, jasne odblaski wewnętrznego zadowolenia. A pragnienie i pamięć, raz rozbudzone i wskrzeszone, stawały się namiętnością, potrzebą, gwałtem. Wirowało mu w głowie, latało ogniem w źrenicach. A Bałtyk jego rodzinny o ścianę kajuty uderzał i jakby zachęcał i na drogę tę szemrał:

— *Su Diew, jaunis, su Diew!*

II.

Siną, fantastycznie pogiętą tasiemką płynie Kirszniawa, rzeczułka drobna i płytka, dążąc przez wzgórza i doliny, popod szaremi wsiami do Dubissy. Tam, gdzie za dworem w Palandrach zaginała się w szerokie półkole, oddzielała grunta pańskie od zagród i pól chłopów karewiskich. Wieś rozrzucona była szeroko i bezładnie na szerokiej przestrzeni. Od zagrody do zagrody zygzakiem biegły twarde ścieżki; rozdzielały je płoty i zagony warzywa, otulały puszyste sady. Nad rzeką gościniec się wił, poznaczony słupkami z nazwiskiem gospodarzy, obrzeżony ciętemi kulisto wierzbami, strzeżony co kroków kilkaset przez kapliczki oszklone, pełne pierwotnych rzeźb świętych. Ścieżyny twarde od chat biegły też do gościńca, inne wężykiem wślizgiwały się w pola wioskowe, inne szły przez kładki i wielkie głazy na rzece w stronę dworu. Mrówcze to były drożyny, pracą wydeptane.

Za wsią, od gościńca na lewo, zbiegało się ich mnóstwo, tworzyły już nie szczelinę w zieleni, ale szeroką drogę. Te wiodły do kościółka z polnych kamieni, stojącego, jak na strażnicy wsi. Sioło wyglądało dostatnio i ludnie.

Z gościńca wzrok z przyjemnością obejmował zagrody te i sady, żywą wodę i czerwony dach kościoła, zajmował się dziwnemi krzyżami Żmujdzi, bardziej do monstrancji, niż do krzyżów podobnemi, a zatrzymywał się wreszcie ciekawie na starym sypanym kurhanie za

wsią, Gedyminowych może bojów zabytku, który teraz gęsto porosły dzikie róże i tarniny.

W zagrodach tych lud mieszkał rosły i dorodny. Napozór wesół i swawolny nawet, krył w głębi dusz niespożyty hart, wielkie tajemnice, niezatarty stary obyczaj. Sprawni byli do rolnictwa i rzemiosł, skrzętni i pracowici. Hodowali lny i pszczoły, chodzili z dostawami lądem i wodą, wyrabiali barwne samodziały. Karewisów we wsi było dziesięć rodów, spokrewnionych i sąsiadujących o miedzę. Rozrodzili się nadmiernie i zubożeli wskutek tego. Młodzież ich naschwał piękna i wybujała, szła gęsto i często w rekruty, sługiwała po dworach, a jednak w chatach dziatwa się nie przebierała, dostatku nie przybywało, zagon się rozdrabniał.

Kołodziej, Jan Karewis, dla rozróżnienia przezwany Didelis (wielki), przodował między krewniakami ilością rodziny, biedą, pracą i nabożeństwem. Miał też za kogo i o co się modlić. Prosił o siły dla siebie do pracy, prosił za czworgiem dzieci i żoną staruszką, którym dział wydzielono na cmentarzu za kościołem, prosił za trzema zamężnemi córkami, za dwoma synami, co się pożenili i gospodarzyli wspólnie, wzdychał do Boga za Florkiem, co go wzięli w żołnierze, daleko, aż do wołogodzkiej gubernji i za najmłodszym Marcinkiem, co stado pańskie pasał za Kirszniawą. I prosił jeszcze za jednem dzieckiem, o którem już nawet nie wspominało rodzeństwo w chacie, tak dawno w świat poszedł — i przepadł bez wieści. Czasem też prosił kołodziej o wiele, wiele pieniędzy. Marzyło mu się, jakby wtedy synów rozdzielił i obudował, ziemi dokupił, krów i koni się dochował, Marcinka do szkół oddał — możeby na księdza wyszedł, a Florkowi posłał zapomogę na chleb biały i buty wygodne. A tymcza-

sem w domostwie Didelisów siekiera jego pracowita stukała od świtu do nocy, a kark jego od pracy i lat garbił się coraz więcej, a z piersi zmęczonej coraz częściej stękanie się dobywało lub ciche westchnienie...

. . . .

Było to lato — sama kośba. Pod napół już spróchniałą, stuletnią lipą, osłaniającą dom Didelisów, stary Jan ciosał suchą dębinę na koła. Z chaty dorośli, kobiety i wyrostki poszli do siana. Od łąk rozbrzmiewały chóralne śpiewy i wesołe okrzyki — we wsi natomiast panowała wielka cisza. Zdala tylko, od jednej z uboższych zagród, dolatywał monotonny stuk tkackiego warsztatu, a w sąsiedztwie w sadzie wiśniowym ktoś gwizdał zcicha. Wiedział Jan stary, że warsztat stukał u Jodasów pod pracowitą dłonią Rozalki sieroty, że gwizdał żołnierz kaleka, krewniak jego — dozorujący pasieki. A on, nasłuchując pieśni dalekiej, przypomniał sobie młode lata, gdy w śpiewach prym trzymał, a w zabawie przodował. Teraz zostawiono go z kalekami we wsi i oddano pod dozór troje wnucząt najmłodszych. Jedno spało w kołysce, zawieszonej na niskiej gałęzi lipy, dwoje siedziało na progu chaty, bawiąc się z łaciastym kotem. Słońce schylało się na zachód. Niebawem już dotknie wierzchu Piłkalnisu (kurhanu) i skwar swój purpurą złagodzi. Niebawem też wieś się zaludni i spoczną pracowite ręce.

Daleko na gościńcu kołatał dzwonek pocztowy. Kołodziej, nie podnosząc oczu, westchnął. Od Ejragoły szła poczta — wiozła pisma różne, listy i papiery do gminy. Pisma nie dla niego były i listów nie miewał, chyba żołnierski, żałosny i krótki od Florka, któremu tam na kraju ziemi śniła się Kirszniawa i rodzinna chata. Ale papierów urzędowych bał się chłop, bo

tam bywały pozwy do sądu, rozkłady podatków, rozkazy różne — ciężkie. Dzwonek się zbliżał, skręcił z gościńca między zagrody, rozbrzmiewał donośnie między ścianami i sadkami. Nie do gminy to była droga, ani do gospody, ani do plebanji. Gdzież więc?

Kołodziej ręce opuścił i, zasłaniając ręką oczy od słońca, patrzał w tę stronę. Bryczka ukazała się właśnie z za pasieki sąsiada, zbliżyła się do jego chaty i stanęła. Ktoś z niej wysiadł. Pan jakiś młody, brodaty, w jasnym, ładnym paltocie i miejskim filcowym kapeluszu. Przez ramię miał torbę skórzaną, w ręku laskę o złotej gałce, na rękach rękawiczki jasne. Kołodziej podszedł porę kroków. Ten obcy może zbłądził. Zapytać go o co zechce! Oto żywo otwiera furtkę i wchodzi na dziedziniec. Stanęli naprzeciw siebie i sekundę patrzali w oczy. Wpadłe źrenice chłopa rozszerzyły się zmieszanem uczuciem trwogi, niepewności i uszczęśliwienia. A wtem przybysz kapelusz i laskę o ziemię cisnął i, porywając go za szyję, zdławionym głosem wyjąkał:

— *Tewe!* (ojcze).

Kołodziej ramiona roztworzył. Zdało mu się, że umarł i umarłych wita.

— *Wawer, Wawer!* Synku mój! Synku!

I tak w objęciu zapłakali obadwa. Aż nagle młody się odchylił i spojrzał na drzwi chaty.

— Ojcze, gdzie matka? — zagadnął.

— Umarła.

— A ksiądz stary?

— Umarł.

— A siostry?

— Za mężem.

— A mój bliźniak, Łukasz?

— Umarł.

Umilkł młody i po chwili, bojąc się pytać o każdego zosobna, rzekł:

— To któż się ostał z moich, com ich żegnał?

— Ośmioro żyje z tobą, com cię za umarłego miał. Niema u Boga odmowy, kiedy mnie wysłuchał i ciebie do domu odprowadził! Zdalekaś ty?

— Zdaleka. Amerykę widziałem wiele razy i wszystkie morza świata znam. W Prusach, ojcze, kapitanem byłem dotąd!

— A toż chyba swoich nie spotykałeś, żeś i mowy mało co zapamiętał. Szczęścił ci Bóg — widzę! A czemuś wieści nie przysłał tyle lat?

— Wołałem z wieścią sam przyjechać. Szczęścił mi Bóg, bom i ręce wyrobił i głowę. Na szerokim świecie ciężko się dobijać i niejeden tam zginął, gdziem ja dał sobie radę! Takie tam burze, co gwałtem życia ludzkiego chcą; takie prace, co biorą i dnie i noce, takie choroby, co najtęższego walą, jak dziecko. A świat tam pełen mądrych ludzi i bogatych kupców. A ot, nie wzięły mnie burze i choroby, nie zabiła praca, mądrzy ludzie mnie szanowali i obracałem miljonami bogatych kupców! Takim ja się stał!

Lice jego opromieniła duma i pewność siebie.

Stary ojciec zdziwione, rozjaśnione oczy wlepił weń i słuchał, jak baśni, jak dziwów. Jegoż to Wawer był, w tejże to chacie starej taki jasny pan się urodził i wychował?

— A przecie trafiłeś do domu! — rzekł.

— Trafiłem. Toć mi nie nowina podróżować. Trafiłem do Afryki i do Indyj, choć tam gościńców niema ani kolei. Jakem sobie postanowił was odwiedzić, takem do Kowna przyjechał, a stamtąd poczta mnie wiozła. Kraju nie pamiętam, ale gdym nasz

Piłkalnis zoczył, to mi się wszystko wydało, jak żywe, i jużem nie zmylił drogi do chaty.

— Tylkoś mowy prawie zapomniał.

— Nie dziw! Toć to taka tylko chłopska mowa. Śmiali się, gdym po swojemu bełkotał. Prędko się nauczyłem po niemiecku, a i po angielsku umiem. Wiadomo, że kapitan musi języki posiadać; bo mu trzeba i z ambasadorami gadać i z wysokimi urzędnikami obcować.

— A z kimże ty po swojemu rozmawiał?

— Ta z nikim! Raz w Ameryce zdarzyło się swego spotkać. Przyszedł na okręt i gazet pakę mi dał, żebym do Hamburga dostawił. Ot, taki warjat. Nie zechciałem!

— Czemu?

— Ot, albom to ja socjalista, czy chłystek? Będę bibułę przewoził! To nie honor u nas w kupiectwie.

— Toś ty kupiec?

— A cóż? Ojciec myśli, z próżnemi rękami przyszedłem do was w odwiedziny?

Stary Jan już na syna nie patrzał, ale w ziemię.

— Ja tylko ciebie czekałem i tylko ciebie przyjmuję — odparł spokojnie, ale bez radości.

Wtejże chwili niemowlę w kołysce kwilić zaczęło, więc dziad wstał i, jak umiał, zaczął je uspokajać.

— Czyje to? — zagadnął Wawer.

— Andrzejowe! Wawrzyńcem nazwali na twoją pamiątkę.

— To Andrzej żonaty?

— Żonaty i Piotr. To Piotrowe tych dwoje większych.

— To u was znowu w chacie pełno i jednaka bieda?

— A cóż! Tak Bóg dał!

— Bo nam wszystkim w świat iść trzeba!

— Któż tu ostanie?

— A choćby nikt! Czego żałować? Albo tu los czy dostatek? Ot — gnicie!

Spojrzał po podwórzu i gumnie, po omszonym dachu chaty.

— Czego żałować? — powtórzył. — Mieszkacie, jak na świecie i bydło nie mieszka. Mordujecie się dla kawałka chleba, zarabiacie kopiejki, chodzicie boso! Albo to życie? Ot, na świecie domy, jak szklanki; jak trud — to daje zbytek; jak zarobek — to tysiące! Ot, byle głowa dobra i ręce zdrowe! Tam warto pracować.

— A tu warto umierać — rzekł stary uroczyście. — U nas teraz książki różne piszą, po swojemu, dla chat! Tam pisze, jakie to wojny i niedole nasi przed wiekami odbyli, a przecie nie odeszli z ziemi, nie wyzbyli się wiary, mowy i obyczaju! Jakoż my teraz możemy to wszystko rzucić? Czy to się godzi?

— Godzi się wszystko, co uczciwe, by sobie los poprawić!

— Toby nas tak ksiądz uczył, a on nie uczy!

— Boć to nie księża rzecz!

— Kiedy nie księża — to i nie Boga. Człowiek każdy — Boży żołnierz! Postawił go gdzie Bóg, to on tam stać powinien!

Młody mimowoli lekceważąco się uśmiechnął. Nic już więcej nie rzekł. Zrozumiał, że jego kosmopolitycznych wyobrażeń chłop ciemny nie pojmie i nie oceni.

— A kogoż wziął Andrzej? — spytał po chwili milczenia, zaglądając do kołyski.

— Jodasową Marynkę, sierotę po cieśli Jakubie.

— A Piotr?

— Szlugurisa Onutę.

— A nasza Barbara i Marta gdzie poszły?

— Do Butkisa i do Szwedasa.

— A czemuż to chata pusta?

— Ot, przy sianie wszyscy. Ucieszą się z ciebie, ucieszą. Już nawet się nie spodziewali ciebie kiedykolwiek zobaczyć! Tylko ja czekał!

— Przywiozłem wszystkim podarków z za morza.

— A ot, i wracają, zdaje się! — rzekł stary, nasłuchując.

Od łąk, zrazu na jeden głos, potem chórem, podniosła się pieśń donośna i płynąca ku wsi. Obadwa wstali. Wawer szyję wyciągnął i łowił słowa jeszcze dalekie i niewyraźne.

— Poznajesz? — spytał ojciec.

— Nie!

— Toż kosiarzy śpiew: *„Vali Dalgiale!“*

— Zapomniałem. Śpiewali my inne, a po teatrach tom się rozmaitości nasłuchał.

Stary chmurno spojrzał na syna. Twarz jego, zawsze posępna, stała się twardą i zawziętą.

— To przypomnij! Naszej pieśni po teatrach nie rozwożą.

Śpiew się zbliżał, dochodził z za Piłkalnisu, obijając się o rzekę i dalekie bory. Teraz już wyraźniej doleciały słowa do Wawra, który cygaro zapalił, ręce w kieszenie włożył i słuchał z miną pobłażliwej wyższości:

Hulajże, koso, hulaj!
Do kwiatów się przytulaj!
Trawa sianem nie będzie,
Nim nie muśniesz jej w pędzie.

Żwawo zwijaj się, ramię,
Cięcie kosy nie złamie,
Hulajże, koso, hulaj!
Do kwiatów się przytulaj!

I nagle zbudziła się jego pamięć i, zelektryzowany chórem swoich, uśmiechnął się i, zwracając do ojca, wesoło rzekł:

— A ot, pamiętam i zaśpiewać razem potrafię. Wyjdźmy na ich spotkanie na drogę. Czy oni mnie poznają?

Wyszli. Zdala na drodze widać było gromadkę z grabiami na ramieniu. Mężczyźni mieli jasne samodziały, kobiety barwne spódnice i gorsety. Dziewczęta miały rutę w warkoczach, a mężatki malinowe czepeczki, jak kwiaty.

Idący na przodzie mężczyzna, rosły i ogorzały, trzymał prym w chórze.

— To Szluguris Jonas! — rzekł stary. — W ich rodzie zawsze prym trzymają. Piotrów szwagier, pomaga nam dzisiaj; pustak i paliwoda okrutny.

A Szluguris czapkę na ucho przesunął, otarł kraciastą „nosówką“ pot z czoła i zaintonował drugą zwrotkę:

Kto nie wyszedł wśród rosy
I nie skąpał w niej kosy,
Temu suchą wiatr trawę
Sprzątnie, jak przez zabawę.
Hulajże, koso, hulaj,
Do kwiatów się przytulaj!

Już o krok byli od eleganckiego pana i urwali śpiew, patrząc ciekawie to na starego, to na tego cudzego w miastowej odzieży.

— Gość nam przybył! — rzekł stary Karewis. — Nie poznajecie go?

Andrzej i Piotr podnieśli uznojone ciemne twarze. Obcy przystąpił do nich i za szyje objął, całując.

— A toć Wawer chyba? — spytali nieśmiało.

— A on! — zaśmiał się stary przez łzy.

— Wawer, taki pan! Wawer! Wawer! — rozległy się zmieszane, radosne okrzyki.

Gromadka się zgmatwała, otoczyła wokoło kapitana. Tak go wiedli wśród siebie, ściskając, wołając, pytając.

— Skrzypki sprowadzę do chaty i bal urządzimy! — krzyknął Szluguris, grabiami wywijając młynka.

— Jeść mu trzeba! — troskały się bratowe, rade biec naprzód do chaty i nie chcąc go opuścić.

— Po Marcinka na łąki dworskie skoczę! — mówił Piotr.

— Jeść dajcie i Marcinka sprowadzić trzeba! — rozstrzygnął stary. — Ale do skrzypiec, to wara! Jeszcze on w kościele nie był, ani na mogiłach nie klęczał. Potem uciecha!

Więc Szluguris, nie wiedząc, jak okazać radość, wysforował się naprzód i swym potężnym głosem zaśpiewał:

Mergate mano,	**Dziewczyno moja,**
Tekek už maną,	**Weź mnie za męża,**
Sejta ne žusiu,	**Biedy nie doznasz,**
Varga ne busiu!	**Smutną nie będziesz!**

A przechodzili właśnie obok zagrody Bakutisa i w ogródku mignęła hoża twarz dziewoi. Szluguris gwizdnął przeciągle i przesłał jej ręką całusa. Kobiety się oburzyły, stary się zachmurzył, a Wawer ze śmiechem swawolnego chłopca po ramieniu go poklepał.

Dotarli do swojej zagrody, która zawrzała ruchem i weselem, aż się dziwiły stare ściany chaty, aż się bociany na stodole spłoszyły i pierzchły wróble ze strzechy. A po uczcie obfitej, na którą wydobyto co najprzedniejsze specjały z komory i swironka, na stole ukazały się tłumoki Wawra, a z nich poczęły płynąć

i przechodzić z rąk do rąk rodziny upominki drogie: jedwabne chustki i korale, srebrem nabijane fajki, noże o zagranicznych rękojeściach, jaskrawe szale i cienkie suknie.

Obdarowani cieszyli się, pokazywali wzajem prezenty, gwar rósł, śmiechy i wesołość wzbierały, jak morze. A wśród tej gorączki i ruchu, stary Karewis sam jeden milczał, siedząc w kącie ławy za stołem i pykając z fajeczki tytuń, patrzał bystro, badawczo w twarz tego pięknego pana, co mowę kaleczył, o nic nie pytał, a tylko swe dzieje i triumfy opowiadał z widoczną dumą!

Z pod brwi namarszczonych patrzał i milczał.

. . . .

III.

Noc była. Nad Kirszniawą wstał srebrny księżyc i ubielił ziemię cichą, umajoną latem.

Spokój uroczysty zaległ okolicę. Nie było w powietrzu wiatru, tylko słabe, ciepłe tchnienie roznosiło z pól i łąk zapachy siana i zbóż, a od rzeczki rzeźwiący podmuch i ćwierkanie błotnego ptactwa. Wieś spała.

Około północy drzwi u Didelisów odemknęły się lekko. Na podwórze wyszedł Wawer. Sen go nie brał na stosach pierzyn w alkierzu, gdzie mu bratowe usłały, według ich mniemania, królewskie łoże. Wyślizgnął się cichaczem, minął izbę duszną, pełną ciężkich oddechów i chrapania całej rodziny, minął sień i wydostał się wreszcie na powietrze rzeźwiące i balsamiczne. Oparł się o wrótka zagrody i, paląc cygaro, rozmyślał, zapatrzony przed siebie.

Kirszniawa płynęła opodal, a księżyc stał za nią, rzucając przez migotliwą toń srebrną, ruchomą drożynę. Ognisko świeciło za rzeczką, czerwone, osnute dymem, i rozlegały się tony skrzypiec nieumiejętne i często fałszywe. Dworskie łąki tam się już słały i Marcinek przy koniach pańskich ogień palił, muzyką sen sobie z powiek spędzał.

Wawer uśmiechnął się. I on znał te łąki i takie noclegi na zroszonej trawie i dnie na skwarze. Jego to przeszłość była, jegoby dolą została, żeby precz stąd nie poszedł. Śmiał się teraz z tego, śmiał szyderczo. Śmieszył go ten ciasny horyzont pracy i pojęć,

te mrówcze zabiegi, drobiazgowe troski, zacofanie, to całe życie, zamknięte między pólkiem, rzeczką, dworem, kościołem i miasteczkiem o mil parę. Potem go nuda ogarnęła. Nuda za miastem, za towarzystwem, za zabawą. Hulałby teraz w Szczecinie, a wieczorem Gretę całował, na zawiść i zazdrość całej rzeszy młodzieży. Tutaj nie zrozumieją nawet w całej doniosłości, jaki on wielki los wygrał na loterji życia, nie potrafią mu nawet zazdrościć. Co on tu robić będzie przez ten tydzień, który sobie na pobyt zamierzył, jak wytrzyma zaduch w chacie i z kim będzie rozmawiać?..

I czego oni tutaj siedzą, do tej piędzi roli niewdzięcznej przykuci? Zagranicą, daleko, całe obszary miećby mogli i dostatek. Czemu nie idą?

Do chaty wracać nie miał ochoty, noc była tak jasna i ciepła. Ciągnęło go na przechadzkę. Otworzył furtę i wyszedł.

Wzdłuż płotów drożyny biegły od zagrody do zagrody. Szedł i rozpoznawał każdą: bogacza Szlugurisa i krawca Józefa, dalej Szwedasa obejście i gumno Rafała, zwanego Brodaczem. Tak dotarł do gościńca, nikogo nie spotkawszy. Spali kamiennym snem wszyscy i tylko psy stróżowały, ujadały zajadle. U zawrotu na trakt przystanął.

Drogi się tu rozdzielały: do dworu przez most prosto, na Piłkalnis w lewo — w prawo na cmentarz i do kościoła. Figura święta, pod daszkiem, między czterema słupami, strzegła rozstaju. Święty Sebastjan to był, strzałami pokłuty, nagi, skrępowany u drzewa kaźni. Rzeźbiarz-samouk zrobił mu twarz wykrzywioną i groźną, a malarz nie żałował czerwonej farby na krew męczennika. Umalował nią całe ciało, powrozy i lica zbolałe. Był to starodawny patron Karewiszek. Wawer pamiętał go z dawnych lat, ale teraz ktoś figurę

i kapliczkę świeżo odrestaurował i odnowił, a pobożni okryli wiązkami ziół polnych i jaskrawych kwiatów z chłopskich ogródków. I Wawer uchylił kapelusza. Ręka jego dawnym obyczajem dotknęła czoła i piersi.

W tejże chwili na moście od dworu rozległy się ludzkie kroki, a na plac pod figurą, jakby od księżyca, wyszedł chłop olbrzymiego wzrostu. Nie spostrzegł kapitana, stojącego nieco na uboczu, ale ten ujrzał wyraźnie jego twarz, gdy, zdjąwszy czapkę, mimo przechodził. Twarz to była ostra, chuda, o wydatnych policzkach, otoczona kruczym włosem, na którym znać było niedawne jeszcze żołnierskie postrzyżyny. Wawer poznał tego człowieka. W szkółce kolegowali niegdyś i pasali razem trzodę.

Był to Krystof Jodas, brat Andrzejowej Maryjki. Snać wziął rzemiosło ojca i od pracy wracał, bo ciesielski topór miał za pasem, przez ramię torbę z mniejszemi narzędziami.

Kapitan posunął się żywo naprzód. Chłop na widok obcego stanął i spojrzał z podełba zdziwiony.

— Nie poznajesz mnie, Krystof?

— Nie!

— A Didelisów Wawra nie pamiętasz?

— To ty? Anibym poznał! Skądże? Myślałem, że jaki Niemiec, rządca, do Szwedasa Magdalenki się podkrada!

— To się u was widzi?

— Ojoj! A ty skąd?

— Zdaleka, ze świata!

— A dawno?

— Dzisiaj wieczór. A ty skąd wracasz?

— Z roboty, ze dworu w Palandrach! Tydzień, jakem poszedł.

— Na gospodarce nie siedzisz?

— Niby to gospodarka! Jest na czem siedzieć, chyba psu albo kotowi! — odparł chłop gorzko, ramiona wznosząc i przed siebie ręką wskazując.

— Ot tam, pod samą górą pół wiorsty mam płotu, a za płotem rośnie trzy kopy zboża i stoi chata, co chyba jeszcze polskie panowanie pamięta. Tyle mojej gospodarki....

Ponury był i ciągle zamyślony. Jakaś troska i zniechęcenie wyzierało mu z twarzy i ruchów. Przywitał ledwie dawnego towarzysza i prawie nań nie patrzał.

— Toście zbiednieli? — badał Wawer.

— A jużci! Inni się zbogacili. Ojciec zmarł, jakem w sołdatach był pierwszy rok. Niby to wasz Andrzej miał się ziemią opiekować i Maryjką. Ale Andrzej to takie ciasto! Ten się worał, tamten uchwycił, a on nic! Mnie sześć lat trzymali w Kijowie, w artylerji, a Rozalka w Kownie służyła u profesora jakiegoś. Płoty popalili, chata się rozwaliła, chudoba pomarniała. Zeszłej jesieni wróciłem, Bóg wie, poco? Terazby trzeba było siedm lat po sądach się włóczyć, żeby odzyskać, a może i nic nie wskórać! Plunąłem na wszystko i chciałem znowu do pułku wracać, na drugą służbę! Płacić mi mieli. Ale właśnie dziewczyna wróciła ze służby i nasiadła się na mnie: A nie jedź, a zostań, a gdzie ja się podzieję! I zostałem, w złą godzinę!

— Choć jeden malkontent! — pomyślał Wawer.

Krystof nieruchomo patrzał przed siebie, a potem spytał obojętnie:

— A tobie dobrze się wiodło?

— Dobrze. Tam, kto chce, dolę znajdzie.

— Pewnie! Bywają tacy, co się im wiedzie!

— Każdemu, byle szukać i starać się umiał. W Ameryce za to, co twój topór wart, dostaniesz ziemi więcej, niż całe Karewiszki.

— Naprawdę? Gadają tak, ale ksiądz z ambony odradza i we dworach o nędzy za oceanem prawią.

— Bo żeby wszyscy poszli, ksiądzby nie miał komu kazać, a dwórby robotnika stracił.

— A no pewnie! — chłop zamyślony potwierdził.

— Ot i na mnie patrz! Głupi i nagi chodziłem, a teraz i rozum mam i dostatki. Tak każdy tam może, byle się postarał.

— A teraz wracasz do chaty?

— Uchowaj Boże! W odwiedziny przyszedłem. Tam mnie interesa czekają wielkie i żenić się będę z bogatego kupca jedynaczką!

— A tęsknota cię nie żarła?

— Z początku tom się trapił, ale potem... Ktoby tam złe pamiętał!

— Mnie bo nuda dniem i nocą ścigała tam w pułku. Ni miejsca, ni wczasu znaleźć nie mogłem! O, głupia dumka, głupia pamięć!

Ręką machnął, torbę na plecach poprawił i wyciągnął dłoń do towarzysza.

— Bywaj zdrów! Jutro przy kościele się zobaczym. Na długoś przyjechał?

— Na tydzień. Jest tu jaka gospoda, żeby się zabawić i pogadać?

— Jest. Ot tam przy gościńcu. Siedzi tam Butkis, sołdat, co ludziom prośby pisze i do procesów namawia. Wieczorem tańczy, kto ma ochotę. Ja nie, ale pogadać i owszem!

— To do zobaczenia!

— Do widzenia!

Rozeszli się. Cieśla ciężko i powoli ku chacie, Wawer, zcicha gwiżdżąc, ku kościołowi i cmentarzowi. Ostatnie zagrody wyminął i dróżką wązką pod górę wchodził. Przed laty codzień zimą biegł tędy rankiem na naukę do księdza, więc znał każdy kamyk i wybój. Zdziwił się więc, ujrzawszy przy drodze tej chałupkę samotną, której dawniej tam nie pamiętał. Wznosiła swe cztery niskie ściany wśród pustego wygonu, nie miała ogródka i płotu, sterczała samotna, jak sierota, między wsią a plebanją.

Wewnątrz świeciło się jeszcze, a na ławeczce pod ścianą czerniały kształty siedzącego człowieka. Dostrzegł zdaleka wędrowca i przypatrywał mu się uważnie. Miał twarz bladą i cierpieniem strasznie wyniszczoną; otaczały ją długie, jasne, jak len, włosy. Wyglądał zajęty i jakby niespokojny, wciąż oczy w obcego wlepiając badawczo.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się wreszcie zcicha.

— Na wieki! — odparł Wawer, o krok się zbliżając, wahający, niepewny, ale z duszą pełną przeczuć raczej, niż pamięci.

— Kogo szukacie? — spytał właściciel chałupki.

— Rufin! — szepnął Wawer nieśmiało.

— Ja sam! Czyście z Ławeliszek do mnie przysłani?

Wawer nie odpowiedział. Stanął blisko i wtedy dopiero postrzegł, że siedzący miał wklęsłe piersi i garb, nogi szpetnie pokrzywione i bezwładne, a obok leżały kule kaleki.

— Rufin! Co się z tobą stało? — zawołał, grozą zdjęty.

— To ty, Wawer? Słyszałem od Szługurisa, żeś wrócił. Witaj na starej ziemi znowu!

Podał mu dłoń i boleśnie się uśmiechnął.

— Nie poznałem ciebie i pytałem, czy z Ławeliszek. Miał stamtąd od proboszcza do mnie być posłaniec. Ot, zmieniłeś się bardzo! Takiś piękny!

— A z tobą, Rufin, co?

— Ze mną stało się nieszczęście. W Wilnie u kamieniarza uczyłem się rzeźby i rżnięcia. Taki wróciłem... Jak dąb, byłem chłop, a trzeciej wiosny na wozie ze szpitala prosto przyjechałem. Ojciec, organista, umarł tymczasem, ale ksiądz stary żył, więc mnie przyjął i zapłakał. Ja to i płakać już nie mogłem i nikt mnie nie poznał. I nie dziw!...

— Jakże to się stało?

— Z przypadku. Fura kamieniarska przygniotła. Nogi były pogruchotane i żebra i obojczyk. Sam nie wiem, co dalej było, i sam nie wiem, jak jeszcze żyję!

— Jakże ty sobie radzisz, ty biedny?... — spytał Wawer, wielkim żalem zdjęty.

— Bóg radzi i dobrzy ludzie! Ojciec trochę grosza zostawił. Na chałupkę tę starczyło. Ręce zdrowe zostały, więc jąłem rznąć świętych figury i krzyże nasze wycinać misternie i malować. Teraz znają daleko „diwodirbisa"*) z Karewiszek i z odległych stron schodzą się do mnie ludzie, to po ofiarę do kapliczki, to po nagrobek drewniany, to po krzyż od choroby. Robotę Bóg dał i duszę uciszył. Zrazu nijako szło. Dusza chora była, więc i ręce słuchać nie chciały, a com człowieka całego zobaczył, to mnie żal, jak robak, kąsał. Ale wiosna przeszła jedna i druga, pozdrowiałem od swego wiatru i słońca, a ksiądz póty goił duszę, aż się zabliźniła i ścichła. A testamentem zapisał mi „Ży-

*) Diwodirbis, dosłownie bogoróbca, rzeźbiarz kościelny.

woty Świętych“ i książkę o rzeźbie, ten stary proboszcz, coś go znał. Takem się został, po ojcach sierota i po marzeniach o sławie sierota i po ludzkich pragnieniach i doli sierota i po nim sierota. Alem już teraz zdrów na duszy. Byle na ziemi swojej co dobrego zdziałać i kości w nią położyć i byle ludziom swoim służyć. I kaleka i zdrów to potrafi! I już wielki teraz spokój we mnie wstąpił.

— Nikt ci swój nie został?

— Nikt. I ty się swoich nie dorachowałeś, bracie, towarzyszu stary. Jakże ci było na obczyźnie? Mówią, żeś bogaty i pan. Chwała Bogu!

— Zebrałem dziesięć tysięcy dla ojca. Za tydzień znowu pojadę.

— Znowu? Nie zostaniesz między swymi?

Wawer się roześmiał dziwnie.

— Ja? Tutaj? A cobym robił? Za pługiem, czy z kosą? Mało ich w chacie? Że też ty pytasz?

— Nie chciałem cię obrazić, Wawer! Daj ci, Boże, dobrą dolę!

— Jużem ja zdobył tę dolę. Ale niech się kto tak namozoli, jak ja!

Wyciągnął przed siebie ręce twarde i ciemne i pokazał je rzeźbiarzowi.

— Takie ręce i bracia moi mają i ledwie chleb wypracują, a na starość deski na trumnę! A ja pan! Ale to cienkie odzienie i złoty zegarek i te tysiące i piękna narzeczona, co mnie czeka w Szczecinie, temim ja rękami zdobywał — ani gładkiem słowem, ani pokłonami. Szedł ja do nich na kolanach, z objuczonym karkiem, bity nierzadko i popychany wszędzie, gdzie najciężej było i najtrudniej. Dlatego to, com zdobył, drogie mi i nieocenione. Jakżebym ja rzucić mógł ten

mój ciężko wywalczony dostatek i stanowisko? Prawda, Rufin?

Kaleka głowę skłonił.

— Daj ci, Boże, dobrą dolę, Wawer! — powtórzył i o nic już więcej nie pytał.

Zadumał się chwilę, w łagodne światło księżyca wpatrzony.

— Rad jestem, żeś wrócił cały i szczęśliwy! — ozwał się znowu. — Ziemia, jak matka, najdorodniejszych w świat wyprawia. Wracają przecie, bo ona głos ma, co na świata krańcach syna odszuka i zwoła. Taki, co nie słyszy, pamięci Bożej niewart!

Zdawało się, że pod koniec nie do Wawra już mówił, ale do siebie, że głośno wyrażał myśli, co mu po głowie się snuły przez długie godziny samotności. Potem poruszył się, z nieba na ziemię wzrok przeniósł i daleko na drogę i Piłkalnis spoglądał.

— Już nie przyjdą! — szepnął.

— Chodzić możesz? — spytał go Wawer.

— Pełzam, jak robak. Niedaleka moja droga! Do kościoła i mogił.

— To cię tu zawsze zastać można? Przyjdę na gawędkę.

— Przyjdź, bracie! Opowiesz mi o szczęściu, jak w zimowy wieczór babki dzieciom o zaklętych skarbach bają.

Atletyczny mężczyzna pochylił się do niego i uścisnął serdecznie, do głębi wzruszony i smutny. Potem odszedł, a kaleka od księżyca ku jaśniejącemu na wschodzie niebu twarz obrócił i złamanym, rozbitym głosem zcicha pieśń nabożną zaśpiewał, pieśń tak starą, jak chrzest Żmudzi. Słyszał ją oddalający się przybysz.

Jak sen, piękne i fantastyczne były o tej porze jego ojczyste pola, a on nagle spoważniał i, łowiąc uchem dźwięki, doznał znowu widzenia ze swej nędznej przeszłości i widział się dzieckiem wśród obcych, gdy w norze swej na okręcie, by tęsknotę przemóc, sam sobie tę pieśń śpiewał, cichutko, by go nie wyśmiano!...

IV.

U Butkisa, w oberży zapowiadał się świetny wieczór. Popołudniu zeszli się gospodarze starsi, ten i ów z żoną, i gromadkami zaczęli się zbierać młodzi i dziewczęta. Zjawił się nawet Krystof ponury i dziki z siostrą Rozalką, którą wnet obstąpiły kobiety, jako że tkaczka była na całą wieś sławna i każdy u niej robotę jaką miał lub chciał oddać. Przyszedł Szwedas młody z Wawrową siostrą, swą żoną, i ze swoją siostrą, Magdalenką, sławną z pustoty i zalotności. Przyszli od Szlugurisów wszyscy i od Didelisów i Brodacz, Rafała syn, i Gedrajtys muzykant i krawiec Józef z siostrami. Starzy w izbie obsiedli stoły i, częstując się wzajem, Jana Didelisa rozpytywali o syna. Butkis czapkował mu teraz, kobiety oglądały jedwabne chustki Maryjki i Anny i z podziwu niemiały. Na przyzbie Piotr i Andrzej opowiadali o bracie cuda gromadzie sąsiadów, a dziewczęta, obsiadłszy bujną trawę, raz wraz ku wsi zerkały. Gedrajtys skrzypce stroił, a wyrostek z bębenkiem w instrument swój uderzył. Nikt jednak tańca nie zaczynał.

Nie było bo Szlugurisa, a bez niego nie było zabawy; Szluguris z Wawrem u Rufina bawił. Czekano ich obu niecierpliwie. Stary Jan na drogę oknem wyzierał, aż wreszcie na Andrzeja skinął i kazał po brata iść.

W kącie szynkowni, między starymi, Krystof Jodas siedział, do nikogo się nie odzywając. Małemi

łykami swój *alus* (piwo) popijał i, rękami głowę podparłszy, ukośnie w okno na dziewczęta spoglądał. Widział swą Rozalkę, jak on, czarną i, jak on, ponurą. Miała wielkie warkocze, w koronę na głowie upięte, a na sobie samodział wzorzysty i gorsecik. Ręce na piersi skrzyżowała i słuchała obojętnie żywej opowieści Maryjki. I widział też Krystof na płocie siedzącą dziewczynę, jak topola, smukłą, jasnowłosą, niebiesko-oką, z rozpuszczonemi warkoczami, co jej kolan sięgały, najpiękniej ubraną, najprzystojniejszą, najweselszą. Śmiała się do chłopców, co ją rojem otoczyli, ją, bogatego Szwedasa córkę jedyną. Jodas patrzał, aż od zbytniego natężenia mrużyły się jego oczy, od węgli czarniejsze, błyskające z jam głębokich, pod zaciętem, niskiem czołem. Tymczasem na dróżce od kościoła ukazali się oczekiwani.

Wawer szedł przodem, za nim Szluguris i Andrzej.

Gedrajtys w skrzypce uderzył smyczkiem, dziewczęta się porwały i skupiły, jak owce, w gromadę. Młodzi podskoczyli na powitanie, przez okna starzy wytykali głowy, a mężatki zachwycały się głośno. Tylko Rozalka została na miejscu i Magdalenka, nie opuszczając płotu, zawołała:

— Drugi Brodacz do nas idzie. Będzie czem u Didelisów komin wytrzeć!

— Czemuż u was ten Niemiec ze dworu, co do ciebie się zaleca, nie wyciera sadzy, a twoją twarz! — zaśmiał się Józef Brodacz złośliwie.

— Gedrajtys, rznij! — huknął już zdala Szluguris.

Ozwały się skrzypki, zawarczał bębenek. Starzy poczęli przytupywać, a staruszki w dłonie klaskać.

— Suktinis! — zakomenderował Szluguris wśród śmiechów.

Stary to był taniec i zarzucony. Dziewczęta zapraszane wzdragały się, tłómacząc, że nie umieją, więc Jodas do sieni wbiegł i wyprowadził wśród ogólnej uciechy starą babkę Gedrajtysa i z nią bal rozpoczął. Rzucili się chłopcy za tym przykładem po staruszki inne, i wnet taniec żwawo się rozpoczął, parami, rodzaj polki skakanej, od której tempa osuwały się babkom czepce, podlatywały siwe włosy.

— Czyra, czyra, czyra! - - przyśpiewywano w takt..

Wawer tłum rozbawiony minął, do izby szynkowej wszedł, przywitał gospodarzy, Krystofowi dłoń uścisnął i Butkisowi kazał beczkę piwa odrazu wytoczyć, żeby wszyscy pili za jego zdrowie i pieniądze.

Powstał gwar i radość wielka. Zaczęto go ściskać i winszować, posadzono między najprzedniejszymi, a podczas gdy złoty trunek, jak woda, się toczył, on opowiadał różne awantury, opisywał cudze kraje. I tanecznikom kazał *alus* lać i muzyce i staruszkom zhasanym, a sam, rozparty, z cygarem w zębach, protekcjonalnie do wszystkich się uśmiechał.

Szluguris hulał, dokazywał, wymyślał śmieszne piosnki, już ze dwadzieścia par hasało na murawie, już się rozruszał nawet krawiec Żurgis, znany z powolności, a ni Krystof, ni Wawer nie poruszyli się z miejsca. Krystof nawet pozycji nie zmienił, wciąż ukosem na płot spoglądając, gdzie już dawno nie było Magdalenki. Szluguris ją dawno porwał, widocznie wyróżniał, a ona rada przodować z zuchem, śmiała się białemi zębami do jego rozognionych swawolą i tańcem oczu, ocierała prawie swój policzek o jego twarz zziajaną, spoconą, tryskającą zdrowiem i życiem. Czasem ich Krystof widział, ale się nie ruszał, ani wyrazu twarzy nie skrzywił.

Nagle Wawer ku niemu się przechylił.

— Czyja to dziewojka, ta ciemna, drobna! Ot, tańczy ze Szwedasem.

— Moja! — odparł lakonicznie.

— Jakto twoja? Narzeczona?

— Rozalka, Andrzejowej waszej i moja siostra.

— Ładna dziewczyna, a zgrabna, jak toczona! Jak lalka tańczy! A ta, co ją Szluguris tak do siebie przyciska?

— Szwedasów jedynaczka! — burknął Krystof.

— Bestja djabelnie zalotna! Szelmostwo jej z oczu patrzy. — A Szwedasa, jej ojca, niema?

— Jego nigdy niema! — odparł Jodas ze złośliwym, złym uśmiechem.

— A gdzież on bywa?

— O toby trzeba Rufina spytać, albo proboszcza...

— Czemu?

— Albo ja wiem? Między nimi jakieś konszachty są sekretne. Szwedas stary parę koni ma i niby to z furmanką się panom i Żydom najmuje. Czasem się zjawia w nocy, z Rufinem coś poszepczą, do proboszcza chyłkiem pójdzie i o świcie znowu przepadł.

— Ot, wielka sztuka wyśledzić!

— Niewielka, ale ja nie chcę! — rzekł Krystof ponuro. — Do czasu... — dodał po namyśle.

Do izby rozbawiony, schrypnięty wpadł Szluguris. Spojrzał na nich i Jodasa za czuprynę chwycił.

— Ty, czarny *meszka* (niedźwiedziu), coś z gospodarzami zasiadł, jakbyś wójtem był, dalej do tańca! I na ciebie, Wawer, dziewczęta czekają: Chodź hulać!

Krystof coś zamruczał, łyskając złowieszczo oczami. Kapitan ramiona wzniósł.

— Ja tu odwykł na trawie, jak cielę, hasać i waszych tańców zapomniał.

— Uhu, a Gedrajtys nie umie polki i kadryla! Chodź, pokaż się!

Pociągnął go za ramię do sieni. Tam Maryjka, rozbawiona i śmiejąca, zaczepiła go pierwsza:

Szwagierku, szwagierku, do tańca mnie proś,
A ja ci pokażę na księżycu coś!

Roześmiał się, hożą bratową wpół objął i ani się spostrzegł, jak hasał z drugimi po zdeptanej murawie w takt niesfornych skrzypek Gedrajtysa.

— A co ty mi na księżycu pokażesz? — pytał, obracając ją, jak frygę.

— A cóż? Dziewczynę! Nie wieszże ty, że tam taka śliczna siedzi zaklęta?

— Za bardzo wysoko!

— To w Piłkalnisie pod ziemią, w pałacu druga siedzi i czeka.

— Za bardzo nisko!

— Takiś wybredny! Jest i trzecia, ot, Magdalenka!

— Za bardzo jej ze Szlugurisem dobrze.

Kobieta się śmiała, śmiała. Malinowy jej czepeczek nieco się przechylił, i widać było krucze włosy. Podobna była ze śmiałości do rodzeństwa, ale żywa, wesoła i, jak iskra, prędka. U Didelisów wiodła rej w chacie.

— Uf, już nie mogę! — zawołała wreszcie, wysuwając mu się z rąk i zmykając do sieni, gdzie jej mały Wawrzyniec darł się w niebogłosy.

Wawer do dziewcząt przystąpił, skłonił się przed Rozalką. Nikt ich nie zapoznawał, ale to nie przeszkadzało zatańczyć. Dziewczyna pomimo tańca zawsze blada i poważna, skinęła głową i podała mu rękę. Istotnie toczoną miała kibić, a głowę niosła dumnie,

jak królowa. Wręcz przeciwnie od Magdalenki, miała we wsi opinję niesłychanie skromnej i nieprzystępnej.

— Składnie tańcujesz! — pochwalił ją Wawer, mimowoli na wzór Szlugurisa blisko do siebie tuląc. — Znać, żeś w mieście była.

— Nie tańcowałam w mieście, ale służyłam! — odparła.

— Oho, albo to prawda! Albo to w Rydze, albo Kownie na tancsalach nie bywałaś? Nie może być!

— A może być, bo i nazwy nie znam.

— Osobliwość. A takaś ładna. Pewnie się twój pan w tobie kochał...

Dziewczyna szarpnęła się mocno, wyrwała mu się i, rzuciwszy go w środku tańczących, wróciła na swe poprzednie miejsce, pod płotem. Zgłupiał narazie, popatrzał za nią, potem splunął, krawcównę zaprosił i dalej tańczył. Ta była łaskawsza. Na żarty jego śmiała się wesoło, na spojrzenia wyzywające rumieniła i spuszczała oczy. Ale on zły był, choć miną nadrabiał. Potem Magdalenkę wziął i już dokazywać zaczął, prawiąc jej zuchwałe żarty, z ziemi podnosił, kręcił szalenie, hulał, jak w portowych norach. Młodzi patrzeli i naśladowali potrosze, dziewczęta broniły się i piszczały, starzy się śmiali, niby nawołując do porządku, tylko stary Jan złowieszczo na syna spoglądał.

Wtem Gedrajtys, zmęczony, smyczek opuścił. Stanęli wszyscy, ale rozbawieni, spocząć nie chcieli. Szluguris w dłonie zaklaskał. Chłopcy poskoczyli do niego. Stanęli wkoło Jonasa, a on odchrząknął, rękę prawą do góry wzniósł, opuścił ją i huknął z całych płuc pieśń weselną. Młodzież zawtórowała chórem zgodnym, potężnym, który, aż hen, hen, do borów szedł i do gór. Wawer tymczasem na Butkisa skinął, pieniądze mu w dłoń rzucił.

— Drugą beczkę piwa i słodkiej wódki dla dziewcząt! — zakomenderował.

Zaczął się obfity traktament. Pito i śmiano się. Gwar rósł, a że gorąco było w izbie, więc wyniesiono ławy i stoły na powietrze, i starzy, podochoceni, zapomnieli nieprzystojnej swawoli. Tylko Jan stary nie pił i nie bawił się, a Krystof, z miejsca wyparty, przy węgle na przyzbie usiadł, fajkę zapalił i spluwał pod nogi. Rozalka zbliżyła się do niego:

— Pójdźmy do chaty, Krystof! — szepnęła.

— Czego? — szyderczo odparł. — Masz może dziesięć krów do dojenia, a ja źrebce do karmienia? A prawda, jest dobytek! Twoje kocisko białe! Jest czeladź, jaskółki nad drzewami! Idź, karm i dopatruj!

— Tobie jeszcze nocą na robotę iść trzeba.

— Nie zapomnę! A choćbym zapomniał, głodny brzuch przypomni!

Dziewczyna zasępiła się jeszcze mocniej i wróciła do rówieśnic. A wtem Gedrajtys zaczął skrzypce stroić, i Szluguris krzyknął:

— *Wanagielis* (jastrząbek).

Wyniesiono stołek na środek placu i posadzono na nim Magdalenkę. Mężczyźni wzięli się za ręce wokoło niej i posuwali w takt muzyki, a Szluguris zaśpiewał:

Tupi, tupi wanagielis kwieczos
(Siedzi, siedzi jastrząbek w pszenicy).

— Kwieczos! — powtórzył chór.

Obeszli razy parę i znów Jonas się ozwał:

— O kas tawi wanagielis buczos?
(A któż ciebie, jastrząbku, pocałuje?

— Buczos! — powtórzył chór.

Rozległy się szepty i śmiechy.

— Jonele buczos! (Janek pocałuje) — zaśpiewał Wawer.

Szluguris z wielkiej radości koziołka wywrócił, dziewczynę porwał i, ognistego całusa na policzku jej złożywszy, przetańczył i na ławie ją posadził. Teraz on na stołku usiadł i od dziewczyny uwolnienia czekał. Ale dziewczęta złośliwe były. Wybrały ospowatą jego sąsiadkę od Brodaczów. I tak pokolei zmieniał się jastrząbek. Śmiano się, dowcipkowano, dziewczęta broniły się od całusów, starzy bawili się, z boku patrząc. Wreszcie i Wawer znalazł się w kole i na swój los czekał. A Szluguris swawolny na cały głos zaśpiewał:

— Mergiele Rozele buczos, buczos!
(Panna Rózia pocałuje).

Rozalkę towarzyszki do koła wepchnęły, chłopcy klaskali w dłonie. Wawer się porwał, dziewczynę wpół ogarnął ramieniem, pocałować chciał, ale odwróciła się, że tylko ramienia ustami dotknął.

— Coś tak nierada całować? — śmiał się, tańcząc.

— Bom niezwykła z obcymi się zadawać, co mnie głupstwem częstują.

— O, albom to głupstwo powiedział?

— Głupstwo i obrazę!

— Takaś harda!

— A taka! Więc mnie nie zaczepiajcie!

— Czemu? Albom to hardych nie miał?

— Mnie ta mieć nie będziecie, więc zasię!

— Ani myślę! Właśniem was spodobał.

Przestał jej mówić ty, ale patrzał wyzywająco i zuchwale. Drażniła go ta chłopka. Posadził ją na ławie obok Maryjki, kazał podać piwa i częstował kobiety, przysiadłszy się do nich. Dziewczyna pić nie chciała, odwrócona od niego, przyglądała się tańcom.

— Nieoswojona twoja siostra! — zaśmiał się do bratowej.

— Ktoby się z Krystofem oswoił? Patrząc ciągle na niego, to i ona taka się stała.

— Tęskno jej snać za miastem?

— A pewnie. Tam kawalerów miała i dostatek, a tutaj biedę, a do biednej nikt się zalecać nie kwapi.

— Miała kawalerów?

— Ojoj, ilu! Jeden to aż tutaj z Kowna przyjeżdżał. Jak on się zwał, Rozalko?

— Co mam go pamiętać? — odparła niechętnie.

Maryjka poufnie przechyliła się do szwagra.

— Zapamiętała ona! — szepnęła. — Przed laty z Rufinem sobie ślubowali. Mieli się pobrać. Jak on taki wrócił, łzami się zalewała i dotąd się nie pocieszyła.

— To dopiero pamiętna!

— A tak! Jak sobie co w głowę włoży, to i klinem nie wybić. Oni tacy oboje z Krystofem! Wiesz, kogo sobie ten upatrzył? Ot, tę latawicę Magdalenkę.

— A cóż! Ładna dziewka!

— Wielka historja! Ale co ona umie? Ni prząść, ni tkać, na robotę w pole nie chodzi. Bąki zbija i do chłopców zęby szczerzy i oczy przewraca. Chwała Bogu, że mu jej Szwedas nie da, bo na Szlugurisa rachuje. Bogaty i jedynak!

Rozgadała się wesoło kobiecina. Po kwadransie wtajemniczony był Wawer w plotki i sekreta całej wsi. A młodzież hasała tymczasem, Rozalkę wnet ktoś do tańca wziął, a starzy powoli się rozchodzili. Zmierzchało już, więc ten lub ów do chaty na wieczerzę się wymykał, kobiety do zajęć wieczornych. Najzawziętsi tańczyli jeszcze i pili. Wstał wreszcie i Wawer i rozbawioną gromadą się zmieszał.

Drogą pod oberżą przeciągało bydło z pastwisk, a pastuszki bose lub w drewnianych pantoflach przy-

stawali, gapiąc się i pokrzykując. Od dworu na hasło zabawy nadbiegli parobcy i folwarczne dziewki.

Ktoś zmienił Gedrajtysa i rznął jeszcze fałszywiej, o bębenek bili się wyrostki. Nawet na żadnem weselu nie pamiętano takiej uciechy. Ściemniało zupełnie, ale natomiast wysunął się księżyc i przyświecał darmo, przepysznie. W srebrnem jego oświetleniu wirowały rozgrzane twarze, rozplecione w ruchu warkocze, białe samodziały mężczyzn, wzorzyste kobiet, a tak było cicho w powietrzu, że aż we dworze słychać było tupanie, śmiechy, zabawne śpiewki Jonasa, krzyki dziewcząt na natarczywe chłopców zaczepki. Nikt nie pomyślał, że za godzin kilka już świt do ciężkiej pracy na skwarze całodziennym zawoła. Dopiero około północy dziewczęta rozchodzić się zaczęły, nawołując się i jedna drugą napędzając.

Chłopaki runęli za niemi bandą całą. Każdy miał kogoś przeprowadzić, pożegnać u furtki zagrody. Ruszyli więc wszyscy, rozbici na gromadki, pary. Tylko Krystof szedł sam na końcu. Szluguris zwołał swą śpiewaczą komendę i na rozstanie, już rozsypani po drodze, zaśpiewali ostatni chór kuszący:

Pójdź do mnie, dziewczyno,
Pójdź ze mną, malino,
Na słówka samotne,
Na dumki ochotne,
Gdzie krynica najcichsza,
Gdzie miłość najżywsza!...

A potem gromadki te po ścieżkach zaczęły się rozdzielać i maleć. Skrywały je płoty, krzaki, tarniny, lipy, otulające pojedyńcze zagrody, wiszniowe gąszcze. Przez jakiś czas słychać jeszcze było stłumione szepty, szmery, skrzyp furtek i drzwi, ujadanie pokurczów, złych jak szatany. Potem, jakby nic nie było, wielka

cisza zaległa; tylko psy do księżyca wznosząc pyski, wyły rozdrażnione.

Wawer nad ranem ledwie wrócił do chaty. Już w kuchni ruch się budził, bo bratowe warzyły śniadanie dla robotników, a stary Jan nad ogniem rozgrzewał i giął świeżą dębinę. Maryjka na widok szwagra ręce załamała.

— Dopiero teraz wracasz! — krzyknęła. — Kiedyż ty się wyśpisz?

— Albo to dnia mało? — odparł ziewając.

— Jakże ty przy słonku spać zdołasz! — dziwiła się ona, która w swem pracowitem życiu ni jednego świtu nie zaspała.

— Na świecie różnie bywa! — rzekł niedbale. — Chłop pod miarą śpi i robi, ale u nas czasem bywa i ze cztery niedospanych nocy. Wiadomo, na szerokim świecie! Zdarzało się na morzu z burzą ze trzy doby się borykać, a potem, do portu się dobiwszy, nikt o spoczynku nie pomyślał. Szło się hulać na zabój, żeby sobie okrętowe nudy wynagrodzić. Ja ta nie zwykł, jak wół, regularnie pracować i odpoczywać! Na starość wyśpię się dosyta, a jak się ożenię, domu będę pilnował. Niewiele mi zostało swobody już.

— Doprawdy? Żenić się myślisz? — ciekawie badała Maryjka, a bardziej nieśmiała Piotrowa tylko oczy w szwagra wlepiła i czekała odpowiedzi.

— Za miesiąc! — odparł Wawer, brodę gładząc.

— Aa... Z kimże?

— Ot, ojca się spytaj! — odparł wyzywająco i dumnie.

Włożył ręce w kieszenie i, gwiżdżąc przez zęby, do komnaty wszedł. Jan Didelis jakby nie słyszał. Dębinę przypiekał, giął, zaciskał, by w pewnej formie

zaschła. Na zapytania kobiet chmurne czoło wzniósł i, odrzucając zeń siwe kosmyki włosów, odparł krótko:

— Na weselu tem ni was nie będzie, ni mnie.

Potem robotę swą na ramiona wziął i na podwórze z nią wyszedł, jakby od ciekawości kobiecej uwolnić się chciał co najprędzej. Nie widać po nim było ni dumy z syna, ni radości z jego powrotu. Twarz jego obsiadła powaga smutna zamyślenia, czasem błyski tajnego rozdrażnienia. Jeszcze mniej się odzywał, niż zwykle.

V.

Proboszcz karewiski ukończył właśnie codzienną cichą mszę, na której z powodu roboczego czasu mało była nabożnych, i zdejmował w zakrystji swe mszalne szaty, gdy w progu stanął Jan Didelis.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił zcicha.

— Na wieki! A co tam, gospodarzu?

— Ja trochę za interesem i za radą do księdza plebana.

— A dobrze, dobrze. Chodźmy tedy na probostwo! Ale i nowinę mi doniesiecie wesołą. Słyszę, wasz syn wrócił z zagranicy?

Stary oczy wbił w ziemię i westchnął, idąc za księdzem drożyną na plebanję.

— Nie wrócił mi syn, ale przyjechał! — odparł.

— Czy to nie jedno? — uśmiechnął się ksiądz.

— A nie, bo kto wraca, to na zawsze, a kto przyjeżdża, to w odwiedziny.

— Nie zostanie wasz syn?

— Nie... Dlatego ja po radę i ratunek przyszedł, bo moja głowa stara i ciężka. Znosiła ona różne troski i Boże dopusty, ale ten ostatni snać najcięższy, bo go sam nie zniosę, ani rady znajdę na taką wielką biedę! Niema już we mnie mocy...

Ksiądz się zaniepokoił. Znał swych parafjan i wiele skarg słyszał, ale Jana nigdy. Nielada była

troska, co rozwiązała usta zaciętego chłopa. W milczeniu już weszli do plebanji. Sami się znaleźli w bielonej, ubogiej izdebce, pełnej kwiatów i ogrodniczych narzędzi. Ksiądz usiadł i kołodzieja obok siebie posadził.

— Gadajże teraz, Janie, wszystko z serca!.... Jak na spowiedzi, wysłucham i, jeśli mogę, poradzę...

Stary chłopskim obyczajem zaczął rzecz zdaleka:

— Dwanaścioro dzieci Bóg mi dał. Nie narzekał ja na nich, chował, doglądał i, jak mógł, karmił. Pięcioro ich z domu poszło przez biedę wielką, bo, choć pracowałem, ile mocy, chleba brakło. Bóg widzi... nie mogłem dać rady! Czworo ziemia wzięła, piątego cudzy świat, i teraz sam nie wiem, po kim gorzej płakać, po tych zmarłych, czy po tym, co onegdajszej soboty przyszedł z obczyzny. Nie trzeba go było wyprawiać, ale czy mi we śnie postało, że go takim zobaczę? Wyrostek był sprawny, posłuszny, a do wszelkiej roboty nad podziw dowcipny. Każdy go chwalił, i ksiądz, i sąsiad, i pan we dworze, a ja słabość miałem do niego. I w tem był grzech! Jak się jął napierać iść w świat, nie sprzeciwiałem się zbytnio. Żal było puszczać i żal też trzymać na marne w ciasnej chacie. Zdałem go tedy na wolę Bożą i wyprowadziłem do flisaków. I poszedł biedaczysko, trochę płacząc po chacie, ale śmiało i ufnie, i jako kamyk, w wodę rzucony, przepadł nam z oczu, a ludziom z pamięci. Nie było wieści, nie było. Mówili swoi: nie wróci, snać zmarniał; nie pacholęciu takiemu rozbijać się między Niemce. A mnie od tych gawęd duch ustawał, bo i racja była. Co na świecie wielkim taki chłopczyna? — mucha! Tylko nieboszczka moja do ostatniej godziny wspominała go i modliła się gorąco i ofiarę zrobiła, a przed konaniem jeszcze powtarzała mi z pewnością: „Zobaczę ja niebawem tych

czworo u niebieskiego progu, ale Wawra nie zobaczę, bo on żyw i przyjdzie do ciebie, Janie! A jak przyjdzie, to go dobrze ugośćcie i pozdrówcie ode mnie, ale go nie puszczajcie od siebie raz drugi!“ Taką jej Bóg przed śmiercią jasność udzielił, że prawdę przepowiedziała. Przyjechał, proszę księdza proboszcza, już nieblady, niechudy, nieobdarty. Pańskie, czarne szatki są na nim i złote pierścienie, a sam, jak dąb, rozrosły, piękny, zdrów, żem z początku odpatrzeć się nie mógł i nacieszyć. Ale krótka była uciecha! Zaraz mnie żal zdjął, jak naszą mowę kaleczył, jak on pieśni i obyczajów zapomniał, jak na matczyną mogiłę pójść nie pomyślał, tylko wciąż o swej chwale i cudzym świecie rozpowiadał. I tak moja radość przeszła w troskę, we wstyd, w udręczenie. Oto pięć dni minęło, złych dni! Ni jednej on nocy w domu nie przespał, ni razu z braćmi na zagon nie poszedł, ni jednej mszy przystojnie nie wysłuchał. Wieczorem pijatykę i tańce u Butkisa sprawia, chłopców nieobyczajności zamorskiej ucząc, dziewczętom brzydkie żarty prawi, ze starych się natrząsa. Na pracę naszą patrzy jakby z drwinami i wieś buntuje Ameryką, a wszystko mu niedobre, niesmaczne, nudne. Całe dnie w chacie przesypia, a zresztą wałęsa się z kąta w kąt, cygara z zębów, a rąk z kieszeni nie wyjmując! Ale to nie najgorsza jeszcze troska. Zaraz pierwszego dnia rankiem słyszę, a on dziecku Andrzeja szwabską piosnkę śpiewa. Więc zaraz mnie to obeszło, i powiadam: przestań! Posłuchał, ale bokiem na mnie zerknął i brzydko się uśmiechnął, a mnie aż zadławiło w gardle. Wziąłem go z sobą do kościoła i, przemógłszy się, po dobroci mówię: „Cóż ty teraz myślisz robić, synku? Czy do roli, czy do rzemiosła się weźmiesz, a może służby w pobliżu poszukasz?“

A on, jak na warjata, patrzy i mówi: „Ja ojcze, i służbę mam, i rzemiosło! Mnie już nic nie potrzeba. Za urlopem — na tydzień uwolnił mnie pan Matschke, a potem wracać muszę!“ Więc ja do niego: „Jakże to, Wawer, toć to dom twój, ojcowizna i ziemia! Część zagona masz, i należy ci tutaj zostać i pracować. Dość cudzego chleba i kątów!“ A on ramionami wzniósł i powiada: „Zagon ja braciom odstępuję - niech się na nim mordują, kiedy im to miło. Ja zostać nie chcę i chłopem już być nie potrafię.“ Księże dobrodzieju, dopierom zrozumiał, że to nie mój chłopak wrócił, ale szwab plugawy w nim siedzi, aż mi się serce od niego odwróciło, i, nie patrząc, pytam przez zęby: „To pocoś przyjeżdżał? Było nie mamić darmo!“ A takie to chłopczysko znarowione, że już nawet mego bólu nie pojął w tem słowie i ze śmiechem odpowiada: „Z próżnemi rękami ja nie szedł. Przyniosłem wam dostatek i odpoczynek na starość. Ino bierzcie!“ I wyjmuje z zanadrza gruby zbitek, bez liku pieniędzy, i tka mi wszystko w ręce. Alem rozżalony był strasznie, więc otrząsłem się, nie tknąłem i mówię: „Mnie pieniędzy nie trzeba, ale syna! Ty za to gruntu kup, albo wydzierżaw, budowle postaw i osiądź. Wtedy przy tobie do śmierci posiedzę w spokoju. A Niemce sobie z głowy wybij, bo to grzech! Zostań, synku!“

Tu się chłopu głos złamał, jakby przez łzy szedł.

— Takem go prosił, księże dobrodzieju, a on tylko się zaśmiał, i powiada: „Bo to ojciec całej prawdy nie wie. Zostać się nie mogę, bo tam w Szczecinie narzeczona mnie czeka, za parę miesięcy wesele! A myśli ojciec, że z chłopką jaką? Oho! Z jedynaczką mego pana — z panną Gretą Matschke! Tegom się uczciwą pracą dosłużył!...“

— O Jezu!... Jakem to usłyszał, tom skamieniał i ze wstydu i z żalu i z desperacji i ze złości...

— Z Niemkinią? — pytam, a cały się trzęsę.

— A jużci! — odpowiada spokojnie.

— Z luterką?

— A jużci. Ale tam u nas na religję nikt nie patrzy. Jednaka rzecz, gdzie i jak się pomodlisz, byleś złego nie czynił.

— U nas — to znaczy: między Niemce; rozumie ksiądz dobrodziej?... Tak już mówi mój rodzony, mój Wawer, w świętej wierze chowany, w chacie mojej wyrosły. O Jezu, o Jezu! To tego się uczą na wielkim świecie, to taki on przyniósł zarobek!

Chłop wstał, podrażniony, zbolały, pełen dzikiej wściekłości, i płynęły mu słowa, jak potok. Czapkę rzucił pod nogi i oburącz wichrzył włosy, gorzej przez te dni osiwiałe.

— To po to ja go chował i pieścił, po to się za nim modlił przez te lata?... Przysłali wreszcie Niemce mego syna na pokaz, że z niego duszę uczciwą wyjęli, a włożyli szachrajstwo albo i zgoła nic, bo czyż on ma duszę — gorzej bydlaka, co ryczy do swej obórki, od psa, co o dziesięć mil trafi na swe podwórze. Co on jest taki człowiek? Pieniądze mi daje, zbój, żebym swą duszę zaprzedał, chwali się, że Niemkinię uwiódł, z tego mu wielki honor i duma, a o błogosławieństwo prosi — mnie, swego ojca, gospodarza z Karewiszek. On zapomniał, co to znaczy Karewis, ja jemu teraz przypomnę!

Tu ręka księdza spoczęła na ramieniu chłopa i poważny głos mu przerwał:

— Janie Karewis, jeśliście rzekli to wszystko w gniewie synowi swemu, jak mnie mówicie, to straciliście na zawsze dziecko.

Kolodziej oprzytomniał, spuścił rozognione źrenice i chciał coś odpowiedzieć, ale ksiądz dalej mówił:

— Nie znam ja syna waszego, ale z tego, że się dosłużył tyla, miarkuję, że rozumny i tęgi, a z tego, że przyszedł po dwunastu latach do chaty, miarkuję, że dobry i serdeczny i, choć znarowiony i zmieniony, zdrowe ziarno w głębi zachował. Jakoż wy możecie rozumnego i dobrego, jak bydlę, fukać? Nie jego wina, że się odmienił, będąc sam, sierota, wśród obcych. Bo uważajcie: snać mu ten Niemiec serce i wiarę okazał, przygarnął i sierotę za duszę dobrocią wziął. A wy, ojciec, gorzej od tego Niemca dlań byliście, i nie dziw, gdy was opuści teraz! Zapomnieliście, że i on Karewis: zatnie się i już całkiem obcy dla was się stanie i, traktowany jak dziecko albo bydlę, oburzy się i naprzekór upierać się będzie przy swojem! Nie macie mocy go zatrzymać, tylko tę jedną, i tę straciliście! Złość źle radzi, Janie, i źle czyni!

Chłop milczał, bardzo zawstydzony.

— Teraz on całkiem nie wasz, ale Niemce mu swoi, bo dobrzy! Nieprawdaż, woli swej nie zmienił?

— Nie. Pojutrze już odjeżdżać chce! — rzekł stary zgnębionym głosem. — Już się do mnie nie odzywa z serca i chaty nie pilnuje. Raz mi tylko wspomniał, żebym mu u księdza świadectwo na ślub wziął, a gdym odmówił, głowę odrzucił i odszedł. Może sam przyjdzie po to! Nijak go zatrzymać nie sposób, bo i gmina władzy nie ma. Za szwabskim paszportem, niecnota, przyjechał. Do drogi się zbiera i o Niemkini swojej rozpowiada mnie na złość, a tymczasem dziewczęta bałamuci! Więc ja do księdza proboszcza po ratunek przyszedł, a no widzę, że żadnego niema! Tak on naprawdę z duszą zatracony!

— Nie mówcie tak, Janie, ino się postarajcie złość naprawić. Idźcie do niego i dobrem słowem proście, żeby został jeszcze trochę, jeszcze trochę. A tymczasem może Bóg sam radę znajdzie, opamiętanie mu ześle. A pamiętajcie, że w waszej mocy leży, by on tamtą cudzą rodzinę zapomniał, a swoją w sercu odnalazł.

Chłop oczy w księdza wlepił i słuchał, jak ewangelji, a ten go cierpliwie nauczał, tłómaczył, perswadował.

Gdy z plebanji kołodziej wychodził, inny był, wyprostowany, śmiały, z nadzieją w oczach. Zstępował ku wsi i rozglądał się z miłością po zagrodach i polach, jakby tej ziemi mówił, jakim sposobem jeden z jej synów mógł chcieć ją porzucić... A tuż i winowajca mu się na oczy nawinął; siedział na ławce pod chatą Rufina i rozmawiał z rzeźbiarzem, który w izdebce rznął figurkę świętego do kapliczki. Stary do syna się uśmiechnął, kalekę przyjaźnie pozdrowił i obok Wawra spoczął.

— I ja do ciebie, Rufinie, za obstalunkiem przyszedł! — zagaił rozmowę. — Ot, chłopak mi, jak z grobu, wrócił, należy się za to Bogu ofiara. Umyśliłem kapliczkę przy krynicy postawić. Zróbcie ozdobną, a w niej świętego Jana, ziemi naszej patrona, i świętego Wawrzyńca postawcie. Dobrze?

— A jakże! Zrobię jak najpiękniej. Na święty Jan gotowa będzie — odparł Rufin uradowany.

— A już ja zapłacę! — wtrącił Wawer. — Bo i ode mnie Bogu się wiele należy.

— Uczciwie rzekłeś, chłopcze. Kapliczkę przy krynicy postawimy, hen naprzeciw Piłkalnisu, na zawrocie. Kawał tam gruntu dworskiego leży osobno.

Ładna ziemia, ino dworowi nieprzyległa, i Niemce ją targują.

— To niech sobie ją ojciec kupi! — zawołał Wawer. — A ile tam tego?

— Ornego gruntu pół włóki i łąki szmat duży nad Kirszniawą. Cobym ja za pan był, żebym tyle ziemi miał, ale mnie się patrzy inna, ot za kościołem, na szczerym piasku cztery łokcie! Już mnie nie zaczynać żyć, ale kończyć!

— Ot, baje ojciec! Jak się zawezmę, do dziedzica skoczę i Niemców uprzedzę! Znaczy to mi co, taki drobiazg? A jak kupię i ojcu dam, trza wziąć będzie!

Śmiał się — i stary się umiechnął.

— Oj, synku!... — rzekł, serdecznie nań spoglądając. — Nie mów ty takich słów na żart! Głodnemu we śnie chleba nie pokazuj, bo, jak się zbudzi, jeszcze mu głodniej będzie!

Wawer i tonem i spojrzeniem dotknięty był mile. Serce mu zabiło i bez namysłu w zastawioną sieć szedł.

— Ojciec myśli, że żartuję? Ot, zobaczycie! Żeście mi tego wcześniej nie wspomnieli! Zostawię wam dobrą pamięć po sobie, choć się zżymacie. Idźcie, miejsce na kapliczkę wybierzcie! Na waszej ziemi stać będzie!

Rozpromieniony był i pyszny, że tyle zdziałać może.

— Nie takim ja zły, jak myślisz, synku... — stary łagodnie prawił. — Dopiero od księdza idę i o papiery te prosiłem. Zamiera mi dusza z żalu za tobą, ano, cóż poradzić! Co sądzone, nie minie. Krwawemi łzami cię opłaczę, ale już nie zatrzymam! Pójdziesz i już cię moje oczy nie zobaczą!

— Przyjdę znowu! — rzekł Wawer, zupełnie pokonany.

— Ale już mnie nie zastaniesz... Umierać pora, do nieboszczki iść. Dosyćby mi było szczęścia, żebyś choć krzynę dłużej zabawił!

— To cóż robić?... Żeby ojcu dogodzić, zostanę jeszcze drugi tydzień.

— Mój synku poczciwy, dziękuję ci! — zawołał Jan, za głowę go obejmując.

— Żeby ojciec z początku tak rzekł, tobym się nie wybierał. Ja to ojcu rad dogodzić, ile mogę!

Pożegnali Rufina i razem poszli, rozmawiając serdecznie i szczerze.

— A gdzież ten szmat ziemi? — wesoło pytał młody. — Pokażcie mi ją tymczasem!

—To chodźmy, kiedyś ciekawy!

Minęli wieś i gościńcem naprzeciw Piłkalnisu dotarli. Stary na lewo zawrócił i ręką wskazał:

— Ot, ten ugór i ta łąka! Niemce kapustę będą sadzić!

— Jakie Niemce? A niedoczekanie ich! Albo to wy nie macie bogatego syna? Od Jodasów niedaleko będziecie. Rozalki krosna słychać aż tutaj!

— Dobra i rozumna dziewczyna. Wracajmy, chłopcze, do chaty na obiad!

Wawer stanął. Jeszcze raz po ziemi tej spojrzał, potem w zanadrze sięgnął.

— Wart ten szmat pięć tysięcy?

— Niemce podobno cztery dają.

— Niech dają, ale nic dadzą. Wracajcie sami, ojcze!

Uśmiechnął się tajemniczo i w lewo zupełnie skręcił. Kołodziej za nim patrzał chwilę, potem ręce złożył i począł pacierze szeptać. Skończywszy, widział

jeszcze, jak syn rzeczkę po kamieniach przeszedł i ku dworowi zmierzał.

— Kupi! — szepnął, i oczy mu zabłysły. — Byle Bóg dał i kupił, wtedy on do tej ziemi wrośnie, jak my wrośli. Oj, święty, święty ten szary proch, co go nogami depcemy!... Kto choć kroplę potu nań dał, to jakby ślub wziął! Daj mu, Boże, kupić!...

W krynicy wody się napił i, pełen nadziei, do chaty wrócił. Na robocie byli wszyscy, ale on do roboty wziąć się nie mógł, ani obiadu tknął. Niespokojny był i niecierpliwy, wyglądał Wawra.

Mijały godziny, a chłopak nie wracał. Stary raz wraz na drogę wyglądał, do figury podchodził, ręce mu się trzęsły, nogi drżały. Już i zachód był i zaludniła się chata, a Wawra wciąż nie było. Do wieczerzy bez niego siedli, bo zwykli byli, że do Butkisa z kolegami o tej porze chodził. Aż oto na ścieżce kroki się rozległy i gwizdanie. Stary Jan łyżkę odłożył i niespokojnie oczy na drzwi obrócił. Wawer stanął w nich i wzrok ich się spotkał. Maryjka zerwała się żywo, uprzątając dlań miejsce blisko miski, Piotrowa położyła tam chleb i łyżkę. Andrzej bratu stołka uprzątnął. A on, rozpromieniony i zajęty, do ojca przystąpił, na stole przed nim papier jakiś rozłożył.

— *Tewe* (Ojcze)! — zawołał. — Umiecie czytać po rusku?

Jan głową wstrząsnął, a papier drżącą ręką ujął.

— Petras, ty umiesz! — do młodszego brata Wawer się zwrócił. — Przeczytaj ojcu!

Usiadł sam i, rozparłszy się, patrzał dumnie po wszystkich. Piotr w grube palce papier wziął i, utykając często z niewprawy i podziwu, przesylabizował: „Niniejszem zaświadczam, że sprzedałem Janowi Karewis 20 morgów pola i 40 morgów łąki, stanowiących

uroczysko, zwane Bubie, nad Kirszniawą, na wieczystą i bezsporną własność, a całkowitą za nie należność w ilości rubli 5000 od syna jego, Wawrzyńca Karewis, w dniu dzisiejszym otrzymałem.

Podpisano: *Januszewski.*"

Przestali jeść wszyscy i, szyje wyciągnąwszy, słuchali, jak kazania. Oniemieli z podziwu i, to na Wawra, to na starego patrząc, czekali, czy to nie sen.

— Prawda, co ten papier mówi? — zagadnął pierwszy Andrzej.

— Co nie ma prawdą być! — zawołał Wawer ze śmiechem. — Ojcu się ziemi zachciało, to ją ma! Mnie tam pieniądze, jak plewa. Postawił pan cenę, a jam tylko torbę otworzył i tysiące mu odliczył. Tak się zdumiał, jak ot, wy teraz: dalej wypytywać, a skąd, a jak, a co za jeden, a czy Karewis skarb w Piłkalnisie wykopał?... A jak my gadali, śmiech! On po rusku, ja po niemiecku; on po polsku, ja znów po naszemu. Zrozumieliśmy się jednak. Winszował, chwalił, do jadalni prosił, ugościł, a potem ten mi skrypt wystawił i dobrze życzył! Cóż, ojcze, nie cieszycie się z mego prezentu?

Staremu ręce i broda się trzęsła. Papier, jak relikwję, wziął i zmienionym głosem się ozwał:

— Takem, synku, rad, jakbym kawał nieba dostał. A pięknaż to ziemia, piękna i rodzajna.... Daj ci, Boże, szczęście!

A i reszcie języki się rozwiązały. Poczęli wydziwiać, chwalić, mówić wszyscy jednocześnie. Nawet dzieci klaskały w ręce i śpiewały, nawet domowe zwierzęta, podniecone wrzawą, podniosły hałas. Aż ogłuszony Wawer za głowę się porwał.

Teraz ogarnęła ich żądza obejrzenia tego skarbu, kobiety chęć pochwalenia się sąsiadom. Rozbiegli się

z izby, rzuciwszy jadło, zapomniawszy wieczornych zatrudnień. Stary sam z synem pozostał.

— Ale to, Wawer, mało tego skryptu! — zauważył.

— A jakże. Pojutrze pan do Kowna jedzie i ojciec z nim! Tam kupno umocnią, uprawnią, uformalizują, w księgi zapiszą. Z tydzień czasu to zajmie.

— Ja nie pojadę! — kołodziej przestraszony zaprzeczył. — Ja prawa nie znam i, co mam robić, nie wiem. Gdzie tam mnie po tych urzędach chodzić, szukać! Oszuka mnie byle kto, krwawica twoja przepadnie. Ziemięś mi dał, Bóg ci zapłać, ale prawo ty na siebie rób. Mnie ta milej będzie na Wawrowem siedzieć niż na swojem, a jak nas odjedziesz, to choć twoje imię na papierze zostanie i w ludzkiej pamięci, a ja mówić będę: „Chłopaka to mego, a ja u niego gospodarzę. Zostawił mi te dostatki.“

— Można i tak, choć to mi czasu zmitręży sporo — odparł Wawer po namyśle. — Ale co ma ojciec kłopot mieć, będzie miał gotowe! Macie tutaj w chacie atramentu trochę i byle pióro?

— Skąd? A nam to naco? Jak do Florka list posyłam, to ksiądz mi pisze.

— To i ja do księdza skoczę. Trza mi do Szczecina napisać, że dłużej zabawię. Dobranoc, ojcze!

Coś sobie nucąc, zajęty i bynajmniej zwłoką nie rozgniewany, wybiegł na drogę. Przed nim w jasnym letnim zmierzchu zamajaczył kontur szybko idącej kobiety. Poznał Rozalkę Jodasównę po zgrabnym chodzie i odzieży schludnej i dogonił ją z łatwością.

— Dobry wieczór! — pozdrowił.

— Pochwalony Jezus! — poprawiła go, nie patrząc.

— Na wieki! — odparł, śmiejąc się. — Bardzoście nabożni.

— Jako zwyczaj, mówię.

— A dokądże idziecie?

— Do Rufina.

— Oho, do kawalera, wieczorem, sama jedna... Nie boicie się obmowy?

— A któż mnie obmówi? Chyba wy, bo inni mnie znają.

— I ja milczeć będę za buziaka.

— Możecie sobie gadać, ile się podoba. Ja dla was nie mam buziaków, a wam wypada swojej Niemkini wiary dochować!

— A któż wam o Niemkini mojej mówił?

— Ano sami po wsi trąbicie, jakby to Bóg wie co za wielki honor był!

— A bo i jest honor.

— Nieosobliwy. Jabym się wstydziła.

— Czego?

— Dla Niemkini Boga podeptać.

— Co wy, chłopy, wiecie? Śmiech słuchać.

— A nam zgroza! Dobrze powiadacie. My, chłopy, i Boga i wiarę i mowę i obyczaje szanujemy. A wy co?

— Gadacie jak z książki, a pewnie czytać nie umiecie?

— Tyle, co chłopu trzeba, umiem; ale wy to pewnie zapomnieliście i pacierza, do bambizy (pastor) z Niemkinią chodzić będziecie.

— Poco się zżymacie? Może się w Niemcu zakochacie i trzeba będzie do bambizy pójść.

— A nigdy! — oburzyła się. — Chłopski stan mi nie hańba, a cudzych bogów mi nie trzeba. Ażebym

miała dla bogactwa swego sakramentu się wyrzekać, tobym się za psa miała!

— Sierdzista z was kobieta!

— Wcale nie; ale mnie zaczepiacie, tom prawdę rzekła. Wam się zda, żeście bardzo rozumni, boście tysiące zebrali... a mnie się zda, żeście bardzo głupi!

Do oczu Wawra rzuciły się płomienie.

— Wam się chce głupstwo posłyszeć! — zawołał.

— Wy nic innego nie gadacie i nie robicie! — odparła śmiało, lekceważąco ramionami ruszając.

— Ej, ostrożnie! — ozwał się, rozdrażniony.

— Czego ostrożnie? Nie boję się was!... Możecie straszyć swoją Niemkinię! A do mnie wam co? Żadnej mocy nie macie nade mną. Dokuczacie mi nadaremnie.

Zostawiła go na drodze, bardzo rozgniewanego, i weszła do chatki Rufina. Zdaleka już ją widział nadchodzącą, bo przez okienko wyglądał. Powitał smutnym uśmiechem.

— Didelisów Wawer szedł z tobą! — rzekł. — Nie odjechał jeszcze?

— Bawi na moje utrapienie! — mruknęła niechętnie.

— Co on ci złego zrobił? — spytał niespokojnie.

Rozalka codziennie przychodziła do niego, kiedy czasu miała chwilę; warzyła mu posiłek, sprzątała izdebkę, prała, szyła i sprawiała mu odzież i bieliznę. I teraz nie spoczęła. Zapaliła ogień na kominie, zamiotła izbę, do kuferka włożyła przyniesiony węzełek czystej bielizny, krzątała się, jak u siebie, a kaleka wodził za nią smutnemi oczyma i gorzko się uśmiechał.

— Życie mi zatruł do reszty!... — odparła na jego zapytanie. — Krystofa zbuntował zupełnie. Od tygodnia na robotę nie idzie, w oberży z tym Niem-

cem pije, odgraża się na świat cały, a mnie co chwila wymyśla. Piekło w chacie! A do mnie, jak smoła, się przyczepił, przejść spokojnie nie da! Nasłanie Boże we wsi taki zaprzaniec!

— Szkoda go jednak. Żeby się został, dobrego siła mógłby zdziałać.

— Jakiego dobra?... Siedzicie wy, biedaku, w swej norze i mało co o sprawach wioskowych wiecie. Zdziała on, zdziała! Dziewczęta swawoli, a chłopców nieuszanowania nauczy. Tydzień zabawił, a naszych spokojnych Karewiszek nie poznać.

— Może być! Ale to szum taki, co na wiosnę po najczystszych się rzekach osadza. Wody przeto pod spodem zdrowe i chłodzące, a szum sam z siebie opadnie. Nie wiem, co po chatach się dzieje, ale wiem, co po naszej ziemi chodzi drżeniem. Dużo nas — miljon, ale szarej masy — niby trawy marnej. Coś się roi, coś wzbiera, coś się rusza, ale nam ludzi trzeba dużych, żeby tę trawę okryli swym cieniem! Wawerby się zdał. Głowę ma, rozum i wolę żelazną! Nie byle kto zdobędzie, co on zdobył, więc nie dziw, że się zdobyczą chełpi. Możebym i ja taki był, żebym swoje myślenie młode ziścił. Szczęśliwy — jak sokół wzlatuje!....

— Cóż on tam zdobył?... Duszy i ziemi pamięć zatracił. Niemkinię głupią sobie zjednał.

— Zdobył on wiarę i szacunek. Złemu i głupiemu kupiecby swych okrętów nie powierzał, córki nie oddawał. Wawra szkoda, wielka szkoda dla biednej ziemi naszej!

Dziewczyna umilkła. Postawiła przed nim wieczerzę, usiadła u stolika i przyglądała się ledwie rozpoczętej figurce świętego na warsztacie.

— Nie macie jakiego zlecenia dla mnie? — spytała zcicha.

— Mam! — odparł, przestając jeść i oglądając się niespokojnie. — Wczoraj z Zaweliszek przysłali pakiet spory gazet. Trzeba do Palandrów do dzierżawcy Kotisa dostawić. Wiesz?

— Wiem. Jużem nieraz chodziła!

— Nie idź sama teraz! Za często cię tam teraz widują! Krystofa poślij!

— Uchowaj, Boże!

— Czemu?

— Narażać go nie można. On żołnierz były.

— I to prawda. A wie on o czem?

— Nie. Jakeście przykazali, żywej duszy nie pisnęłam.

— Osobliwa z ciebie dziewczyna!

Popatrzał na nią smutnie i zamyślony słowa ludowej piosnki wyszeptał:

A ptaszek śpiewa:
Tutaj twa dziewa,
Czyściocha, tkaczka,
Prządka, śpiewaczka!

Rozalka wstała i odwróciła się w drugą stronę. Łzy się jej w oczach zakręciły.

Rufin jakby je przeczuł; w okno spojrzał, za którem już noc stała.

— Czego ty się mną markocisz, Rozalko? — rzekł. — Zapomnieć czas o tem, co minęło, by nie wrócić. Już tobie i mnie weselnych pieśni nie zaśpiewają. Czas ci o losie pomyśleć — lata biegną!

— Niech biegną!... Co mi do nich! — mruknęła.

Jakby nie słyszał, ciągnął dalej:

— Mało we mnie ducha. Chciałbym dwuch rzeczy tylko dożyć, żeby po ziemi naszej książki te kra-

dzione, jak mrówki, po wszystkich się chatach rozpełzły i żeby ci się dobry, jak chleb biały, chłopak trafił. Spuścił głowę i zapatrzony w ziemię, półgłosem zanucił:

Tam na swobodzie,
Śpiewa w ogrodzie
Kukułka szara w gęstwinie.
Ptaszyno, kiedy skończą się biedy,
I żywot ciężki upłynie.

Dziewczyna chustkę narzuciła na plecy i zmienionym głosem spytała:

— A gdzie ten pakiet?

Rzeźbiarz jakby się ze snu obudził.

— Odchodzisz już? Bóg ci zapłać! Ładunek pod kominem, za cegłą schowany. A nie odnoś go sama, bo niebezpiecznie.

— Znajdę dobrego posłańca. Dobranoc wam, Rufin!

Za chwilę wysunęła się z chatki. Noc była chmurna i cicha.

U Butkisa słychać było skrzypki i śpiewy. Wawer hulał z kolegami. Kilka dziewek minęło Rozalkę, dążąc na te dźwięki wabiące, ale nie poznały jej w cieniu, i, przez nikogo nie zatrzymana, doszła do chaty, co leżała na skraju, najuboższa, najmniejsza, pusta i czarna.

Gdy światło w niej zabłysło, dziewczyna już bez chustki i tajemniczego ładunku stała w izbie, której większą część zajmował tkacki warsztat, z nawiniętą sztuką wełnianego samodziału. Po ścianach było dużo obrazów świętych, zioła i palmy, wisiały też motki przędzy i sprzęty drobne. W kącie posłanie Rozalki, na którem kotek biały się wylegał. W okienku kwiatki rosły w skorupach od garnków, a wzdłuż ścian niskie ławy biegły. Krystofa narzędzia leżały rozrzucone po

ziemi, a na stole fajka i czapka żołnierska. Snać niedaleko i niedawno wyszedł.

Rozalka zdjęła ze ściany motek jaskrawej wełny i w słabem świetle blaszanej lampki nawijała przędzę na czółenko tkackie. Kotek przyszedł do niej i na kolanach się umieścił, w szczelinie świerczek się odzywał.

Dość długo trwała cisza, aż wreszcie na drodze głosy się rozległy i kroki. Skrzypnęły drzwi, do izby wszedł Krystof, za nim Wawer. Na obu znać było gęste libacje. Cieśla klął głośno, Karewis z dziewcząt drwił. Rozalka na ich widok poczerwieniała, usunęła się poza warsztat, nie witała i nie przerywała zajęcia, jakby ich nie było. Wawer ją dojrzał.

— Wróciliście już? — zaśmiał się. — Myślałem, że dłużej u Rufina zabawicie!

— Ja jej kiedyś za to bieganie do tego kulasa kark nagrzeję! — ozwał się Krystof ponuro.

— A za co? Niech się biorą, kiedy lubią — drwił Wawer. — Będzie o męża spokojna, że go jej nikt nie zbałamuci. I do wojska nie pójdzie i nawet do Butkisa się nie zawlecze!

Dziewczyna milczała w cieniu, za warsztatem.

— Daj co jeść! — krzyknął Krystof.

Wstała, odsunęła piec, nalała na miskę grzanego mleka, ukroiła chleba, wzięła z półki dwie łyżki, postawiła to wszystko na stole przed nimi i wróciła na swe miejsce.

Rozgorzałe, błyszczące oczy Wawra ścigały ją uporczywie. Nie spojrzała ani razu na niego.

Krystof zaczął jeść półgębkiem, wodząc ponurym wzrokiem po chacie.

— Za tydzień wyjeżdżasz? — spytał.

— Prawdopodobnie. Jak prawo na ziemię zrobię, jużem wolny wracać do Szczecina.

— Dobrze ci! Innemu zgnić tu trzeba...

— Czemu trzeba? Albo człowiek drzewo, korzenie ma? Każdemu droga wolna!

— Nie każdemu!

— Może nie tobie naprzykład?

— A mnie, myślisz, ochota trzyma?

— A cóż? Magdalenka?

— Choroba na nią! — zaklął cieśla.

— Ot, nie gadaj, oczami ją zjadasz. Na twojem miejscu jużbym dawno skończył...

— Skończę i ja! — burknął złowieszczo Krystof. — Niechno żniwa miną!

— Ot, i zgnijesz!

— Zgnije Szwedas prędzej!

Rozalka podniosła głowę i z uwagą spojrzała na brata. Co on myślał o Szwedasie?

— Sprzątnij mi tę miskę z przed nosa! — zawołał na nią. — Chleba w torbę włóż! Pójdę na noc!

— Do roboty? — spytał Wawer.

— Aha, ale prędko wrócę. Jeszcze się zobaczymy.

— A trzeba, bo myślę ojcu na nową chatę drzewa kupić i zwieźć. Może mu ją zbudujesz?

— Mogę, i owszem! Rozalka, ty nigdzie nie pójdziesz?

— Owszem. Do Ilgian na odpust w piątek.

— Sama?

— Nie, z Maryjką i Szlugurisową Barbarą.

— To ci ochota, w taki upał nogi zrywać! Co ty myślisz: wyprostuje ci Pan Bóg Rufina? — zaśmiał się Wawer.

Nie odpowiedziała. Polecenie brata spełniła, o czemś innem myśląc. Mężczyźni zapalili cygara i, rozparłszy się na stole, rozmawiali dalej o Wawra szczęśliwym losie i różnych doskonałościach obczyzny.

Karewis opowiadał o narzeczonej, jak go kochała i pieściła, jak mu z zachwytem w oczy patrzy, jak dogadza, jak go tam codzień oczekuje. Chełpił się tem, jak tysiącami swemi; by ją kochał wzajemnie, nie było znać z gawędy. Potem rozmowa przeszła na kupioną ziemię: jak stary z niej rad i jak wszyscy się dziwują. Pojutrze Wawer z panem do Kowna pojedzie.

Krystof więcej słuchał, niż mówił.

Nareszcie wstali obadwa i wyszli razem. Rozalka zadmuchnęła światło i zaryglowała drzwi chaty, długo jednak usnąć nie mogła, niespokojnie nasłuchując szmerów na dworze. Miała bo pod swym dachem ciężką kontrabandę...

Nazajutrz wstała o świcie i nikt jej nie widział, kiedy poszła na Piłkalnis. Pastuszki, wypędzający trzodę na paszę, spotkali ją wracającą.

— *Paganik!* (Pochwalony) — pozdrowiła ich według zwyczaju.

— *Pargiusin!* (Na wieki.) — odpowiedzieli chórem.

Wróciła do chaty i zasiadła do warsztatu. Kobiet kilka zjawiło się do niej po radę i z robotą. Rozprawiały o Wawrze. W Karewiszkach był on osią całego życia i zajęcia. Kupno pola do reszty zawróciło chłopom w głowie. Urósł do rozmiarów legendy.

— Musi zostać! — mówiły baby. — Bo ktoby tyle i takiej ziemi porzucił? Słyszę, i folwark stawiać będzie!

Potem Maryjka przybiegła, po drodze do roboty. Ta nad szwagra nie widziała nic piękniejszego, rozumniejszego, doskonalszego.

— Wczora dwa listy do Niemiec wysłał, że dłużej zabawi. Może i do jesieni, bo stary chce, by mu i dom postawił. Nawet już miejsce wybrali! Braciom na

czwartego konia sto rubli dał i dla Florka dwadzieścia posłał do pułku.

— A może i Niemkinię swoją tutaj sprowadzi? — zagadnęła Rozalka szyderczo.

— Bój się Boga! Toć taka wielka pani!

— A za chłopa idzie!

— Co za chłop? Taki edukowany, delikatny! We dworze go zaraz do stołu sadzają, za równego traktują. Każda dziedziczkaby za niego poszła. Oho!

Kobiecina gestykulowała żywo, trzepiąc, bo się spieszyła okrutnie.

Andrzej w chacie został, bo jutro brata na kolej odwiezie — do Kowna. Obiecał stamtąd im różnych różności przywieźć. Stary aż odmłodniał, a dzieci to go tak lubią, jakby rok bawił.

Ulżywszy swemu sercu i gadatliwości, Maryjka pobiegła dalej, a Rozalka, migając czółenkiem, tkała wzorzysty samodział, z nad roboty oczu nie podnosząc. Potem zaczęła śpiewać. Piosnka smutna była, jak jej dola uboga i samotna. Przed jej okienkiem przeciągały wozy z sianem, parobczaki raźne wyprzedzali się i pokrzykiwał. Widziała Szlugurisa Jonasa, jak na piętrowej furze stojąc, tłuste swe kasztany zacinał i przodował zawsze; widziała Jurgisa Szwedasa, który razem z Krystofem z wojska wrócił; przebąkiwał, że do niej swaty przyśle; widziała Karewisów siwki; i Petrasa rozpromienionego, jak zorze. Wszyscy mijali Jodasów. Oni nie mieli co zwozić, bo resztkę, co sąsiedzi nie zagrabili, Krystof w dzierżawę oddawał, a i nie mieli gdzie zwozić, bo budowle rozwaliły się ze szczętem, a i nic karmić wonnem sianem nie mieli, bo ostatnią krowę sprzedali na przednówku. Dziewczynę żałość ogarnęła i cicho zapłakała.

O południu skwar nieznośny zatrzymał robotę. Rozalka wtedy wyszła. Droga była pusta i pola puste.

Ona, na upał nie dbając, poszła drożyną polną w stronę Kirszniawy. Za rzeczką ciągnęły się pastwiska dworskie, zarosłe kępami tarniny, róż dzikich i młodej wierzbiny.

Dziewczyna minęła rzeczkę po dużych głazach, w gęstwinę tę wpadła, rozglądała się, jakby szukając kogoś. Pastwiska też pusto wyglądały, i tylko zdaleka parskanie koni dawało się słyszeć.

Nagle z za krzaku ukazał się wyrostek lat może piętnastu, chudy, śniady, wichrem spalony, bosy, w płótniance na grzbiecie i dziurawym kapeluszu na gęstwinie konopiastych włosów. Twarz jego, jak pięść, mała, bronzowa, lśniąca od słońca i potu, wyjrzała ciekawie na idącą i uśmiech przyjazny rozchylił wargi, odbił się aż w żywych, roztropnych oczętach.

— A, Rozalka! — radośnie zawołał.

Teraz i ona się zaśmiała.

— Dawnoś nie był we wsi, Marcinku! — rzekła.

— A dawno! Człowiek robotę ma! — odparł z dumą dorosłego pracownika. — Onegdaj wieczorem do chaty zabiegłem Wawra posłuchać, jak cuda baje. Chciałbym z nim pójść, ale ojciec nie puszcza!

— I słusznie. Przecieś tu potrzebny!

— A pewnie. Za lato dwadzieścia już rubli zarobię. Jużem parobek!

To mówiąc, wyprostował się dumnie. Mógł nim być, bo od dwuch lat na swój chleb poszedł, nieobfity wprawdzie, ale uczciwie zapracowany.

— A nie nudno ci samemu?

— Nie. Koni tyle, a po krzakach, co stąpisz, to gniazdo. Mam i swoją chudobę — ot, zobacz!

Rozchylił delikatnie gałęzie i pokazał dziewczynie gniazdo, nisko uwite, pełne żółtych dzióbków i szarych piskląt. Samiczka, bynajmniej nie zatrwożona, siedziała w pobliżu, patrząc na ludzi, i ćwierkała swobodnie.

— To twoje? — uśmiechnęła się Rozalka.

— Moje. Sam je znalazłem z wiosny. Stara mnie zna — o i jak! Daję im chleba, raz obroniłem w nocy od sowy, a raz od kota szelmy! To moje!

Ciemna twarzyczka promieniała radością.

— Kiedyś przyszła, Rozalko, to i chatę moją zobacz. W gościnę cię proszę! Cały ze mnie gospodarz!

Ruszył przodem, rozchylając krzaki. Czasem stawał, inne gniazda jej pokazując.

— Ale to już nie moje — to Boże! — tłómaczył.

Doprowadził ją wreszcie na łączkę, otuloną leszczyną gęstą.

Opodal widać było rozsypaną stadninę, a pod krzakiem stał szałas, sklecony z kołków i prętów suchych, pokryty darniną.

Wejście było otwarte, wystawione na wichry i ulewy; w głębi leżała garść słomy i jakieś szmaty, w płótno zawinięty chleb, czarka na wodę i zawieszone były u góry proste, białe skrzypce. Był to dom Marcinka.

Stanąwszy na miejscu, gospodarz pierwszem spojrzeniem obejrzał konie, przytoczył Rozalce pniak na siedzenie, do szałasu się wsunął i przyniósł jej stamtąd kromkę chleba i garnuszek wyszczerbiony, pełen dzikich malin.

— Masz tobie, Rozalko! Zjedz! — prosił serdecznie, siadając blisko niej na ziemi, z biczyskiem sążnistem, w drobnych, a już twardych i czarnych rękach.

Dziewczyna jadła — cieszyło go to bardzo.

— Ja do ciebie interes bardzo ważny mam, Marcinku! — ozwała się wreszcie. — Mógłbyś ty przez jednę noc do Palandrów zbiegać i napowrót?

— Mógłbym. Mnie nikt nie dogoni.

— Ale to wielki sekret. Trzeba przysiąc, że nikomu nic nie powiesz!

— Czemu?

— Bo coś takiego, o czem nikt wiedzieć nie powinien, poniesiesz....

Pacholę, zaciekawione, oczy podniosło. Sekret mu powierzono, rósł w dumę.

— A komu? — spytał.

— Zaraz ci rozpowiem. Jak zmrok zapadnie, trzeba na Piłkalnis pójść.

— Kiedy tam coś straszy.

— A właśnie. Odważnego trzeba! Tam koło samego szczytu lipa stoi wypróchniała. W dziupło trzeba rękę wsadzić po łokieć, znajdziesz papiery...

— A jak co się pokaże?

— Przeżegnasz się. Nic ci złego nie zrobi. Papiery trzeba wziąć, na piersi schować i do Palandrów dzierżawcy Kotisowi dostawić. A nikt nie powinien wiedzieć, kto ty i skąd i do kogo i z czem idziesz...

— A co tam stoi w tych papierach? Może to fałszywe pieniądze?

— Nie, same święte i uczciwe rzeczy. Żebyś ty tego dokonał, wielkąbyś miał zasługę przed Bogiem i szacunek u najstarszych ludzi.

— To pójdę i sprawię się gracko!... A jeżeliby mnie kto złapał albo spytał, co niosę?

— Nie możesz nic powiedzieć, ani tych papierów nikomu pokazać, bo ciężko odpowiadać będziesz. Jakby z urzędu cię złapali, papiery w rzekę rzuć, albo ogniem

spal. Na co przysiąc trzeba, uklakłszy, rękę do góry wznieść!

— Tak, jak żołnierze przysięgają?

— Tak samo.

Marcinek pomilczał chwilę, strwożony odpowiedzialnością. Ambicja nie dała mu jednak cofnąć się.

— To pójdę! — rzekł stanowczo.

— Przysięgnij! Za mną powtórz!

Chłopak ukląkł — rękę i oczy do nieba wzniósł.

— Przysięgam, że papierów nie wydam i prawdy nie wyjawię, choćby mnie bili, choćby więzili! Nie powiem nikomu, ni w domu, ni w sądzie, ni żadnemu człowiekowi, ni w kościele księdzu. Doniosę je do wskazanych rąk w oznaczony dzień, chybabym zginąć miał. Tak jak Bóg słyszy, tak niech mnie sądzi, gdybym zdradził. Amen!

Chłopak, skończywszy, wstał bardzo blady, ale zdeterminowany i poważny. Jakby o lata przez tę chwilę dojrzał. Już o nic nie pytał, ale sam dysponował:

— Jak zmierzchnie, pójdę, a rano wrócę i do ciebie zabiegnę sprawę zdać. Bądź spokojna, już ja się tak uwinę, że nikt inny lepiej nie zrobi. Trza dobrze się sprawiać, żeby konie w zagrodzie nie zgłodniały. Panby się gniewał i z zasług potrącił. No, nic to. Dam rady!

Zuchwale grzywą swą wstrząsnął i, bat rozwinąwszy, palnął donośnie.

— Daj ci, Boże, szczęśliwie, Marcinku! A pamiętaj, że na twojej głowie spokój całej wsi. Żebyś się przestraszył i co rzekł....

— Tożem przysiągł! — obraził się chłopak.

— Dziękuję ci! Zuch jesteś!

Powtórzyła mu raz jeszcze, co i jak miał czynić, a potem pożegnała i odeszła.

Przeprowadził ją do rzeczki i wrócił bardzo zamyślony. Za nadejściem wieczora stadninę zegnał do dworu. Skrzywiony był i kulał.

— A co to? Nocą paść nie będziesz? — zagadnął go gospodarz folwarczny.

— Proszę pana... wszystko mnie boli i noga obiera. Pójdę na noc do chaty!

Uwolniono go na widok zbiedzonej twarzy i utykania. Za bramą wyprostował się i, jak zając, czmychnął znajomemi polami, omijając wieś i drogi.

Piłkalnis samotny, obrosły nieprzebytą gęstwiną dzikich krzewów, ukoronowany drzewami, stał czarny i groźny na tle nocnego nieba. Chłopaka dreszcz wstrząsnął. Krążyły o tej strażnicy starej różne baśnie i legendy, które sobie po chatach opowiadano wieczorami półgłosem, tajemniczo. Marcinkowi teraz przyszły wszystkie na pamięć. Żegnał się i rękawem pot zimny z czoła ocierał, ale szedł naprzód. U stóp wzgórza czarny cień rzucały krzaki i w ciszy odbywały się jakieś niby szepty, niby śmiechy. Chłopak zatulał uszy, zamykał oczy i począł się przez gęstwinę przedzierać, krwawiąc o kolce twarz, szarpiąc odzienie. Wejście było strome, parę razy potoczył się w dół, ale to, zamiast go zniechęcić, budziło zawziętość, z bolu zapominał o strachu i darł się wytrwale naprzód. Nareszcie dotarł szczytu. Wzgórze sypane tworzyło tam małą platformę, wokoło wałem otoczoną. Na wale tym drzewa rosły, a w środku znać było jeszcze zawaloną studnię.

Marcinek stanął, otarł krew i pot z twarzy, chwilę nasłuchiwał. Cicho było, tylko drzewa szumiały. Wówczas obejrzał się coraz śmielszy, dojrzał lipę ową po

pniu nadzwyczaj grubym i począł rękami, węchem, wzrokiem szukać dziupła. Wspiął się i, jak kot, na pień wdrapał, potem namacał otwór, ramię weń wsunął, zwitek drogocenny dobył i zeskoczył.

Chwilę odpoczywał, ciężko i prędko dysząc, potem zdobycz za płótniankę i koszulę na piersi ukrył, pasek mocniej zacisnął i pędem, więcej się tocząc, niż stąpając na dół się dostał. Wtedy się rozejrzał, ogłuszony spadkiem. Do Palandrów było mil ze trzy. Zaczął biec, bo wiedział, jak krótkie bywają czerwcowe noce. Biegł, jedną ręką skarb swój cisnąc. Oczy jego, obeznane z ciemnością, widziały wyraźnie i daleko. Biegł, jak kula, do ziemi zgięty, bose nogi wysoko podnosząc, przesadzając, jak chart, zagony, rowy, miedze, płoty. Karewiszki wyminął, na gościniec się dostał i tam, niczem już nie hamowany, podwoił szybkość. Tylko mu, jak cienie, migały słupy telegrafu, drzewa, krzaki.

Parę fur spotkał, wracających z miasteczka, oglądano się za nim ciekawie, potrącił kilku pieszych, na pozdrowienie pobożne nie odpowiadał. Tak dobiegł zawrotu, gdzie gościniec do Palandrów droga polna przecinała. Stała tam karczma i studnia przy niej. Marcinek zziajany, bez tchu, z zapiekłem gardłem do studni, jak pies, przypadł i z koryta wodę łapczywie chłeptał. W tej chwili drzwi karczmy się rozwarły, ktoś wyszedł, stanął, popatrzał na niego i przystąpił bliżej.

— Kto tam? — zagadnął gromko.

Chłopak, jak dzikie zwierzę, w bok się rzucił, nie odpowiadając. Pytający za ramię go uchwycił.

Wówczas w Marcinku duch zamarł. Spostrzegł gwiazdkę na czapce. Był to policjant.

— Kto ty? — spytał po rusku.

— *Ne suprantu!* (Nie rozumiem) — odparł, jak węgorz się wywijając pod ściskającą go dłonią.

— Kto ty? — policjant po żmudzku powtórzył.

— Ja tutejszy. Konia szukam. Z paszy uciekł! — bełkotał, szamocąc się, chłopak.

— Jak się nazywasz?

Na to pytanie, nieprzytomny, zaciął się.

— Jonas! — odparł wreszcie.

— Łżesz! Hej tam, światła tu dajcie! Do mnie!

Na krzyk z karczmy ktoś wypadł, zajaśniała latarnia. Trzech ludzi obstąpiło malca.

— Nie znam! — odparł policjantowi karczmarz, latarkę do oczu chłopca przysuwając.

Marcinek przestał się szamotać. Nieznacznie kurtkę swą rozpiął.

— A złodziej, szelma! Do komórki go zamknąć, po dniu obszukamy. No, marsz!

Ale chłopak w tej chwili niespodzianie w bok się rzucił, z kurtki się oswobodził, szarpnął, dał sus sążniowy i przepadł gdzieś za rowem w polu, żytem zasianem. Jak chróściel, w morze kłosów wpadł i zginął w tem morzu swem rodzinnem. Z początku, jak wąż, pełzał, często przyczajał się do ziemi, to znowu, zgięty w kabłąk, by nad zboże nie wystawać, pomykał bez śladu zygzakiem. Potem, ciszą i spokojem ośmielony, głowę wytknął na wiatr, orjentował się w położeniu. Poznał okolicę i radośnie wykrzyknął. Lasek, co czerniał przed nim — o wiorstę, były to już Palandry. Spóźnił się, bo oto niebo jaśniało na wschodzie, ale sprawił się dobrze. Na drogę już się nie ośmielał, przez bramę do folwarku nie wszedł. Z za gumien na dziedziniec wyjrzał. Niebo coraz było jaśniejsze. Nareszcie z domu człek jakiś wyszedł i, pacierze odmawiając, do sto-

doły się zbliżył. Marcinek zcicha zagwizdał. Człek obejrzał się, zoczył go i podszedł szybko.

— Wy Kotis? — chłopak tajemniczo spytał.

— Ja.

— No, to macie!

Z za koszuli papiery wyjął i przez płot podał. Zresztą nic więcej nie mówili, a gdy parobcy ukazali się na dziedzińcu, chłopak był już daleko.

I znowu biegł kłusem, w koszuli podartej, okurzony, brudny, bez kapelusza. Stopy miał pokaleczone, na twarzy szramy. Nie pokazał się na drodze, a gdy wreszcie Karewiszek dopadł, nie miał już sił do dworu się dowlec. Rzeczkę w bród przeszedł, w krzaki się wszył, na ziemię padł i zasnął.

Obudził się po południu i jakiś czas nie pamiętał, co z nim się dzieje. Potem dopiero głód i pragnienie oprzytomniły go zupełnie, poczucie bezpieczeństwa zbudziło zmysł zachowawczy. Wykąpał się i sam koszulę uprał, potem ją misternie cierniami pospinał, na słońcu wysuszył, odział i do dworu pobiegł.

Pana szczęściem nie było, ekonom złajał go tylko należycie, za uszy pokręcił, kazał konie na nocleg wypędzić. Obeszło się bez pieniężnej kary. Marcinek był zupełnie spokojny. Brak kurtki zatruwał mu wprawdzie swobodę, bo co powie w chacie, ale postanowił rankiem do Rozalki skoczyć, ona mu jaką radę da, a tymczasem zjadł, stadninę wypędził i, leżąc pod szałasem swoim, wypadki tej burzliwej nocy przypominał, uśmiechając się z radości. Potem skrzypki nastroił i brząkał na nich do rana. Na chwilę się dalszym ciągiem wyprawy nie zatroszczył. Udało się — i basta.

Żal mu tylko było, że milczeć musiał. Jakby się chętnie pochwalił, jak zakpił z policjanta, on, taki ma-

ły, z takiego olbrzyma z gwiazdką na czapce. Sen go zmorzył wśród tych marzeń rozkosznych.

Zbudziło go wcale niedelikatne trącenie w bok. Zerwał się na równe nogi.

Nad nim stali dwaj urzędnicy gminy, z blachą na piersi, a kijami w ręku: Brodacz stary i Jurgis Szwedasów.

— Wstawaj no, błaźnie! — stary gromko huknął.

— A czego? — chłopiec drżał.

— Do gminy cię kazano dostawić piorunem! Coś ty przeskrobał?

— O Jezu! Ja nic, ja konie pasę! Nie mogę do gminy iść. Ja na służbie! — jąkał.

— Co tam twoja służba! Urząd przedewszystkiem! I mybyśmy woleli siana resztę sprzątnąć, niż ciebie o trzy wiorsty wodzić! No, marsz!

Poprowadzili go, jak aresztanta. On się już nie sprzeciwiał swej władzy. Dreptał przed nimi ze zwieszoną głową, bardzo zalękły, i tylko prosił, by ojcu nic nie mówili.

Gmina była we wsi sąsiedniej, w Wisborach. Chłopczyna nigdy tam nie był nawet, a w miarę zbliżania coraz go większy lęk napadał. Strażnicy napędzali go do pośpiechu, a on zbolałe swe stopy ledwie niósł, utykając często i kurcząc się, jakby czuł już razy na plecach.

Nareszcie przyszli na miejsce. Wprowadzili go do izby, gdzie się sądy i narady gromadzkie odbywały.

Wójt siedział za stołem, ławnicy i starszyzna, a wśród nich policjant, mocno rozsierdzony.

On ,taki mały i mizerny, przed nimi stanął i nic zrazu nie widział, tylko swą kurtkę płócienną, obszarpaną na stole. Czuł się zgubionym.

I zaczęło się śledztwo. Chłopi milczeli, policjant pytał, pisarz zapisywał.

— Twoja to kurtka?

Marcinek skłamać chciał, ale szczęściem oczy podniósł i wśród sędziów Szwedasa starego zobaczył, który mu nieznaczny, twierdzący ruch głową wskazał.

— Moja! — odparł zcicha.

— Aha, twoja! A ty sam gdzieś biegał tej nocy?

Marcinek znowu na Szwedasa spojrzał, ale już stary siedział nieporuszony i odwrócił się w inną stronę.

— Ja konia szukałem! — odparł chłopak.

— A pocoś skłamał imię?

— Kasztanowatego szukałem...

— Gadaj prawdę! Posyłał cię kto?

— Nikt nie posyłał. Koń z paszy zginął.

— Nie łżyj, bo będzie źle! Dokąd biegłeś?

— Łysego szukałem. On kupny, to się stada nie trzyma.

— Łże! Ja mówię, że łże! Starszyzna, każcie mu rózgami dać!

Chłopi spojrzeli po sobie, pokiwali głowami, naradzali się zcicha. Wreszcie wójt przemówił:

— Kiedy upewniacie, że kłamie, to rózgi nie zawadzą. Szauklis, daj mu piętnaście, ty, Jurgis, potrzymaj!

Wykonawca wyroków, stróż gminny, chłop wysoki i barczysty, przystąpił do chłopca. Marcinek zęby zaciął, choć się cały trząsł. Położyli go na ziemi i zaczęła się bolesna operacja. Niewiadomo, czy Szauklis słabo bił, czy chłopak tak wytrzymały się okazał. Ani się odezwał. Odliczono piętnaście.

— No, gadaj teraz! Posyłał cię kto? Nosiłeś co, gdzie?

— Łysego kasztana szukałem! — była odpowiedź uparta.

— No, poczekaj! Jeszcze to nie koniec! Starszyzna, ja wam mówię, jeśli mu nie zasądzicie drugiej porcji, zaskarżę was wyżej, że go z wiedzą ochraniacie!

— Co mamy ochraniać? — zawołał wójt niespokojnie. — Winien, powiadacie, niech cierpi. My nic nie wiemy... on nam nie krewny, żebyśmy go szczędzać mieli.

— Dać, jak pan policjant mówi... drugą porcję! — potwierdził Szwedas w imieniu ławników.

Rozciągnięto go znowu i bito, rachując uroczyście razy, i znowu chłopak milczał.

Wstał czerwony, oczy miał łez pełne, ale nie płakał.

— Da ci ojciec drugie tyle, jak za ciebie grubą karę zapłaci! — krzyknął policjant wściekły.

— Powiedz prawdę, jeśliś winien! — ozwał się Szwedas powoli, łagodnie. — Możeś co ukradł i utaił! Dziecko jeszcze jesteś, mogłeś zbłądzić.

Marcinek, który na wzmiankę ojca aż zzieleniał ze strachu, teraz, nazwany dzieckiem, głowę hardo podniósł.

— Łysego kasztana szukałem — swoje twierdził. — Śpieszyłem się, pan policjant mnie zatrzymał, chciał zamknąć, więc uciekłem.

— A łysego znalazłeś? — szyderczo urzędnik spytał.

— Znalazłem i spętałem. Pokażę go panu, jeżeli nie wierzycie.

— Szatańskie dziecko!

Policjant wstał ze złością okropną i pięścią mu pogroził.

— Poczekaj, dam ja tobie jeszcze!

— Może i prawdę mówi! — ozwał się wójt po namyśle. — Coby on tam nosić miał? Toć wiadomo, że za koniuchę służy we dworze. Nikt też kradzieży nie zaskarżył. Albo to podobne do niego! Ot, zląkł się i tyle! Ale za opór władzy kara go nie minie. Do komórki go na chleb i wodę zamknąć! Niech na drugi raz mores zna!

— A słusznie! — sędziowie potwierdzili.

Chłopiec płakać zaczął:

— Ja na służbie. Któż będzie konie pasł? Pan mi z zasług potrąci!

Ale go nikt nie słuchał. Chlipiącego Szauklis za ramię wziął, wyprowadził z izby. Otworzył na dziedzińcu pusty chlewek obok wieprza pisarza, wepchnął go tam, drzwi za nim na zamek spuścił i, słowa nie rzekłszy, odszedł do innej roboty.

W klitce bez podłogi i okna, różnemi gratami pisarzowej zarzuconej, Marcinek sam został, na ziemi siadł i płakał rzewnie.

Teraz wszystko skończone. Pan się dowie i albo karę zapisze, albo całkiem innego pastucha przyjmie. Ojcu też sąsiedzi opowiedzą rzecz całą — i choć się więcej w chacie nie pokazuj. Rówieśnicy śmiać się i drwić z niego będą.

Płakał Marcinek, póki mu łez i sił nie zabrakło. Potem, znękany, zbity, głodny, zasnął, jak zwierzątko zbiedzone, skręcony w kłębek na garstce słomy.

Szauklis go zbudził, otwierając skrzypiące drzwi. Dał mu chleba i wody, wrzucił też ową nieszczęsną podartą płóciankę siną. Chłopak zaczął go po rękach całować.

— Mój dziadziu, mój złoty, puśćcie mnie do koni! Toż ja zginę tutaj!

— We środę cię puszczę!

— We środę! O Jezu! Toć to za pięć dni dopiero!

— A no cóż? Tak zasądzono. Dosyć lamentować; ażebyś się nie nudził, oto masz słomę. Spleć mi kapelusz!

— Splotę, byle się ojciec nie dowiedział.

— Oho, jeszcze z wieczora przychodził.

— A bardzo się odgrażał?

— Ano, pewnie! Chciał tu przyjść, ale nie wolno.

— Oj, biedna moja głowa, biedna!... Gdzie ja się obrócę?

Szauklis się uśmiechnął i wyszedł.

W ciemnej komórce Marcinek męczył się nieznośnie. Do obszarów wolnych i bezgranicznej swobody nawykły, ciasnoty i mroku znieść nie mógł. Słomę splatał machinalnie, zamiast odpoczynku, zmęczony i chory się czuł. Zamiast ludzkich głosów, słyszał tylko krząkanie wieprzaka na lewo, a na prawo, wieczorem, porykiwanie cielęcia do krowy. Powietrza mu też brakło. Do ściany podchodził, szczeliną na świat boży wyglądał, albo usta do szpary przykładał i, jak pijak, rzeźwiący podmuch w piersi wciągał. Ale najsroższy był namysł nad tem, co go w chacie czekało po uwolnaeniu. Już i spać mu się odechciało z nudy i niepokoju. Plecionkę dla Szauklisa skończył i chodził od ściany do ściany, jak zwierzątko dzikie w klatce. Nareszcie pewnego wieczora Szauklis mu drzwi otworzył.

— No, odsiedziałeś swoje! Możesz ruszać do domu!

Chłopak wyleciał, jak szalony, na dziedziniec, ale już za wrotami na drodze stanął, niepewny, co robić dalej.

— Marcinku! — ktoś go z boku cicho zawołał.

Obejrzał się. Była to Rozalka, czatowała snać na niego tutaj.

— Biedaku, przepraszam ciebie! — rzekła z widocznym żalem. — Za mnieś tak pokutował. Żebym wiedziała, że tak ci się nie powiedzie, samabym poszła!

Chłopak głowę zuchwale podniósł.

— Ot gadanie! Czy tobie, kobiecie, w to się wdawać? Mnie co innego, mężczyźnie. Powiadasz, nie powiodło się? Jakto? Albo mi kto papiery odebrał! Oho! Na miejsce odstawiłem. A że w skórę wziąłem, to co? Alem się nie wygadał! Jak drugi raz poślesz, to jeszcze lepiej się sprawię, bom już praktyk! Drugi raz to mnie nie wsadzą do jamy! Tak mi zbrzydła, że nie opowiedzieć!

Otrząsnął się, jak pies po kąpieli, i szedł razem z nią ku Karewiszkom.

— Służbę to stracę niezawodnie, ale najgorsze to jeszcze od ojca czeka! Da on mi, da! Jeszcze z naszego rodu nikt w areszcie nie siedział. Wstyd zrobiłem chacie! Będzie mi!

— Pójdę z tobą do ojca, bo ja winna!

— Ej, nie, nie chcę, byś mię zasłaniała, odcierpię! I za kurtkę wykrzyczą i za kapelusz!

Markotnie głową pokręcił.

— Nie. Płócienkę ci nową uszyłam. Ot masz, a kapelusz mam także w chacie! Nie bój się!

Podała mu zwitek odzieży, a on, uradowany, prędko się ubrał. Potem z za gorsecika dobyła jeszcze coś małego i wręczyła mu.

— To za tę biedę twoja nagroda! — rzekła cicho. — Masz, schowaj, bo to drogo kosztuje!

Marcinek spojrzał i aż poczerwieniał ze szczęścia.

— Książka z modlitwami! O Jezu! Naprawdę moja będzie?

— A twoja. Zasłużyłeś dobrze.

— O jej! Taka gruba i złote brzegi i obrazków aż dwa jest! Toć takie tylko starsi gospodarze mają. Gdzieś ty ją kupiła?

— Dostałam zdaleka dla ciebie.

— Naprawdę, dla mnie?

— Naprawdę. Powiedzieli: Marcinkowi daj za odwagę i wierność przysiędze! Toż Karewiszek spokój na twojej głowie leżał, a tyś strzymał.

— Oho! Ja wiem, co przysięga. Podziękujże tym za książkę i powiedz, że nie raz i nie dwa gotówem usłużyć! Byle ojciec z chaty nie wypędził!

— Nie, nie!

— A Wawer już odjechał? Nie wiesz?

— Jeszcze z Kowna nie wrócił. Wy teraz bogaci.

— A wiem. Ziemi szmat kupił. Ale mnie to wszystko jedno, bylem służbę miał. Czy tak, czy siak, w rekruty pójdę!

Zbliżyli się do wsi, gdy już ciemno było, i zaraz na wstępie starego Szwedasa spotkali. Jechał na wozie z próżnemi beczkami od piwa. Poznał ich i stanął.

— Odsiedziałeś? — spytał, fajkę z ust wyjmując.

— Jakeście zasądzili, takem cierpiał! — odparł chłopak z urazą.

— Drugi raz, to cię jeszcze srożej zasądzą. Nie oprzesz się, aż w powiatowym areszcie.

— Oho, zjecie licha, nim mnie złapiecie!

— No, no, pamiętaj!

Stary konie trącił i już w biegu do Rozalki się odezwał:

— Zdrożeją grzyby w tym roku. W Gierynajcze (lasy) strażnicy zbierać nie dają!

Wóz się potoczył, głośno dudniąc i podskakując.

— Co on o grzybach plótł? Ni przypiął, ni przyłatał — zauważył Marcinek.

— Za kogo innego mnie wziął. Nie poznał! — odparła Rozalka spokojnie.

Skręcili od figury do Didelisów. Chłopak rezon tracił, oglądał się, jakby zemknąć miał ochotę. Dziewczyna szła przodem i pierwsza weszła na próg. Wieczerzali właśnie wszyscy wokoło długiego stołu, na ławach, na stołkach. Gwar panował, jak w ulu. Od pierwszegu rzutu oka spostrzegła, że się omyliła. Wawer już był z powrotem. Po prawicy ojca siedział obok Maryjki. Jasna jego, krótko ostrzyżona głowa, zarost, miastowa odzież wyróżniała go z pośród rodziny. Rozalka chętnieby się cofnęła, ale było już poniewczasie.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowiła.

— Rozalka, czy upiór! — krzyknęła Maryjka.

— A to dziw takie odwiedziny! — dodał Andrzej z przyjaznym uśmiechem.

— Do chleba i strawy prosimy! — rzekł Jan stary.

Wawer wstał z miejsca obyczajem światowym.

— Usiądźcie! — poprosił.

— Jeszczeby! — oburzyła się Maryjka. — Macie, jak dla jakiej królowej, miejsca ustępować? Zmieści się koło mnie!

— Dziękuję! — rzekła dziewczyna. — Przepraszam, żem wieczerzę przerwała. Do gospodarza mam interes.

— To gadaj, dziecko!

— Darujcie, że was do sieni pofatyguję!

— Oho, aż takie sekrety! — zaśmiała się Maryjka. Stary wstał i do czarnych sieni za nią wyszedł.

— A tam kto stoi na dworze? — zagadnął.

— To ja, ojcze, Marcinek!

— A ty, z aresztu! Bracia twoi nawet tej nazwy nie znali, a ty mi wstyd i hańbę do chaty nanosisz! Złodziej Karewis, włóczęga, szelma! Chodź tutaj! Bili cię w gminie rózgami, skosztujesz ojcowskiego rzemienia! Chodź bliżej! Słyszysz?

Rzemienny swój pasek jął odpinać, gdy wtem dziewczyna za ręce go porwała, przechyliła się doń i szeptem prędko, urywano parę słów rzekła.... Kołodziej nieruchomy, milczący słuchał, ręce puściły koniec rzemienia. Nic nie powiedział. Parę kroków do nieruchomego Marcinka postąpił, na rozwichrzonej głowie spracowaną dłoń położył, potem schylił się nisko i włosy te pocałował.

Chłopak do kolan mu padł i łkał z radości. Ojciec go podniósł i, wciąż po głowie gładząc, do izby z nim wszedł.

— Maryjko — rzekł — chłopak z biedy wrócił... Daj mu miskę strawy, a potem odzież czystą i bieliznę!

— Nie z biedy, z aresztu! — Andrzej gniewnie wtrącił.

— Powiedziałem z biedy — i basta! Jak ja nie karzę — wam do niego zasię!

Umilkli wszyscy, tylko Wawer się odezwał wesoło:

— Ojciec na starość ze srogości ustąpił. Jak my w jego latach byli, inny rygor rządził. Dziękuj Bogu, Marcin, żeś wtedy jeszcze w kołysce królował!

— Inne czasy, inny rygor! — Jan lakonicznie wygłosił, siadając znowu na ławie.

— Siadaj i ty, Rozalko! — powtórzył z widoczną ujmą w głosie.

— Dziękuję, nie głodnam! Zostańcie zdrowi!

— A dalibóg, nie puszczę! — zawołał Wawer, zrywając się i zastępując jej drogę.

— Uciekacie, jakbyście do wrogów przyszli! A toć Maryjce w tej chacie swojsko! — dodał Andrzej wesoło.

— Rzadki z was gość, to choć siłą zatrzymamy! — Piotr wtrącił.

Obstąpili ją od progu wszyscy.

— Ej, to ją tak kawaler płoszy! — zażartowała siostra.

Ogólny śmiech przyjął uwagę.

— A toż cię nie zje!

— Ktoby taką ładną dziewczynę jadł? Ino popatrzeć i oblizać się! — zaprzeczył Wawer.

Rozalka wreszcie uległa. Posadzono ją u stołu. Jan jej sam chleb i misę podsunął.

— A Krystof doma? — spytał.

— Na robocie.

— Coś on zmarkotniał temi czasy!

— Niewesoła dola bez roli, bez konia, bez chleba.

— I bez Magdalenki! — wtrąciła Maryjka.

— Oj, tyle biedy! — Andrzej się odezwał. — Jesienią swaty pośle, to mu ją dadzą! Żadna osobliwość.

— Nie dadzą! — szepnęła Rozalka. — Szluguris już się upewnił. Głośno opowiada.

— Moc wesel tej jesieni będzie! — zaczęła wyliczać Pietrowa. — Brodacz krawcównę bierze, a Józefów młodsza do Wisborów idzie. To dwa, a wdowiec Bukutis myśli drugą żonę brać, to trzy. U Szlugurisów będzie też huczne wesele, u Szwedasów to chyba dwa.

— Jakie dwa?

— Ano, Magdalenki i Jurgisa... Stary Rozalkę już jakby za synową miał, a Jurgis wczoraj cały wie-

czór pod oknem u niej przegadał. Ot, jak się dziewczyna mieni. Pewnieście sobie przyrzekli!

Rozalka pod ogniem wszystkich ciekawych spojrzeń ponsowa się stała, ale oczu nie spuściła.

— Plotki te! — odparła, ramionami ruszając. — Jurgis za matczynym interesem zaszedł, o robotę pytał. Pozatem pasek sobie kupił i trochę zabawił, Krystofa nadczekując. Szwedas takiej hołoty, jak moja, nie patrzy.

— Ale statku twego i pracy! — rzekł Jan.

— I krasy! — dorzucił Wawer.

— Kraśniejszych nie przeliczyć w Karewiszkach! — obojętnie zaprzeczyła.

Skończono wieczerzę. Wstała pierwsza Maryjka statki sprzątać, wstali za nią wszyscy i, modlitwę zmówiwszy, staremu gromadnie podziękowali. Zbliżył się do niego i Marcinek, który przy starszych cicho siedział, i pocałował go w rękę.

— Ojcze — rzekł — pójdę do koni już. A jak mnie ze służby za tę biedę przepędzą?

— Pięknie przeproś, a jak to nie pomoże, przychodź śmiało do chaty. Karać nie będę i chleba nie poskąpię.

— Ale — oburzył się Wawer — co on tam ma poniewierać się po cudzych obowiązkach! Albo my to od pana nie bogatsi? Dosyć biedy — będziecie panować!

— Służba nie hańba — stary zaprzeczył. — A chleb, im cięższej zdobyty, smaczniejszy! Dał Bóg dostatki, chwała Jemu, ale pracować do śmierci trzeba. Dwór bez nas, a my bez dworu się nie obejdziemy — takie z wysoka ustanowienie jest. Niech chłopak służy, jak przedtem, a my, choć dzięki tobie bez najmu

przeżyć zdołamy, skoro do żniw dworskich poproszą, jako zwykle, gromadą ruszymy.

— A rozumie się! — jednogłośnie Piotr i Andrzej potwierdzili.

— Oho, jabym i palcem nie ruszył. Albo mi to pańszczyzna? Jakby wieś rąk i potu tym polom pańskim nie dała, dwórby nasz był — i zginął.

— Nie daj nam, Boże, cudzą krzywdą się bogacić!

— Tak na wielkim świecie jest; świat długo pańskim był, a teraz czas, by się stał chłopskim. W Ameryce chłopi panują.

— Nie wiem, jak w Ameryce jest. U nas dwór od wieków był, panowie, jak my, na ziemi swej wzrośli. Każdemu, jako matka, ta ziemia droga — i nam, i im. I oni teraz równą biedę z nami cierpią, w jednym kościele Bogu troski zanoszą. My ich nie zgubimy!

— Jako zwykle, usłużymy, bo nijakiej krzywdy nie mamy! — za ojcem starsi synowie rzekli.

Rozalka poczęła się żegnać, starego Jana pocałowała w rękę, innym skinęła głową. Wawer po kapelusz sięgnął.

— Odprowadzę was trochę — rzekł — bo mi po drodze do Szlugurisów wstąpić trzeba.

Nie odrzekła nic i, w progu jeszcze nabożnie pozdrowiwszy, wyszła za wrota.

— Rychło odjeżdżacie do Niemców? — spytała go po drodze.

— Jeszcze zabawię! — odparł. — Prawo na ziemię gotowe, ale ojciec uprosił, bym jeszcze drzewo na budowle kupił i na miejsce dostawił. Trzeba staremu dogodzić, żeby bardzo nie lamentował! Nudno tu, ale nic nie poradzisz.

— Bezczynnemu zawsze nudno.

— Mnie dziw, żeście z miasta tutaj wrócili.

— Czemu dziw? Jako do matki, wracałam, do swojej chaty, jako do rodziny, do swoich ludzi. Obczyzna mnie gniotła, jak grobowy kamień... Chłopską mam naturę — nie taką, jak wy!

— Bo was serce ciągnęło. Kochanie zostawiliście. Żebym ja dziewczynę wybraną odjechał, tobym też wrócił.

— Kochanie różne bywa.

— Wasze dobre! Wam z oczu patrzy, że miłować umiecie. Uroda od was aż bije!

W ciemności oczy mu zabłysły. Spostrzegła to, obejrzała się i przyspieszyła kroku.

— Szkoda was dla Jurgisa Szwedasa.

— Czemu? Chłop on, jako ja, i pracowity, i stateczny.

— Lubicie go?

— A czemu nie? Szanuje mnie i nigdym od niego złego słowa nie posłyszała. Ot i do Szlugurisów zawrotka, bywajcie zdrowi!

— Nie śpieszy mi się. Może Jurgis pod oknami u was wystawać, możecie wieczorem u Rufina bywać, to mogę i ja was do chaty odprowadzić.

— Idźcie swoją drogą, a ja swoją. Mnie takiej kompanji nie trzeba. Idźcie do Magdalenki bałamuctwa prawić!

— Mnie do was ochota. Nie zostanie znaku, jak mi buziaka dacie.

— Wstydu nie macie tak gadać, narzeczonym będąc.

— Bóg wysoko, a panna daleko! — ze śmiechem odparł.

— Tak wam się zda, a mnie inaczej. Idźcie swoją drogą!

— Pójdę, jak na swojem postawię.

Dziewczyna naprawdę się zlękła jego zuchwalstwa i złych oczu. Już prawie biegła, ale on nie ustawał. Minęli całą wieś, dochodzili do jej chaty. Stanęła u furtki zdyszana.

— Odejdźcie sobie! — zawołała gniewnie.

On zamiast odpowiedzi wpół ją ramieniem ogarnął, do twarzy się pochylił. Podniosła wtedy rękę i dała mu ognisty policzek.

— Precz, do Niemkini, zaprzańcze! Do miastowych dziewek! — zawołała głuchym od złości i zmęczenia głosem.

Zachwiał się odrazu, ale taki zawzięty, nie puścił jej. W jedną żelazną dłoń obie ręce uchwycił i, jak w kleszczach, ścisnął. Teraz była na jego łasce. Odchyliła twarz, ale on ją w szyję, we włosy całował, nic nie mówiąc.

— Puśćcie! — zaczęła, wydzierając się z sił całych.

— Nie męcz się próżno! — rzekł. — Było po woli, na prośbę buziaka dać. Bijesz, za to po niewoli pocałuję!

— Wstyd wam i hańba!

— Niech sobie będzie! Nigdym w życiu do nikogo takiej ochoty nie czuł, jak do ciebie. Czego się boisz? Krzywdy ci nie robię, a wycałować muszę.

— Ja się was nie boję, ale nie cierpię. Puśćcie!

— Za co nie cierpisz?

— Boście podli! Nie dochowaliście nikomu wiary i nikczemność z sobą przynieśliście! Tak wami się brzydzę, jak gadem!

Ramię jego opadło i dłoń puściła jej ręce. Uwolniona, skoczyła do chaty i zamknęła się w niej. A on, jak oszołomiony i zawstydzony, chwilę stał, potem zawrócił do wsi, nie gwiżdżąc, jak zwykle. Sam nie wiedział, dlaczego wstyd mu się zrobiło, i tym triumfem nad Rozalką nikomu się nie pochwalił.

. . . .

A Marcinek tymczasem do domu pobiegł. Tęskno mu było do swych koni, do skrzypek, do szałasu. Z wieczora jeszcze przed panem stanął i pokornie ręce ucałował, przepraszając. Pan zrazu krzyczał, karę zapowiadał, nareszcie jednak po ramieniu go poklepał i łaskawie uwolnił. O świcie już chłopak, wesoło z bata paląc, stadninę pognał na zwykłe pastwisko.

Szałas znalazł pusty. Chleb jego ktoś zabrał, słomę deszcz przemoczył, garnuszek przepadł, a skrzypki zamokłe pękły i grać nie chciały.

Strapiony chłopak do ptasząt swych w odwiedziny poszedł, ale gniazdko tylko puste zastał. Wylecieli jego wychowańcy tymczasem, a może je kot pożarł, bo i starej nie było w pobliżu. Domek ten malutki, z perzu i piór sklecony, Marcinek w ręce wziął, obejrzał, i na płacz mu się zbierało. Tak je hodował i patrzał, a one mu nawet nie zaśpiewały na pożegnanie!...

VI.

Nadeszły żniwa. Na dworski łan wyległy pewnego dnia całe Karewiszki, bo dzień to był taki, że zabobon zabraniał u siebie robić, a z wieczora w wigilję pan sam wieś przeszedł, prosząc o pomoc. Stawili się bezmała wszyscy, od najbogatszych do najbiedniejszych, od starych do młodych. U Didelisów Jan tylko sam został z dziećmi. Synowie z żonami do świtu jeszcze poszli, po drodze zabierając sąsiadów i krewnych. Był to jakby fest to żniwo we dworze. Mężczyźni wdziali śnieżne koszule, najjaskrawsze spódnice dziewczęta i, jak na tańce, powpinały rutę w warkocze. Było jakby święto, bo nawet Krystof Jodas się zjawił z kosą, a Rozalka warsztat opuściła.

Ustawili się kosiarze, jak żórawie, długim kluczem; ciągnęły się za nimi kobiety, garście złotych kłosów zbierając, snopy wiążąc, a wkońcu starzy i wyrostki gromady składali wzdłuż ogołoconych zagonów. Od pola tego szmer szedł, jak od roju szarańczy. Chrzęsty zboża, kos brzęczenie, szumy kłosów setnych. Czasem kosy stawały, do słońca błyszcząc, nieruchome, a ogarniał wszelkie odgłosy śpiew chóralny, któremu wnet kobiety podpowiadały drugą zwrotkę, a starzy basem wtórzyli. Jakby motyle to pole obsiadły, tak się mieniło całe, tak ruszało się, jak żywe. Dworski łan w tem miejscu Kirszniawa oddzielała od owego szmatu roli, sprzedanego Didelisom. Cztery świeże

kępce świeciły zdaleka, a na wzgórku piętrzył się stos budulcu. Co rana Wawer na to pole szedł, dozorował pomiaru i opalowania, zwózki drzewa i kamieni na fundamenta. Już miesiąc upłynął, a on jeszcze bawił.

Ze Szczecina przychodziły listy, wzywające go do powrotu; odpisywał, tłómacząc zwłokę rodzinnemi sprawami, zwlekał co tydzień z wyjazdem. Robotę miał teraz. Ten kawał ziemi, za krwawy grosz dwunastoletniej pracy ojcu kupiony, stał się dlań drogim, coś go zrana ciągnęło na ten wzgórek za krynicą, spędzać zwykł na nim dnie całe. Zajęcie przeciągało się, obejmowało nieznacznie jego myślenie i chęci.

Do pracy ręcznej się nie brał, ale przyglądał się jej chętnie. Cieszyło go to, gdy pole rozdzielono na trzy części i jedną bracia i sąsiedzi zaorali pługami na jesienny zasiew; zajmowała go każda sztuka drzewa, przywieziona z lasu, raz nawet wspomniał ojcu o nawozie, który gdzieś kupić należało, i namawiał do kupna paru koni i krów na zimę.

Ze wzgórka widział całą posiadłość: łączkę, regularne skiby świeżo ruszonej ziemi, pastwisko, gdzie bratnie bydło się pasło. Dalej Piłkalnis stary, a w prawo gościniec i najbliższą Jodasów zagrodę, skąd stuk warsztatu Rozalki od świtu do zmierzchu się rozlegał i skąd co rano ciężkim krokiem ponury Krystof do niego szedł drzewo sprawiać i ciosać. Rankiem od Kirszniawy para się wznosiła, jak dym białawy, potem dzień długi skwarem palił i znowu wieczorem mgły wstawały, a orana rola wydawała z siebie surowy, czerstwy zapach.

Zachodzili do niego gospodarze ze wsi, podziwiając i chwaląc tę ziemię, a on się uśmiechał radośnie.

Odwiedził go kiedyś sam pan nawet, rozmawiał z godzinę przyjaźnie, a raz z wieczora ze starym Janem

pleban przyszedł obejrzeć nabytek i miejsce na kapliczkę opatrzyć.

Zasiedli we trzech na ociosanej belce.

— Ziemia się ta cieszy, cieszy — mówił kołodziej, a twarz jego, do poważnej zadumy nawykła, wygładziła się dziecięcą radością. — Cieszy się, bo nie będzie jej najemnik kaleczył, dzierżawca, jak pijawka, ssał. Będzie ją sam właściciel pielęgnował, pieścił. Będzie nią oczy pasł i, jako matkę, szanował!

— Bo i matka to jest — ksiądz dodał. — Widzicie, jak ona dzieci, póki małe, chlebem karmi, lnem odziewa, żeby potem, jak dorosną, opieką i chlubą jej byli. Wawra waszego ona się nie powstydzi.

A Wawer milczał, bo mu wstyd było zaprzeczyć.

Wieczorem wracał jakiś rozmarzony. Bywało, że i o Szczecinie zapominał, tak mu ta wieś stała się swojską, ludzie znajomi, tak do ścieżek tych i zagród przywyknął. Odnalazł mowę czystą, jakby nigdy innej nie używał, i nierzadko do chóru młodzieży stawał, pieśń prostą, chłopską z innymi śpiewając.

U Butkisa na tańcach pierwszy był, a w chacie poznał wszystkie kłopoty i troski, zaprzyjaźnił się z dziećmi, ze zwierzęty domowemi, ze sprzętami nawet.

W ów dzień dworskiego żniwa ze wzgórka swego widział ich wszystkich, jak na dłoni. Rozróżniał twarze kosiarzy, poznawał kobiety, słyszał słowa pieśni:

Kto nie zostrzył wczas kosy
I nie skąpał wśród rosy,
Temu suchą wiatr trawę
Sprzątnie jak przez zabawę.
Hulajże, koso, hulaj!
Do kwiatów się przytulaj!

Powoli zaczął schodzić ku rzece. Przebrodził ją, na pole wszedł, zbliżył się ku pracującym.

— *Podiek Dewo!* (Pomagaj, Boże!) — pozdrowił.

— Mógłbyś i ty mnie pomóc, bom od machania i śpiewu dech stracił! — zaśmiał się Szluguris.

Zaśmiali się wszyscy kosiarze.

— A toby on nam nogi poucinał! Pewnie, jak żyje, kosy w garści nie trzymał.

— Trzymać trzymałem, będzie temu lat dwanaście. Andrzej zaświadczy. On mnie uczył.

— Miałeś czas zapomnieć! — odparł brat, zatrzymując się, by kosę poklepać.

— A dajno! Spróbuję... — zaśmiał się, podchodząc.

Obejrzeli się ciekawie wszyscy.

On kosę ujął, zamachnął, śmignął raz i drugi.

— A doprawdy, zdatny! — chwalono. — Ino się prędko zmęczy, bo nie zwykł.

— Poczekajcie, nim powiecie! — odparł urażony.

Zrzucił surdut i stanął, jak reszta, w kamizelce i koszuli. Tylko koszulę miał bielszą i krawat ze złotą szpileczką, która migała w słońcu. W szeregu miejsce zajął i kosił nie gorzej od innych. Znój mu wystąpił czerwienią na policzkach i żyłami grubemi na szyi i skroni.

— Zuch z ciebie wszędzie! — rzekł Andrzej po chwili. — Ale dosyć sławy! Ustąp mi!

— Niechaj! Ochotę mam. Garście ty zbieraj, a Maryjka niech spocznie!

Andrzej usłuchał, a Maryjka do krzyczącego na miedzy Wawrzyńca pobiegła, rada wytchnieniu.

Robota szła żywo. Od dworu pan sam nadjechał, konia rzucił i pieszo szeregi pracujących obchodził, chwaląc i żartując.

— I Krystof tutaj, i tkaczka sławna nasza! Wielkiego honoru moje żyto dostąpiło. Taki dzień wart poczęstunku!

— Wszyscyśmy tu! — odparł Szluguris. — Żeby Rufin nogi miał, toby i on swoje *apasztaluki* (apostołów) rzucił i z nami bieżał, bo we wsi teraz, jakby mór przeszedł.

Pan teraz wprost Wawra stanął i patrzał, oczom nie wierząc.

— Co? I mój kupiec tutaj? To już przednia osobliwość. To wy, Karewis, i kosić umiecie?

— Co zobaczę, to i umiem.

— To was w dwójnasób szanuję, żeście w pomyślności pychy nie nabrali!

Poszedł dalej między kobiety i żartował:

— Starajcie się, dziewczątka! Takiego kawalera we wsi macie, że przed nim się pochwalić trzeba.

Magdalenka wyprostowała się, zawsze śmiejąca.

— Starałybyśmy się, panie, żeby korzyść była. Ale ten kawaler na nas nie patrzy. Ma on już swoją pannę w mieście, może i nie urodniejszą od nas, ale całą ze złota i Niemkinią!

— A kłamiesz! — Wawer zaprzeczył. — Jeszczem ani jednej z was nie puścił, żeby nie popatrzeć.

— Co tam z twego patrzenia! Żebyś na zapowiedzi dał, tobyś chwacki kawaler się nazywał!

— A dam, tylko nie ze wszystkiemi, tylko z jedną. W Karewiszkach i beze mnie chłopców nie brak. Ot, niedaleko ciebie Jonas, Petras, Krystof!

— Siła złego! — lekceważąco odparła.

Jodas, za którym garście zbierała, obejrzał się i pierwsze tego dnia słowo rzekł:

— Nie bałamuć, a rób!

— Ty mnie nie napędzaj! — oburzyła się. — Tak się za innymi wleczesz, jak senny, a drugim przyganiasz. Rozalka, zbieraj sobie za nim, ja weselszej kompanji poszukam.

Rozalka znalazła się obok Wawra. On na nią nawet nie spojrzał i dalej ze Szwedasówną się droczył.

Od owego wieczora nie gadali do siebie, a spotkawszy przypadkiem, on tylko kapelusza uchylał i nie pozdrawiał nawet. Zapanowała między nimi głucha złość i niechęć.

Dziewczynie na wspomnienie owych zniewolonych pocałunków ze wstydu i gniewu twarz pałała, on jej darował policzek, lecz nie zapomniał zarzutu niewiary i podłości.

Kosiarze dokończyli zagonów, wbili kosy rękojeścią w ziemię i odetchnęli chwilę. Szluguris wnet śpiewać zaczął, i Wawer z innymi zawtórował:

Konno w świat jadąc, pytam skowronka,
Gdzie jest dziewczyna, przyszła ma żonka;
Po czem ją poznam, gdzie ona mieszka,
Jaka do chaty jej wiedzie ścieżka?
  Mijam podwórze: nie zamiatane;
  Spoglądam w okno: płótno nietkane.
  A ptaszek śpiewa:
  Nie tu twa dziewa,
  Czyściocha tkaczka,
  Prządka, śpiewaczka!

Przy ostatnich słowach brzękły kosy w takt, równo, potem jednocześnie śmignęły błyszczącem ostrzem po ziemi. Skwar panował nie do zniesienia. Kobiety przyniosły wody z rzeczki i podawały dzbany braciom i mężom. Starzy spoglądali ku niebu i wróżyli burzę na wieczór. To dodawało pośpiechu.

I Wawer, spocony, z zaschłem gardłem, kosy jednak z garści nie wypuścił. Obudziła się w nim duma

wiejskiego parobka, chęć pochwalenia się kobietom siłą i zręcznością. Przypadkiem wiązalnice się zmieszały, a za nim znalazła się Rozalka. Tej napędzać nie było trzeba, zwinna była i niestrudzona, ale on począł machać wściekle i dziewczyna nie zdołała nadążyć. Jakby zrozumiała jego chęć, śpieszyła gorączkowo, ale już w połowie zagona przystanęła. Nie chciała mu nic rzec, więc, blada ze zmęczenia, ze zbolałym od nachylania karkiem i drżącemi rękami, wiązała snopy mozolnie.

Towarzyszki zaczęły z niej żartować.

— A wstyd! Niemcowi nie możesz nadążyć!

— Rączkiś białe przy warsztacie wypieściła i liczko, jak u panienki. Staraj się, staraj, Niemkini daleko!

— Może cię o rutę z wianka poprosi!

Tu Jurgis Szwedas za dziewczyną się ujął, chłopak mizerny, wątły, łagodny.

— A wstydby karewiskim parobkom było, żeby taką pracownicę Niemcowi oddali.

Dziewczęta zaczęły szeptać i chichotać, a Wawer zuchwale głowę podniósł.

— Albo to was Niemiec o pozwolenie pytać będzie, jak zechce!

Dokończył zagona, kosę wbił w ziemię, obrócił się i począł garście wiązać.

— Hej tam, wy! — do kosiarzy krzyknął. — A bywajcie! Już ja i za siebie i za dziewuchę zrobię, nim zdążycie do miedzy!

— Oho, wyhodowałeś się, podczas gdy nas trud i bieda żarła! — Krystof ponuro się odezwał.

Wawer szyderczo się zaśmiał.

— A wyhodowałem się! — rzekł, snop, jak piórko, rzucając na gromadę. — Hodowały mnie takie burze, co gwałtem do zguby ciągną, pieściły mnie po grzbie-

cie smolne powrozy, gładziły mi ręce liny śliskie, po których aż het, pod niebo szła droga! Z hodowania takiego tybyś nie wrócił, a chorób i biedy, co mnie żarły, to i we snach nie doznasz...

Rozalka spojrzała ukradkiem na niego.

Poczucie własnej siły i wartości, wspomnienie tych walk i zwycięstw wypiękniły go nawet w jej oczach. Zrozumiała żal Rufina za nim, gdy go ta ziemia straci znowu i na zawsze...

Stanęły kobiety wszystkie i z pękami kłosów w rękach wpatrywały się weń, młodsze z lubością i zachwytem, starsze z żalem nad chłopakiem. On głowę odkrył i, ocierając pot, mówił dalej:

— Wy myślicie, że wasz znój ciężki, że wasz trud drogi? To i fraszka pracować pod tem słońcem, co ledwie grzeje, na czystem, zdrowem polu! Nie widziałeś, Krystofie, tych, jak piekło, gorejących czeluści kotłów parowych, gdzie żar skórę smali, a pot, jak wrzątek, paruje! Nie kładłeś się spać w norze pełnej robactwa, ino na białej pościeli, rękami siostry wysłanej w chacie; nie opadała z ciebie odzież, nigdy nie prana i niełatana, nie znęcali się nad tobą obcy, boś ojca miał i swoich wokoło.

— Ale ci się męka opłaciła, a nam co?

— Opłaciła się, bom nie jadł, a myślał, bom nie spał, a uczył się, bom taką wściekłą zawziętość miał i taką wolę bezmierną wyżej pójść, żem ani na cal nie ustąpił, ani na chwilę nie zwątpił, ani jednej złej myśli do siebie nie dopuścił. Myślicie, że jabym i tu na jednym zagonie życie strawił, jak wy?

— A cobyś zrobił? — zagadnął któryś ze starych.

Wawer szeroko ręką w dal zamachnął.

— Jako te łany idą, wszystkobym od pana dla wsi wziął!

— Chyba gwałtem! — Szluguris się zaśmiał.

— Gwałtem głupcy wojują, a rozumni głową! Jabym tak zrobił, że nie panby nam za pot płacił, ale my jemu za ziemię. Byłoby wtedy na czem pracować i kołacze całą zimę i lato pożywać!

— W dzierżawę wziąć? — wtrącił stary gospodarz.

— A w dzierżawę! — Wawer potwierdził.

— Siła trzeba pieniędzy!

— Siła też was jest.

— Oj, głowy na ten interes trzeba, coby wszystkiemi rękami kierowała!

— Ale mowę on rozumną mówi. Oj, rozumną!

Zajęła ich ta myśl mocno. Oczy chłopskie, nad złoto ziemi chciwsze, po polach powiedli. Po tłumie jakby drżenie przebiegło.

— Chcecie pić? — niespodzianie Rozalka się odezwała.

Spuścił ku niej wzrok, zdziwiony tą przyjazną propozycją.

Trzymała dzbanek w ręku i patrzała poczciwie.

— Dziękuję! — odparł ciszej, tak, że ona tylko słyszała. — Utraktowaliście mnie do syta obelgami... Pewnie i woda wasza, jak z morza, gorzka i słona!

Dziewczyna poczerwieniała z przykrości, naczynie odstawiła na bok i nad pokosem się schyliła. Wtedy on poczuł, że ją upokarza przed ludźmi, co widzieli jej ruch i odmowę jego. Pochylił się, dzbanek wziął i począł pić chciwie.

— Bóg zapłać! — rzekł, dzbanek jej oddając.

— Za gorzką wodę nie warto! — mruknęła.

Spojrzeli po sobie i może na jednakie wspomnienie pokraśnieli równocześnie.

— Zamęczyłem was dzisiaj, już więcej nie będę! — rzekł.

— Samiście potem dopomogli! — odparła, ostatni snop wiążąc.

Kosiarze dopędzili Wawra i stanęli. Czas był na obiad właśnie, ale zamiast spocząć i posilić się, skupili się i gadali, rękami, oczami na dworskie pola wskazując. Wawer im rzucił myśl rozkoszną, jasną, co może kiedy mglista pod niejednem czołem majaczyła, nie znajdując określenia i wyrazu. Teraz ogarniała ich, jak czary, podniecała, jak trunek.

Przybiegł ekonom od dworu, na poczęstunek ich wzywając. Opieszale poszli, bez śpiewu i śmiechu, swobodniej było mówić, milej na tę ziemią patrzeć. Wawer do dworu nie poszedł, ale do Marcinka, który do swych ludzi z pastwiska przybiegł i kosić próbował. Starszy brat przyglądał mu się i kierował radą. Śpiącego na miedzy Maryjki dzieciaka ostrożnie na ręce wziął i kołysał delikatnie.

Wśród zbóż stojąc i rozmawiając chłopską mową, ten mężczyzna zgrabny i, jak pan, ubrany, wyrostek bosy i śniady, ze szkaplerzem na źle osłoniętej płótnianką piersi i to dziecko w lnianej, grubej koszulinie i czerwonej na główce czapeczce, stanowili obrazek pełen kontrastów. Nie powiedziałby nikt, ich widząc, że jedna chata ich zrodziła i wykarmiła. Maryjka, widząc ich zdaleka, splasnęła rękami i przybiegła zdyszana, krzycząc i śmiejąc się naprzemian.

— O Jezu!... Jeszcze go opuścisz, mego robaka! — wołała.

— Albom to taki słaby, czy niezdarny? Tak jak w kołysce, śpi, ino się od much krzywi. Rzuciłaś go na miedzy, to podniosłem!

— Dobry z ciebie ojciec będzie. Z dziećmi się, jak najlepsza piastunka, obchodzisz. Aleś głodny!

Chcesz, skoczę do chaty i chłodnego mleka ci przyniosę! I tak z twojej łaski nic nie robię dzisiaj.

— Wieczorem zjem, teraz dalej do kosy!

Dziecko jej oddał, obejrzał się po tłumie robotnic.

— Boicie się już, Rozalko, niemieckiej roboty? — zawołał.

— Nie. Wytrwacie wy, wytrwam i ja! — odrzekła, stając za nim.

— Do wieczora nikt nie wytrwa! — wtrącił Krystof. — Burza idzie cwałem, za godzinę tu będzie.

— I prędzej nawet. Trza się śpieszyć! Dajno, Marcin, kosę!

Wysunął się naprzód Wawer, jak żórawie za nim inni.

Po chwili wiatr się podniósł suchy i duszący, zrywając piasek z gościńca; jaskółki, piszcząc, przypadały nad głowami. Z za lasu wyjrzała, jak głowa potworna, chmura szaro-siwa. Już nie cwałem, ale ptaka lotem pędziła burza; już nie tylko głowę chmury widać było, ale cały kadłub, jakby bestji, która wnet dostała skrzydeł potężnych, poszarpanych, jak nietoperze, ogarniała niemi zkońca wkoniec niebiosa. Wicher przeszedł w huragan, giął drzewa, ciche przed chwilą łany zbóż szamotał, jak morza fale i bałwany.

Żniwiarze stanęli. Wicher ich tłukł w piersi, szarpał odzież, odkrywał głowy, rozwiewał włosy. Kobiety rzuciły się pierwsze do odwrotu, krzycząc przeraźliwie w obawie o stroje swoje. Mężczyźni, śmiejąc się z tego popłochu, wzięli też surduty i kosy na ramiona, opuszczali tak gwarny przed chwilą łan. Tłum ten ku rzeczce zmierzał, która ledwie widocznie w niektórych miejscach sączyła się po białym żwirze. A w tem padły pierwsze krople deszczu i jeszcze daleki grom. Wtedy zaczęli wszyscy biec, wyprzedzając

się, śmiejąc, chłopcy gonili dziewczęta, kobiety starsze żegnały się pobożnie, gospodarze z niepokojem spoglądali w niebo.

— Broń Boże nieszczęścia! — szeptali.

Dopadli wsi i zaczęli się po zagrodach rozbiegać, a wtem drugi i trzeci grom padł już bliższy i deszcz lunął strumieniem. Ale już wszyscy prawie byli pod strzechą.

U Didelisów Jan stary nie na burzę patrzał, ale na swego Wawra, który z braćmi wpadł, jak z pola zszedł, z surdutem na ręku, z kosą w garści, spocony, zdyszany.

— A ty, synku, gdzieś był? — spytał.

— Kosiłem za Andrzeja! — odparł, białemi zębami błyskając w uśmiechu.

— Kosił, bezmała od ranka! — potwierdził Andrzej.

— A jak jeszcze! Za dwuch! Jakby z rodu nic innego nie robił! — dodał Piotr z chlubą.

Kołodziej za głowę go rękami objął i do piersi przygarnął.

— Takiś ty zuch wszędy! — radośnie się uśmiechnął.

Błyskawica zajrzała do izby, rażąc oczy.

— Zamknijcie, kobiety, drzwi i komin! — Andrzej krzyknął.

W izbie było prawie czarno. Zapalono gromnicę i garść ziół Maryjka rzuciła na węgle. Dzieci poczęły płakać, a starsi pacierz głośno odmawiać.

Chata ich tyle lat i burz przestała. Czyż już dzisiaj ma jej być ostatni dzień?

Znowu błysnęło tak strasznie, że aż wzdrygnęli się wszyscy, a równocześnie prawie rozległ się huk, jakby świat cały w sztuki druzgotał.

Kobiety popadały na ziemię, Wawer do okna poskoczył. Chwilę zdało mu się, że bez wypadku minęło, ale wnet się zerwał i do drzwi rzucił.

— Szwedasów gumno gore! — krzyknął, wypadając na podwórze.

A już się i we wsi gwałt podnosił. Szwedasowie w samem sercu wsi mieszkali, w miejscu najgęściej zabudowanem. Gumno, słomą kryte, zajęło się, jak smolna pochodnia, i gorzało pomimo deszczu, jakby z nieba nie woda szła, ale płyn ognisty.

Zewsząd na łunę ludzie biegli, lamentując i włosy drąc, wnet cała wieś się zbiegła, obstąpiła pożar, który, wpadłszy do siana, szalał, roznosząc na wsze strony płonące snopki.

Ratować nikt nie myślał i nie zaczynał, bo nie pozwalał obyczaj niebieski ogień gasić. A wtem Wawer zagrody dopadł, rozpychając tłum kobiet i dzieci.

— Wody! — wrzasnął. — Siekiery! Płoty rąbać! Na dachy!

— Boży dopust! Niech ginie! — ktoś z gromady się ozwał.

— Ty sam giń z twoją głupią mową! — młody człowiek krzyknął.

Do siostry się zwrócił, która we drzwiach chaty stała, oniemiała ze strachu i zgrozy, najmniejsze dziecko do piersi tuląc.

— Hej, Barbaro! Czekasz, aż ci się dzieci popieką, a ty, szwagrze, aż ci węgły ogień zje!... Siekiery!

Szwedas starszy, pociągnięty energją tego głosu, siekierę z izby wyniósł. Wawer mu ją z rąk wydarł, pod ścianę palącą prawie się podsunął, zaczął zajadle płot rąbać.

— Jurgis, do mnie! Prędzej!

Szwedas przyskoczył, zaczęli we dwuch walić słupy, odbijać żerdzie. Dym ich oślepiał i dusił. Jurgis odstąpił wreszcie, nie mogąc wytrzymać żaru.

Wawer, jak potępieniec, się zwijał.

Zwaliwszy płot, do chlewów najbliższych się rzucił, na które wiatr niósł płomienie, iskry i żużle. Siekierę rzucił, chwycił widły od siana, jak kot na strzechę się wdrapał, począł snopki obrywać, zrzucać.

— Ludzie, wody! — krzyknął, ochrypły, na pół zduszony. — Jak to ogień zajmie, pół wsi z dymem pójdzie. Nie widzicie? Toć wicher na Szlugurisów idzie i na krawca Bakutisa. Ratunek dajcie, póki czas! Dawajcie wiadra, niech kto tu do mnie skoczy! Strzechę trzeba całą obedrzeć.

Usłuchał go pierwszy Marcinek i pierwsze wiadro lunął na ścianę, tak wysoko, jak mu sił starczyło.

Ruszyła się za nim reszta, pociągnięta odwagą i energją. Kilku młodych na dach do Wawra starało się dostać, ale, żarem owiani, dymem ogarnięci, zaniechali, z dołu, z boków dach szarpiąc.

On wytrwał. Podano mu na drągach mokre płachty, miotły, maczane w wodzie. Na samym szczycie stojąc, sto razy mogąc spaść nadół, uczepiony, niewiadomo jak, do krokwi i łat, o krok od płonącego gumna, wśród płomieni prawie i dymem ogarnięty, zwijał się, jak szatan. Popaloną miał koszulę i włosy, osmaloną twarz, głos już do ludzkiego nie był podobny, gdy nie przestawał komenderować:

— Z rąk do rąk wiadra! Szeregiem stańcie od studni, a reszta ziemię na gumno rzucajcie! Prędzej! Jonas, do wiadra sznur uwiąż i mnie tu rzuć! Wody trzeba, wody, wody!

Wreszcie już mu głosu nie stało, poczuł zawrót głowy, wzrok mu się mącił, zakrztusił się dymem.

— Zejdźcie, nie wytrzymacie! — zaczęto doń wołać.

— Zejdź, zejdź! — wołali bracia i ojciec.

Ale go to tylko podniecało do większego jeszcze zuchwalstwa. Sznur rzucony chwycił w powietrzu, wiadro wody wciągnął i z zamachem po dachu lunął. Rękami chwytał żużle i gorejące snopki, nogami odrzucał głownie, zawziął się, jak on to umiał i czynił w zawodzie swoim niebezpiecznym. Ale już mu sto rąk pomagało, i ogień, sto razy od chlewu odegnany, skupił się na gumnie, objadając je do gruntu, do ziemi. I deszcz się wzmógł, z sykiem i świstem obryzgując płomienie, w które też padały garście ziemi, błota, kamieni. Już teraz, kto żył, do dzieci małych nawet, ratował, jak mógł i umiał. Lament przechodził w okrzyki zwycięstwa i ulgi.

Wtedy Wawer zaczął schodzić z dachu, nareszcie za ścianę się chwycił i spadł. Musiał na chwilę zemdleć, bo nie pamiętał, jak się u studni znalazł i jak mu pić dano. Gdy się przytomnie rozejrzał, już tylko dymiły zgliszcza, czarna kupa popiołów, nad którą resztki opalonych słupów sterczały.

— A co? Nasza prawda! — zawołał, stając na nogi.

— A twoja! Własnąś skórą wieś uratował! — zaczęto krzyczeć.

— Nie skórą, jeno sierścią! — odparł, dotykając głowy i twarzy.

Nawet brwi i rzęsy miał posmolone, a na ramionach i rękach czarne opalenizny. Śmiał się jednak lekceważąco.

— Zagoi się do wesela. Nic to. Zgliszcza jednak, szwagrze, pilnujcie, bo złe to i zawzięte. Do trzech dni nie stłumicie.

Do pogorzeli przystąpił i oglądał ją z triumfem.

— Ty, bestjo! — zawołał, kamień w środek zgliszcz rzucając. — Chciałaś ludziom ich węgły i pracę wziąć. Niedoczekanie twoje! Łykaj teraz wodę!

Obstąpili go gospodarze, za ręce ściskając i dziękując. Rósł w dumę stary Jan i rozmiłowanemi oczyma wodził za swoim bohaterem, Szluguris i Bakutis częstowali go tabaczką, winszowali pociechy, a Jurgis Szwedas głos podniósł i, pokazując Niemca rówieśnikom, rzekł:

— Dziw wam był, że on tam na świecie do takich zaszczytów i dostatków doszedł rękami ino i głową. Ot, czemu? Mogli my wszyscy tam w ogień pójść, a on jeden strzymał. Zatem go na plecy wziąć i do Butkisa zanieść trzeba! Hej, chłopcy!...

Porwano Wawra z ziemi, i tak, jak był, w strzępach koszuli i czarny od dymu, tak go nieśli ulicą wśród śmiechów i wiwatów. I on się śmiał, rozbawiony i dumny. Tłum za nimi pociągnął, nawet Szwedasy, straty niepomni, nawet Krystof ponury. Deszcz przechodził, i tylko już słup dymu miejsce wypadku oznaczał.

Posadzono Wawra na stole w oberży i Jurgis zawołał:

— Fetowałeś ty nas nieraz. Teraz my ciebie ufetujem. Tak pij, żebyś i pamięć stracił! Nie bój się! Odniesiemy cię do chaty ze śpiewami, jak z godów.

— Dziękuję, bracia, tylko, nim pamięć stracę, dwie wam rzeczy powiem. Naprzód, że to Karewiszkom wstyd, iż ni jedna chata na wodę beczki i do rozrywania zgliszcz haka nie ma, a potem powiem, że za małą cenę ludzie na świecie blachę ogniową do chaty przybiją i śpią spokojnie. Takci i tutaj być powinno.

— A pewnie, pewnie, tylko na to cała wieś zgodzić się musi! — potakiwali starzy. — A wieś, ile głów, tyle rozumów ma! Takci się to odwleka!

— A to Karewiszkom drugi wstyd! — Wawer stanowczo zawołał.

Szwedas mu szklankę szumiącego piwa podał.

— Pij, ochotniku!

— Za wasze zdrowie, by się zła okazja nigdy nie powtórzyła, ale w niczyje ręce nie wypiję, chyba w naszego Marcinka. On to błazen, pierwszy mi na pomoc skoczył. Dajcie go tutaj na stół!

— Słusznie! Marcin, bywaj!

Ale Marcinka nie było w pobliżu. Skoczyli po niego chłopcy i po dość długiem oczekiwaniu przywiedli.

Opierał się zawstydzony, przestraszony, niespokojny.

— A chodź żywo! Nie będę ci łóz liczyć, ani do chlewu zamknę! — wołał doń brat wesoło.

— Ja wiem! — chłopak odparł. — Ale tam konie same, jeszcze w szkodę wpadną!

— Nic to! Dziej się, co chce! Tyś nie na koniucha zdatny, ale do czegoś lepszego. Naści, pij, a proś Boga, by cię ojciec ze mną w świat puścił, boś mi cały brat i krwią i odwagą!

Marcinek, czerwony z dumy, wypił, ale dłużej bawić nie chciał i, choć go nie puszczano, jak wąż się z pośród gromady parobków wywinął i do koni uciekł. Chciano go ścigać, ale stary Jan nie pozwolił.

— Służbę niech szanuje, uszanują go ludzie! — rzekł.

Zaczęła się tedy uciecha, ogłuszająca traktament wrzawa. Według programu spojono Wawra, tak, że

go potem parobcy na ręce wzięli i do chaty odnieśli późnym wieczorem.

Nazajutrz już wytrzeźwiony do Szwedasów rano poszedł. Pogorzel jeszcze dymiła, a gospodarze nad stratą biadali, popioły zostały z wonnego siana, budowli nie mieli zaco postawić. Siostra opowiedziała mu to z płaczem, bo mężczyźni do roboty z kosami poszli, nie chcąc na zgliszcza patrzeć. Chwilę z nią pogądawszy, Wawer do kieszeni sięgnął i storublową asygnatę kobiecie za gorset wetknął:

— Weź to! — rzekł. — Chowaliśmy się razem, toć nie opuścimy w złej chwili. Nie dziękuj, Barbikie! Cobym ja za brat był, żebym, mogąc, was nie poratował!...

Ucałował ją i odszedł, przeprowadzony błogosławieństwem.

O południu Szwedasy do niego przybiegli na Bubie, gdzie robocie Krystofa się przyglądał. Uściskali go, jak dobrodzieja.

— Teraz ty nas, jak swoich parobków, używaj! Czy do zwózki, czy do orania, czy do ciesielki! — wołał szwagier uradowany.

Wieczorem już cała wieś o tem wiedziała. Dowiedział się też Rufin od Rozalki i triumfująco się uśmiechnął:

— A nie mówiłem ci, że hulanki jego to tylko szum z wiosennych wód, a pod spodem, jak krynica, dusza? A nie mówiłem ci, że, jak odejdzie nas, to jakby wieś skarb straciła? Pytałaś ty, co on przyniósł. Oj, dużo, dużo! On jeden to wszystko w sobie nosi, co piszą te książki, co je, życie ważąc, wprowadzamy do chat. Nosi on rozum i doświadczenie i młode, żywe myśli, które w każdej naszej głowie się lęgną, a potem marnieją, codziennemi troskami i ciemnotą zabite.

U niego one porosły i wybujały i zły to dzień będzie, gdy on je znowu z sobą zabierze dla Niemców.

Rozalka zamyślona milczała chwilę.

— Mógłby go ojciec zatrzymać! — rzekła wreszcie.

— Nie! On nie dziecko, jeno mąż! Nie zatrzyma go nic, chyba ta ziemia doń zagada, chyba ten szary proch z pod stóp. Chyba cudowne wody, chyba złote pola! A więcej nic, bo on tam wszystko ma! Litościwy on, a ziemia nasza, jak żebraczka, tylko się głośno nie skarży, więc bardzo ją umiłować trzeba, aby szept dosłyszeć, biedę pojąć...

Jak był zwykł, zapomniał, że mówi do chłopskiej dziewczyny. Marzył głośno.

Rozalka głowę ręką podparła i słuchała nabożnie. Nauczyła się go rozumieć, wykształciła się w tem poważnem myśleniu.

Na dworze zmierzchało, przez otwarte okienko dalekie pieśni i wsi ludnej odgłosy płynęły do samotni kaleki.

Rufin umilkł i po chwili zadumy innym się głosem odezwał:

— Byłaś w Ugianach niedawno?

— Byłam. Co roku chodzę.

— A pięknie tam zawsze?

— Pięknie i wesoło. Kościół odnowiono i obraz wśród białych ścian jaśnieje.

— Chodziłem i ja kiedyś. Dubissa w dole płynie, a z góry sto strumyków do niej bieży. Z cudownej Krynicy źródełko, jak łza, czyste, i Chrystus się w niem z ołtarza przegląda. Kto tej się wody napije, bólów zapomina.

— Przyniosę ci tej wody, jak drugi raz pójdę!

— Przynieś, a tymczasem zaśpiewaj mi co! Ciężko śpiewać zawsze samemu.

Rozalka nie dała się prosić i wiatrom wieczornym rzuciła tęskną nutę:

O dajnos, dajniales
Justik taj man wienas,
Galet nuramintie,
Ir pasaldiunt dienas.

O piosenki, piosenki,
Jedyne wy moje
Smutku pocieszycielki
I duszne napoje.

Na dworze zaszeleściało i w okienku cień stanął.

Rufin oczy podniósł, dziewczyna nagle śpiew urwała.

— Pochwalony Jezus! — rozległ się głos Wawra.

— Na wieki! — rzeźbiarz odpowiedział.

Idę drogą, aż tu u ciebie śpiewy! Gościa masz.

— Rozalkę.

— Toć znam głos i o nikim innym nie myślałem. Tylkoś ty, Rufin, ciemięga! Żeby do mnie dziewczyna o zmroku przyszła, siedziałbym bliżej niej!

— Boby do ciebie z miłości przyszła, a do mnie z ulitowania. Wie ona, że jej nie spłoszę, jak ptaszka, co mi nad oknem śpiewa. Wejdź, proszę!

— A nie wypada, bo ten ptaszek twój już śpiewać przestał, a gdy wejdę, precz odleci. Nie chcę wam przeszkadzać i w dwóch słowach interes załatwię. Ojciec o kapliczkę pyta, czy zaś gotowa?

— Bezmała czego. Wejdź, zobacz swego patrona!

Wawer nareszcie usłuchał.

Rufin zapalił lampkę i figurkę drewnianą ze stołu do światła podniósł. Cienko była rzeźbiona i wykończona.

Karewis pochylił się nad nią i uważnie przyglądał.

— Co on w ręku trzyma, mój święty? — spytał.

— A ruszt.

— Naco?

— Bo go na rozpalonym rozciągnięto i tam duszę wyzionął za wiarę. Tak z nim, jak królowie z koroną, do nieba poszedł i tak go przedstawiają na wizerunkach.

Wawer spoważniał.

— Gorącą miał duszę, gdy jej ten ogień nie spalił.

— Gorącą! — kaleka powtórzył zamyślony. — Takie moce, co człowieka w mękach nawet nad wszystko przenoszą, od Boga dwie tylko dane. Tać wiara jest święta, co go ze świętymi równa, i to do ziemi swej umiłowanie, co go wśród ludzi dziedzicem czyni. Od świata zaczątku za te klejnoty swe dwa ludzie konali, a za nic więcej, bo do śmierci zapamiętania nic innego nie doprowadzi. A tak Bóg mądrze ustanowił, że za to dwoje ciągle bojować trzeba, i tak będzie, aż świat się skończy, bo w bojowaniu bohatery rosną, a miłowanie, im więcej bólów przechodzi, temci człowiekowi milsze i droższe i chlubniejsze!

Pochylony nad stołem Wawer, od figurki męczennika oczu nie odrywając, słuchał.

Widziała Rozalka, jak twarz jego swawolną i drwiącą powlokła niby chmura, a bystre oczy, jakby się w głąb cofnęły i zamyślone w duszę zaglądały, a nie widziały zewnętrznego świata.

— Wiara, jako ojciec, co uczy i prowadzi, a ziemia, jako matka, kocha i pieści, choć często płacze! — ozwała się cicho, nieśmiało.

Wawer ocknął się z zamyślenia. Figurkę na stole złożył i głową potrząsnął.

— Mało już ludzi tak myśli na świecie, jak wy, Rufinie! Dwanaście lat przeszło mi w wędrówkach po całej ziemi, a nie słyszałem takiej mowy.

— Bo z bólów takich nikt się nie chełpi, a gdy je wymówić musi, to do kościoła idzie. Tak ci te bóle święte są i ciche, a szanowne! Ale są i poruszają

wnętrzności, bo, gdyby Bóg się na nas rozgniewał i kazał z dusz tym dwom mocom wyjść, toby już ludzi nie było — ino zwierzęta.

— Siła zmian tutaj się porobiło. Dawniej nikt tak nie myślał, anim ja słyszał coś podobnego.

— Jakże to? A my-że nie ludzie? — Rufin żywo przerwał. — Nie dziedzice my tej ziemi, co naszych ojców piersiami i krwią od Krzyżaków sto razy była zasłaniana? Nie kupili my obywatelstwa na niej i krwią i łzami i potem, nie szlachta my i nie rycerze? Ziemia taka, co jej krwią nie umierzwią i kośćmi nie wybrukują, rodzi piołuny gorzkie, a nasza nam rodzi dąbrowy i zboża i lny. Tyś ta książek nie czytał, w których nasze dyplomy i herby zapisane stoją, wszystkie od wieków, nie rachowałeś fundamentów naszych kamieni! A mocne one, kiedy nas strzymały na miejscu, choć tyle razy świat się trząsł. W książkach historja cała stoi i wstydby był, żeby nas nie zapisała w dziedzictwie tej ziemi, żebyśmy ojców pamięci w bojowaniu i chwale zapomnieli. Nie na to nas ta matka zrodziła i pohodowała, byśmy ją, starą, obcym rzucili, a sami precz odbiegli!...

I znowu, porwany marzeniem swojem, kaleka nie do Wawra mówił, ale jakby do złej mocy znękania i niewiary. Zda się, rósł i, zamiast kaleczej postaci, miał wzrost olbrzyma i skrzydła u ramion. Wzrok mu pałał, usta drżały, a chude ręce wyciągały się do okna, poza którem go ta ziemia słuchała, skąd Piłkalnis na ciemnem niebie nocy widać było — dziedzictwa tego pieczęć starodawną...

Wawrowi krew żywa nabiegła do skroni, poczuł w piersi nieokreślony ból i drżenie, jakby w wielkim dzwonie, co na żywot cały parę razy tylko uderza, za-

trzepotało się ptaszę zbłąkane, trwożne. A Rufin się zakaszlał, zmęczony, i znowu mówił:

— A ot, za wsią Kirszniawa płynie. Płynęła i wtedy, gdy naszych ojców głowy pod wodą chrztu się chyliły. A gdyby ta rzeka głos miała, toby i ona zaświadczyła, że, jako nam wtedy, ciemnym poganom, białą szatę wiary włożono, tak się ona na duszach została, bez plamy i bez sromu, całodziana. A tak ją nosimy w chlubie i dumni, bośmy już i za nią cierpieli. A skarb taki, co go człowiek życiem zasłaniał i dla żadnej pokusy nie oddał, jest nam, jako ten ruszt św. Wawrzyńca, jako to drzewo, u którego św. Sebastjan, wsi naszej patron, skonał. My ta z wiarą swoją, choć jak mrówki marne, choć, jak pyły szare, niewidoczni na ziemi, pójdziemy do nieba i do świętych tych kompanij!

Milczący Wawer słuchał. Słuchał jeszcze, gdy rzeźbiarz skończył i, wyczerpany, głowę na splecione na stole ramiona położył.

W tejże chwili za oknem śpiew się rozległ. Śpiewał bratanek księdza, uczeń młody na wakacjach, idąc samotnie do dworu, gdzie wieczory spędzał.

Litwinem mnie dzieckiem nazwano,
Litwinem mnie śmierć zabierze:
Sławą mi jest to miano,
Sławą to z ziemią przymierze...

Wawer się poruszył, ale nic rzec nie potrafił. Ani zaprzeczyć nie mógł, ani potwierdzić nie śmiał.

Spojrzał na Rufina i, nie żegnając go, wyszedł z izby.

O Rozalce zupełnie zapomniał.

I tej nocy zaledwie nad ranem do domu wrócił, ale nie widziały go puste dziewczęta i oberża.

Niewiadomo, gdzie chodził...

VII.

Pewnej niedzieli po nabożeństwie nastąpiło poświęcenie kapliczki Karewisów. W przeddzień ustawiono ją u źródełka, na granicy ich posiadłości nowej. Zdaleka biła w oczy, taka była świeżutka, biała, smukła. Za szkłem ustawiono też figurki świętych patronów w jaskrawo malowanych szatkach. Zachwycano się robotą Rufina. On sam nie był na miejscu. Daleki to był kurs dla jego nóg połamanych, a zbiorowisk ludzkich ze wstydliwą nieśmiałością unikał, jakby oczu zdrowych widokiem swego kalectwa nie chciał urażać. W niedzielę jednak zawlókł się do kościoła, a gdy po mszy proboszcz w komży tylko, poprzedzony przez chłopaka z krzyżem i organistę ze święconą wodą, wyszedł z ludem, co go wnet ogarnął i towarzyszył ku wsi, rzeźbiarz pod ścianę się usunął i tylko ze smutnym uśmiechem za gromadą tą okiem pogonił, zcicha ich pieśni wtórując:

Codzień z rana
Rozśpiewana,
Chwal, o duszo, Maryję.
Cześć Jej świątkom,
Cześć pamiątkom,
Codzień w niebo niech bije!

Już za bramą byli, gdy się z tłumu jeden oddzielił, obejrzał i powrócił. Wawer to był.

— A ty, Rufin, nie z nami? — zawołał.

— Z wami, ale tylko duszą. Nie kłopocz się mną, bracie! Nie zaniosą mnie kule tak daleko!

— Jakże ma być bez ciebie ten obrządek? Nigdy! Nie zaniosą cię kule, to ja zaniosę. Nawet się nie spieraj, a chodź!

Ramieniem go otoczył i poprowadził powoli i ostrożnie, omijając kamienie i wyboje, podtrzymując na spadzistości drogi.

— Nic się nie lękaj że mną! — mówił, uśmiechając się doń.

— Jakiś ty poczciwy, Wawer! Wspomniałeś mnie!

— A nie ja, trza prawdę rzec, ale Rozalka. Obejrzała się ona pierwsza i powiada: „Rufinby się cieszył, widząc, jak jego robotę ksiądz święci i ludzie podziwiają!“ Więc ja się wtedy zawróciłem po ciebie.

— Bóg wam zapłać obojgu!

Dopędzili korowód wolno idący; wtedy Jurgis Szwedas kalekę pod drugie ramię wziął, inni się rozstąpili, aż do księdza im miejsce czyniąc. Szedł tedy i Rufin z odkrytą głową, której włos, mimo młodości, już srebrem przetkany, polny wiatr całował, a słońce osobliwie złociło. Szedł, a rzewność smętną miał w twarzy, łzy w oczach.

Proboszcz u krynicy modlitwę odczytał, krzyżem to pole całe przeżegnał i święconą wodą poznaczył. Potem i kapliczkę pobłogosławił, a wreszcie, łacińskie modły ukończywszy, po żmujdzku: „Pod Twoją obronę“ zaintonował. A wtedy tłum na klęczkach do ziemi przypadł, głowy, jak łan zboża, pochylił, i ze stu piersi prośba biegła, łkała, żaliła się sinym niebiosom.

Potem powstali wszyscy, a ksiądz komżę i stułę słudze oddał i z nimi się zmieszał, o sprawach różnych i troskach gwarząc. Tak wracali do wsi, a już u zawrotu Jan Karewis pokornie go za kolana objął i nieśmiało na wieczór do zagrody prosił, gdzie z racji tego poświęcenia roli biesiada ma być i gościna. Zdaleka

Piotr i Andrzej i kobiety czekały niespokojnie odpowiedzi, aż proboszcz potakująco głową skinął, a oni z radości i dumy aż wyrośli.

Rufin za księdzem ku chatynie swej się skierował, ale go Wawer nie puścił i pół gwałtem ku chacie ojcowskiej poprowadził.

— Nie zrobisz ta nam ujmy! — prosił. — Gościny naszej nie odmówisz, chlebem nie pogardzisz.

— Na co ja między biesiadnikami? Będzie wam przykro na mnie patrzeć, uciechę wam popsuję! — opierał się biedny odludek.

— Będzie nam honor i cześć. Głupi, kto przez twe kalectwo duszy nie dopatrzy! Nie wiem, jak komu, ale tyś mi między biesiadnikami najpierwszy!

Ale i Jan stary, kalekę dostrzegłszy, naprzeciw niego wyszedł, głowę odkrył i do chaty sam wprowadził, a synowie posadzili go na przedniem miejscu, okazując uwagę i szacunek.

Podwórze i chata gości pełne były. Starzy pod dachem siedzieli, fajki paląc i poważnie rozprawiając, młodzież na dworze w gry różne się zabawiała.

Więc naprzód w „spitra“ (ślepca) grali. Szlugurisowi oczy zawiązano; posadzono wśród podwórza. Chłopaki przebiegali koło niego, skubiąc, a on pytką na chybił trafił machał, chcąc kogoś dosięgnąć.

Potem Jurgis „cigona“ przedstawiał, koziołki i dziwaczne skoki wyprawiając, wśród śmiechów i żartów. Potem Wawer z Krystofem za bary się wzięli, sił próbując, i z pół godziny się mocowali, zanim wreszcie Wawer Jodasa jak gruszkę o ziemię grzmotnął, a potem pocałował. Chłopcy dziewczętom zagadki dawali i wesołość rosła, ogarniając najpowolniejszych. Wreszcie pomęczeni od swawoli i śmiechu, murawę ogródka obsiedli i nuż sobie bajki opowiadać.

Wtedy do Rozalki wszyscy się zwrócili, bo ona najpiękniejsze umiała. Dziewczyna, jak zwykle, najcichszej i najpoważniej się zachowywała. Ubrana odświętnie, może najubożej, ale zgrabnie i schludnie w granatowej spódniczce i takimże gorsecie, w śnieżnej koszuli, wyróżniała się tym swoim powściągliwym, skromnym układem, z pośród rozbawionych swawolnych rówieśnic. Przysiadało się do niej chłopców sporo. Jurgis i Antanas Brodacz i Bakutisa synowiec. Ona odpowiadała grzecznie, ale spokojnie, wciąż siostrzeńca małego pieszcząc, który jej medaliki i wstążki na szyi szarpał, po rutę w warkoczu rączęta wyciągał i coś niezrozumiale bełkotał.

Wawer snać urazę w sercu chował, bo jej nie zaczepiał. Czuła to i aż przykry jej był ten jego żal i gniew. Teraz ona ukradkiem na niego spoglądała niekiedy. Ładny był chłopiec, śmiały, w języku i pięści najsprawniejszy. Od opalenizny jeszcze szramy po rękach i twarzy miał, a głowę nosił dumnie i zuchwale, jakby jej wartość czuł...

Ostatni na zabawę zjawił się Krystof. Zdaleka gdy się ukazał, zgarbiony, posępny, z fajką w zębach, wzrok utkwiwszy w ziemię, dziewczęta poczęły go sobie palcami pokazywać i drwić. Magdalenka w naśmiewaniu się tem prym trzymała. Śmiech wybuchnął ogromny, gdy Jodas zamyślony o furtkę się zaczepił i omal nie upadł.

— Powinniście, Krystof, z dzwonkiem chodzić, żeby wam ludzie z drogi ustępowali, albo psa na sznurku wodzić, by wam pokazywał gościniec! — Szwedasówna szydziła.

Za całą odpowiedź splunął tylko.

— Pewnie cię taki namysł trapi wedle wesela! — drażniła dalej. — Nie turbuj się, pomyślą za ciebie.

Ujęła się pod boki i zaśpiewała:

Przyszedł meszka
Z beczką alus
Wilczykowi niebożęciu
Sprawić wesele.
Jeż jest drużbą,
Lis tam swatem,
A zajączek nieboraczek
Musi ciągnąć wóz.

Jodas po raz drugi splunął.

Wawer do Jurgisa się przechylił i coś szepnął, a ten wnet na siostrę krzyknął:

— Nikt cię wesela śpiewać nie prosił. Swojego nosa pilnuj!

Magdalenka może się bała brata, a może zlękła dzikich oczu Krystofa — zmilkła.

Zabawa poszła swym trybem. Rozalka, zagabywana o bajki, wymawiała się:

— Kiedy Rufin niedaleko, jakżebym ja prawić miała. Toć co umiem, to od niego!

Ruszono do chaty po rzeźbiarza, przyprowadzono z triumfem i posadzono wśród młodzieży, wśród wiszeń dojrzewających i krasnych kwiatów. Ale i on nie miał ochoty do opowieści. Rozalce przy warsztacie opowiadał skoro, tutaj wobec tylu ludzi nieswój się czuł i onieśmielony.

Rozmowa zeszła na strachy i upiory i coraz to straszniejsze historje prawiono.

Zaprzysięgał Szluguris, że gdy raz konno nocą przez las jechał, oberwała się, nie wiedzieć skąd, płachta szara i spadła mu na plecy, a koń go uniósł. Przytem coś jęczało okropnie...

— Do mnie raz na pastwisku staruszek maleńki, czerwono odziany, przyszedł — opowiadał starszy Szwedas. — Jesienią to było i już chłodno, więc ogni-

sko paliłem i trochę zadrzemałem. Otwieram oczy, aż naprzeciw mnie on stoi i ręce do żaru wyciąga, jakby się grzał. Takci i nogi potem w ogień kładł, a potem sobie węgiel jeden do gęby włożył i zniknął.

— Opowiadał mi nieboszczyk ojciec — rzekł Bakutis — jako raz, blisko kopca orząc, ostrogę staroświecką wykopał i z sobą do domu przyniósł. Ale tejże nocy przyszedł do niego zamkniętemi drzwiami wojak okrutnie wielki, cały żelazny, i powiada: „Oddaj, coś mego wziął! Rynsztunku swego pilnuję, żeby, jak nas pobudzą, stanąć w ordynku, a tyś mnie okradł! Oddaj zaraz, bo nie daruję.“ Takci ojciec zaraz rankiem ostrogę odniósł, skąd wziął, i mszę świętą zakupił i potem już spokój miał.

Wawer, na uboczu siedząc i cygaro paląc, wzgardliwie się uśmiechał.

— Brednie to i banialuki! — zawołał. — Jako żywo, strachów ni duchów nijakich niema. Kto raz umarł, to już leży i o świat nie dba! Sny to bywają, mamidła, gorączka, albo pijaństwo!

— Gadaj zdrów! — oburzył się Bakutis. — A ty sam nie poszedłbyś na Piłkalnis trzeciego dnia nowiu o północy...

— Czemubym nie poszedł?

— Boby ci kark skręciło, jak kiedyś szewcowi Grejcziusowi.

— Albo to prawda?

Ot, jeszcze co? Albo to takie stare czasy? Stryj mój toć widział na własne oczy.

— Jakże to było?

— Niech-ta stryj sam opowie, kiedy nam wiary nie dajesz!

Skoczył parobczak do izby i wnet starego Bakutisa przywiódł.

— Niech-ta stryj Wawrowi rozpowie, jak to ongi z Grejeziusem na Piłkalnisie złe się obeszło.

— A cóż, kark mu skręciło, że sobie na pięty patrzał po śmierci!

— Żartujecie, gospodarzu! — Wawer zaprzeczył, rozciekawiony, traktując włościanina cygarem.

— Jakto żartuję! Toć świadków wiele jeszcze żyje. Grejezius wędrowny szewc był, trochę pałkę zalewał. Wydało się potem, że kontrabandą się zabawiał, ale tegoby po nim nikt nie odgadł. W Karewiszkach bywało miesiące siedzi, nim całą wieś na zimę obuje. Tak-ci też było owej jesieni. Przyszedł, u mnie się rozgościł ze swym warsztatem. W chacie, wiadomo, na jesieni, kobiety na prządki się zbierały wieczorami i bajały różne dziwa. Tak-ci rozmowa na Piłkalnis raz przyszła. Jest-ci ta studnia na szczycie, powiadają, że, kto na trzeci dzień nowiu o północy tam stanie, ino sam, i trzy razy: „jestem“, powie, to się ta studnia przed nim roztworzy, pokażą się złote schody i dwie stare wiedźmy prowadzą śmiałka pod ziemię...

— Żeby choć ładne dziewczęta! — Wawer żartował.

— Poczekaj ino! Na dnie samym pałac jest ze złota i diamentów, a w nim królewna. Powiadają, że raz się trafił taki śmiałek, co tego wszystkiego, co mówię, dokonał i przed królewną stanął. A cudnej była piękności i, wdzięcznie na chłopca patrząc, powiada: „Ulituj się nademną i czar zdejm, a i siebie tobie oddam i te skarby i królestwo olbrzymie!“ — „A cóż mam czynić?“ — prawi parobczak. — „Musisz przedemną wszystkie moje ciotki pocałować.“ A wtem, na to słowo, poczęły z różnych kątów wypełzać gadziny, stonogi, pająki, ropuchy, nietoperze, pijawki, obrzydliwe żuki. Chłopiec w nogi, a królewna, płacząc, zatrzymuje go

i tak błaga i zaklina, że wreszcie przemógł się i zgodził na ofiarę. Pocałował każdą zkolei, a co jej buziaka da, to z niej skóra potworna opada i w staruszkę się zmienia. Takci wszystkie przeszedł, aż ostatnia wyłazi żaba, cała kleista i cuchnąca, wielka, jak wół, oblepiona szlamem, z gębą pełną robactwa. Wtedy już go odwaga odstąpiła, odwrócił się i splunął. A ot, nim słowo rzec, zaczął się pałac walić, stare znowu przedzierzgnęły się w potwory, królewna zapłakała gorzko, a śmiałka coś porwało za włosy i rzuciło przez powietrze, jak kamień. Wtedy go przytomność odbiegła, a gdy się ocucił, leżał w rowie pod kurhanem — sam jeden. Od tej pory sechł i niknął, nie doczekał miesiąca, aż umarł!...

— Ot, głupi! — rzekł Wawer. — Jabym, zamiast te straszydła całować, tobym wnet je pozabijał, a królewnę dopiero pocałował ogniście.

Bakutis pobłażliwie na tę przechwałkę się uśmiechnął.

— Gadał tak i Grejczius, kobiecych baśni słuchając, a raz, dobrze cięty, powiada: „O, dziś nów i trzeci dzień właśnie. Doczekam się północy i szczęścia spróbuję. Bóg szewców lubi, to mi dopomoże. Jednakowoż w kawalerskim stanie dotąd przebyłem, czas mi się za niewiastą obejrzeć, wezmę sobie odrazu królewnę!“ Tak się przechwalał, a my się śmiali, nigdy na serjo tego nie biorąc. Potem noc zaszła, szewca do karczmy korciło, zabrał się, poszedł i długo nie wracał. Dokuczyło mi czekać, myślę, pijak głowę stracił, prześpi się w szynkowni na ławie. Zamknąłem sień i położyłem się, światło zgasiwszy. Rankiem konie do pługa założyłem i w pole poszedłem. Jesień to była i późne słońce. Pamiętam, jak dziś, pod ziemniaki łamałem rolę. Koło kurhanu, za Jodasowem, moje pole leży. Przeszły konie raz i na zawrocie zachrapały dziko, prze-

szły drugi raz i dęba stanęły w temże miejscu. Żegnam się i zaglądam w fosę, aż tam coś leży wielkiego. Podchodzę bliżej, człowiek; trącam go kijem, potem nogą: ani drgnie. Piersiami do ziemi leżał, a twarz miał aż na ramię wykrzywioną. O Jezu! Grejczius, czy co? Porywam go za ramiona, trzęsę, a ta głowa, to tu, to tam, niby dzwon się kołacze. Takci na skórze tylko się trzymała. Jakem w twarz spojrzał, tom nieludzkim głosem krzyknął, a włosy mi stanęły na głowie: była to twarz do ludzkiej niepodobna, umazana krwią i błotem, z językiem wypadłym, a oczami w słup stojącemi. Rzuciłem trupa w kałużę krwi, co mu się gardłem wytoczyła; rzuciłem konie i, jak warjat, uciekałem, i z początku w gminie to mnie nikt zrozumieć nie mógł. Zdziwili się ludzie, straż, policja, cała wieś. Uprzątnęli go i śledztwo okrutne poszło. Wodzili mnie po sądach, trzęśli kraj cały, trupa nawet z grobu wydobywali i krajali. Kurhan też obszukali starannie, studnię odwalili, trzymali po więzieniach moc ludzi, a cały ten kram niczem się skończył, bo i kto od umarłego czego się dowie, albo nocne moce złe zwojuje! Nie daj, Boże, je spotkać, a broń, Boże, zaczepić!

Po zgromadzeniu jakby zgroza przeszła. Milczeli wszyscy, dziewczęta żegnały się trwożnie. Tylko Rufin był spokojny i Rozalka. Rzeźbiarz nisko głowę skłonił i chudemi palcami kwiatki w murawie gładził i muskał; dziewczyna na ów straszny Piłkalnis, rysujący się wdali, zamyślone oczy wlepiła.

A wtem milczenie Wawer przerwał.

— Nie zła moc, ale ludzie tego szewca ubili! — rzekł.

— Poco? Biedny był i z nikim sporu nie miał.

Kto to wie...? Niby to biednych nie mordują. Może co wiedział niepotrzebnego, przeszkadzał komu... Różnie się trafia na świecie.

Niechta będzie, co chce, ale jabym za nijakie skarby na Piłkalnis nocą nie poszedł! — zdecydował, wstrząsając się, Antoni.

— Ani ja! — powtórzył Brodacz.

— Ani ja! — dodał Szluguris.

Reszta milczała, ale znać było, że nie inaczej myśli. A Rufin głowę podniósł i głuchym swym głosem powoli i cicho się odezwał:

— Słyszałem ci ja inną bajkę o tym kurhanie naszym...

Zwrócili się wszyscy do niego, jakby uwolnieni z pod ciężkiej zmory, a on, wciąż kwiatki pieszcząc, tak mówił:

— Niema tam pod spodem ni pałacu, ni królewny. Za dawnych czasów bojowały wielkie moce o tę ziemię naszą i nijakiej zgody nie było. Więc wziął Bóg ze strony prawej małego karzełka, a ze strony nieprawej najtęższego olbrzyma i pod tą górą ich zamknął i kazał im ze sobą wojować, a na ziemi tymczasem niby ucichło i czekają moce inne. Więc karzełek kowadło sobie zbudował i wciąż na niem miecz kuje, a co ukuje, to olbrzymowi próbować daje, a olbrzym wciąż go łamie. I taka od wieków niestrudzona robota idzie: ni karzełek nie ustaje, ni olbrzym. Ale taki czas przyjdzie, że ten maleńki kowal miecz zahartuje nad siłę tego wielkiego większy, a wtedy odmieni się wszystko na ziemi, i wszystko, co uciemiężone i małe, nad światem zapanuje!

— I my zapanujemy? — spytał Jurgis Szwedas.

— I my, bośmy owego karzełka może wnuki — Rufin z uśmiechem łagodnym potwierdził.

— Zapanujemy właśnie krukom na szubienicy, albo robakom w grobie! — ponuro i szyderczo Krystof się odezwał.

— Wstydziłbyś się tak gadać! — upomniała go Rozalka.

Spojrzał na nią, jak wilk.

— Ty to mi wstydem oczu nie wycieraj, głupia! — burknął.

— Ty to bardzo rozumny! — zawołała Magdalenka.

— U ciebie mózgu nie kupowałem.

— Myślisz, żebym dała? Nie wiedziałbyś, co z nim zrobić.

— Jak pora przyjdzie, to pokażę!

— Wolelibyście się o buziaki targować, niż o rozum! — zaśmiał się Wawer.

— A nie pozwolę, bom już wszystkie kupił! — swawolnie Szluguris zaprzeczył.

Zaczęli się spierać, żartować, gonić po ogródku. reszta też rozruszała się i rozchmurzyła. Na murawie Rufin z Rozalką pozostał, bo Bakutis na uciechę młodzieży chwilę popatrzał i do chaty wrócił, gdzie wśród starszych kobiet siedziała wdowa młoda, do której na jesieni swaty myślał słać.

A wtem wrótka skrzypnęły i na podwórze wszedł gość rzadki, stary Szwedas. Człek to był drobnego wzrostu, ale żylasty, szerokich pleców i ramion potężnych, chudy przytem i żółty na twarzy. Ubierał się zawsze jednako, staroświecką modą, w sukmanę siną o stu fałdach, na piersi miał dużo szkaplerzy i różaniec z bukszpanu. Głowę miał łysą, a twarz golił starannie, co mu nadawało wygląd kościelnego sługi. Pozór mylił, bo Szwedas i w kościele i w chacie swojej rzadko bywał. Gospodarkę na dwóch synów zdał, a sam fur-

manił. Miał parę koni i drabiak, który szeroko znano; jeździł po piwo i wódkę dla Butkisa, po żelazo i sól dla dworu, najmował się do dostaw i drobnych nawet posyłek, bezmała rok cały na wozie spędzał, nie bojąc się ani odległości, ani zimy, ani nocy... Małomówny był i nigdy się nie śmiał, ale w lot interes każdy pojął, załatwił, a taką miał opinję uczciwości, że wielkie pieniądze mu powierzano, posyłano w najważniejszych sprawach. We wsi był osobą poważną i szanowaną; to też gdy na podwórzu Karewisów niespodzianie pojawił się, gospodarz z synami naprzeciw niego wyszli, i choć krewny im był i swojak, witali niemal jak pana. On też chętnie do chaty wszedł na biesiadę, a przechodząc pod płotem ogródka, Rufina zoczył i pozdrowił. Nic więcej nie rzekł i dalej Karewisom na pytania, skąd jedzie, odpowiadał, ale rzeźbiarz zaraz wstał, wstała też i Rozalka.

— Trzeba iść! — zcicha wymówił.

— Pójdźmy! — odparła podobnież.

Kule mu podała i, korzystając, że młodzież opodal Gedrajtysa muzykanta obstąpiła, wymknęli się oboje na drogę.

— Zostań się, Rozalko, toć tańce się gotują! — mówił.

— Albo mnie tańce w głowie? Nie dlategoście mnie oświecili, żebym podobną innym była...

— Oświeciłem cię, ale nie po to, byś marniała. Służba święta swoje prawa ma, a lata młode swoje. Zamąż ci pora!

— W chacie mój warsztat stoi. Nie od tańca mnie wezmą, ale od roboty. Nie lubię pustej swawoli.

— Szwedas cię nikomu nie da, tylko dla syna chowa!

— Nie Szwedasa, ale moja wola się stanie! — hardo odpowiedziała.

— Chciałbym cię za życia szczęśliwą i spokojną zobaczyć! Do chaty twego męża zawlokłyby mnie kule, a oczybym uradował i duszę...

Żałośnie, choć się uśmiechał, głos jego brzmiał.

— Poco śmierć wspominacie? Nie pora wam umierać!

— *Giltina* (bogini śmierci) nie patrzy w zęby! — spokojnie odparł.

Za nimi, w zagrodzie Karewisów, skrzypki się rozległy i wesołe okrzyki. Rzeczywista zabawa dopiero się poczynała, potrwa długo w noc — bez nich!...

VIII.

Stanęły zręby zagrody na Bubiach.

Pewnego wieczora Wawer z Krystofem ku wsi od roboty szedł, siekierę na ramieniu niosąc. Od niejakiego czasu, zniecierpliwiony powolnością roboty, zaczął Jodasowi pomagać, ucząc się ciosać niby przez zabawę. Stary ojciec przychodził często i, chwaląc go, pokazywał sposoby różne.

Listy ze Szczecina stawały się coraz natarczywsze, wzywały go do powrotu.

Już dwa miesiące ubiegło, już kończono żniwa, a jego ten dom zaczęty i obietnica, dana ojcu, trzymała w Karewiszkach. O tej mitrędze opowiadał Krystofowi właśnie.

— Będzie mi, będzie od pana Matschkego! — mówił, czupryne markotnie trąc. — Na tydzień, dwa urlop wziąłem, a miesiące siedzę.

— Napanujesz się jeszcze dowoli.

— To pewnie, ale i narzeczona nudzi po mnie!

— Wierzysz w kobiecą naturę? Byle gach ją pocieszy!...

— Ty wszystkie wedle Magdalenki cenisz.

—Jednakie one!

— Będziesz do Szwedasów swaty słał?

— Będę.

— A Szluguris?

— Szwedas musi ją mnie dać.

— Lubisz ją tak bardzo?

— Chcę mieć. Poniewierała ona mnie siła, oddam jej za wszystko!

— Toci osobliwa twoja natura! Przecie jej bić nie będziesz, jak żoną zostanie.

Jodas nie odpowiedział, ale znać było, że złe ma myśli pod twardą, zaciętą czaszką.

Wieczór późny był i pogodny. Za Piłkalnisem już tylko pamięć słońca została w kilku czerwonych smugach. Po czystych, bezchmurnych niebiosach Wawer oczami powiódł.

— Pogoda będzie jutro, wcześnie się księżyc wysunął... a taki jasny, choć mały! — zauważył.

— Trzeci dzień, jak nów nastał! — odparł Krystof.

Doszli do jego chaty.

— Wstąpisz może? — zaproponował.

— Z miłą chęcią.

Znaleźli się w izbie pustej.

— Rozalki niema? — zagadnął Wawer, po kątach spozierając.

— Niema! — odburknął Krystof. — Do miasteczka motki do farby poniosła. Wróci niebawem.

Usiedli. Biały kotek dziewczyny przyszedł do Karewisa i na kolanach mu się ułożył. Jodas we włosy dłonie wsunął i rozparty, w ziemię patrzał. Rozmawiali o tem i o owem czas jakiś. Wawer widocznie powrotu Rozalki nadczekiwał, ale ściemniało zupełnie, a jej nie było. Wreszcie wstał i gospodarza pożegnał.

— Spóźnia się siostra twoja! — zauważył już na drodze.

— Licho jej nie weźmie! Może zanocuje w miasteczku.

Wawer wdal na drogę spojrzał — pusta była. Poszedł powoli ku chacie, rozmyślając, gdzie się zabawi dzisiaj.

— Trzecia noc po nowiu, straszna noc! — pomyślał, uśmiechając się.

Wyjął zegarek — wskazywał wpół do dziesiątej. Za parę godzin można dziwy zobaczyć na Piłkalnisie, a w każdym razie zabobonnym chłopom dowieść, w jakie brednie wierzą. Zachciało mu się bardzo tej wyprawy.

Zaszedł na chwilę do chaty i rewolwer swój do kieszeni włożył, potem za wieczerzę podziękował i do Butkisa poszedł.

W gospodzie kilku nieznajomych podróżnych drzemało w kącie. Szynkarz z chłopami o procesach gadał. Nie było zresztą nikogo z kolegów zabawy.

Wawer piwa sobie kazał podać i z procesowiczami wdał się w długą rozmowę o ich pretensjach i sporach. Tak mu zeszła godzina. Znowu na zegarek spojrzał. Niewiele brakowało do północy. Wstał tedy, zapłacił za piwo i wyszedł.

Zrazu gwizdał cicho, kierując się zagonami i miedzami, bez drogi, na groźny cień kurhanu, potem ucichł i kroku zwolnił.

Pomimo odwagi, ten trup szewca ze skręconym karkiem plątał mu myśli i towarzyszył, jak zmora. Naturalnie, zamordowano go. Ale kto?

Stanął w fosie, może w tem samem miejscu, gdzie Grejcziusa Bakutis znalazł. Wzdrygnął się mimowoli. Nie był to jednak człowiek, coby w pół drogi zawracał. Ruszył dalej, ciągle fosą, upatrując w gęstwinie, pokrywającej stoki wzgórza, ścieżki lub szczeliny.

Cisza była, niczem niezakłócona. I wtem posłyszał Wawer gdzieś ponad sobą ludzkie głosy. Zatrzy-

mał się i, podniósłszy oczy, nasłuchiwał. Rozmawiano na kopcu, wyraźnie osób kilka, niczem się nie hamując, i rzecz dziwna, że jeden z głosów przypomniał mu Rozalkę.

— Tam do licha! — pomyślał. — Do duchów trzeba iść przebojem — do ludzi podkopem. Spróbujemy zajrzeć tym nietoperzom w oczy.

Już teraz nie myślał o zamordowanym szewcu, ani o baśniach, już nie chciał dać dowodu odwagi, ale był zajęty, zaciekawiony, żądny wytłómaczenia tajemnicy.

Przypadł do ziemi i bardzo powoli i ostrożnie począł się wdrapywać na stromą pochyłość, unikając poruszenia gałęzi, najmniejszego szmeru. Tak pełzł, jak kot dziki do upatrzonej zwierzyny. Coraz wyraźniej dochodziła go rozmowa, a raczej jeden głos brzmiał — nieznany mu. Nareszcie dotarł do odwiecznego dębu, co już stał na samym brzegu. Wtedy ostrożnie z za pnia głowę wychylił i patrzał niezmiernie zdumiony.

Przed nim znajdowało się czworo ludzi — trzech mężczyzn i kobieta.

Oczy Wawra rozwierały się coraz szerzej, słuchał, tamując oddech.

Mężczyzna jeden siedział, reszta stała. On jakby rozkazy wydawał, tamci słuchali, plecami do dębu zwróceni, tak, że tylko siedzącego widział dokładnie Wawer. Człek to był już stary — ubrany w samodział i długie buty. Szlachcic zagrodowy z pozoru.

— Młodość ma swoje przymioty, ma i błędy — usłyszał zaczajony dalszy ciąg mowy. — Odwagę i ofiarność! Tylko, że odwaga bywa często szaleństwem, a ofiarność poświęceniem często próżnem. Nie mówię tego do was, Karewis, jako zarzut, ale jako ostrzeże-

nie. Wydajecie się mnie dzieckiem, możeście od nas, starych, lepsi, szczęśliwsi! Poleciłem Szwedasowi i Rufinowi człowieka mi dać — wybrali was. Wielka to wam chluba, wielka odpowiedzialność. Rozumiecie mnie jasno?

Wawrowi się zdało, że człek na niego patrzał i jego pytał, i mimowoli zadrżał, ale wtem jeden ze słuchających obrócił się i parę kroków postąpił. Był to drobny i śniady koniucha dworski, braciszek jego najmłodszy — Marcinek. Zbliżył się do starego, w rękę go pocałował, a potem, jak żołnierz, się wyprostował.

— Rozumiem! — odparł stanowczo. — Nie bójcie się mego wzrostu i lat. Trzy razy na próbę biegłem do was, owe papiery niosąc. Za pierwszym razem tom nic nie pojmował i, jak po omacku, szedł. Za to mnie wzięto i bito; ale drugi raz jużem przejrzał i wiedział, co niosę, i jak powietrze, nie było po mnie śladu, a za trzecim razem tom całkiem zrozumiał rzecz i odtąd gotówem za tę sprawę nie skórę, ale głowę nałożyć. Zobaczycie!

— Uchowaj, Boże, podobnego nieszczęścia! Głowa twoja potrzebna ziemi i pilnować jej powinieneś. „Bądźcie chytrzy, jako wężowie“, powiada pismo. — I to ci powtarzam i zawsze powtarzać będę. Uklęknij teraz!

Marcinek ukląkł, a stary wstał, podniesioną jego rękę na książce starej położył i poddawał mu słowa:

— Ja, Marcin Karewis, za świadka mając Boga i tu obecnych, przysięgam, jako z duszą całą, myślą i siłami staję w służbę Szkaplerza żmujdzkiego na życie całe, ślubując sprawie swej wierność, starszym swoim posłuszeństwo, braciom swoim pomoc, ludziom obcym milczenie. Jeźlibym niewiernym się stał i zdradził,

ukaraj mnie, Boże nasz, ukarzcie mnie, ludzie, co te moje słowa słyszycie. Amen!

— Amen! — powtórzyły trzy głosy.

Stary chłopca z ziemi podniósł, szkaplerz czerwony mu na szyję włożył i, jak brata, ucałował. Pozostali uczynili to samo. Wówczas zobaczył ich i poznał Wawer.

Był to stary Szwedas i Rozalka..

— Co czynić każecie? — spytał Marcinek głosem uroczystym, dziwnym przy jego chłopięcej postaci.

— Będziesz słuchał dziewczyny tej, mądrej, a dobrej. Będziesz od niej ogniwem dalszem łańcucha — bardzo długiego, którego ja sam początku ni końca nie znam. Bóg z tobą, Karewisie młody! Może, w moich latach będąc, lepsze dni zobaczysz. Tymczasem, jak mrówka, pracuj, jak orzeł, myśl, a jak wąż, chytry bądź... Możesz odejść już!

— Pójdźmy! — szepnął Marcinek do Rozalki.

Ona zwróciła się do Szwedasa.

— Rufin mi kazał o nową przesyłkę się dowiedzieć, czy czego dla nas niema?

— Jest gazet cały worek. Pod kamień go wsunąłem, naprzeciw Wawrowej kapliczki, przy drodze — od północy. Znajdziesz?

— Znajdę. Rufin też wam pieniądze kazał wręczyć, ile zebrał przez ten czas. Przysłał mnie, bo u niego przed wieczorem dwuch z urzędu było, niby rzeźby oglądali. Ostrzec was polecił...

— Dobrze. Nie przyjdę do niego tedy, a jutro rano znowu jadę — pusty! W tamtą stronę!

Ręką ku zachodowi wskazał.

— Prędko będziecie znowu?

— Dopiero na odpust Szydłowski.

— Szczęść wam, Boże, i zdrowo odprowadź! Pochwalony Jezus!

— Na wieki. Amen!

Dziewczyna i Marcinek skłonili się i przeciwną stroną kurhanu poczęli schodzić.

Podniósł się też i nieznajomy.

— Czas i mnie! — rzekł. — Droga na stare nogi daleka.

— Podwiozę was! — Szwedas się ofiarował.

— By nas kto razem zobaczył? Pamiętacie, jak was przed trzema laty wzięli do więzienia i mnie pytali, czy znam Szwedasa i w jakich z nim jestem stosunkach! Znam, powiadam, ale co do stosunków, to w jakimże ja, obywatel, mogę być względem ciemnego, głupiego chłopa? Takem rzekł wtedy. A coby pomyśleli, żebym nocą z tym samym Szwedasem na wozie jechał? Wypuścili mnie na takie tłómaczenie.

— Myli się pan! — ozwał się chłop. — Wypuścili dlatego, że ja na śledztwie, o to samo pytany, powiedziałem: W nijakich stosunkach nie jestem, bo pan mi pierwszy wróg urodzeniem i mową, a dwór pierwsza moja nienawiść i obchodzę go, jak gniazdo szerszeni!

Obywatel szczerze się zaśmiał.

— Oddałeś mi z nawiązką, Szwedas!

— Dlatego żem tak nie myślał, tom rzekł... Czas panu w drogę, czas i mnie. W Szydłowie się spotkamy. Mam tutaj jeszcze jeden interes. Dali mi darmo studenci z tamtej strony książeczek tysiąc, bym je po kraju rozrzucił. Zostało jeszcze dwadzieścia, te już tutaj zostawię.

Sięgnął w zanadrze i pokazał broszurkę małą w żółtej okładce. Obywatel jedną wziął, resztę mu oddał.

— Siejcie Szwedas, dobre to ziarno, i niech wam Bóg pomaga! Bywajcie zdrowi!

Uścisnęli sobie prawice.

Obcy zniknął w miejscu, gdzie Rozalka poszła. Szwedas przeszedł tuż koło zaczajonego Wawra. Znał tam widocznie każdy krzak, korzeń, gałąź, bo spuszczał się prędko i cicho, potem jeszcze czas jakiś kroki oddalające się było słychać, wreszcie wszystko ucichło, znikło, rozwiało się, a w głowie Wawra zostawiło wrażenie chorobliwej halucynacji.

Zaczął i on schodzić, tak zamyślony, że nie widział, jak opodal jeszcze jeden człowiek, czając się do ziemi, w stronę wioski zmierzał, który ani Szwedasem nie był, ani tym obcym szlachcicem. Ze wzrokiem wbitym w ziemię i w sobie zatopiony, młody człowiek szedł powoli miedzami polnemi, wśród zagonów, ze zbóż ogołoconych. Chaotycznie mieszały mu się wrażenia doznane. Dziewczyna, którą tylekroć grubiańsko zaczepiał, chłop z pozoru nieokrzesany i ów Karewis, piętnastoletni bosy pastuch, który za granicami swej parafji świata nie znał!... Mówili oni teraz do duszy jego dziwnym językiem, stanęli przed nim, jak ci dziedzice i obywatele szanowni ziemi, o których kiedyś Rufin mówił. Mrówki te znosiły źdźbła, pyły, igiełki sosnowe i siedmkroć większy, niż siły, ciężar wlekły do mrowiska, sypały przez lat dziesiątki kopce rojne, nie ustawały nigdy. Tak się zamyślił idący, że zdały mu się te zagony i pola leśną rubieżą, pociętą śladami owadów, a te chaty, po nich rozrzucone, mrowiskami, które miljony wznosiły, na trud zapamiętałe, przemyślne. A wtem przed nim coś zaświeciło na miedzy. Schylił się. Leżała tam książczyna mała, którą człowiek ukryty, nieznany, rzucił za siebie, jak siewacz ziarno. Dla pracowników biednych, dla boso-

nogich pastuszków zostawiona tam była, co, jak ptaszęta, wstaną ze słońcem i ziarno to znajdą na miedzy, na karm dla duszy. Wawer ją podniósł.

Apej żeme! — (O ziemi) — przeczytał na okładce i już nie odłożył napowrót, ale schował w zanadrze.

Czasem na wierzchu mrowisk złocą się ziarna żywicy wonnej: taką mu się ta książka wydała kruszyną kadzidła...

*

Ukończono żniwa, na ukończeniu też była zagroda na Bubiach. Pracowano przy niej gromadnie. Wawer nie szczędził pieniędzy i poczęstunku, sam od świtu stawał do roboty, śpieszył gorączkowo, pomagali mu też chętnie sąsiedzi i krewni. Na zagrodzie bielał już komin wysoki, świeciła złocista strzecha, rosła, jak na drożdżach, stodoła i obórka.

Wszystko było dostatnie i schludne, przypominało porządkiem i skrzętnością zagraniczne folwarki, wzbudzało w patrzących zachwyt i podziw, a Wawra napełniało wielką dumą i lubością.

Przychodził zrana pierwszy, a odchodził ostatni, gdy już gwiazdy świeciły. Nad wyraz miłe były mu te węgły świeże, ten szmatek ziemi, przygotowany pod pierwszy zasiew nowego właściciela. A tymczasem dnie i tygodnie biegły niepostrzeżenie i aż się przeraził pewnego wieczora, obrachowawszy sumiennie czas, między swoimi spędzony. Miał to być tydzień odwiedzin, a zmienił się na cztery miesiące, i trzy dni już tylko brakło do Szydłowskiego odpustu Narodzenia Matki Boskiej.

Listy od Matschkego przestały dochodzić; zapewne, obrażeni śmiertelnie, nie chcieli się więcej do zbiega odzywać, bo był zbiegiem i zdrajcą i niewdzięcznikiem...

Choć go nikt nie widział i nie strofował, Wawer wstydem płonął i, spuściwszy głowę, szedł, jak winowajca, zaprzysięgając sobie następnego piątku odjechać stanowczo, oprzeć się wszelkim prośbom i zaklęciom rodziny.

Zstępował na gościniec właśnie, gdy go turkot wozu doleciał i raźne parskanie koni, więc się obejrzał machinalnie.

Wieczór jasny był, więc zdaleka poznał siwego i kasztanka starego Szwedasa i zwolnił kroku.

Wóz się wnet z nim zrównał, a Szwedas, siedzący na ładunku beczek i tłumoków, pozdrowił po zwyczaju Bożem imieniem.

— Dobre macie oczy, dziadziu, żeście mnie poznali! — rzekł młody, uchylając kapelusza z uszanowaniem.

— I poznałem i zapamiętałem, chociem ciebie mało widział — odparł stary, wstrzymując koniki do kroku pieszego.

— Dziękuję wam za pamięć!

— Ty może myślisz, że to z powodu owych pieniędzy, coś moim chłopcom po ogniu rzucił? Otóż nie z tego! Zapamiętałem cię dla twego rozumu i zastanowienia! — ciągnął Szwedas dalej, lejce zarzucając na luśnię i dobywając z kieszeni fajkę. — Inni wszelaką rozpustę i swawolę do kraju z obczyzny przynoszą, a tyś przyniósł uczciwy grosz i naukę. Będzie ta chata twoja dobrą szkołą i przykładem!

Na zagrodę ręką wskazał.

Wawrowi niesnadno było wobec tych pochwał powiedzieć, że niebawem odejdzie, więc, by rozmowę zmienić, spytał:

— A wy, dziadziu, do domu wracacie?

— Wracam. Wiozę Butkisowi piwo, a do dworu smarowidło i sól. Konięta mam też zmordowane szpetnie.

— Zabawicie w chacie?

— Zabawię, bo odpust niedaleko, a ślubowałem do Szydłowa z ofiarą i pokutą.

Wawer na furę spojrzał i pomyślał sobie, jaka to ofiara była pod beczkami piwa i worami soli.

— Szczęść wam, Boże! — rzekł szczerze.

— Dziękuję! — odparł stary dobrodusznie.

Skinął przyjaźnie głową i, koniki zaciąwszy, oddalił się ku wsi.

Wawer go oczami przeprowadził i widział, że, zamiast do Butkisa, do swojej chaty skręcił, jakby tam zostawić miał najcięższy ładunek.

U Szwedasów znano obyczaje ojca, słuchano go ślepo, nie pytano nigdy o nic. Gdy wóz się na podwórze wtoczył, synowie wyszli obadwa, ucałowali ojcowską rękę, zamknęli wrota. Stary nic do nich nie mówił, bo właśnie, przesuwając paciorki, różaniec odmawiał.

Koniki, nie kierowane, same zaszły pod szopkę i stanęły.

— Wyprzęgać, *tewe?* — starszy syn zapytał.

Szwedas głową potrząsnął. Nie złaził z wozu i tylko im drzwi chaty ręką wskazał. Zrozumieli i odeszli.

Po dość długiej chwili stary na progu stanął. Podnieśli się wszyscy z ław i czekali rozkazu. Wstał i Szługuris swawolny, który z Magdalenką w kącie coś szeptał, wstała Barbara, karmiąca u pieca niemowlę.

Szwedas różaniec właśnie skończył i, krzyżyk ucałowawszy, na szyi go powiesił. Wtedy się odezwał:

— Weźmiesz, Jurgis, moją furę i do Butkisa i do dworu ładunek odstawisz. Powiedz, żem zmordowany i jutro z rachunkiem przyjdę!

Parobczak skłonił się i wnet zniknął, a stary na ławie pod obrazami usiadł, głowę podparł i tak siedział zamyślony.

Wnuczek mały, czterolatek, do kolan jego się przysunął i ocierał się o nie, jak kociak mały, prosząc o pieszczotę, czy upominek. Szwedas ręce od twarzy odjął i pod nogi spojrzał. Twarz jego, nie znająca, co uśmiech, na małą chwilę zadrgała radością i nieco się do dziecka pochylił, ale wnet się powstrzymał i już znowu surowy, w zanadrze sięgnął, pierniczek złocony dobył i chłopczykowi podał.

— Barbaro! — do synowej się zwrócił. — Zabierz małego!

Ale już dzieciak, zalękniony srogiemi dziada oczami, umknął sam do matki i oddał jej łakocie, nie śmiąc pokosztować.

— A mnie tatuś nic ładnego nie przywiózł? — spytała Magdalenka z umizgiem.

— Nie! — odparł krótko.

— Powieczerzacie, ojcze? — starszy syn wtrącił.

— Powieczerzam, jeśli co postnego macie.

— Zawsze dla was gotowe stoi, jako że nie wiemy, kiedy wrócicie, a wiemy, że z omastą nigdy nie jecie! — rzekła Barbara, stawiając przed nim miskę postnej kaszy.

Stary jej głową przyjaźnie skinął i jeść począł. Obecni poczęli rozmawiać, ale on ani słowem do rozmowy się nie wmieszał i na nikogo nie patrzał. Odzywał się śmiech Magdalenki i żarty Szlugurisa, gospodarskie uwagi młodego Szwedasa, wioskowe opowiadania jego żony, szczebiot dzieci; stary jakby nie słyszał.

Ukończywszy wieczerzę, na ławie się wyciągnął i zdawał się drzemać. Powstał wreszcie Szluguris i pożegnawszy się, odszedł, a po chwili wymknęła się Magdalenka i gdzieś przepadła, choć niby tylko na moment do sąsiadki za jakimś interesem zajrzeć miała. Barbara poczęła dzieci do snu układać i pacierz im mówić, Juras czółenko tkackie dla żony strugał.

— Długo Jurgis nie wraca! — zauważył, do ojca się zwracając.

Stary na łokciu się podniósł.

— Idzie ktoś pieszo! — rzekł, ku drzwiom spoglądając.

— Ktoby tak późno?

— Wyjdź, zobacz!

Juras wstał, ale nim do drzwi doszedł, one się otwarły, i na progu stanął czarny, wysoki drab w żołnierskiej czapce.

— Pochwalony! — ozwał się posępny głos Krystofa Jodasa.

— Na wieki! — odparł Szwedas młody. — Nie poznałem ciebie po tej czapce. Myślałem, że wojna w kraju!

— Słyszałem, że ojciec twój jest we wsi, a że go trudno doma zastać, przyszedłem choć pod noc, bo mam do niego sprawę.

Stary Szwedas podniósł się z ławy.

— Wejdź i mów! — rzekł.

Jodas próg przestąpił, skłonił się gospodyni i, czapkę w rękach mnąc, do stołu się zbliżył.

— Mam ta do was, gospodarzu, interes, prośbę... — ozwał się niepewnym głosem.

— Mów! — Szwedas powtórzył.

— Spodobała mi się dziewczyna wasza, więc o nią proszę was!

Zatrzymał się, sądząc, że odpowiedź będzie jaka, ale stary milczał. Juras w kąt się usunął, a Barbara tylko, zaciekawiona, tamując oddech, słuchała, oczy wlepiając w twarz teścia.

— Biedny jestem, jako wiecie, ale siły i zdrowia Bóg mi nie poskąpił. Sto rubli rocznie siekierą zarobię, chata i ogród jest, biedy wasza jedynaczka u mnie nie zazna, bom ani pijak, ani rozpustnik, ani hulaka, jako cała wieś mi to poświadczyć może. Tak tedy z uczciwą prośbą do was przychodzę.

Pochylił się do kolan starego, pokłonił się potem Jurasowi i Barbarze. Szwedas wyprostował się i, ręce na piersi skrzyżowawszy, popatrzał mu bystro w oczy.

— Wie-li o chęci twojej dziewczyna? — spytał.

— Jako zwyczaj, do ojca wpierw przyszedłem.

— Toś źle trafił, bo ja jej tobie nie dam!

— Nie dacie? Innemuście obiecali?

— Pierwszy się odzywasz!

— Powiecie może, co macie przeciwko mnie?

— Powiem: z dwuch przyczyn odmówić ci muszę. Jako, że dziewczyna zalotna jest, pieszczona i swawolna, a ty zazdrosny i mściwy, więcbyś ją zakatował, a nie poprawił, i jako że ty nieprosty mi się wydajesz, nieczysty, niepewny w myśli i czynie...

Jodas zbielał i wargi drżące zsiniały mu okropnie.

— Obelgą mi odpowiadacie! — burknął przez zęby.

— Nie obelgą, ale słowem prawdy, jakeś żądał. Mógłbym ci ojcem być, więc prawo mam, co myślę, powiedzieć. Naturę ci Bóg twardą dał, jako żelazo, a na niej teraz tyle rdzy narosło, że już to żelazo całą wartość straciło. A rdza ta to twoja zawiść dla lepszych i bogatszych, to twoja niechęć do ludzi, to twoja

dzikość, to twoja obojętność dla spraw i trosk sąsiadów, niedbałość i nieużytość! Nie bieda twoja mnie zniechęca, ale taka natura, bo nie strach mi zięcia ubogiego, ale strach mi zięcia zdrajcy, a tobie ja nie ufam i nie wierzę! Taka jest moja racja.

Jodas trząsł się cały, zmieniony i straszny wściekłością i wstydem. Oczy mu łyskały, jak wilcze, a zacięte zęby zgrzytały. Przez chwilę zgrzyt ten tylko i sapanie słychać było, wreszcie ozwał się schrypniętym, dzikim głosem:

— Takim ja, jakim być muszę! Biednemu dwie drogi ludzie zostawili: zdechnąć albo się spodlić! Ostatnie to wasze słowo na prośbę moją?

— Nie zdycha, kto duszę ma, i nie podli się, kto serce czuje w piersi! Takie moje słowo ostatnie. W złości żyjesz i zemście. Pamiętaj, że nóż to ostry i zatruty! Zabije, w kogo uderzysz, ale i ciebie otruje! Więc opamiętaj się, nim go użyjesz!...

— Ja wiem, że się mnie lękacie: nie wypuszczajcie mnie stąd z odmową!...

Szwedas wstał z ławy i oczy jego dziwnie zabłysły. Kapotę miał rozwartą na piersi i widać z pod niej było pęk szkaplerzy jaskrawych.

— Lękam się, Jodasie, Boga, a nie złego człowieka. Nie groź mi i odejdź, bo teraz wiem, żeś zdrajca, a w chacie mojej tacy nie bywają! — rzekł poważnie i surowo, drzwi mu ręką pokazując.

Potykając się, Krystof wyszedł.

W izbie zapanowało grobowe milczenie. Stary wciąż stał na jednem miejscu, ze wzrokiem utkwionym w czarną otchłań sieni, gdzie tamten zniknął. Zdawało się, że w pasowaniu trwał z jakąś myślą straszną, z jakimś zamiarem złowieszczym. Nareszcie rękę do czoła podniósł i przeżegnał się. A wtem na

podwórzu zaturkotało i po małej chwili Jurgis wszedł niefrasobliwy i spokojny.

— Załatwiłem i koniki już wyłożyłem. Każecie je, ojcze, na nocleg gnać?

— Nie. W stajni je postaw i obroku zasyp! Napoję je sam w nocy. Pora spocząć teraz! Możecie zawierać chatę. Ja w stodole się położę.

Wyszedł i już do izby nie wrócił.

Pozostali jeszcze długo nie pomyśleli o spoczynku. Wróciła Magdalenka i we czworo rozprawiali ze zgrozą o Jodasie.

— Puści nas z dymem! — biadał Juras.

— On ta gotów studnię zatruć! — szeptała, drżąc, Barbara.

— A łotr jeden! — burczał Jurgis. — Jutro go za pogróżki do gminy zaskarżyć i basta! Jakiem prawem ten rozbójnik pomstować się waży?

Dziewczyna była najspokojniejsza.

— Ot, zawracacie sobie głowy lada gadaniem. Ja mu jutro jedno słowo rzeknę i będzie cicho! — śmiała się pogardliwie.

— Tylko ty się z tym zbójem nie zadawaj, bo się biedy napytasz! — upominał Juras.

— Oho, ja się go nie boję! Wydrwię i tyle! Ale co honor, to mi honor, żem nawet zbójowi głowę zawróciła!

— Mnie ta Rozalki szkoda! — szepnął Jurgis nieśmiało.

— Na wszelki wypadek gumna pilnować trzeba! — odezwał się starszy brat markotnie.

Zabrali się wreszcie do snu, ale co chwila zrywali się, nasłuchując niespokojnie. Po północy spłoszył ich skrzyp wrót do stodoły. Wypadli z kijami na podwórze. Ale nie złodziej to był, tylko ojciec, wracający

na spoczynek. Co robił dotąd, nie mogli zgadnąć, a pytać nie śmieli.

. . . .

Nazajutrz Wawer od godziny sam pracował, nadczekując na Krystofa, wyglądał go i dziwił się niebywałej opieszałości, a wreszcie, nie rozumiejąc, co się stać mogło, ruszył do chałupy skrajnej, skąd go codzień stuk warsztatu dolatywał. Podszedł pod okienko i zajrzał do wnętrza. Rozalka była sama, pochylona nad robotą. Wydała mu się bardzo blada i mizerna. Przestraszyła się, gdy do niej niespodzianie przemówił.

— Niema Krystofa? — zdziwiony spytał.

— Niema.

— Gdzie on?

— Poszedł z wieczora na robotę do Ramuniszek.

— Na długo?

— Nie mówił.

— Bodajby kark skręcił!

Rozalka milczała, nie odrywając oczu od roboty.

— Rachowałem na niego i nikogom do roboty nie zamówił. Teraz stracę dzień cały przez niego.

— Mało co u was do końca braknie, o dzień jeden mniejsza — zauważyła.

— Wyrachowałem do środy ukończyć, we czwartek poświęcić, a w piątek precz jechać. Dzień jeden dużo mi znaczy. Podłogi nieułożone i drzwi niewyrychtowane jeszcze.

— Tak już prędko jedziecie?

— Zda się, wielki czas. Cztery miesiące, jak tu siedzę. Już mi nawet od roboty odzież się porozpadała w strzępy i bielizna podarła. Już mnie znajomi nie poznają w mieście, jak takiego oberwańca zobaczą!

— To źle was Maryjka dogląda.

— Nie lubię nikomu sobą turbacji robić!
Usiadł na ławce pod oknem i ku niej spoglądał.

— Robotnica z was okrutna. Aż miło patrzeć, jak was to czółenko słucha.

— Wprawę mam, co dnia to samo robiąc.

— Nie nudzi wam się tak samej w chacie?

— Przywykłam!

— Ale to wam nie służy. Dziewczęta inne krew z mlekiem na licach mają, a wy niedobrą bladość. Bym władzę nad wami miał, nie dozwoliłbym się tak zamęczać, urodę przed czasem tracić!

Dziewczyna spojrzała ku niemu i, spotkawszy na sobie jego oczy, spuściła prędko głowę. Zrobiło się jej gorąco na wspomnienie tych buziaków kradzionych, namiętnych, co zda się jeszcze teraz paliły jej usta i szyję. Milczeli chwilę, może o jednem myśląc.

— Szwedasa starego wczoraj spotkałem! — ozwał się Wawer, bacznie się jej przyglądając.

— Na odpust do Szydłowa pewnie się szykuje!— rzekła spokojnie.

— Chytra jest — pomyślał Wawer. — Ale ją zaraz złapię!

— Z książkami! — rzekł głośno.

Dziewczyna drgnęła lekko i warsztat jej ucichł. Zerwała się nić, więc ją związała i przez tę chwilę opamiętała się znowu.

— Nie wiem! — odparła, ramiona wznosząc.

Zaśmiał się.

— Ej, Rozalko, nie do twarzy wam kłamstwo! Myślicie, że z Niemiec przyjechawszy, nie wiem, co znaczy ten szkaplerz czerwony, co wam z za gorsetu wyziera?

Dziewczyna mimowoli sięgnęła do piersi i znak ukryła głębiej, potem oczy zdziwione i trwożne wlepiła w mówiącego.

— Myślicie, że nie wiem, jakie to duchy uśmierciły szewca-pijaka, i co tam za czary na Piłkalnisie w trzecią noc nowiu się odbywają?... Zuchom nie warto bajek prawić, bo one ich nie odstraszą, ale zaciekawią. A co, teraz wyście się zlękli!

Rozalka opuściła ręce na kolana, zalękła i onieśmielona.

— Milczcie, na rany Boskie! — szepnęła, drżąc cała.

— Żebym nie milczał, dawnoby po was wszystkich było. Alem ja różne tajemnice widział w swojem życiu i nigdym nie zdradzał. Powiedziałem teraz, byście mnie za dudka nie mieli i nie okłamywali darmo, a przytem byście się więcej na ostrożności mieli...

Dziewczyna wstała i zbliżyła się do okna. Wyjrzała na podwórze i drogę niespokojnie.

— Nikogo niema! — rzekł Wawer. — Samiście ze mną, tak, jak onego wieczora, kiedym was całował, a wyście mi w twarz dali. Pamiętacie? Mógłbym na was się pomścić!

— Moglibyście! — odparła przez zęby, marszcząc brwi. — Nad samą siebie mnie ta tajemnica święt-sza. Wiem-ci dobrze, żeście nie podły i dla próżnej przechwałki nie wydacie sprawy, co wam obojętną i obcą jest, a ludzkie żywoty kosztować może...

— Nie wydam was i znać po sobie nie dam. Obelgą mi wtedy plunęliście w oczy — pamiętacie — żem nikomu wiary nie dochował. Przekonacie się, żeście krzywdę mi czynili!

— Ja was dawno przeprosić chciałam! — szepnęła nieśmiało. — Nie chowajcie żalu! Takem w złości rzekła, niebacznie!

Wyciągnęła do niego rękę i spojrzała tak poczciwie prosząco, że Wawrowi krew gwałtownie nabiegła do serca.

— Rozalka — rzekł — byś wiedziała, jakaś mi ty miła!

— Nie godzi się wam tak mówić! — upominała, cofając się.

— Ja wiem, ale żebyś chciała za mną pójść, tobym, dalibóg, tamto rzucił i podeptał!....

Niechcący, niespodziewanie mu się to wyrwało. Dziewczyna cofnęła się jeszcze dalej i potrząsnęła głową.

— Żartujecie, bo wiecie, żebym od swoich nie poszła! — rzekła spokojnie.

A wtem od drogi gruby głos się rozległ:

— Toci państwo dopiero! W powszedni dzień od rana na amorach trwają!

Wawer się obejrzał: Krystof to był.

— A tyś gdzie dotąd siedział? Siostra twoja mówiła, żeś do Ramuniszek na robotę poszedł.

— Skąd ta głupia ma wiedzieć? Do żadnych Ramuniszek nie chodziłem, alem w twojej stodółce nocował i zaspał.

— A kłamiesz, bom w stodole był i ciebie nie widział! — odparł Wawer, wstając i wychodząc do niego.

— Jakeś patrzał, takeś widział! — burknął Krysicf.

Poszli obadwa i po chwili siekiery ich słychać było przy robocie, a w chacie Rozalki miarowy stuk warsztatu... Pochylona nad tkaniną barwną, formowała desenie, zmieniała kolory, poprawiała niedokładności.

Czasem spoglądała na świat za okienkiem i nuciła smutno.

Czegoś jej ciężko było na duszy...

*

Na odpust od Didelisów nikt nie poszedł, bo stary Jan zaniemógł i już od trzech dni z pościeli się nie podnosił, stękając ciężko.

Jak mu Wawer odjazd swój na piątek stanowczo naznaczył, tak starego z nóg zwaliło, i nazajutrz nie wstał.

Jak struci, chodzili wszyscy w chacie, robota nie szła, rozmowa się nie kleiła, kobiety popłakiwały po kątach, mężczyźni siedzieli zmarkoceni i osowiali.

Wawer wnet felczera sprowadził, po doktora chciał jechać, zmartwił się okrutnie.

Ale stary niczego nie chciał, tylko wciąż go przy sobie trzymał, odejść mu nie pozwalał.

— Niechta się na ciebie przed śmiercią napatrzę! — mówił. — Ty mnie do trumny włożysz i w dół spuścisz. Nie potrzeba mi ni leków, ni doktora, ino twego widoku do skonania godziny.

Więc na taką mowę lament napełniał chatę, a Wawer z desperacji za głowę się porywał, sam nie wiedząc, co robić, co rzec, co postanowić.

Tak się ten dzień odpustowy im żałobą i smutkiem naznaczył, że i nie pamiętali, jak minął. Aż około wieczora ktoś na podwórze wpadł, prędko, bez pozdrowienia do chaty wbiegł. Była to Barbara Szwedasa cała we łzach, z dzieckiem u piersi, rozczochrana.

— O Jezu, Marja! — krzyczała, łkając.

Porwali się wszyscy do niej.

— Co się stało? Zdechło co u was? Dziecko chore?

Ale ona zdyszana, czepiając się sprzętów, nic więcej z siebie wydobyć nie mogła.

— O Jezu, Marja! O Jezu, Marja!

— Cicho, Barbikie! — Wawer krzyknął. — Gadaj porządnie, ojca chorego nie strasz darmo!

Barbara do ojca przypadła.

— Tatusiu, ratujcie! Starego naszego wzięli! — wyjąkała.

— Jakto wzięli?

— Wzięli! Żandary, policjanty, do sądu, do kryminału!

— Matko cudowna! Zaco? Gdzie?

— Ja nie wiem, Juras z tą wieścią wpadł, parobczaka zabrał i precz polecieli — ratować. O Jezu! O Jezu!

Jeden Wawer rzecz całą zrozumiał zapewne, bo, dalej nie pytając, za czapkę wziął i wybiegł prędko. We wsi czuć było coś niezwykłego. Kupili się ludzie, szeptali, oglądali się trwożnie. On ich wszystkich mijał i dobiegł do Jodasów chaty.

— Rozalko! — krzyknął przez okno.

Nikt nie odpowiedział. Postał chwilę, namyślając się, równie prędko do Rufina zawrócił. W chałupce świeciło się przecie. Wpadł żywo do środka.

— Jest Rozalka? — zdyszany spytał.

— Jestem! — odparł głos dziewczyny, bardzo zmieniony.

— No, to chwała Bogu! — rzekł, oddychając z ulgą.

Obejrzał się dopiero po izdebce, Rufina dłoń uścisnął.

— Kto tam jeszcze w kącie siedzi? — spytał.

— Swój! — rzekł rzeźbiarz. — Marcinek.

— Wiecie, że Szwedasa aresztowano? — zagadnął ciszej.

— Wiemy! — odparł Rufin głucho.

— Jakże to było? Wiecie? Znaleźli co przy nim? — badał zajęty i niespokojny.

— Ktoś wydał widocznie... Przed Szydłowem z lasu wyjeżdżał, gdy go opadli. Był wóz pełen. Zabrano wszystko!

— Z was trojga nikogo nie zaczepiono?

— Nikogo tymczasem. To dopiero początek.

— Któż wydał? Tego hycla ogniem piec, za nogi wieszać....

— Nie minie go kara! — uroczyście Rufin wymówił. — Dziesięciu wyda, stu — zostaną jeszcze tysiące na zemstę...

— Kto on? Nie macie posądzenia na nikogo?

— Dotąd nie. Wczoraj wieczorem to się stało. Rozalka przed chwilą z wieścią przybiegła. Marcinek na noc dalej pójdzie.

— Wy się na ostrożności miejcie!

— Bóg ci zapłać za troskliwość! Mniejsza o nas. Szwedasa nikt nie zastąpi, a ten już zginął.

— Wykręci się!

— Już nie! Trzeci raz go biorą. Teraz już go więcej oczy nasze nie zobaczą. A my teraz, jak stado bez przewodnika, rozlecim się na cztery wiatry!

— Gadacie! — wtrącił Wawer. — Na jednym człowieku sprawa nie stoi.

— Prędzej na jednym, jak na tysiącu. Jeden wielki głaz pod węgłem dłużej budynek utrzyma, niż drobnych kamieni setki, choćby je na cement najtęższy kładł...

Głuche milczenie zapanowało po tych słowach. Marcinek je przerwał, wstając:

— Pójdę już — rzekł. — Ostańcie z Bogiem, a jakbym się spóźnił, do koni kogo na moje miejsce poślijcie!

— Daj ci, Boże, szczęśliwie! — pożegnali.

Zatrzymał się w progu i do Rozalki zwrócił:

— Skrzypki moje z budy zabierzcie, jakby deszcz padał.

— Zabiorę, wracając do domu.

Chłopak zniknął, a oni siedzieli jeszcze chwilę, bardzo smutni i zgnębieni.

— Masz co do schowania u siebie? — zagadnął Wawer Rufina.

— Rozalka zabrała już.

Oddajcie mnie lepiej! — zwrócił się do dziewczyny.

— Nie trzeba. Mnie to już nie pierwszyzna.

Wyjrzała oknem, a pod chustkę ukrywszy zwitek niewielki, skinęła głową kalece i wyszła.

Poskoczył za nią Wawer.

— Jakem o Szwedasie usłyszał, tom się o was przeraził okropnie. Uchowaj, Boże, na was co złego! — mówił, towarzysząc jej wytrwale.

— To i co? — odparła z jakąś niebywałą u niej goryczą. — Mnie i tak życie niemiłe! A najgorszy strach i zgryzota, skoro mnie oszczędzą!

— Nic was nie rozumiem!

- Bo nie wiecie tego, co ja wiem, i krew w was tak, jak moja, z rozpaczy nie zamiera.

— Co wam takiego? Przecie wam Szwedas ojcem nie był, przecie nie przepadnie z nim wszystko! Osobliwa z was dziewczyna! Kochać wam i bawić się, a nie o spiskach rozmyślać!

— Do kochania i zabawy dosyć jest beze mnie. Nikomu ja niepotrzebna, bom ni wesoła, ni miła.

— Dalibyście pokój! Zgryzła was ta awantura. Ot, jeszcze wszystko się uspokoi. Będzie, jak było.

— Nie będzie już! — westchnęła żałośnie.

— A mnie z pomocą macie. Co schować macie, oddajcie! Nie dam wam samej po nocy się błąkać. Teraz może śledzą, a na mnie nikt posądzenia nie poweźmie, bom zwykł włóczyć się o wszelkiej porze.

Weszli do chaty Rozalki. Nie zapalając światła, zakrzątała się, on stał w progu.

— Chcecie znowu iść? — zawołał, gdy znowu stanęła przed nim.

— Pójdę!

— Nie! Zostaniecie! — rzekł stanowczo. — Pójdę ja sam, a wy spoczniecie. Dajcie, co macie!

Przemocą wziął jej z rąk zawiniątko.

— I skrzypki tego chłopca do chaty zabiorę, a to tak schowam, że i pies węchem nie znajdzie. Bądźcie spokojni i dobrej myśli!

— Dziękuję wam za usługę.

— Krystofa niema?

— Niema! — odparła, jakby przerażona, oglądając się wokoło.

— Co macie sama tu siedzieć, chodźcie do nas. Ojciec ta chory leży, ale przy Maryjce raźniej wam będzie.

— Dziękuję! Zwykłam sama być. Wyście bardzo dobry!

— Ot, osobliwość! Żebyście wiedzieli, jakem o was niespokojny tutaj z domu biegł! Bardzo mi was szkoda, Rozalko!

Dziewczyna nic nie odrzekła i odeszła w głąb izby. Myślał, że ją rozgniewał, więc tylko: „dobranoc“ rzekł i odszedł, nie chcąc drażnić.

Gdy wrócił do chaty, rozprawiano jeszcze o Szwedasie. Istotnie, sprawa jego była ciężka. Trzeci raz powtarzało się to samo. Za pierwszym razem opłacił karę, za drugim odsiedział w więzieniu, teraz go ześlą niechybnie. Wieś poruszona była, zgrozą przejęta, przeklinano duszę i życie zdrajcy. Bo zdrajca był w tej sprawie. Ale kto?

Stary Jan już nie stękał, ale z okiem, w sufit utkwionem, rozmyślał, nic nie mówiąc. Rozjaśniły mu się oczy na widok Wawra, obrócił się z trudem i, rękę jego ująwszy, zcicha rzekł:

— Synku! Jakeś mi odjazd swój oznajmił, pomyślałem, że dziecko ojcu nie potrafi gorszej troski uczynić, jako ty mnie uczynił. A oto teraz myślę, żem cię skrzywdził. Bo jako boleć musi ten ojciec, którego syna do zdrady szatan skusił! Jako on boleć musi! O Jezu!

— Tatusiu miły, nie karzcie mnie taką mową!

— Nie, synku, nie! Już ci się opierać nie będę, kiedy ci co innego sądzone, zatrzymywać się nie ośmielę! Mój ta ból próżny jest i niesłuszny naprzeciw tamtego. Nauczył mnie Bóg!...

Mało co spano owej nocy po wszystkich zagrodach. Rankiem, niewiadomo, skąd, słuch się rozszedł po wsi — jeszcze nieśmiały, niewyraźny szept:

— Jodas wydał Szwedasa!

Skoro do Didelisów to doszło, zakipiało, jak w garnku. Maryjka z początku jakby skamieniała, potem z jękiem, krzykiem, z łkaniem poleciała do Rozalki.

Wawer iść nie śmiał. Siedział zgarbiony, milczący, ze wzrokiem, wlepionym w ziemię.

— Może to być? — spytał Jan oburzony, siadając na łóżku i po synach spoglądając.

Nikt nie potwierdził.

— Jak żmija, plotka pełza i niewinnego kąsa! — rzekł Piotr.

— Pójdę do Szwedasów prawdy się dopytać! — dodał Andrzej.

— Tyś ludzi siła znał, Wawer! Może to być? — stary uparcie badał.

— Nie powiem, ojcze, aż palca w ranę nie włożę! Ze wszystkich to zbrodni najcięższa!

Andrzej powrócił. Ponury był i z wieścią się nie kwapił.

— Prawda-li to, co mówią? — Jan pytał.

— Prawda! Juras właśnie przyszedł z miasteczka. Widział na śledztwie, przy spisywaniu protokółu, Krystofa między policją. On doniesienie zrobił.

— Tedy mu hańba po ostatnią jego godzinę i hańba temu, co go imieniem Bożem pozdrowi! — zawołał stary dzikim głosem, opadając wyczerpany na posłanie.

Wawra dreszcz wstrząsnął. Uciekł z chaty od tych słów okropnych, od klątw, które bracia ciskali... Ale we wsi mały, duży to samo miał na ustach, a w oczach nieubłaganą, cichą żmujdzką zaciętość.

Nie podnosił nikt głosu, ale w szmerach były dzikie zgrzyty, szepty dyszały wściekłością.

U Szwedasów było zbiegowisko na podwórzu, tłok w chacie.

Juras, schrypnięty, trzęsący się od złości i zapamiętania, opowiadał przebieg katastrofy i śledztwa, Jurgis płakał, jak dziecko.

— Niedoczekanie jego po naszej ziemi chodzić i z niej chleb jeść! Niedoczekanie jego do kościoła wstąpić i słowo od człowieka posłyszeć! Niech się udławi temi pieniędzmi, co mu dadzą, niech się na nieświęconym cmentarzu obwiesi, gdzie cholerników i samozabójców grzebią! — pomstował okrutnie Juras.

— Nie ośmieli się on tutaj powrócić! — mówili wszyscy.

— I tatusio nie wróci! — wzdychał Jurgis. — Jutro go, jak złodzieja czy zabójcę, do Kowna powiodą.

Wawer i stamtąd uciekł i mimowoli do Rufina swe kroki skierował. Co ten mu powie?

Kaleka przy stole swym roboczym siedział, figurkę świętą rzeźbiąc. Był blady, jak papier, trzęsły mu się wargi, a na chude ręce, pracą zajęte, padały z oczu rzadkie, wielkie krople — jak perły. A on ich nie ocierał, ani się wstydził, ani chował, choć skrzyp drzwi usłyszał i gościa poznał.

— Rufin!... Spodziewałeś się ty łajdactwa takiego? — wybuchnął Wawer, stając przed nim.

Rzeźbiarz roboty zaprzestał i, ręce swoim zwyczajem wyciągając na stole, złożył na nich głowę znękaną.

— Można w co wierzyć na świecie, co czynić, co kochać, — Karewis wzburzony dalej mówił — kiedy ludzie, jak psy, się gryzą, jak niewolniki, zdradzają! A gdzież to ziemi umiłowanie, gdzie ta wiara, coś ty kiedyś tak sławił? Ten na obczyźnie nie był, ta chata go wychowała, ta ziemia wykarmiła, a taki on! Mnieście wytykali palcami, sądziliście, nazywaliście odstępcą, Niemcem! Któż on — ten wasz chłop — ten wasz brat?

— On jest mordercą i zginie! — powoli, uroczyście mówił Rufin.

Łzy mu zaschły, głos stwardniał.

— Jego, jak kąkol, wyrwą i spalą innym na przykład. I tylko ja jeden po nim zapłaczę i ta matka-ziemia we wnętrznościach swoich ból poczuje po synu zgubionym, po sile zmarnowanej, po nadziei zagasłej... Tak on przepadnie marny i przeklęty, tak on zgnije opluwany, a zgubi go właśnie ta moc, którą pogardził,

to kochanie i wiara, których się odprzysiągł. W bojowaniu one i we łzach trwają i trwać będą, ale nie daj nikomu z nas, Boże, bojowania tego być kwasem, łez tych być przyczyną. Takim on jest — ten zdrajca!

— A wiesz, dlaczego on zdradził? Dlatego, że Szwedas mu dziewczyny odmówił.

— Dlatego, że Bóg tak dopuścił! — Rufin poprawił poważnie. — Wszelakiemi — On wielki — ohydami świat ten obsiał, gryzące pyły rozrzucił, kolące osty po ścieżkach zastawił, zjadliwe gady pod głazami ukrył, gorzkiemi smaki napoje naprawił. A wszystko — On dobry — tak zrobił, byśmy, nieba żądając, do Niego wciąż tęsknili, wśród ziemskich nędz i bolów, zawsze hen, w górę nagrody i wypoczynku wyglądali. Taki — On mądry jest!... A ten zdrajca o tem zapomniał — przeto ja płaczę po nim — bo z biednych, z nędznych — on najbiedniejszy, najnędzniejszy.

— Rufin, tyś chyba święty, że ty tak wszystko inaczej, niż ludzie, widzisz. Ty chyba z Bogiem rozmawiasz!

— Nie święty ja i nie inaczej widzę. Tylkom sam zawsze! Z kimże rozmawiać mam, jak nie z Bogiem, co mi sierocie jeden pozostał — za wszystko, czem wy się cieszycie!

Wawer nie śmiał się więcej odezwać, szacunkiem i czcią zdjęty, a kaleka znowu do roboty się wziął i już zwykłym tonem spytał:

— Widziałeś potem Rozalkę?

— Nie. Nie godzi się jej widokiem obcego smutku powiększać!

— Słusznie uczyniłeś. Ranne zwierzę i człowiek nieszczęśliwy jednaką naturę mają. W jamę czarną, w pustkę daleką — skryć się i cierpieć!

— On tu nie wróci chyba?

— Nie poważy się, myślę.

A jakby się poważył?

— Uchowaj go, Boże, od takiej doli!

Ludzie zapomną — lękać się go będą zresztą.

To naszych ludzi nie znasz. I nie zapominają oni i, raz zrażeni, nie znają, co lęk.

— Zdradził kogo więcej?

— Nie!

— Wrócił Marcinek?

— Wrócił! Już o tej porze zkońca wkoniec kraju wiedzą, że w łańcuchu jedno ogniwo pękło stalowe, hartowne ogniem i wodą, i z nami wszyscy biadają!...

Zagawędzili się długo, i zmierzch był, gdy Wawer, niespokojny o ojca, do domu z powrotem ruszył. We wsi było cicho. Nie odzywały się, jak co wieczór, skrzypki u Butkisa, a po ogrodach śpiewy i śmiechy. Jakby żałobę włożyli wszyscy, tak głucho było i niemo!

Skręcając na gościniec, Wawer zmorę ujrzał i, o krok się cofnąwszy, przeżegnał.

Zdało mu się, że przed nim przeszedł Krystof. Szaro było, więc oczom nie wierzył, ale i przekonać się nie śmiał, zdjęty wstrętem i zgrozą. Onże to był? Niepodobna!

Przywidziało mu się coś, bo głowę miał Jodasem nabitą. Mógł urlopnik jaki czapkę żołnierską włożyć, innej pod ręką nie mając, mogło wielu parobków mieć wzrost Krystofa i jego chód ciężki, spracowanego wyrobnika. On się wrócić nie poważy, tak prędko przynajmniej.

IX.

Skurczona, jak zwierz ranny, jak robak zdeptany, Rozalka siedziała na ławie przy piecu, w najciemniejszym kącie. Cały dzień nic nie miała w ustach, nie tknęła roboty, teraz nie zapalała światła, nie myślała o spoczynku. Już jej łez zabrakło, siły do łkania nie stało, już nawet jej rozpacz stępiała, już ją i czucie odbiegło. Oprócz Maryjki nikt u niej nie był, nikt nie klął i nie złorzeczył, ale ona rozumiała tę niebywałą ciszę wsi, ona wiedziała, co za głos wielki, duszny ta cisza kryła. Ona znała naturę swego ludu!... Ta cisza wyklinała ją ze społeczności, jej chatę ze wsi, ta cisza wyrokiem była nieubłaganym, mściwym, zapamiętałym.

I oto nagle drzwi od sieni skrzypnęły. Może to Wawer idzie, któremu kiedyś niewiarę zarzuciła?... Przyjdzie i on mściwy i spyta, jakiej wiary dochował ten jej brat rodzony, zdrajca? Rozwarły się drzwi od izby. Nie odzywała się i nie ruszyła. Ktoś potarł zapałkę, zatlił kaganek, i nagle ujrzała Rozalka... Krystofa.

On sam, w swej czapce żołnierskiej i w mundurze, który na odpust był włożył, ponury, trochę zgarbiony, patrząc, jak wilk, zpodełba.

Zobaczył ją, nim oprzytomniała, nim zdołała krzyknąć.

— To jesteś! — burknął — Cóż siedzisz i oczy wyłupiasz? Prędzej, jeść mi daj i wódki przynieś!

Ona się nie ruszyła. Zgarnięta na ławce, sczerniała przez ten jeden dzień, patrzała nieruchomie, coraz dziczej na niego. Rozdymały się jej nozdrza, krwią nabiegały skronie. Jego też rozdrażniało jej wymowne milczenie, oburzył opór widoczny. Podszedł, pięści składając.

— Ruszysz się, czy nie? Słyszałaś? Jeść chcę i wódki! Zaraz!

Ona powstała wreszcie, cała się trzęsąc ze zgrozy.

— Czegoś tu? — zawołała. — Chatę tę dla uczciwych ludzi stawiali, a nie dla łotrów i zaprzedajników! Precz idź, skądeś przyszedł!... Chleba dla ciebie niema tutaj! Precz idź!

A wtem Krystof pięść podniósł na nią i bić począł, drugą ręką za włosy uchwyciwszy. Spadały na nią razy i sołdackie przekleństwa, po izbie ją włóczył za warkocze, nogami kopał, sam tak zajadły i rozjuszony, że pianę miał na ustach, krew w oczach.

Dziewczyna nie wydała głosu z siebie. Zrazu broniła się, zasłaniając rękami, szamocąc się, potem straciła siły i przytomność, osunęła się na ziemię. Byłby ją zabił chyba, bo leżącą i omdlałą jeszcze bił, szarpiąc jej odzież, wydzierając włosy, a ona, już mocy zaciętości nie mając, tylko jęczała żałośnie, ledwie dysząc, półmartwa.

W tej chwili Krystof poczuł, że go ktoś za kark chwycił, oderwał od ofiary.

— Ty zbóju! Sołdacie! — chrypliwy od wściekłości rozległ się głos Wawra. — Puść jej włosy, bo cię zduszę, jak robaka! Ty jakie prawo masz słabą kobietę katować?... Precz stąd!

— Precz ty sam! Zabiję ją, skoro mi się podoba! Tobie co do mnie? Ona mnie słuchać musi, a nie chce, to za każdym razem tak jej będzie! A szelma! Będzie

mi ona fochy stroić! Ubiję w śmierć i za płot wyrzucę, jak psa! Ty idź, pókiś cały!

Wawer go puścił z żelaznego uścisku, do kubła z wodą skoczył i, w dłonie zaczerpnąwszy, na dziewczynę wylał. Już i jęczeć przestała. Leżała bez ruchu, z krwią na ustach, w podartej koszuli, przykryta gęstwiną potarganych włosów.

Wawer ją na ręce wziął, położył na posłaniu i, na Krystofa już nie zważając, jął cucić, jak umiał pryskając wodą, trąc ręce.

Jodas na ławie się wyciągnął, kląć nie przestając. Odgrażał się całemu światu. Pijany był i rozwścieczony. Nareszcie Rozalka rozwarła oczy, powiodła niemi wokoło. Niejasno jej było przez chwilę w umyśle, ale wnet pamięć wróciła i ból i żal i oburzenie. Spojrzała na Wawra z bezmierną wdzięcznością i rozpaczą zarazem, potem na Krystofa, miotającego się, jak potępieniec. Wstała z trudnością.

— Odeszła was słabość? — Wawer troskliwie spytał.

— Odeszła! Bóg wam zapłać!

— Nie zdechłaś? — Krystof wrzasnął. — Dostałaś naukę, żebyś przedemną gęby nie otwierała, tylko słuchała rozkazów! Ja cię nauczę rygoru, niecnoto! Ja cię tak ścisnę w łapie, że cienia mego bać się będziesz! Nie będziesz włóczyć się po norach i ze złodziejami władzy się opierać! Skończone Szwedasa panowanie i twoja wola!... Teraz moja będzie w chacie... i w całej wsi!... Ja pan!... No, podziękuj swemu gachowi, że cię obronił, a potem jeść mi daj, rozbierz i posłanie dobrze wyściel. Ja teraz pan i wszyscy niech mnie słuchają, bo jak nie, to za Szwedasem pójdą!... Słyszysz, Wawer? Powiedz im to!

Rozalka, słaniając się na nogach, podeszła do swego kuferka, otworzyła go, zebrała garść bielizny i odzienia, zawinęła to w płachtę, narzuciła chustkę na siebie, skierowała się do drzwi.

Krystof zerwał się na nogi, przyskoczył do niej.

— Gdzie to? Nie pójdziesz nigdzie!

Za ramię ją chciał porwać, ale szeroka pierś Wawra stanęła między nimi.

— Nie rusz! — rzekł krótko, ale takim głosem, że mroził krew w żyłach.

Rozalka za tą twierdzą żywa mogła się odezwać:

— Pójdę do ludzi! — rzekła. — Tutaj teraz nie moja chata, gdzie mnie katują, jak zwierzę, tutaj teraz i nie mego brata chata, ale zdrajcy i nikczemnika. Tutaj już ja więcej nie wrócę, gdziem przez jeden dzień wszystkie wstydy i bóle poznała, gdziem się sromoty i gwałtu doczekała... Niech cię te ściany ojcowskie przeklną, niech ciebie i to, co ci zostawiam — udławi, boś nawet dobrej śmierci niewart — ty, zdrajco!

Ze zdławionym rykiem Jodas rzucił się ku niej, ale na miejscu go przykuły ramiona Wawra. Poczęli się szamotać.

— Puść! — zachrapał wreszcie Krystof.

Wawer odstąpił.

— Puszczę cię, — rzekł — ale, nim odejdę, to ci ostatnie słowo rzeknę, jakie od ludzi tutaj posłyszysz. Życzliwe słowo, więc je zapamiętaj!... Nie pan wróciłeś do wsi, ale przeklęty. Więc ci teraz nie szaleć i cięższe grzechy na sumienie brać, ale precz stąd iść trzeba. Za góry i lasy, za lądy i wody, jako Kain szedł. Jeśli Bóg wszystek twój pot i łzy i krew zechce na zrównanie winy przyjąć, to je daj — boś, jako Kain, winien, jako bratobójca i Judasz grzeszny. Jeśli się

opamiętasz i słowa mego usłuchasz, ja ci dopomóc gotówem! Pamiętaj!

Zawrócił się i, nie żegnając go, wyszedł.

Rozalka słyszała go z sieni i nagle poczuł jej usta na swojej ręce i szept stłumiony:

— O, jakiście dobry, Wawer!

Zawstydził się tego pocałunku.

— Co tam! — rzekł. — Bardzo was skrzywdził?

— Dusza gorzej boli... Bóg was w porę sprowadził.

— Wracałem od Rufina. Mignęło mi coś... Krystof nie Krystof. Nie wierzyłem oczom, chciałem się przekonać, więc po namyśle pod okno do was podszedłem. Jeszcze w porę dał Bóg! Uśmierciłby was! Do nas zawiedę was. Tam już będzie bezpiecznie.

— Dziękuję! Jutro do dworu pójdę! Dawno już mnie na służbę namawiają. Robotę przed odpustem odniosłam, jakbym przeczuwała. Nic już w chacie swego nie mam, ino hańbę, co za mną w ślad pójdzie...

Zapłakała gorzko, a on się do niej przysunął i ot tak, sam sobie z czynu sprawy nie zdając, żalem zdjęty i czułością, ramieniem ją wpół ogarnął.

— Kwiatuszku mój biedny! — wyszeptał, tuląc ją do siebie.

Wstrząsały ją łkania i nie opierała się wcale pieszczocie. Tak nieszczęśliwą się czuła i tak samotną.

— Było mi poco wracać do chaty jego, niegodziwca, prosić, by też ostał! — żaliła się. — Myślałam, że on tu złagodnieje, ustatkuje się, jako ojciec będzie! A on taki się stał. Szwedasów dobrych żałobą okrył, wstyd i hańbę i zgubę nam zgotował!

— Nie płacz, Rozalko, tyś niewinna! Ciebie każdy uszanuje i pożałuje. . Nie zobaczysz go więcej! Pocieszy cię Bóg za to dobrą dolą! Nie płacz, nieboga!

Wawer coraz bliżej ją do siebie tulił i wreszcie tak się pochylił, że ustami jej czoła dotknął.

Ona, zajęta swą troską jedynie, dała się całować, a w nim krew poczynała grać i serce bić gwałtownie.

Już pod płotem Didelisów sadu byli, gdy on ją w objęcia wziął, całując po twarzy i ustach. Wtedy się opamiętała i przestraszyła okropnie.

— Wawer! — poczęła błagać. — Nie godzi się! Puśćcie! Swoją macie dziewczynę! Grzech popełniacie!

— Co zrobię, kiedym was umiłował i strzymać się nie mogę, tak mi do was serce woła! Pójdźcie za mną, a tamtą rzucę! Przysięgam!

— Nie grzeszcie! Opamiętanie miejcie! Nie żonam ja dla takiego pana, ino chłopka głupia! Nie mogę pójść za wami!

— Byś mnie choć krztynę lubiła, poszłabyś, ino ci inszy snać miły!

— Bym was nad życie miłowała, nad ziemię swoją i niebo... nie potrafię... Zostawcie mnie! Ludzie zobaczą i dobrą sławę mi odbiorą. A toć nad to ja, biedna, nic nie mam!

Wówczas on się zawstydził i, upokorzony, odstąpił, a ona z przeproszeniem spojrzała nań i przodem do chaty weszła. On chwilę pozostał, by swe wzburzenie opanować. Wrzała mu w piersi szalona do tej dziewczyny ochota, ino na myśl nie przyszło zostać tu dla niej. Zabrałby ją z sobą, przemocą wiódł, ale zostać, los świetny zagrzebać, nie, tego nie zrobi!

Gdy wrócił do chaty, już się opamiętał, pilnował swych oczu i mowy, spokojnie u zapłakanej Maryjki

o wieczerzę się upomniał. Stary Jan już się zwlókł na ławę i Rozalkę koło siebie trzymając, gładził ją, jak własne dziecko, po głowie.

— I dziewczynę biedną nakarmcie! — rzekł. — Niech choć z musu je, bo siłę całkiem straci! Wy, kobiety, nie rozżalajcie jej waszym płaczem. Niech moc zbierze, niech się uspokoi!

Maryjka podała na stół jedną miskę dymiącą i parę łyżek.

— Siadajcie i pożywajcie! — wezwała szwagra i siostrę.

Stołem przedzieleni, wieczerzali wspólnie, czerpiąc razem kapustę z misy i dzieląc się kromką chleba. Jan umyślnie rozmowę o czem innem wszczął i po chwili spokój pozorny powrócił. Potem Rozalkę w gościnnej izbie ułożono do snu i cisza zaległa chatę. Tylko Wawer w swym alkierzu długo usnąć nie mógł, rozdrażniony, niespokojny, z głową pełną dzikich projektów...

Nazajutrz po śniadaniu Rozalka, mimo próśb i protestów, mimo perswazyj mężczyzn i płaczu kobiet, zabrała się do dworu. Ucałowała ręce starego, uściskała siostrę i chciała już iść, gdy Wawer wstał i na progu ją zatrzymał.

— Nie będzie tak! — rzekł. — Nie pójdziecie, jak żebraczka, piechotą, ale pojedziecie wozem, jak gospodarska córka i siostra. Piotr zabrał do pługa bratnie konie, ale w stajence stoją kobyły dereszowate, com je ojcu na gospodarkę kupił. Odwiózłbym was sam, ale ludzie gotowi plotkę jaką krzywdzącą zbajać, więc Andrzej was odstawi porządnie, aż pod bramę dworską. Tak będzie ładnie i stosownie.

Rozalka spojrzała nań wdzięcznie, a Andrzej, nawykły słuchać, jak ojca, tego brata bogacza, już drabiak wyściełał kilimkiem.

Tak tedy pojechała Rozalka sierota, wysoko na wozie, parą spasłych, żmujdzkich mierzynów, przeprowadzona aż za wrota przez całą rodzinę, pobłogosławiona przez Jana.

Drabiak podskakiwał, a klacze Wawrowe parskały raźno, ona się długo oglądała za siebie i aż do zawrotu u figury widziała jeszcze, jak Wawer przed furtką stał i za nią patrzał rozkochanemi oczami, a wiatr mu z odkrytej głowy włos rozwiewał, który mu przez to lato odrósł, jak go chłopi noszą. Jak jej tego chłopaka zawrót skrył, zrobiło się jej tak nudno i ciężko, jakby rodzonego pogrzebała, i płakała zcicha całą drogę, szwagra rozmowy nie słysząc.

Po godzinie wrócił Andrzej i opowiedział, że dziewczynę państwo radośnie przyjęli do garderoby za pokojówkę do panienek, że jej tam dobrze będzie i spokojnie. Ucieszyli się wszyscy, tylko Wawer, dziwnie markotny i milczący, klacze swoje do żłobu zaprowadził, a potem siedział, jak senny, ni roboty, ni zwykłych figlów z dziećmi się nie imając. Rozchmurzył się dopiero, gdy Jan stary o przeprowadzce do nowej zagrody zaczął mówić, przedmiotem tym zajęty, radością jaśniejący.

Gotowa była już ta chata jego ulubieńca i chluby, jutro ją poświęcić miano. Wawer już się z panem porozumiał i Marcinka od służby uwolnił, przy ojcu starym na gospodarce chcąc osadzić.

Już też i w gminie się rozpisał, swojej części zagona na braci się zrzekając, już i sprzęty wszelakie kupił i narzędzia rolne i krowę z półrocznym cielakiem i świń kilkoro i owiec trzy.

Były wszelkie dostatki i sprzężaj, a nad drzwiami Rufin figurkę wyrzeźbił, podobiznę Chrystusową na krzyżu, całą złocistą.

Mówiono tedy o tej przeprowadzce na pojutrze i o paszy dla bydlaków na zimę.

Wtem ktoś drzwi z hałasem otworzył i raptem rozmowy ucichły, w izbie jakby makiem siał.

Był to Krystof.

— Po dziewczynę przyszedłem! — burknął bez powitania.

Nikt się nie odezwał i na niego nie spojrzał, tylko Jan stary z obowiązku, krótko, niechętnie zamruczał:

— We dworze, na służbie ona jest!

— Sprowadzę ją prędko kijem. U Wawra też pieniądze mam należne za robotę...

— Ile? — Wawer spytał.

— Trzy ruble!

W milczeniu Wawer pieniądze z pugilaresu dobył, na stole przed nim położył.

Krystof je zgarnął, spojrzał po nich, jakby czekał wyrzutów i łajania, chciał się kłócić, ale nikt się nie odezwał i nawet Marvjka gwałtowna, choć chęć miała po temu okrutną, nie pisnęła słowa, pod surowym wzrokiem męża i teścia zostając.

— Zostańcie zdrowi! — Jodas pożegnał, wychodząc.

Nikt mu „z Bogiem“ nie odpowiedział, jako zwykle.

Zaczynała się dla niego ta dola okrutna, którą Rufin prorokował, nie posłyszał on głosu człowieka.

Krewni, znajomi, kobiety, dzieci małe, wszyscy, jakby się sprzysięgli, spotykali go, mijali, jakby nie istniał, bez słowa, bez powitania, bez Bożego pozdrowienia.

Gdy na kogo spojrzał, spotykał wzrok zimny i ponury.

Dziatwa, zdaleka go ujrzawszy, witała ze zgrozą:

— Jodas zdrajca...

Kobiety odwracały głowy.

Dzień cały tułał się po wsi zuchwały, wyzywający, szukając zaczepki, wieczorem przywlókł się do pustej chaty i, wziąwszy siekierę, warsztat Rozalki w sztuki porąbał, a kotka jej białego nogą kopnął i za drzwi wyrzucił.

Izba była niewymieciona, piec zimny, chłód i ciemność wyzierała z kątów. Nie stało bez dziewczyny duszy w chacie.

Krystof długo usiedzieć nie zdołał. Coś go kąsało w duszy.

Poszedł do Butkisa i, między gospodarzami usiadłszy, wódki zażądał.

— Niema wódki! — szynkarz odparł. — Miał po nią Szwedas jechać. Ano... Teraz nie mam podwody!

— Będzie teraz Szwedas kajdany nosił i do zdechnięcia piechotą chodził! — zuchwale Jodas krzyknął.

Nikt mu nie zaprzeczył, ani potwierdził. Grobowe milczenie zaległo szynkownię, poczęli po jednemu chłopi wychodzić, prędko piwo i fajkę kończąc.

On sam wreszcie został; bo i Butkis do alkierza się wysunął.

Posiedział czas jakiś i wyszedł rozstrojony, jakby przelękły, straciwszy, wobec tego martwego milczenia, cały swój rezon i równowagę....

Nazajutrz do dworu po Rozalkę poszedł, ale dziewczyny nigdzie nie spotkał, więc się do pana zameldował. Wprowadzono go do kancelarji, gdzie pan nad jakiemś pisaniem siedział i, nie jak znajomego, ale jak obcego, obojętnie spytał:

— Potrzebujesz czego?

— Po siostrę przyszedłem, która wczoraj uciekła z chaty. Nie pozwalam jej służyć i chcę zabrać..

— O Rozalce mówisz? Chora ona, doktór był właśnie i stwierdził ciężkie pobicie. Nie wiesz, kto to zrobił? Bo obowiązkiem moim jest sprawę tę w sądzie zajawić... W każdym razie teraz jej zabrać nie możesz, bo leży ciężko słaba!

Krystof się zmieszał wobec spokoju pana i chłodnej stanowczości.

Coś zamruczał i wyszedł, coraz bardziej wylękły. Chatę kołkiem podparł i nazajutrz już go we wsi nie było... Poszedł szukać roboty po dworach okolicznych.

X.

Nad zagrodą Wawrową dym się pierwszy wzbił siwą smugą, prosto mknąc ku pogodnemu niebu.

Zdaleka widział go Rufin Diwodirbis, powoli na kulach dążący w tę stronę.

Ciężki to był kurs dla niego i ważny bardzo interes widocznie miał, gdy się na taką mękę odważył.

Kapliczkę swoją odwiedził, przy krynicy chwilę spoczął i dalej wlókł się z czołem, potem oblanem. Świeżo odbita droga wiodła do folwarczku. Ogrodzony już był i okopany, z bramą porządną, co strzegła podwórza i miejsca, gdzie sad miał być kiedyś.

Na podwórzu pusto było, tylko pod chatą w słońcu kotek biały się wygrzewał, Rozalki kotek, którego Wawer głodnego i zdziczałego pojmał i przytulił. Rufin do domu wszedł i pozdrowił starego Jana, który po izbie bialutkiej się krzątał, wesoły i uśmiechnięty, jakby o dziesięć lat odmłodniał.

— Rufin! A to się mój chłopak gościem ucieszy! Siadajcie, proszę!

— Daj wam, Boże, szczęście w tej chacie!

— Bóg wam zapłać za dobre słowo! Byle Wawer tu ostał, szczęścieby było!

— Jakże? Nie zostanie?

— Nie! Ledwiem go do pojutrza uprosił. Już się też nie godzi więcej dokuczać i wstrzymywać! Wola snać taka Boża. Czy ja wiem? Mnie mimo wszyst-

ko coś szepce, że niedarmom się modlił. Może Bóg jaki cud sprawi... Gospodarze wczoraj się do niego zeszli i hurmem prosili, by za nich z panem pogadał, wedlę tej dzierżawy gruntów dworskich. On to im tę myśl rzucił i o niczem innem teraz nie marzą.

Bez niego tu nikt nie uczyni, bo i z panem umowę trzeba zrobić i grunta podzielić i pieniądze na każdego wyliczyć i zebrać na termin, a przytem moc rachunków trzymać. Jego tylko głowa to obejmie. Prosili go, jak dobrodzieja, a młodsi krzyczeli, że go siłą od siebie nie puszczą.

— Cóż on? — Rufin ciekawie spytał.

— Znać było, że mu odmowa ciężko szła, że się sam przywiązał, że nie odszedłby bez musu! Ano, mus, powiada, jest konieczność. Tak mu wkońcu aż łzy w oczach stanęły, jak mu stali dziękować i dobrze życzyć, żałować. Ano, mus jest!

Zwiesił stary głowę i zasępił się ciężko.

— Gdzie on teraz? — Rufin spytał.

— Żyto sieje!

— Sam?

— A sam. Zacząłem ja rano, a on wnet pojął i powiada: dajcie mnie, ojcze, dokończyć. Jak to zbierać będziecie za rok, pomyślcie o mnie, żem wam zasiał ten chleb pierwszy! Jakbym ja kiedy o nim nie myślał!

— Pójdę do niego, bo interes mam.

— Poczekajcie, zawołam!

— Nie, nie! Pójdę sam zobaczyć go przy robocie!

Poszli tedy razem. Nieopodal czerstwe już zagony wyciągały się symetrycznie — na pierwszym z brzegu worek z ziarnem bielał, a opodal Marcinek, pogwizdując, świeży zasiew broną powłóczył.

Siewacz do nich brózdą szedł, szerokim rzutem zboża garście przed siebie ciskając, zapatrzony w ten deszcz ziarn dorodnych, rozsypujących się z szelestem.

— *Podiek Dewo!* (Pomagaj, Boże!) — Rufin do niego zawołał.

— *Ir yums!* (I wam!) — odparł, podnosząc głowę. Rozjaśniły mu się oczy i twarz cała na widok rzeźbiarza.

— Godziło się tobie tak męczyć? Trza było rzec słowo, a przyjechałbym po ciebie. Tak daleko szedłeś, biedaku!

— Niedawno z miasteczka przyjechałem i wprost tu idę!

— A prawda. Zachodziłem wczoraj do ciebie i chatę zapartą znalazłem. Toś w miasteczku był?

— Szwedasa w więzieniu odwiedzałem.

— Puścili cię?

— Puścili, bo go jutro do Kowna przeprowadzą, skąd nie wróci, więc pozwolili mu się ze swymi pożegnać. Synowie byli i wnuki mu przynieśli, by pożegnał — byłem i ja!

— Cóż on?

— Jako zawsze, spokojny. Do ciebie też prośbę ma!

— Do mnie — on?

— Niewielką prośbę. Chciałby cię przed odejściem zobaczyć....

— To jedź, synku! — stary Jan zawołał.

— Jedź! Ino rychło! — Rufin dodał, na niebo spoglądając. — Konno w godzinę zabiegniesz i jeszcze na czas trafisz.

— Com ja mu? Ledwie znajomy!

— To co? — Jan się ozwał. — Dość, że cię woła, to nie myśleć i zastanawiać się, ale słuchać trzeba!

— Tak i zrobię. Tylko, że nijakiego interesu Szwedas do mnie mieć nie może

Odpasał fartuch z nasieniem, włożył surdut, pasącą się opodal klacz złapał i do dworku powiódł.

Wracający wolniej ojciec z Rufinem widzieli, jak w mig siodło na nią narzucił, zakiełzał, wsiadł i za wrota kłusem ruszył.

Słońce stało wysoko, a on klaczy nie żałował; w godzinę był w miasteczku, zajechał do karczmy, dereszowatej dopatrzył, rozkulbaczył i w stronę więzienia poszedł.

Już późno było, więc go puścić się wzdragali, ale stróżowi w garść datek wcisnął i przemógł niechęć.

Zaprowadzono go w korytarz — dawnego klasztoru zabytek — otworzono jedną z cel, nad którą jeszcze z pod glinki werset nabożny, łaciński wyzierał.

— Prędko się sprawcie, bo za pół godziny przyjdę was zabrać! — rzekł stróż, wpuszczając go do środka i napowrót drzwi ryglując.

Z pod czystego nieba w mrok izdebki przeniesiony, Wawer nic nie widział i stał w miejscu.

Oczy więźnia, do ciemności tej już nawykłe, poznały go, nim się odezwał.

— Nie spodziewałem się ciebie już zobaczyć, Karewisie młody! — rozległ się poważny głos Szwedasa.

— Jakże?... Skorom waszą wolę usłyszał, minuty nie zwlekałem.

— Myślałem, że ciebie już niema między swymi...

— Pojutrze odjeżdżam!

— A ja jutro odejdę. Ale ty młody i wrócić możesz, a ja stary — i już nie wrócę. Taka między nami różnica. I ty z dobrej woli odchodzisz, boś młody, a ja z musu, bom stary!...

— Nie rozumiem was!

— Tak mówię. I jaskółka na naszej ziemi żyje, i zając i wół roboczy i kret. Ale jaskółka co jesieni odlata, a zając żerowiska zmienia i dziesiątki mil oblecі. Wół zaś roboczy od brózdy ani na krok nie zejdzie, a kret z ziemi wydobyty zamiera! Młody jako jaskółka, jest lotny, jako zając, lekkonogi — ino końcami skrzydeł, ino końcami stóp dotykają ziemi. A stary, jako wół roboczy, nad brózdą wiek zbył, jak kret, w ziemi się zakopał. Rozumiesz mnie teraz?

— Rozumiem!

Szwedas zbliżył się do niego.

Oczy Wawra wdrożyły się do ciemności i widział już wyraźnie postać starego szkaplerznika, chudą i kościstą. Zgięło ją i wyniszczyło więzienie, tylko oczy zostały te same żywe, bystre, o przejmującem, surowem wejrzeniu.

— Karewis!... — rzekł po przerwie. — Mało mi chwil zostało do mówienia, a wiele rzeczy... Żali to prawda, że ty odjeżdżasz tej ziemi swojej? Żali to prawda, żeś ty jaskółka, co przed złą porą gniazdo rzuca, zając, co tam żyje, gdzie żer znajdzie? Karewis się przecie nazywasz, a to żołnierz znaczy! Żołnierz ty najemnik zatem, nie taki, jak ów pierwszy wasz ojciec był, co to nazwę wielką dostał — na własnej ziemi!

Jakże się to stać może, byś odjeżdżał? Widziałem, jakeś w ogniu stał, więc nie tchórz jesteś; widziałem, jakeś Rufinowi przyjazny, więc dobrego brata masz; widziałem, jakeś ziemię kupił i zabudował, więceś bogaty; widziałem, jak pracujesz, więc ci roboty tu nie braknie, jak starego ojca szanujesz, więc serce masz! Dlaczegóż ty odjeżdżasz i czego szukasz, żołnierzu tej ziemi naszej?

— Związanym jest słowem i obowiązkiem — tam! — Wawer odparł poważnie.

— Jakeś się rodził, ślubowałeś ziemi najpierwej, najuroczyściej... A ona teraz potrzebuje ciebie. Żali ty nie usłuchasz?

— Jakoż ona mnie woła?

— Woła od dnia, jak mnie nie stanie!

— Was! Co wy macie na myśli?

— Kiedy w wojnie żołnierz pada, następny jego miejsce bierze. Tak ci tu jest. Żołnierzyskiem ja byłem żywot cały! Terazem padł twarzą do ziemi, jak zabici padają. Karewis, nie kto inny, a ty, moje miejsce weźmiesz!

— Ja, ja? — wybełkotał Wawer, zupełnie oszołomiony. — Dlaczego ja?

— Boś dzielny i silny, boś rozumny i dobry. Czyś się zląkł tego więzienia, tej mojej siermięgi rządowej? Czyś ty tchórz?

— Tchórz, ja? — prostując się, Wawer się oburzył.

— Więc co?... Może za pieniądze ino służyć umiesz?

— Nie, alem wam rzekł, że tam obowiązki mam, słowo dałem. Jakże ja mogę zdrajcą być?

— Można i mordercą być! Co się tak patrzysz? Posłuchaj: ksiądz ino to słyszał ode mnie — a tobie powiem!... Opowiadali ci ludzie o szewcu owym, co go znaleziono przed laty pod kopcem naszym?... Opowiadali, a tyś nocą owe duchy chciał ujrzeć, co go zabiły. Śmiały jesteś. Ludzi tam zastałeś — wiem wszystko — i słowaś nie pisnął obcym. A wiesz ty, że między tymi ludźmi ów morderca był?

Wawer mimowoli się cofnął, zgrozą przejęty.

Starzec ręce przed siebie wyciągnął i zniżonym głosem dokończył:

— Te to ramiona jemu kark skręciły, by milczał!

Zapanowało milczenie uroczyste, takie, że w niem słychać było bicie serca młodzieńca i starca ciężki oddech.

Potem Szwedas dalej mówił:

— Krew na sumienie wziąłem i myślałem sobie: jeżeli to sprawa winna, Bóg ją zniszczy — jeśli ja, zniszczy mnie, i czekałem. A oto Bóg znak zrobił. Sprawa, jako była, jest i żyje, a dla mnie dzień pokuty przyszedł. Jam się go zawsze spodziewał i cichy idę! Od naszych pól i ludzi, od synów rodzonych i wnuków, od roboty całego żywota i ścieżek, com je wydeptał. Wiemci, że ich więcej nie zobaczę, wiemci, że rychło zamrę, jak kret, z ziemi wydobyty, i że na grobie nawet garści ziemi, tej swojej, nie dostanę!

Za tę krew... za tę krew! Po tylu latach.

Ale sprawa nad wszystko przed Bogiem świętsza!

Znowu przestał, ciężko dysząc.

— Krew na sumienie wziąłem i odtąd dziecka nie popieściłem nigdy, zabawy nie znałem, ni uśmiechu, martwiłem ciało, jak kat, a teraz na śmierć idę! Takem żył i pracował! Tak i ty potrafisz!

— Skąd wiecie? Ścieżki te wasze mi obce, a ja obcy!

— Skąd wiem? Ot z oczu twoich prawdziwych, z piersi twej potężnej, z mowy twej zuchwałej. To dawne Karewisy takie były i chodziły ścieżynami ciasnemi i twardemi, gdzie się kupowało imię dobre i pamięć wieczystą, a płaciło się, jak przystało — krwią! Żali ci krwi szkoda, żali ci strach, żołnierzu?

— Szwedasie, a co ja powiem, tu zostawszy, honorowi memu i słowu?

— A cóż powiesz, tam poszedłszy, ojcom pomarłym?

Znowu zamilkli, obydwa przejęci. Na korytarzu kroki się rozległy, a potem zgrzyt zamku.

Strażnik wszedł.

— Wasz czas minął. Wychodźcie! — rzekł do Wawra.

Ten jakby pijany był i ogłuszony. Stał w miejscu. Strażnik go za ramię wziął i wypchnął za drzwi. Zamknięto celę.

Jak lunatyk, wydostał się Wawer na świat i powietrze i szedł, nieświadomy swej drogi i celu, ciągle przed siebie, aż za miasteczko, w pola ciche, w noc spokojną!

. . . .

Bardzo wczesnym rankiem wywieziono Szwedasa z więzienia, zdano go pod straż czterech żołnierzy, co go etapem mieli odprowadzić do Kowna.

Na to ostatnie pożegnanie dużo ludu się zeszło z Karewiszek, synowie i wnuki, swojacy i znajomi!

On, spokojny i milczący, żegnał ich skinieniem głowy lub dłoni uściskiem i ciągle gdzieś dalej patrzał, ponad głowy, za tłum, za drogę.

I nagle twarz mu zajaśniała. Ulicą pełną gawiedzi Wawer się przepychał, wzrostem nad ludźmi górując, i ku niemu szedł.

Co niósł w sercu i na ustach, zgodę, czy odmowę?.. Już Szwedas tego nie posłyszał, bo gdy Wawer jeszcze z gromady się nie wydostał, dano znak do odejścia. Stary tedy nagłym ruchem w zanadrze swej aresztanckiej siermięgi sięgnął, dobył coś i ramię podniósł i krzyż kreśląc, cisnął tę garść w tłum, daleko. I ruszył prędko, ujrzawszy, że trafił.

Na głowę, na ręce, na ramiona Wawra posypały się, jak motyle, szkaplerze różne i różaniec z bukszpanu.

a między temi szkaplerzami był jeden, jak krew, czerwony, w kształt serca wycięty, i ten mu na piersi spadł i, zaczepiwszy się na odzieży, pozostał... A on stanął, raptem pobladły.

I stała się rzecz dziwna.

Karewiskich chłopów gromadki i Szwedasy młodzi oderwali oczy od więźnia, co odchodził, ucichły płacze i narzekania, patrzali na Wawra i, nie mówiąc słowa, nagle, jednocześnie, jedną myślą popchnięci, podnieśli ręce do czapek i odkryli głowy.

A Szwedas już na most wszedł, wysoko na Kirszniawie wzniesiony, i tam się obejrzał.

I tak zdala, raz ostatni spotkały się wejrzenia tego, co odchodził, i tego, co zostawał, i przysięgły sobie coś — bez słów.

A twarz Wawra krwią nabiegła, i zdało mu się, że wewnątrz niego, w tym dzwonie, co na żywot cały razy niewiele się odzywa, już nie ptaszę małe się zatrzepotało, ale że się w nim rozkołysało serce i biło w spiż potężnie, a dźwięk rozrywał piersi, wstrząsał duszę, zagłuszał wszystkie inne!...

XI.

Jakoś niezwykle jasno i wesoło zaświeciło słońce pewnej październikowej niedzieli na uciechę młodym i starym, a szczególnie dziatwie małej i zziębniętym wróblom pod strzechami.

W kościółku karewiskim dzwoniono na sumę, a głos się daleko rozchodził aż do Palandrów, do Zaweliszek, do Wisborów, zwołując hucznie i gromko parafjan. Dzwonił z własnej ochoty, zakrystjana uprosiwszy, Marcinek Didelisów, zarumieniony od chłodu i radości. Rozbujany dzwon podnosił go na sznurze do góry, to znowu spuszczał i zdawało się chłopcu, że on czemś bardzo ważnem jest, że cały świat wie, że on tak pięknie dzwoni.

Ścieżyny, gościńce, dworska droga zaroiły się ludźmi, niby owadów mnóstwem. Barwiły się kobiet chustki i spódnice, sukmany i kożuchy chłopów, mieszały się w to kilimki wozów, różnomastne konie i ruch i głosy stokrotne i koni parskanie i turkot zbliżały się na ten dzwon, niby wojsko na trąbkę do chorągwi.

Marcinek wciąż dzwonił, choć kościół był pełen po brzegi, choć się tłumem okrył dziedziniec, choć i pan z dworu przyjechał, choć się ozwały organy, a stokrotnie te głosy, w jeden dźwięk spłynąwszy, zabrzmiały pieśnią:

Pulkiam ant kiale (Upadajmy na kolana).

Msza się rozpoczęła.

Tłum rozpierał, zda się, ściany kościółka. Kobiety bliżej ołtarza, mężczyźni w głębi. Ławki zajęła starszyzna, okoliczna szlachta, dworscy oficjaliści. W pierwszej sam pan siedział, pani i panienki. Marcinek dzwonić wreszcie przestał i ostatni, dzięki tylko swej szczupłości, do środka się wcisnął. Przed samym panem stanął, jakby się pochwalić chciał.

Miał bo nowiutkie buty na sobie i kożuszek biały i, miast obdartego kapelusza w ręku, czapkę z błyszczącym daszkiem. Wyglądał na to, czem był: na gospodarskiego syna i zucha.

Czapkę na ziemi przed sobą położył, w zanadrze sięgnął, dobył w chustkę owiniętą książkę do nabożeństwa. Pewny był, że pan ją widzi, że czyta i zdumiewa się, skąd jego dawny koniucha taki śliczny, złocony, gruby „Auksas Altorius“ (Złoty Ołtarzyk) posiada. A nie tylko sam pan, ale i pani i ekonom i wójt dziwią się i rozmyślają, jak to Marcinek mały do takiego skarbu przyszedł.

I słusznie się dziwują, bo to nikomu z nich ta książka tak drogo nie przyszła, jak jemu!

Ale on tylko sam to wiedział i ludzi niewielu, a wszyscy zazdrościli.

Chłopak się prostował i na palcach stawał, a choć oczu nie podnosił i owych spodziewanych spojrzeń nie widział, czerwieniał z dumy.

Nieopodal niego Rufin się modlił.

Koło chorągwi, gdzie zwykle miejsce miał, ludzie mu się rozstąpili nieco, a jego i nie widać było, bo krzyżem leżał kaleka, pracowite swe ramiona rozłożywszy, a czoło o posadzkę wsparłszy. I kule jego tam leżały na ziemi, podle niego.

Odzywały się dzwonki, chyliły głowy, jak zboża łan, brzmiały organy poważnie.

Aż wreszcie się msza skończyła, odśpiewano suplikacje, odmówiono pacierze. Ksiądz do kratek przystąpił, Ewangelję odczytał.

Zrobiła się wielka ciszy przy nauce.

Potem ci z Wisborów, z Palandrów, z Zaweliszek odpływać zaczęli, stopy Chrystusowe u wejścia całując.

Z Karewiszek nikt się nie ruszył.

Oczekiwali snać czegoś jeszcze od ołtarza.

Jakoż gdy ksiądz naukę skończył, zaruszała się gromada, szmer przeszedł po niej, i jakby wiatr powiał, zrobiło się blisko ławki pańskiej wolne miejsce, wśród którego tylko dwoje ludzi stało, a lud patrzał na nich i patrzało na nich słońce z górnego okna, na głowy ich rzuciwszy garść blasków.

Stali blisko siebie.

Mężczyzna, prosty i wysoki, miał na sobie staroświecką sukmanę siną o stu fałdach, ściśniętą szerokim rzemieniem, rozwartą nieco na piersi.

Z pod niej wyzierała samodziałowa kamizelka i kołnierz grubej, lnianej koszuli.

Na piersi szkaplerzy miał kilka, a wśród nich jeden, jak krew, czerwony, w kształt serca wycięty...

W rękach grubych i ciemnych trzymał czapkę futrzaną.

Jasny jego włos, krótko ścięty, złocił się w słońcu, jak dojrzała pszenica; twarz ściągłą, bardzo inteligentną i żywą, spaloną miał na bronz. Zdobił ją wąs, krótko przystrzyżony, i uśmiech promienny, a rozświecały oczy wyraziste, myślące, a wesołe.

Kobieta szczupła była, smukła, młoda. Śniadość jej krew zabarwiła, krew rumieńca, którym płonęła pod wzrokiem tylu ludzi.

Jasną chusteczkę miała na głowie i twarz spuszczoną, że z niej mało co było widać. Na sobie chłopską

odzież, a w ręku różaniec i książkę, do Marcinkowej podobną.

Nawet i państwo ze dworu patrzeli na tę parę i coś do siebie szepnęli.

A ksiądz odchrząknął i na cały kościół z innej książki jął czytać bardzo donośnie.

— Wstępują w stan święty małżeński — pracowity Wawrzyniec Karewis, kawaler, z Rozalją Jodasówną panną — oboje katolicy, parafji tutejszej — zapowiedź pierwsza.

Jako morze kłosów, zaruszały się głowy i odwróciły do tych dwojga, a ów chłop młody jeszcze się bardziej wyprostował i jaśniej uśmiechnął i przysunął do dziewczyny spłonionej i razem uklękli obok siebie, ku ołtarzowi oczy wznosząc.

Ludzie zaczęli wychodzić i na dziedzińcu szumieć, jako rój pszczoli, a oni wciąż się modlili w cichości.

Dopiero gdy Rufin mozolnie z ziemi powstał, podnieśli się i oni i tak we troje wyszli przed kościół.

Otoczono ich zewsząd. Najstarsi gospodarze cisnęli się do prawicy młodzieńca, winszując i dobrze życząc, kobiety wyrywały sobie z rąk dziewczynę, ściskając i całując.

Potem się rozstąpiono przed panem, który także do parobczaka przystąpił, dłoń mu podał, a potem w głowę ucałował.

— Przecie nas na wesele zaprosisz, Karewis! — mówił wesoło.

— Szczerem sercem prosimy w gościnę! — odparł młody, kłaniając się z uszanowaniem, a Rozalka, jak wiśnia, czerwona, dziękowała pani i panienkom za życzenia i serdeczne zajęcie.

Przed kościołem, jak w odpustowy dzień, rojno było.

Hamowano się nieco obecnością państwa, ale gdy wreszcie odjechali, Jonas Szluguris przed młodą parą stanął, czapkę w górę wyrzucił, w bok się wziął i z fantazją pieśń weselną zaintonował:

Chmielu, ty, chmielu,
Zielona szyszko,
Póki sam byłeś,
Bitwy nie czyniłeś.

A jak się zmieszałeś
Z czystym jęczmieniem,
Chmielu, ty, chmielu,
Bitwę zrobiłeś!...

Zaśmiano się chórem, zawtórowano ochoczo i, porwawszy młodego, wiedziono go gwałtem do gospody. Ale on się oparł za wrotami.

— Nie dzisiaj! — rzekł stanowczo. — Alus u Butkisa stary i wytęchły. Będziemy pić i hulać, jak mu świeżego przywiozę! — I został.

Tłum się rozszedł powoli.

Na stwardniałej od mrozu drodze, wśród pól, szronem okrytych i nagich, zostało troje.

Kaleka szedł środkiem, a młode, silne ramiona podtrzymywały go na wybojach szlaku.

Zatrzymał się przed chałupką swoją i spojrzał na nich nieśmiało.

— Możebyście wstąpili? — poprosił.

— Jeżeli pozwolisz i owszem.

Weszli do jedynej izdebki, ubożuchnej i zimnej.

Gdy tak stali promienni i radośni, Rufin łagodne swe źrenice w nich wlepił i z uśmiechem się ozwał:

— Jacyście piękni! Zda mi się, że z wami złote lato do chaty mi weszło i zaświeciło. Czemże ja was ugoszczę, mili moi?

Słowem swojem, jakeś zwykle uczył, cieszył, radował! — odparł chłop młody, obejmując go za szyję i całując.

— Tak ci się zdaje, bracie, druhu stary! To ci własna dusza mówiła, nie ja. Jako świerszcz zbożowy jestem. Radujesz się, go słysząc, ale nie z tego śpiewu marnego, ale z owych pól barwnych, gdzie się on odzywa. Takem ja się dziś radował, owe zapowiedzi słysząc wasze, jakby ksiądz mówił nie o godach serc waszych, ale od ziemi dziewosłębem był i na gody jej z tobą lud zapraszał...

— Ja tom inaczej onej chwili myślał! — odparł Wawer z uśmiechem, na Rozalkę spoglądając. — Chatę swoją widziałem, a w niej gospodynią, jako ją piosnka maluje:

Czyściocha, tkaczka,
Prządka, śpiewaczka.

— A ty, Rozalko, pomyślałaś krzynę o gospodarzu swoim? — dodał żartobliwie.

— Pomyślałam, jako on dzisiaj w daleką drogę pojedzie i w ciężką...

— A pojadę! Skoro zmierzchnie, wstąpię do ciebie, Rufinie, po pakunek i na noc całą ruszę. Da Bóg, za dni dziesiątek powrócę. By się ta już prędzej wesela doczekać.

Zamyślił się i zamarkotniał na chwilę.

— Bieda tym, co ni chaty, ni twarzy swojej w żywocie nie zobaczą i których nikt dobrze nie wspomni — nie żałuje!...

— O Krystofie myślisz? — zcicha Rufin zapytał.

— O nimże!

— Możeś go widział? — rzeźbiarz się odezwał.

— Onegdaj. Po północy zapukał do komórki u mnie, gdzie sam nocuję — i po imieniu się nazwał...

Wyszedłem do niego. Wicher i deszcz hulał na dworze, taka pora, że ino wilki i samobójcy chodzą po świecie...

W ciemności tom go nie widział dobrze, ale, by się nie nazwał, tobym i głosu nie poznał. Wspomniał, żem mu ratunek obiecał kiedyś i po to przyszedł. Za morza chciał jechać.

— I pojechał?

— Pojechał... Ostatek mojej niemieckiej skóry mu oddałem, kapitana Lorensa paszport, grosz na drogę i list polecający do znajomych.

— Dobrześ zrobił. Nie żyć mu tu było.

— I jeszcze jeden list mój z sobą powiózł, a w nim pierścionek Niemkini. Napisałem do kupca starego, przepraszając i prosząc, ale że mu sprzeniewierzyć się muszę, bo mnie matka od siebie nie puszcza! Takem rzekł i myślę, żem nie zełgał!

— Nie, prawda jest!

— Takem rozumiał. Poszedł tedy Krystof. Teraz daleko być musi! W Bożej woli jego droga, w Bożej woli jego powrót!

Obejrzał się na dziewczynę. Ciche łzy biegły jej po licu, a usta drżały.

— Czego się troskasz, kwiatuszku mój? — rzekł. Będzie ta chata uboga, skąd cię sobie wezmę, pod moją opieką i staraniem czekać na niego. By za lat dwadzieścia wrócił, całą ją najdzie, białą i oprzątniętą, jako przedtem była. Da Bóg, on wróci do niej!

— Wróci, jako z więzień wracają, karę przebywszy. Może i jego stopy poznają kiedy ścieżyny nasze... U Boga takie bywają naznaczenia cudowne! — rzekł Rufin uroczyście. — Ciała kalekie mu służą i dusze chrome często na służki swoje naucza! Nie

płacz, dziewczyno dobra, ino się módl za nim — i czekaj — w Bogu ufając!

Rękę jej w swe dłonie ujął i z uśmiechem, co był nad słońce jaśniejszy, a nad wszelkie żałości smutniejszy, dalej mówił:

— I nad tym wybranym swoim nie płacz, gdy w drogę odchodzi daleką, a ciężką!... I choćbyś go kiedy, jak Szwedasa, żegnać miała, nie płacz!

Drogi nasze, jak mrówcze ścieżyny, które do gościńca biegną, co ni końca nie ma, ni początku.

Lata nasze, jak owadów doby, a prace nasze, jako źdźbła, co je ptaszek na gniazdo nosi i ściele, a my sami, jako te szare prochy pod stopami...

Z tych ścieżyn i ździeбeł i prochów światy się tworzą — ale my co? — do świata, a świat co? — do nieba. Nie płakać tedy — a czekać!...

Tak się w swych myślach zatopił, że nie czuł, jak na ręku jego spoczęły wargi dziewczyny, a potem żołnierza młodego usta.

Tak mu bez słowa, z dusz głębi złożyli cześć i szacunek, podziękowali — ona za światło, które w niej zapalił, on za napój cudowny, który w tej izbie pił tyle razy, na obudzenie i zdrowie i siły...

On tego nie czuł, bo i ziemi w tej chwili nie czuł, ani ciała, ani bólów swoich...

XII.

Burzami był wzdęty Bałtyk siny i jesiennemi wichrami smagany.

Nad nim bure niebo chłód rozrzucało i ponurość, białe piany na grzbietach fal jak śnieg złowieszczy były.

W Memlu ładowano ostatnie statki przed zimą, spieszono się, by wczas jeszcze umknąć na brzegi łaskawsze, w porty cieplejsze.

Ludzi było jak mrowia po bulwarach, po tamach, roiły się pomosty, daleko w morze rzucone, rozbrzmiewało powietrze od łoskotu spuszczanych belek, świstu pary, dzwonków, zgrzytu wind, nawoływań i rozkazów.

Niedaleko zbożowych magazynów ładowano kilka ciężkich, transportowych parowców, spody ich czerwono malowane, zagłębiały się coraz bardziej, boki osłaniające skrzydła śnieżno-białe, czerniały daleko nazwą. Dwa były angielskie, jeden niemiecki z kupiecką banderą.

Setki, tysiące worków pochłaniały ich dna pękate. Odejdą jutro o świcie, mówili znawcy, patrząc mimochodem na nie.

Na pomoście, który do nich wiódł, stał chłop młody i przypatrywał się robocie.

Miał kierpce skórzane na nogach, za pasem bicz zatknięty, na głowie spiczastą czapkę futrem obłożoną, staroświecką kiepurę.

Nic go snać nie nagliło. Ręce wsunął w rękawy i od paru już godzin stał na wietrze i chłodzie, popychany, odtrącany, łajany.

Nie odzywał się, tylko z właściwym swemu narodowi uporem zostawał w miejscu raz obranem. Zapatrzony był w morze, zasłuchany w te zmięszane portowe odgłosy, nozdrza nawet jego zdawały się z rozkoszą wciągać surowe, ostre wyziewy wód słonych, bo się rozdymały jak u stepownika, gdy go tęsknota ogarnie.

I źrenice jego żywe były, zajęte, rozświecone. Choć milczały usta, oczy gadały coś do tych fal, do tych pian, do tego głosu morza! A tymczasem zapatrzonego klęli robotnicy z drzewem, workami, bo im zawadzał na wąskim pomoście; oglądali się na niego marynarze, uwijający się tu i tam; przekpiwali jego strój malcy i Łotysze. Ale on oczy, czucie i myśl miał tylko dla tego morza przed sobą i na nic nie zważał.

Mijając spojrzał nań także majtek z niemieckiego okrętu, człek barczysty, czerwony, brodaty. Spojrzał i zatrzymał się, potem splunął i dalej poszedł, ale o parę kroków znów się obejrzał, popatrzał dłużej, zaklął.

Zwrócił się, o krok przed chłopem stanął i przypatrywał mu się uparcie, badawczo, ciekawie. Chłop oczu od Bałtyku nie zwracał.

Nareszcie marynarz jeszcze się zbliżył, odchrząknął, splunął. I to nic nie pomogło.

Wówczas zdecydował się i ręką dotykając czapki i krzywiąc się od śmiechu, rzekł znienacka:

— *Kapitän Lorens!*

Chłop drgnął, odwrócił głowę na mówiącego, bez słowa patrzał.

Tamten coraz się upewniał w swej pamięci.

— *Erkennen mich nicht? Bin ja Trimm, Matrose aus „Margarete“. Da!*

Rękę wzniósł i statek najbliższy wskazał.

Chłop milczał. Spojrzał na parowiec, na morze, na niebo w krąg, a nakoniec źrenice spokojne, lekko zmrużone na marynarza przeniósł i nie zmieniając postawy, nie zdradzając najlżejszego zajęcia, rzekł lakonicznie:

— *Ne suprantu!* (Nie rozumiem!)

— *Der Teufel! Sind ja Kapitän Lorens, oder ich bin ein Haifisch!* — zawołał majtek upornie.

— *Ne suprantu!* — powtórzył chłop.

Wówczas Trimm zawstydził się swej pomyłki. Splunął, na obcasie się odwrócił i prędko odszedł.

A chłop dalej w Bałtyk siny się wpatrywał!...

KONIEC

STRASZNY DZIADUNIO

TEJŻE AUTORKI:

ANIMA VILIS — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE

ATMA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.

BŁĘKITNI — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE

BYLI I BĘDĄ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

CZAHARY — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

CZARNY CHLEB — NOWELE.

JASKÓŁCZYM SZLAKIEM — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

JERYCHONKA — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

JOAN VIII. 1—12 — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

KWIAT LOTOSU — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

MACIERZ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

MAGNAT — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

NA FALI — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

NA WYŻYNACH — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

RAGNARÖK — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.

SZARY PROCH — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

WRZOS — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

MARJA RODZIEWICZÓWNA

STRASZNY DZIADUNIO

POWIEŚĆ

WYDANIE PIĄTE

LWÓW-POZNAŃ 1922
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A., POZNAŃ

I.

Delfin.

— Hieronim, słyszysz, wstawaj! A, to sen do zazdrości! Hieronim, Rucio, to ja Żabba!

— To mi dopiero nowina! — odparł z pod burki stłumiony, zaspany głos. — A czego tam chcesz? Pali się?

— Wstań, to zobaczysz!

— Ale kiedy ja nie chcę ani wstawać, ani patrzeć.

— Ano, to się utopisz!

— Coo?

Z pod burki wyjrzała na świat rozczochrana, płowa czupryna, potem ręka, potem senna twarz młodego człowieka.

Ziewnął przeciągle, pięściami przetarł oczy i spojrzał.

— Bogi Olimpu i Walhalli! Co to, potop? — krzyknął, porywając się na równe nogi.

Było czego się dziwić. Chłopski alkierz, gdzie się to działo, po ramy okien pełen był wody. Wszystkie sprzęty były już zatopione; szczelinami wdzierał się nurt, sycząc; wokoło panowała głucha cisza, tylko zdala dochodziła przeciągła wrzawa głosów ludzkich i przeraźliwy ryk bydła.

Zbudzony, stojąc po kolana w wodzie, rozejrzał się zdumiony.

— Cóż milczysz? — krzyknął do towarzysza. — Gadaj, co się stało!

— Powódź! — lakonicznie odparł zagadnięty.

— Wieś zatopiona? Gdzie koledzy?

— Zatopiona. Koledzy bezpieczni pod lasem. Ja zaszedłem po ciebie.

— Rychło w porę! — zamruczał pan Hieronim. — O włos nie zginąłem przez twą troskliwość.

— Spałeś jak pień!

— Jak pień! Zgrabna metafora. Ciekawym, jakbyś ty spał, gdybyś wrócił z linji po trzech dniach roboty.

— Grocholski był z tobą, a jednak pierwszy się stawił na alarm.

— Grocholski musi myśleć o pani naczelnikowej. Zakochani mają zawsze lekki sen, jak panienki. Nieprawdaż?

— Musi być — odparł Litwin.

Tu pan Hieronim zakrzątał się, brodząc po wodzie i monologując pod nosem:

— Już wiem, to mi pewnie dziadunio nasłał to nieszczęście za to, żem nie chciał pójść na medycynę. Bogi piekielne, czy jest w waszej śpiżarni mąk gorsza od doli studenta na praktyce? Jako Hiob wyjdę z tej okazji, jeśli życie zachowam. Tłomok w wodzie, odzienie wniwecz; moje rachunki, plany, pożarła ta ciecz nikczemna. Dobrze, że choć skrzypce w całości. A masz czółno, Żabba?

— Niema — odparł spokojnie.

— Jakto, niema? Piechotą pójdziemy po wodzie?

— A juści. Albo to dla ciebie co nowego? Ty Delfin!

— Otóż to! Dlategom nierad mej reputacji mar-

nować w tej odzieży! Hm, a gdzież to smyczek? Leżał na oknie, czy pod oknem! Przepadł! Doprawdy, czuję i w tem palec dziadunia. On ma jakieś konszachty ze złemi mocami i używa ich na moją zatratę. Oj, oj! Niema smyczka, niema!

— Porzuć gadanie i chodźmy! — wtrącił Żabba.

— Łatwo ci to powiedzieć! Ale ja z duszą muzykalną cierpię nad tą stratą!

Chłopak załamał ręce patetycznie, oczy mu się jednak śmiały.

— Dajże pokój, albo to czas błaznować?

— Na błaznowanie powinien człowiek mieć czas, bo inaczej, cóż robić z życiem! Trzeba będzie dostać żółtaczki, zapchać mózg cyframi, tak wyglądać jak ty, skrzeku pospolity!

Przy tej oracji pan Hieronim wziął zmokły tłomoczek na plecy, skrzypce pod pachę i wydostał się oknem na świat boży. Kolega zebrał resztę manatków i podążył za nim, nieobrażony bynajmniej zoologiczną przenośnią swego nazwiska.

— Słuchajno, Żabba, a gdzież to ci bezpieczni koledzy pod lasem? Prowadź, bo doprawdy zgłupiałem ze snu i paniki. To nie moja specjalność wodna komunikacja.

— Tędy — rzekł Żabba — widzisz, koledzy na górce!

— Aha! Widzę, że idziemy prosto na doły z gliną! Śliczna awantura! I to morze było wczoraj nikczemną kałużą. I wierz tu pozorom. Chłopi uciekli i wrzeszczą. Głupi naród! Co to im pomoże? Ale że mnie ten wrzask nie zbudził!

— Kiedy bo spałeś jak pień!

— Jak pień! Ten zawsze swoje — mruknął młody chłopak i umilkł na chwilę.

Woda dochodziła im do pasa, prąd walił z nóg, targał tu i tam. Było dziwnie przykro borykać się z rozpętanym żywiołem, nie wiedząc, gdzie i co się ma pod stopami, bo woda rozmulona, pełna zielska, była czarna jak atrament.

Nad tą wodą sterczały dachy chat, łby bydła, drzewa lasu — i na wzgórzu tłum ludności, zbitej w niesforną, wyjącą gromadę.

Pan Hieronim z za pleców kolegi spojrzał w stronę lasu, odmierzył okiem odległość i zaśmiał się niefrasobliwie.

— Stroiki inżynierowej musiały ulec smutnym wypadkom — zauważył wesoło.

— Zostały w chacie podobno.

— Otóż tak, dobrze jej! Poco jeździ z mężem, nieodstępna jak wyrzut sumienia. Siedziałaby w mieście. Bardzo się cieszę z tej straty. Będzie miała naukę na przyszłość. Potrzebna nam tu, jak dziura w bucie! Wiecznie kogoś zbałamuci, a my za tego musimy wszystko odrabiać. Szkoda, że ten fircyk Grocholski nie poszedł na dno z jej sukienkami. Brr, co tu wody!

Chłopak odsapnął, bo go już nurt za piersi chwytał.

— I powiedz mi, Żabba, skąd się ten tani płyn wziął w takiej ilości, przez jedną noc?

— Z gór — wygłosił zapytany.

— Ale z jakich?

— Skąd ta rzeka płynie.

— Gruntownie znasz kwestję! Cóż to? Alpy, Himalaje, Andy?

— Góry i kwita.

— Otóż i odpowiedź inżyniera! Poproszę naczel-

nika, żeby cię wysłał na praktykę do wiejskiej szkółki na zarysy geografji!

— Nie durz mi głowy! — burknął Litwin.

— To dopiero głowa drogocenna! Żeby ją wytrząść, to przysięgnę, że makby się sypał.

Kolega coś zamruczał niewyraźnie. Nigdy nie próbował walczyć na języki z panem Hieronimem. Drwin jego i przedrzeźniań bała się cała akademja.

Wzgórek pod lasem zbliżał się widocznie. Można już było rozróżnić wyraźnie kilka postaci czarnych, a jedną jasną i usłyszeć nawoływania znajomych głosów.

— Salve! Salve! — wołał pan Hieronim, wyprzedzając Żabbę — Nie krzyczcie! Wierzę w wasze dobre intencje co do mej osoby! Jestem wam mocno obowiązany, a jak będę w możności odwdzięczenia, to klnę się na bogi, że sam się pierwej uratuję, a po was poślę modły do nieba! Witajcie, witajcie!

Żabba, słuchając tego, uśmiechnął się lekko.

— Ja przyszedłem przecież! — wtrącił.

— Aha, dopominasz się solidniejszej wdzięczności! — śmiał się pan Hieronim — Bądź spokojny! W takim razie poślę po ciebie tego raka, co to chodził po drożdże na Podlasiu.

— Hm, to dobrze! Już wolę modły!

— Jak się masz, Ruciu, jak się masz? Tędy, tędy! — wołano ze wzgórza.

Chłopak dopadł stromego brzegu, rzucił nań swe mienie, potem wdrapał się jak kot, pomógł Żabbie i dopiero wtedy otrząsnął się z wody i ukłonił całemu towarzystwu.

— Staję do apelu, panie naczelniku! — ozwał się do średnich lat mężczyzny. — Rzeka odarła mnie z owoców pracy, nie mam nawet ołówka!

— Dobrze, że żyjemy i kasa uratowana! — odparł naczelnik.

— Ale moje suknie tam! — wskazała desperacko pulchną rączką dama różowa i biała, uczepiona do naczelnikowskiego ramienia.

— I mój frak przepadł! — jęknął Grocholski melancholijnie.

— Szkoda! — zaśmiał się Hieronim. — Zagrałbym wam Tadeusza, żeby nie to, że i mój smyczek zginął

— Ale widok przepyszny! — ozwał się naczelnik.

Wszyscy spojrzeli na rzekę. Istotnie, widok był piękny grozą i ogromem.

Niewielki potok, płynący wczoraj jeszcze o kilkaset kroków od wsi, leniwy, cichy, przez pół doby urósł do niezwykłych rozmiarów.

Olbrzymiemi wałami parła fala przed sobą środkiem prądu stogi siana, deski, zielsko, liście, gałęzie, wszystko splątane w bezładny kłąb.

Huk i wrzenie kotłowało się jak w zbuntowanem mieście, rzeka wyglądała jak lud rozjuszony, pijany, ryczący, żądny krwi i ognia.

— Przypomniała babka dziewic wieczór[1]) — zauważył Hieronim, trącając lekko Grocholskiego.

— Cóż, Jasiu, nie popłyniesz na ratunek sukni damy twego serca? — zagadnął zcicha.

— Tej sztuki nawet tybyś nie dokazał.

— Doprawdy? Czy wiesz o jakich ważnych przeszkodach?

— Wiem: niemożliwość!

Oczy chłopca zamigotały sinawym błyskiem polerowanej stali.

---

[1]) Przysłowie litewskie.

— Niemożliwość! Hieronim Białopiotrowicz, wasz sługa, nie wie, co to za facecja, co się tak brzydko wabi!

— Et, porzuć! — wtrącił Żabba — Choćbyś chciał, to nie możesz wyłowić smyczka!

— Milcz! Nie otwieraj krwawiących się ran, bo jak się rozgniewam, to cię wrzucę tam, gdzie najady przymierzają sukienki naczelnikowej, będziesz dopiero krzyczał z zachwytu!

Koledzy parsknęli śmiechem. Litwin skrzywił się, jak ktoś, co chce kichnąć, a nie może i mruknął uparcie:

— Ale, taki smyczek przepadł całkiem!

— Masz, idź go poszukaj! — zawołał swawolnik, porywając czapkę towarzysza i ciskając ją daleko w wodę.

— Ajej, ajej, ajej! — lamentował poszkodowany — Jedna była, nowiutka. Teraz mi słońce mózg przepali!

— Niewiele go znajdzie! Aha, nie śmiej się, nie lamentuj, nie biegaj jak kura za kurczętami! Skacz, Żabbo, jeszcze ją dogonisz!

— Bodaj ci się dziadunio przyśnił!

Hieronim chwilę patrzył na niezaradność kolegi, potem skoczył na brzeg, wywrócił w powietrzu koziołka, wpadł w wodę, dognał czapkę, chwycił ją w zęby i, bawiąc się siłą prądu ze spienioną falą, w parę minut stał już na lądzie.

— Brawo! — zawołała piękna pani — Pan pływasz jak ryba.

— Czy to komplement, Grocholski? — szepnął Hieronim.

— Domowego wyrobu — odparł któryś z kolegów, bo Grocholski uśmiechnięty odpowiadał damie:

— Dla niego to zabawka! W naszych oczach przepływał Newę pod Kronsztadem. Daliśmy mu wtedy przydomek Delfina.

— Panowie! — zawołał naczelnik, który nie mieszając się do rozmowy, z lunetą przy oku śledził brzegi rzeki — Patrzcie, tam w lesie, między drzewami, coś płynie!

— Gdzie, gdzie? — wołała krótkowidząca pani, mrużąc oczy i skubiąc męża za rękaw — Co płynie? Gdzie? Pokaż, mój drogi!

— Płynie dach, a na dachu coś siedzi, niby gęś, niby pies! — pouczył uprzejmie Hieronim.

— Jaka gęś, jaki pies? — wtrącił Żabba.

— Pstrokata! Może to zresztą koza, ma na sobie trochę czarnego i trochę białego. Widzisz przecie!

— Człowiek płynie!

— Ty wszędzie widzisz nadzwyczajności!

— Ale kiedy to naprawdę człowiek — kobieta!

— Może nawet młoda i ładna, do ciebie podobna!

— Panowie, to rozbitek, tonie, słyszycie! — wołał naczelnik, odejmując lunetę od oka.

Zamilkli wszyscy. Dach się zbliżał, rzucany tu i tam prądem, chwilami fala nakrywała go zupełnie, chwilami wyrzucała na powierzchnię. Wnet nawet naczelnikowa dostrzegła postać ludzką, przyczepioną do szczytu i do wszystkich uszu doleciało rozpaczne wołanie ratunku.

— Aha, ratuj! Niema czółna! — rzekł Grocholski, oglądając się wokoło.

Hieronim milczał, stalowe jego oczy nie schodziły z rozbitka, nie śmiał się.

— Delfin! — szepnął Żabba — Skacz! Szkoda człowieka!

Inżynier dosłyszał i obejrzał się niezadowolony.

— Co pan robisz? — upomniał Litwina — Oliwę lejesz na ogień! Ten szaleniec gotów na wszystko!

— Wiem, panie naczelniku! Nic mu się nie stanie!

Hieronim się roześmiał.

— Nie darmo żyjemy tyle lat, jak bracia. Żabba szynkuje moją skórą, jak własną. Bądź spokojny, brateńku, nie trzeba mi zachęty. Czekam tylko, żeby się to zbliżyło dostatecznie. Przyniosę ci w prezencie tę ładną kobietę!

— Okropność, pan się utopi! — krzyknęła, blednąc, naczelnikowa.

— Ej, broń Boże! No, teraz dobrze, w miarę! Hop!

Nim się zdołano obejrzeć, chłopak już zrzucił surdut i buty — płynął ukośnie pod prąd, na środek. Towarzystwo skupiło się na brzegu, śledząc z natężeniem tę walkę. Naczelnik oddał szkło żonie i uśmiechał się z zadowolenia, Grocholski bił brawo. Żabby oczy, zwykle trochę senne, błyszczały niepokojem i dumą. Zszedł nad samą wodę i cisnąc w ręku ogromną gałąź, obojętny, że mu rzeka dochodziła do kolan, gotów był rzucić się na pomoc druhowi, choć pływać nie umiał i choć obaj kłócili się całe życie.

Ale Delfin nie potrzebował pomocy.

Sapiąc, parskając, miażdżąc fale siłą pięści, płynął wciąż, nie ustając i nie słabnąc. Czasem wstawał nawpół i śledził ścigany przedmiot, czasem jego jasną głowę nakrywał bałwan, ale przestrzeń, dzieląca go od dachu, zmniejszała się z każdą chwilą, a prąd, druzgocący całe osady, oślizgiwał się besilny po smukłych, sprężystych członkach nieustraszonego chłopca.

— Brawo! — krzyknął Grocholski.

Mokra, pełna zielska i szlamu głowa wyjrzała obok dachu, nerwowa dłoń chwyciła rozbitka. Nieszczęsna kobieta, czy koza rozpaczliwie trzymała się drzewa. Obrońca, wisząc w powietrzu, zdyszany, nie mogąc dobyć głosu z zalanego wodą gardła, szarpnął ją z całych sił. Szczap deski, do którego wpiła się rękoma, oddarł się z trzaskiem, krzyknęła okropnie i, nie puszczając drzazgi, zsunęła się w rzekę. Woda trysnęła, zakrywając wszystko, znikli oboje. Dach, uwolniony od ciężaru, podniósł się nieco i popłynął szybciej.

Po chwili z pośród huczących bałwanów ukazały się dwie głowy. To Delfin wracał, wolniej, mozolniej z ładunkiem.

Prąd go już targał i zawracał, szamotali się ze sobą w wielkiej ciszy, bo patrzący, tamując oddech, czekali, jak się to skończy, i nie wołali już brawo.

Hieronim dyszał, pracując jedną ręką, coraz częściej ginął pod falą, ale pomimo osłabienia, trzymał mocno trofea swej wyprawy, kobietę omdlałą, siną, może martwą.

— Rucio, Rucio! — krzyknął Żabba.

Głos przyjaciela ocucił zmęczonego. Zebrał resztę sił, rzucił się naprzód. Główny prąd został za nim. Jeszcze sto kroków, jeszcze pięćdziesiąt. Żabba wszedł po ramiona w wodę, rzucił mu gałąź.

— Brawo, Delfin!

Krzyczał Grocholski, inżynier, piszczała dyszkantem inżynierowa, krzyczeli obaj koledzy. A biedny Delfin, zziajany, bez tchu, blady jak ściana, leżał na brzegu, ociekając wodą, chrapiąc jak zdławiony zwierz i trzymając wciąż za ramię drobną postać rozbitka.

Żabba ukląkł nad nim i podczas gdy inni zajęli

się uratowaną, on ocierał twarz i ręce przyjaciela, powtarzając uparcie:

— A co? Ja mówiłem, że mu to nic! Ja mówiłem!

— Uf! — odsapnął wreszcie Hieronim, siadając na ziemi — Szkoda, żem o zakład nie poszedł. Zasłużyłem sobie na dobrą indemnizację! Uf! Tom się zmachał!

— A ja mówiłem, że to kobieta! — szepnął Litwin.

— Czy żyje przynajmniej? Podobna do ciebie? — zagadnął chłopak, oglądając się wokoło i wstając.

— Żyje, biedactwo, żyje! — wołała pawim głosem naczelnikowa.

— Pokażcie mi ją! Może to syrena?

— Aha syrena! — parsknął śmiechem Grocholski, odstępując od leżącej na trawie ofiary powodzi.

Hieronim spojrzał ciekawie i skrzywił się.

Przed nim, okryta pledem inżynierowej, leżała dziewczynka kilkoletnia, drobna, chuda, sina.

Miała na sobie strzępy grubej koszuli, czerwoną wyszarzaną spódniczkę do kolan, bose ciemne nogi krwawiły się w kilku miejscach, malutką jak pięść twarzyczkę zakrywały zupełnie roztargane czarne włosy, pełne zielska i szlamu.

W kurczowo zaciśniętej ręce trzymała wciąż drzazgę dachu, a wyglądała bez życia.

— Ten patyk z suchej miotły już nie zipie! — zawołał Hieronim, klękając nad nią.

— Owszem, owszem! — wołała pani naczelnikowa. — Serce bije, ręce ciepłe!

— Bo jeszcze nie zastygły — mruknął student, biorąc na kolana głowę dziewczynki i odgarniając włosy z jej czoła.

— Szaniarski! — zainterpelował jednego z gapią-

cych się kolegów — Masz pewnie w mantelzaku butelczynę?

— Mam parę kropel — odparł zagadnięty.

— A co? Duszą i starką Szaniarski ratuje zawsze z najgorszych niebezpieczeństw! Dajno, bracie!

Student przyniósł rżniętą flaszkę. Hieronim z trudnością otworzył zaciśnięte zęby dziecka i wlał w gardło trochę wódki.

— No, że niepiękna, to widoczne, ale że uparta, o tem ja coś wiem. Ledwiem ją oderwał od dachu i maluczko mnie nie pociągnęła na dno! No, nie szczerz zębów! Połknij jeszcze odrobinę!

Naczelnik tymczasem, spojrzawszy obojętnie na zdobycz pana Hieronima, odszedł znów nad wodę, wezwawszy Grocholskiego i Żabbę.

Wzięli narzędzia, odmierzyli wysokość wody, powódź już nie rosła. Zaczęli naukową gawędkę.

— Trzeba nam będzie poszukać schronienia za lasem w jakiejś bezpiecznej wsi.

— Byłem tam onegdaj na robocie — objaśnił Grocholski. — Sądzę, że się znajdą mieszkania.

— A ot i słońce zachodzi! — wtrącił Żabba.

— Możemy iść. Co przepadło, zginęło! Ciekawym, czy Białopiotrowicz ocucił małą.

Wrócili do drzewa, gdzie skupiła się reszta. Dziewczynka siedziała już na ziemi, otulona burką studencką, zalękła, drżąca, wlepiając w twarz Hieronima piwne łzami zaszłe oczy.

— No, żyje! — rzekł naczelnik — To i dobrze. Możemy iść!

— Dokąd? — zagadnęła pani i nie czekając na odpowiedź, trzepała dalej:

— Ale, wiesz mężu, to niemowa! O co się spytać, milczy!

— Niemowa? Krzyczała przecie ratunku. Mniejsza z tem. Chodźmy! Znajdą się rodzice.

Żabba wziął dziecko za ramię.

Spojrzała dziko, usunęła się.

— Oho, księżniczka z bajki. Bierz ją Ruciu!

— A biorę. Może się rozmyśli i przemówi.

Orszak ruszył. Na czele wódz rzeszy z lunetą pod ręką, dalej pani pod eskortą Grocholskiego i dwaj studenci, obładowani tłomokami. Pochód zamykał Żabba z przyjacielem.

Dziecko, gdy je Hieronim wziął na ręce, zaczęło płakać. Nie zważał na to, i niosąc je, ruszył za towarzystwem, dowcipkując po swojemu z Żabbą.

Po chwili uspokoiło się biedactwo, spojrzało w górę, w śmiejące się oczy chłopca, przytuliło mu się do piersi, przymknęło zmęczone płaczem oczy.

Usypiała, kołysana ruchem i okropnem zmęczeniem. Już jej nic złego nie mogło spotkać.

Szli tak wśród lasu godzinę, i mrok padał zupełny, gdy zaczerniała przed nimi wieś, mrugając światełkami z okien. Zaczęto nawoływać ludzi.

Po chwili tłum ich otoczył. Dobijano się jak o honor o przyjęcie rozbitków, porwano ich tłomoki, i Hieronim ani się obejrzał, jak się znalazł z Żabbą w obszernej izbie, otoczony całą chłopską rodziną, wyprzedzającą się w usługach.

Dziecko spało cichutko.

— A to co, panie? — zagądnął gospodarz, gdy chłopiec układał drobiazg ten na swej burce, na ławie.

— Szczupak na sprzedaż. Niech śpi tymczasem

— Ej, pan żartuje! Toż to człowiek!

— Nawet kobieta. Złowiłem w powodzi. Może ją znacie?

Wszystkie twarze pochyliły się nad uśpioną, każdy się cofnął, ruszając ramionami.

— Nietutejsza — odparł gospodarz — Musiała ją rzeka z góry gdzieś porwać. No, niech śpi! Jak ma rodziców, to się upomną. Prosimy tymczasem panów na wieczerzę.

Młodzi ludzie rzucili się do jadła z dobrze zrozumianą zaciekłością; wśród wrzawy rozmów, śmiechu z anegdot Hieronima, szczęku misek i łyżek, nikt nie dosłyszał płaczu rozbitka.

Zbudził ją hałas, przeraził widok tylu obcych, i łkała, tuląc się do ściany, jak młody wilczek, nawpół tylko oswojony.

Nagle przypomniał ją sobie Hieronim, zajrzał w kąt.

— Może ci się jeść chce, dziecko? — spytał, głaszcząc ją po głowie.

— Bardzo! — szepnęła, biorąc w obie dłonie jego rękę.

— No, to chodź do stołu!

Chciała usłuchać, ale nie miała siły utrzymać się na nogach; upadła, rzucając mu spojrzenie konającego ptaszka.

Wzrok ten dziwnie mu szedł do serca.

Żabba miał siostrzyczkę w takimże wieku, która mieszkała razem z nimi w Petersburgu. Chłopiec, sierota bez ojca i matki, lubił dziecko, bawił się z niem, swawolił, kupował łakocie.

Przed rokiem szkarlatyna ją zabiła. Konając, patrzała na brata i przyjaciela takim samym żałosnym wzrokiem, prosząc o ratunek.

Student się pochylił, wziął na ręce małą, pocałował w chude policzki i zaniósł do stołu.

— Mleka, matko! — poprosił gospodyni.

Nakarmił ją, trzymając na kolanach. Piła chętnie, chciwie, ciepło wybiegło jej na twarzyczkę rumieńcem. Milczała jednak ciągle, patrząc nieufnie, dziko, z pod roztarganych włosów. Potem dostała dreszczów, sen ją znów morzył niespokojny, gorączkowy.

Pomimo jednak namowy, nie puściła ręki studenta, którą cisnęła do piersi nerwowym, lękliwym ruchem. Wezwana na spoczynek przez gospodynię, rozpłakała się okropnie, nie zdołano jej oderwać od opiekuna. Poniósł ją z sobą do alkierza, gdzie im wyznaczono mieszkania.

Żabba już tam siedział od godziny nad stronicą cyfr, szukając w płomyku lampki natchnienia. Obejrzał się na przyjaciela.

— Cóż to będzie? — zagadnął burkliwie.

— Nic — odparł Hieronim — będzie nasze petersburskie życie, kiedy Wandzia żyła.

Wspomnienie siostry ułagodziło Litwina. Zamilkł chwilę, zdjął dymne okulary nieodstępne, przetarł je, oparł łokieć o stół i gryzł przez chwilę pięści. Nie o cyfrach myślał w tej chwili, bo się znów obejrzał i mruknął:

— Podściel jej moją burkę, jeżeli trzeba!

— Już dobrze, nie beczy. Wiesz, mam taką głupią naturę, że jak dzieciak płacze, to...

Nie dokończył, splunął i rzucił się na łóżko, tonąc w pierzynach gospodyni.

— Uf, alem się zmachał! Powiadam ci, Józiu, ani jeden człowiek nie został w subordynacji. Dobranoc, a obudźno mnie, jakby tam przypadkiem archanioł

trąbił na sąd, bo, jak mi Bóg miły, gotówem nie posłyszeć!

Żabba kiwnął głową. Matematyka zajęła mu całą myśl. Mruczał wpółsennie formuły.

A dzieciak jęczał we śnie niezrozumiałe wyrazy, żałośnie z rozdzierającą skargą, to z dziką zaciętością. Litwin skrzywił się parę razy, ale niegniewnie, opędzał się od tego głosu, jak od natrętnego wspomnienia, co mu gmatwało naukę, przywołując obraz jedynej zmarłej siostrzyczki.

Hieromin chrapał jak drwal. Szczęśliwy! Miał dwadzieścia lat, czyste sumienie i szalone zdolności. On nie znał bezsennych nocy, spędzanych nad oschłą nauką. On się bawił w akademji.

II.

„Żona“ Hieronima.

W dwa dni po wylewie rzeki Grocholski wczesnym rankiem wstąpił do mieszkania dwóch przyjaciół. Rodzina chłopska już się rozpierzchła na robotę po polach; na progu chaty skulona, zapuchła od płaczu, siedziała dziewczynka znajda.

Patrzała uparcie w stronę lasu, nie spojrzała na wchodzącego. W chacie stara prababka przyjęła go kaszlem.

— Witajcie! Panowie, co tu mieszkają, poszli? — zagadnął.

— Poszedł jeden, ten biały, wesoły, poszedł. A ten czarny, ze szkłem, w komorze, w komorze.

Grocholski wszedł do alkierza. Żabba istotnie sechł nad książką, jak zwykle.

— Dzień dobry! Rucia niema?

— Niema — odparł grobowy głos, któremu towarzyszyło ukośne, niechętne spojrzenie w stronę natręta.

Pomimo to Grocholski usiadł na stosach pierzyn, zapalił papierosa i zaczął szturm do mruka:

— Czy Hieronim dostał gdzie smyczek?

Chudy palec Żabby wskazał na przeciwległą ścianę, gdzie instrument wisiał w komplecie.

— Aha, jest, to i dobrze. Powiedz mu, niech dziś w wieczór przyjdzie do naczelnika. Będę mu towarzyszył na trąbce. Złożymy koncert.

— Bardzo potrzebne! — zamruczał Litwin, nie odrywając się od czytania.

— Ty się na tem nie znasz.

— Chwała Bogu!

— Et, nieznośny jesteś pedant! Cóż u was słychać?

— Ja nie mam zwyczaju słuchać.

— Dziecko jest jeszcze? Nie oddaliście rodzicom?

— Musi być nie, kiedy jest — była logiczna odpowiedź.

— Szaniarski mówił, że ją Rucio traktuje, jak żonę.

— Nie wiem, jak się żonę traktuje, bom kawaler.

Grocholski parsknął śmiechem. Ton nosowy Żabby, spokój i flegmatyczna twarz, były nadzwyczaj komiczne.

Śmiech kolegi obraził Litwina. Drwiny znosił tylko od Hieronima. Obrócił się plecami do Warszawiaka, zatkał uszy rękoma, długi nos pochylił nad książką i zapadł w kompletne milczenie.

Grocholski pokręcił jeszcze chwilę, porozrzucał papiery, popróbował skrzypiec, wziął jakąś księgę i wyszedł, gwiżdżąc.

Mała siedziała na temże miejscu, w tej samej pozycji i patrzała na las.

— Jak się masz? A gdzie twój mąż? — zagadnął wesoło student.

Bez wahania wskazała ręką w kierunku wzroku i odparła poważnie:

— Poszedł tam.

— Czemuż ty nie poszłaś z nim?

— Nie pozwolił.

— Czekasz na niego?

— Czekam.

— Ot, daj pokój! Chodź ze mną! Ja ci nic nie będę zabraniać. Kupię nową sukienkę, czerwone trzewiczki i mnóstwo paciorków. Chodź, ja będę twoim mężem!

Dziecko spojrzało wściekłe na niego, pokazało język i, jak Żabba, odwróciło się impertynencko plecami.

Odszedł, śmiejąc się jak szalony.

W południe Żabba, idąc z rachunkami do naczelnika, potknął się o dziecko na progu i zamruczał:

— Chodź ze mną!

Odmówiła mu. Odmówiła też wezwaniu na posiłek; nie ruszyła się, gdy gospodarze wrócili z pola.

Hieronim o zmroku, idąc z piosnką na ustach, z żartem w oczach, spotkał ją na drodze.

Wybiegła naprzeciw niego, dojrzawszy go cudem w ciemnościach i powitała milczącym szczerym uśmiechem.

— Ejże, to ty? — zawołał uradowany — Myślałem że się kto o ciebie upomniał i zabrał.

— Albobym poszła! — odparła zuchwale.

— A jakby ojciec przyszedł?

— Niema ojca, niema nikogo. Nikt nie przyjdzie.

— Gdzieżeś była, nim cię woda porwała?

— Nie powiem, bo mnie tam odprowadzisz, a ja nie chcę!

— Oho! To stanowcze. Cóżeś robiła dziś?

— Czekałam na ciebie.

— A jadłaś cokolwiek?

— Nie.

— I ja nie. Ale płakałaś, niecnoto! Oczy czerwone.

Skinęła główką, biegnąc obok niego i nie odstąpiła już ani na krok przez cały wieczór.

Przy ludziach nie mówiła nic, wodząc tylko po wszystkich oczyma, a po wieczerzy, gdy Hieronim zabrał się od niechcenia do piśmiennej roboty, usiadła cichutko, pragnąc tylko, by ją tak zostawiono w spokoju.

Grocholski przerwał skupienie naukowe. Koncert mu leżał na sercu; zanim przyciągnęła reszta towarzystwa, klął na czem świat stoi takie wakacje, dziki kraj, powódź i nudy!

— Czemuście nie wzięli z Petersburga małpy i pozytywki! — wołał Hieronim, podnosząc głowę od stronicy wyrachowań.

— Czemuś z tą radą na miejscu nie wystąpił?

— Nie miałem czasu o tem pomyśleć. Dziadunio mnie ambarasował razem z kochanym Wojcieszkiem!

— Albertem — poprawił Żabba.

— Palniesz bąka w wyliczaniu, gdy będziesz mnie musztrował! Gdzie tytuń?

— Na szafie.

— Cóż było z dziaduniem i Wojcieszkiem? — pytał Grocholski, zapominając o muzycznym popisie.

— Była farsa. Pewnego dnia wpada do mnie kuzynek, wyprasza Józefa z pokoju, nie podobała mu się świątobliwa mina skrzeka i nuż mi prawić jakąś zawiłą, erotyczną historję. Małom jej słuchał, ale sens pojąłem. Dziadunio zabronił Wojciechowi się kochać, wybrał mu jakąś narzeczoną het, tam, w tym bobrzym kraju, w Mozyrskiem, kazał zachować dla niej nieskalane serce. Aż tu Wojciech raptem się zakochał. Owoc zakazany smaczny, ale boi się dziadunia. W prośby do mnie o firmę. Czemu nie? Strasznie lubię płatać sztuki dziaduniowi. Afiszuję się tedy z panną tydzień, dwa, trzy. Nie wiem, co przez ten czas

Wojciech skorzystał, mnie się okroiło z dziesiątek buziaków, z czego byłem najzupełniej zadowolony; grać rolę firmy bardzo mi przypadło do smaku. Czego się śmiejesz, Żabba?

— Z niczego — odparł Litwin.

— Dowód idjotyzmu, mój drogi, śmiech z niczego.

— Więc cóż dalej? — zagadnął Grocholski.

— Aha, dalej! Pewnego wieczora wracam z kursów, stroję się na jakąś hecę z panną, gdy mi wtem przynoszą list od dziadunia. Znam to pismo, wiążą się z niem wszystkie złe chwile w mem życiu! Otwieram i cóż znajduję? Oto słowo w słowo, kreska w kreskę historję owych trzech tygodni. Jak Wojciech przyszedł, co mówił, gdziem potem był, com robił, nawet czas i miejsce każdego z dziesięciu buziaków. Moja rola firmy tak tam była przedstawiona pesymistycznie, że mnie raptem odpadł gust do dalszego ciągu. Na końcu był zamieszczony rys dziejów Wojciechowej piękności. No, nieciekawy, ale urzędowy autentyk. Otóż i farsę zrobiliśmy dziaduniowi! Posłałem list cały kuzynkowi i drapnąłem. Jestem pewien, że dziadunio już wie, gdzie jestem, co robię i że wam to mówię w tej chwili... I chcieliście, żebym o małpie pamiętał!

— Ktoś cię szpieguje z jego rozkazu.

— Niech go złapię, tego faceta? Chyba Żabba?

Litwin na dźwięk swego nazwiska podniósł głowę i rozejrzał się błędnie.

— Czego? — spytał.

— Niczego, błotny słowiku!

— Pewnie też dziadunio wie o twojej żonie? — wtrącił Szaniarski.

— A jakże. Ani chybi. Ale to mniejsza. On

się mnie wyrzekł w godzinę chrztu. Odtąd prześladuje niezmordowanie, jakby spełniał obowiązek najświętszy.

— W godzinę chrztu? Cóż to? Chciał cię zostawić poganinem?

— Blisko tego. Trzeba wam wiedzieć, że u niego wszystko być musi na komendę. Miał dwóch synów i powiedział sobie: jeden mój wnuk będzie Litwinem, drugi Wielkopolaninem i nuż zaczynać od chrztu. Paf! Nazwali pierwszego Wojciechem na chwałę Bożą. Wojtaszek nie może im tego dotąd darować. Jak przyszła kolej na mnie, ojciec już nie żył. Chciał dziadunio, bym się wabił Olgierd. I o włos się to nie stało. Byłbym bałwochwalcą wedle planu, ale matka zbuntowała się na tę zbrodnię. Dała mi patrona. No i za to wyrzekł się mnie dziadunio! Myślał, że bez jego rubli zostanę dzikim człowiekiem, kominiarzem, czy lokajem! Hej, hej! Bez pogańskiego imienia Litwin ze mnie! Twardą mam głowę. Rozbijałbym nią orzechy w potrzebie i na złość dziaduniowi koleguję z wami, zamiast ekonomować gdzieś w Mozyrzu.

Oczy chłopca zaszły skrami dumy. Zaśmiał się.

— A Wojtaszek kurczy się, lęka, drży, schnie ze strachu. Tfu! To mi życie! Jabym nie potrafił słuchać kaprysów, chybababym kochał. No, jakże, Groch? Idziemy drumlić naczelnikowej? To chodźmy prędzej, póki wcześnie! Ona mi zawsze na sen działa, a jeszcze pod wieczór, to gotówem zadrzemać na dobre! Nie męcz się tak, Żabba; zrobię razem ze swoją i twoją część! Idź spać!

Tu mała rączka dotknęła go; dziecko stało gotowe do drogi.

— Zostaniesz, mała! — rzekł. — Ty się nie znasz na muzyce i wdziękach naczelnikowej.

Wahała się jeszcze.

— No, dobranoc! Żabba zostaje, nikt ci krzywdy nie zrobi!

— A ty wrócisz? — spytała, gdy się pochylił do niej.

— Wrócę, wrócę!

— Chodźmy! — napędzał Grocholski — Naczelnikowa czeka nas niecierpliwie.

— Bardzo to pochlebne dla męża! — zauważył Hieronim, rzępoląc ku uciesze całej wsi.

I tak minęło kilka tygodni. Rzeka, napsociwszy coniemiara, wróciła pokornie w dawne koryto. Grono inżynierów kończyło spiesznie roboty.

Hieronim, który w swej dobroci odrabiał za niego naukową pańszczyznę, mrugał bardzo znacząco w stronę poważnego zwierzchnika, gdy ten patrzył gdzieindziej. Ruch nie był pochlebny dla wieku i urzędu męża pięknej pani.

Żabba jeden tylko nie okazywał zmiany usposobienia na myśl o Petersburgu.

Dziecko wciąż było z nimi. Daremne były poszukiwania i rozsyłane wieści. Nikt się po zgubę nie zgłaszał. Przyjaciele po naradzie postanowili ją zabrać z sobą.

Pewnego wieczora w biurze naczelnika Hieronim z Grocholskim wypłacali robotników od pomiaru, gdy jeden ozwał się znienacka:

— Pan obiecywał dziesięć rubli za odnalezienie rodziców tej małej, co siaduje na progu chaty, gdzie pan mieszka?

— Ano, to i cóż? — zagadnął Hieronim.

— Dajcie dziesięć rubli, panie; ja wiem.

— Czyjaż ona?

— Szynkarza w Wierzbówce. Pytał się o nią.

— Nie kłamiesz? — rzekł student, dobywając asygnatę. — Daleko to stąd?

— Bogiem się klnę! Zresztą pan się przekona Wierzbówka o dziesięć mil pod miastem. Cerkiew tam wielka, a szynkarz rudy. Wania Kruńców się nazywa.

Hieronim rzucił pieniądze i wypadł na ulicę. Nie chciał wyznać, że mu żal było dziecka, więc złością żal pokrywał.

Zastał ją, jak zwykle, na progu, smętnie wyglądającą jego powrotu, i napadł zgóry, podniecając się krzykiem:

— Ah, ty mały kłamco! Mówiłaś, żeś sierota, a ojciec cię szuka! Wykierowałaś mnie na cygana, czy ludożercę! Powiedzą, że dzieci przywłaszczam! Nie byłabyś kobietą! Ledwie ci zęby wyrosły, już zmyślasz i udajesz! Poczekaj, odwiozę cię do rodziców i poproszę, aby ci wsypali kupę rózeg na pamiątkę! Poczekaj! Nauczę cię katechizmu!

Rodzina gospodarza, zwabiona krzykiem, wyległa do sieni. Hieronim, sapiąc z gniewu, czy przykrości, powtórzył prawdę.

Dziecko powstało nieme, z zuchwałym błyskiem oczu. Nie broniła się i nie płakała.

— Dajcie mi jutro koni, gospodarzu — rzekł student — odwiozę ją szynkarzowi. Chodź, mała!

Obejrzał się. Nie było jej. Jak wąż wyśliznęła się z pośród otaczających i znikła.

— Pójdzie i utopi się! — mignęła myśl chłopca. — Wilki zjedzą! — poprawił się natychmiast.

— Mała! — krzyknął, wychodząc z chaty — Chodź tu zaraz!

Żadnej odpowiedzi. Zbieg wypowiedział posłuszeństwo, umknął, przepadł w cieniach nocy.

— Światła! — zakomenderował student — Chodźmy szukać!

Synowie gospodarza skoczyli za nim, wrzeszcząc jak na wilczej obławie. Rozbiegli się na wsze strony. Pół wsi, zaalarmowanej wrzawą, podążyło za nimi. Latarnia Hieronima migała to tu to tam na przedzie. On pierwszy dostrzegł drobny ruchomy przedmiot, toczący się jak piłka w stronę lasu i dognał kilku susami.

— A, tuś mi, ptaszku! — zawołał zdyszany, rzucając latarnię i chwytając ją za ramię.

Szarpnęła się, zgrzytając zębami. Chciała zginąć z honorem, wyznał to w duchu chłopiec.

Podarła mu kurtkę, podrapała twarz, ugryzła w ramię; w garści u dzikiego dziecka został pęk jego jasnej czupryny. Pokonał ją wreszcie, i niosąc, zawrócił do wsi, nawołując towarzyszów wyprawy.

Już się nie tuliła do niego, jak wtedy, gdy ją niósł z powodzi. Teraz oparła mu obie pięści o piersi i odpychała od siebie prześladowcę. Oczy jej się paliły jak fosfor.

Tak weszli do alkierza, gdzie ich powitał Żabba zdumiałem spojrzeniem.

— Patrz, com sobie zrobił! — śmiał się Hieronim, ocierając krew z twarzy i wskazując poszarpaną odzież.

— Ksantypa! — rzekł Litwin poważnie.

Więzień skrył się w najciemniejszy kąt izdebki i dyszał.

— A to żmija! Ledwiem dał rady! No, teraz

noc całą trzeba wartować, bo tylko czeka sposobności, żeby znów drapnąć. To jednak rozczulające przywiązanie do rodziców!

— Dobrze, żem ja nikogo z wody nie ratował — zdecydował Żabba. — Krew ci płynie z twarzy.

— A płynie! Pazury, jak u kota! Tfu, co to złości w tem mizernem ciele! I gdzie się to mieści? Chcesz jeść, mała?

Milczenie. Zajrzał do niej. Siedziała zwinięta w kłębek, nieporuszona.

— Uważaj na nią, Józik, nim się posilę i wrócę od naczelnika.

— Uhm! Te dzieci, to skaranie Boże! Potrzebny ci był ten kłopot? Trzeba było oddać policji! Zawsze sobie napytasz biedy przez to amatorstwo bachurów. Ciekawym, ile ich mieć będziesz, jak się ożenisz?

— Tuzin, braciszku, ani jednego mniej! To moje ostatnie słowo! Bywaj zdrów!

Chłopiec wybiegł z izby, nucąc wesołą jakąś zwrotkę.

Żabba mruczał niechętnie. I jemu żal było dziecka, przywykł do niego, wolałby nie mieć wcale, niż tracić. To też gderał zawzięcie na nieobecnego kolegę

— Zawsze tak z nim, a wszystko z gorączki! Teraz pilnuj tego biedactwa. Nie słodko jej być musi w domu, kiedy się tak broni!

Zdjął okulary, poszedł w kąt.

— No, nie kapryś, dziecko! Te chimery do niczego się nie zdadzą. Wyjdź-no tu na światło! Biją cię w domu?

Łkanie było jedyną odpowiedzią.

— No, nie płacz! Nie możemy cię zabrać. Trzeba wrócić do ojca.

— Niema ojca! — zamruczała. — Ja nie chcę wracać!

— To nie racja drapać Rucia. Toż jego boli.

— Niech boli! Poco powiedział, że kłamię i krzyczał? Ja jego niecierpię!

— Kogo? Mnie? — spytał wesoły głos na progu. — Co ty jej prawisz, Żabba?

— A nic! — odparł Litwin, wstając. — Nie chce wracać do domu.

— Dobra sobie!

— At, szkoda dziecka! Niechby się zostało!

— Milczałbyś! I mnie szkoda, pomimo, żem podrapany i pokąsany przez tę małą osóbkę! Cóż robić? Skończyłeś robotę, nie? Siadaj, zgryziemy ją we dwóch! Za tydzień jedziemy do Petersburga. Grocholski kwili gdzieś z naczelnikową. Mamy i jego część. Dajno cyrkiel i nie myśl o błażnicy!

Nazajutrz wczesnym rankiem wózek wywiózł ze wsi zbiega. Żabba ją wsadził na wózek, uściskawszy serdecznie. Hieronim to klął, to gwizdał. Konie leciały cwałem. Wieczorem ujrzano wieś, woźnica wskazał ją biczyskiem.

— Ot i Wierzbówka! Widzi pan karczmę? Tam na progu, w czerwonej koszuli, to szynkarz.

Wóz stanął. Szynkarz wyjął fajkę z ust, zdjął czapkę i postąpił kilka kroków, zataczając się.

— Aha! Pan ją przywiózł! Wilki jej nie zjadły! Nu, idź do izby! Dostaniesz od gospodyni!

Dziecko przytuliło się do studenta, drżąc febrycznie.

— To nie wasze? — zagadnął Hieronim.

— Boże broń! Cudze! Darmozjad! Już cztery lata, jak mi zostało na karku!

— Czyjaż ona?

— A tego pana, co tu mieszkał!

— Gdzież rodzice? Pomarli?

— A niby pomarli.

— Jakto niby?

Hieronim poczuł, jak drobne palce dziecka wpiły mu się w dłoń.

— A tak! Przywieźli go z młodą żoną i tą małą w kołysce; mieszkał u mnie, nudził, polował, żeby czas zabić. Żona zrazu płakała: potem zaczął tu zjeżdżać prokurator z miasta — mąż polował. Raz wracał późno, zajrzał przez szybę, coś mu się nie podobało; młody był i zły, a w strzelbie miał dwa naboje. Więc wpakował jeden prokuratorowi w głowę, a żonie w piersi drugi i nie chybił! Gwałt się zrobił. Zastaliśmy go, jak nabijał strzelbę dla siebie: nie dali mu dokończyć, wzięła policja! Ot, jak było!

— I cóż się stało z tym biedakiem?

Gorące wargi dziecka spoczęły na dłoni chłopca; dziękowała mu za to słowo, może pierwsze dobre, co posłyszała o ojcu.

— Walał się dwa lata po tiurmach i umarł. Dziecko mi zostało, istny czort. Złe, uparte, leniwe! Obrzydły mi sceny z nią w domu, a tu się nikt nie zgłasza. Niełakoma gratka. Córka mordercy! Tfu! Może pan wstąpi na zakąskę?

— Dziękuję... Wyratowałem ją z rzeki. U was wody niema?

— A niema. Na tydzień przed powodzią uciekła. Gdzieś się błąkała tymczasem po kraju. Nu, podziękuj panu i marsz do domu! Słyszysz?

— Naco ona wam? — rzekł chłopak. — Kupiłem niech zostanie. To moja krew.

Twarz dziecka, zalana łzami, podniosła się ku niemu; nie zważał na to.

— To pan jej krewny! Nu, ja zawsze mówiłem gospodyni, że swoi się upomną o swoje i zapłacą za utrzymanie.

— A ile chcecie?

— Sto rubli. Warto; odzienie w kawałki leci, trzewików nie nastarczyć, a co natłukła naczyń przez te cztery lata, to i nie zliczyć!

— Macie może jej papiery?

— Jest skrzynka. Reszta gratów poszła na pogrzeb kobiety i na koszta.

— Dobrze, dobrze. Dajcie skrzynkę!

Szynkarz pobiegł do chaty, a Hieronim tymczasem oparł obie ręce na ramionach dziecka i spytał:

— Czemuś mi tego nie powiedziała sama?

— Bałam się. Śmiałbyś się z tatusia, jak oni, a na matkę pluli! Oh! Ja nie chcę, żeby się z tatusia śmieli, nie! A potem powiedziałeś, że kłamię, widzisz, toś ty kłamał!

— Ja, dziecko, ja! Będę ci odtąd wierzył na słowo; pojedziemy razem.

— Razem! — zaśmiała się przez łzy, obejmując jego szyję rączkami i chowając promieniejącą twarzyczkę w jasne włosy opiekuna. Serce jej skakało pod jego dłonią, jak szalone!

— Macie, panie, skrzynkę! — przerwał szynkarz.

Chłopak przejrzał papiery. Było ich dosyć dla policji. Zapłacił za nie sto rubli. Był to owoc dwumiesięcznej wakacyjnej pracy.

Szynkarz począł błogosławić i dziękować; zjawiła się też gospodyni i dwie córki.

Mała, oparta dumnie o studenta, patrzała na nich

z bezmierną pogardą. Wiedziała ona z czteroletniego doświadczenia, co warte słodkie ich miny i uśmiechy.

— Cóż, panienka, do swoich wracasz? — ozwała się do niej gospodyni, szorstką ręką dotykając twarzy.

Uchyliła się od pieszczoty dość niegrzecznie.

— Pojadę, gdzie on! — odparła krótko.

— Szczęść-że ci Boże! Może chcesz jeść na drogę?

— Jak zechcę, to on mi kupi!

Wózek ruszył z powrotem. Woźnica uśmiechnął się lekko, oglądając się za siebie.

— I za co pan zapłacił sto rubli? — ozwał się.

— Albo co?

— Cztery lata ją morzyli głodem, ubierali w łachmany, chodziła boso, a co tamte dzieci stłukły, na nią zrzucały. A co ona im się napracowała! Czy nie tak, mała?

— A tak, ciągle bili.

— Za to cię teraz nikt nie trąci. Bądź spokojna; znam twe pazurki i będę ich się strzegł na przyszłość.

Spojrzała żałośnie na ślady podrapań i spuściła pokornie główkę.

Nakarmił ją na popasie, ułożył do snu i sam drzemał całą drogę, spokojny, że już nie spróbuje ucieczki.

Głośne okrzyki zbudziły go nagle.

Stali we wsi. Koledzy otaczali wóz tłumnie.

— A to co? Odwiozłeś małą! — wołał Żabba, uśmiechnięty radośnie.

— Gdzież Wierzbówka? — badał Grocholski.

— Na karcie geograficznej szczegółowej.

— A szynkarz? A rodzice?

— Woda ich zmyła.

— Jakto? Wszystkich?

— I wszystko! Nawet patent na wódkę.

— Et, bredzisz!

— Et, czas mi zajmujesz!

— Ach, ty smyczku!

— Ach, ty pusty futerale od fleta!

Wózek ruszył dalej wśród śmiechu. Żabba przyczepił się do skraju i jechał, trzymając się szerokich pleców woźnicy.

— Dziecko nasze?

— I jak jeszcze nasze! Masz, czytaj!

Litwin wziął podany papier, zmrużył oczy.

— Zapomniałem okularów! — rzekł desperacko.

Stanęli przed chatą. Wysiedli wszyscy, po chwili zebrała się reszta kolegów.

Żabba wsadził szkła na nos i zaczął na głos czytanie:

„Roku 18** maja 14 dnia ochrzczono w kościele parafjalnym katolickim, w Poniewieżu, dziewczynkę. córkę Kazimierza i Marji małżonków Obojskich, imieniem Bronisławy Marji Kazimiery".

— Gwałtu! — wykrzyknął Żabba, przerywając czytanie — To ona, ta mała!

— Ona! — pochwalił Hieronim.

— Hurrah Delfin! — wołał Grocholski.

— A co? To dlatego, że nie myślę o naczelnikowej. Kobiety strasznie zabijają spryt w człowieku! Dowód na tobie! No, dosyć, nie czytaj, Żabba, kto ją do chrztu podawał, ochrzcimy ją po swojemu. Hola Szaniarski, skocz po butelczynę! A kto na kuma?

— Ja! — ozwał się Żabba.

— To dobrze! A imię?

— To już ma! — protestował Grocholski.

— Głupiś! Nie będziemy, wołając, recytować całej litanji!

— Marja — podał Grocholski.

— Czyta się naczelnikowa! Imię twojej damy! Nie chcę, żeby była do niej podobna.

— Kazimiera! — szepnął Żabba.

— Czekaj! Co to znaczy? Kazi, to jest psuje, mir — spokój. Pfe! Ma ona nam psuć spokój? Nie pozwalam!

— Bronisława, brzydko! — skrzywił się Grocholski.

— Jak dla kogo! Dla zaczepiających — tu się ukłonił w stronę Warszawiaka — niewiele obiecujące, ale dla prawnych posiadaczy cenne! Niech będzie Bronisława! Co, mała, zgoda?

— Tatuś mnie Bronką nazywał — szepnęła.

— A co! Będziesz tedy Bronisławą i obyś była wierną nazwie! Ty tego nie rozumiesz tymczasem, ale kum rozumie, niech ci to wytłómaczy w czas i porę właściwą. Słyszysz, Żabba? Przeczytaj w katechizmie o obowiązkach chrzestnych rodziców! Rozumiesz? Gdzież ten Szaniarski z winem? Pić chcę, jak sikawka straży ogniowej. Czego szukasz, Żabba?

— Szukam listu.

— Jakiego listu?

— Do ciebie od dziadunia. Przyszedł wczoraj...

— Coo! — Pan Hieronim siadł, wytrzeszczając oczy. — Bogi piekielne, cóż to nowego? A co, nie mówiłem wam, że on już wie, gdzie ja jestem?

— I co robisz w tej chwili! Pewnie się zaprasza na kuma! Nazwie ją po litewsku, Biruta! — zaśmiał się Grocholski.

— Gdzież ten list, marudo? — wołał student.

— Aha, gdzie? Albo ja wiem! Zawsze mi głowę

zdurzysz swoją gorączką. Gdzieś go schowałem, bo z pieniędzmi.

— Z pieniędzmi! Świat się kończy!

— Ot, jest, masz!

Chłopiec zapomniał o pragnieniu i figlach. Podarł kopertę, uszkodził trochę pismo i zaczął czytać, komentując każde słowo.

„Jeżeli pamiętasz, że masz dziada“ — oho, ktoby nie pamiętał — „któremu byłeś całe życie zgryzotą“ — bodajby cięższych nie miał — „to wymagam, abyś wnet, po otrzymaniu niniejszego, stawił się osobiście u mnie“. — Ciekawym, poco mu potrzebne oglądanie tej zgryzoty. — „Wiedząc, że żyjesz w nędzy i korzystasz z publicznej jałmużny“ — Co? Sfiksował stary! — „posyłam ci na koszta podróży sto rubli, wymagając ścisłego rachunku i oddania tego, co pozostanie“.

— Tfu, do djaska! Ja, Hieronim, mam jechać za cudze pieniądze i gryzmolić jakieś rachunki? Dziadunio dostał rozrzedzenia mózgu!

— No, czytaj dalej!

„Mieszkam, jak zawsze, w Tepeńcu, powiat Mozyrski i czekam ciebie. Twój dziad, Polikarp Białopiotrowicz“.

Student zmiął list w gałkę i cisnął ją pod sufit, pieniądze rzucił na stół, siadł, wziął pióro i zaczął coś pisać.

— Jest wino! — wołał Szaniarski, wchodząc.

— Pijcie sami! Mnie po każdym liście dziadunia, jakby kto żółcią potraktował. Zatruje mi humor na trzy doby! No, odpiszę mu choć raz!

Pióro skrzypiało zajadle. Koledzy rozgościli się po łóżkach i stołach, wzięli dziewczynkę i wywiady-

wali się wszystkiego z własnych ust ofiary. Opowiadała teraz chętnie i roztropnie szczegóły czteroletniej niewoli; o śmierci rodziców milczała uparcie.

Nagle Hieronim wstał.

— Gotowe? — spytano.

— Uhu! — odparł.

— To czytaj!

„Szanowny dziaduniu! Jeżeli korzystam z jałmużny publicznej, to do tej publiki cię nigdy nie zaliczałem. Sto rubli odsyłam bez rachunku, na inny użytek! Jeżeli będę miał czas i ochotę, to przyjadę do ciebie za własne fundusze, terminu nie określam i pozostaję pamiętnym wnukiem".

Zwinął list, wsunął do środka pieniądze i odsapnął.

— Aż mi lżej! No, dajcie kieliszek! Zdrowie Bronki, na szczęśliwy powrót i pomyślne kursa! Dajcie i mojej żonie kropelkę!

— Na szczęśliwe pożycie! — rzekł Grocholski.

— Nie wspominaj tego, bo mi naczelnik staje w oczach!

— Więc nie jedziesz w Mozyrskie? — zagadał tę kwestję adorator naczelnikowej.

— Najpierw dajcie mi sposób przeistoczenia się w kaczkę, bo tam dostać się można za pomocą pletw i skrzydeł, inaczej wcale nie. To kraj ziemnowodnych istot!

— Statki kursują po Prypeci podobno.

— A niech sobie kursują zdrowe! Jak mi się zechce eksploracyjnej wyprawy, to ruszę. Tymczasem pijmy i hajda do Petersburga! Dziadunio dostanie ataku apopleksji, gdy mój list otrzyma!

— Albo to prawda? — wtrącił Żabba — On

innej odpowiedzi nie czeka! Umyślnie tak napisał, żeby sto rubli odzyskać. Już ja go znam.

— A często ty masz podobne odezwy? — spytał Szaniarski.

— Miałem ich pięć w życiu. Ilekroć mnie coś złego spotkało. Oj, ten dziadunio! Pierwszy list przyszedł, jakem matkę kładł w trumnę. I wiecie, co w nim było? Żem to ja ją do grobu wtrącił, ja, com ją kochał i czcił, jak świętą! Miałem wtedy lat czternaście, zostałem sam! Pochowałem matkę i przysięgłem na jej grobie dawać sobie sam radę na świecie i prędzej zamrzeć z głodu, niż poprosić o pomoc dziadunia! W dwa lata potem otrzymałem drugi list. Dowiedział się, żem chorował przed egzaminami, chciałem zostać drugi rok w klasie. Radził, bym dał za wygraną zarozumiałej pewności siebie i poprosił go o pomoc, której może udzieli. List cały był jedną obrazą i obelgą. Zgrzytnąłem zębami i, słaniając się na nogach, poszedłem na egzamina. Zdałem je w gorączce. Matka tam chyba modliła się za mnie i wyprosiła patent. Odwieźli mnie koledzy do mieszkania, i gdyby nie Żabba, poniósłbym świeżutki patent świętemu Piotrowi, jako certyfikat zgonu. Trzeci raz w Petersburgu to było. Rozmyślaliśmy z Żabbą, jaką drogę obrać, do których wrót wiedzy zapukać, jak krajowi najlepiej usłużyć; przychodzi list: „Zostań doktorem, chcę mieć swego medyka! Radzę ci to ze względów dziedzictwa; jak mi usłużysz, to ci co zapiszę“. Dosyć tego; poszedłem w drugą stronę, na inżyniera. Trafił dobrze dziadunio, bo trzeba wam wiedzieć, że boję się okropnie umarłych i chorych! Czwarty raz pisał w sprawie Wojciecha, a oto piąty!

Student kopnął nogą niewinny papier.

— I nigdy nie odpisywałeś?

— Owszem, zawsze, ale Żabba konfiskował odpowiedzi przez oszczędność marek! Dzisiejsza pójdzie!

— Czego on chce właściwie od ciebie?

— Kat go wie! Chce dokuczać, musi mu to sprawiać przyjemność, jak mnie kieliszek wina, a Grocholskiemu buziak naczel...

Zaczęty wyraz skonał na ustach chłopca, podskoczył jak ruszony sprężyną.

Naczelnik stał w progu.

— Panowie, do roboty! Jutro wyjeżdżamy! Spieszcie się! Białopiotrowicza zabieram z sobą. Reszta niech kończy zadania!

— Mane, Tekel, Phares! — zamruczał Hieronim, idąc na wezwanie.

Reszta się rozpierzchła podniecona nadzieją wyjazdu.

Bronka po swojemu usiadła na progu, nucąc dziecięcym głosikiem piosenkę, którą wczoraj śpiewał Hieronim. Była nad wyraz szczęśliwą.

II.

Hieronim Białopiotrowicz był już sierotą, gdy na świat przyszedł. Ojciec zginął na polowaniu, rozszarpany przez niedźwiedzia; matka łzami oblała urodzenie jedynaka, jedyne wspomnienie krótkotrwałego szczęścia, jedyny łącznik między nią i rodziną męża.

Niesłodkie miała życie biedna wdowa. Od chrztu syna stosunki z teściem zaostrzyły się, panowała między nimi głucha walka. Pan Polikarp Białopiotrowicz, magnat, miljoner, stworzony był na wschodniego satrapę, nie cierpiał oporu i nie znał go w życiu.

Słuchali go ślepo synowie, bali się jak ognia podwładni, trząsł całym domem. Despota to był chłodny, zamknięty w sobie, milczący.

Otwierał usta dla krótkiego rozkazu, ostrej wymówki lub surowego wyroku. Wesołym go nikt nie widział, ale też nie unosił się nigdy złością, nie zniżał do tłómaczeń lub prośby.

W atmosferze tłoczącej grozy, pustki i ciszy lękliwej przeżyła matka Hieronima ośm lat po śmierci męża. Dzieciak ją bawił swawolą, zachęcał do jej znoszenia, zajmował długie godziny. Poza granicą Tepeńca mogła mu dać ledwie kawałek chleba; posag jej był niewielki.

Kwestja nauki zerwała ostatecznie stosunki. Na wzmiankę o szkolnem kształceniu wnuka, pan Polikarp zmarszczył siwe, krzaczaste brwi i odparł krótko:

— Nie potrzeba! Zostanie tu!

Matka nazajutrz wzięła dziecko i wyjechała bez pożegnania. Pan Polikarp nie protestował. Chłopiec rósł, pożerał nauki, z krwią matczyną wyssał żelazną wytrwałość, wiarę w siebie i niechęć do dziada. Gdy tracił jedyną opiekunkę, był już prawie człowiekiem; nie lękała się dlań niczego i tylko, konając, gorąco go prosiła:

— Ruciu, pamiętaj o mnie i bądź prawym!

A potem pobłogosławiła go na sierocą dolę i zasnęła z rękoma na jasnej głowie chłopca.

„Bądź prawym“ nie wyszło mu nigdy z pamięci. Lata minęły. Z gimnazjasty wyrósł młodzieniec, człowiek, co siłą energji potrafił chodzić na kursa, dawać lekcje, pomagać kolegom, żyć z dwojga rąk i głowy, nie prosząc nigdy o pomoc. Czasem, bardzo głodny, chciał iść po zapomogę do składkowych studenckich funduszów i wracał. Myślał, że odbierze grosz chorym, słabym, może niezdolniejszym — i cierpiał.

„Bądź prawym“ matczyne tłumiło w nim głód, podniecało jakąś szaloną egzaltację energji.

W trzecim roku przyznano mu stypendjum. Stypendjum owo nazywał pan Polikarp korzystaniem z publicznej jałmużny.

Obok tego niezmordowanego bojownika pracy żył brat stryjeczny, rzucając garściami dziadowskie ruble w błoto stolicy, gdzie przebywał, pilnując jakichś interesów.

Czasem Hieronim, biegnąc na lekcje, spotykał kuzyna, rozpartego we własnym powozie. Pozdrawiał go bez zawiści i zazdrości wesołym okrzykiem, ale nie odwiedzał nigdy. Dziadunio na to tylko czyhał, by go nazwać pasorzytem Wojciecha.

— Ciekawym, czem Wojciech płaci za te setki tysięcy sknerze? — mówił czasem do Żabby.

— Giętkim karkiem — mruczał Litwin, wyznający absolutną pogardę dla uległości i pochlebstwa.

Ci dwaj nierozłączeni, których koledzy nazywali Kastorem i Polluksem, mieszkali razem u jakiejś dalekiej krewnej Żabby, utrzymującej umeblowane pokoje niedaleko akademji.

Zajmowali dwa pokoiki wielkości dużej szuflady, stołowali się u kuzynki, żyjąc w przykładnej zgodzie z jej białym kotem i siwym pudlem, którego edukacją zajmował się Hieronim. Nazywał starą pannę „Panią Dulską" i płatał jej ciągle figle, użytkując w ten sposób wieczory i święta.

Od roku do towarzystwa pudla i kota przybyła Bronka, powitana przez Panią Dulską ze zgorszoną miną i protestem braku miejsca. Hieronim odurzył ją do reszty tysiącem poleceń, które naturalnie sam wykonał, i po tygodniu weszło wszystko w zwykły tryb zegarkowy.

Koledzy chodzili na kursa, wracali na obiad, poczem Żabba szedł do książek, Hieronim biegł na lekcje, lub odrabiał za nieuków techniczne rysunki; wieczorem, jeśli ich nie opadli koledzy, zabierali się obadwa do mieszkanka starej panny.

Wówczas Bronka siadała na kolanach opiekuna i wydawała swą lekcję alfabetu, oraz niezgrabnych patyków, mających kiedyś zostać literami; potem następował popis pudla, daremne próby wykształcenia kota i ogólna wesoła herbatka.

Dziecko wyrosło, wybielało, straciło dzikość i mrukliwość; była to teraz szczera, otwarta istotka, ulubienica starej panny, Żabby, a nawet pudla. Hieronim

ją stroił, pieścił, pilnował wygód i zdrowia, poświęcał dla niej koleżeńskie zebrania; powstrzymywała go od hulanki, nęciła do domu. Odpłacała mu za to wielką wiarą, ufnością, posłuszeństwem; wosk to był pod jego dłonią, z którego tworzyć mógł, co chciał.

Rok minął, nadchodziły wakacje. Jakim sposobem Hieronim, pomimo ciężkich egzaminów, do których przygotował siebie i dwunastu conajmniej kolegów, potrafił wykończyć model pompy na konkurs, tegoby on sam nie umiał wytłómaczyć.

Pewnego dnia Żabba wrócił sam na obiad, rozpromieniony, choć wyglądał, jak odkopany z grobu nieboszczyk.

— Zdaliśmy, ciociu! — odetchnął, siadając do stołu.

— Chwała Bogu! A gdzie pan Hieronim?

— Poszedł wywiedzieć się o rezultacie konkursu.

— Ach, to się spóźni, obiad wystygnie! Broniu, zanieś jego część do kuchni! Jedz, chłopcze! Od tygodnia darmo mi płacicie, jedzenie nietknięte zostaje!

— Och, żeby ciocia wiedziała, jak to ciężko!

Litwin westchnął, przesunął ręką po czole, na którem mozolna praca wyorała się kilku głębokiemi bróżdami. Wspomnienie odbierało mu apetyt.

— Nie myśl o tem, Józiu, nie myśl! Jeszcze rok — pocieszała go — posil się! Odpoczniesz przez wakacje. Nabierzesz sił.

— Zabierają nas znów na praktykę! Nie wiem, co myśli Rucio!

— Panie — zaszczebiotała Bronka, skubiąc go za rękaw — czy on zaraz przyjdzie?

— Zaraz, dziecko! Przyniesie ci książeczkę, mówił.

— Jej nie książka w głowie! — wmieszała się Pan

Dulska. — Głodna, a tak ją rozpieścił, że bez niego do stołu nie siądzie.

Dziecko zniosło w milczeniu naganę. Siadło na brzeżku krzesła, wzięło kawałek chleba i zaczęło zeń wygniatać gałeczkę. Po chwili podniosła ciemną główkę, z pod obciętej grzywki wzrok jej strzelił ku drzwiom; skoczyła je otwierać.

Na schodach czysty głos śpiewał wesoło:

— „Hej, wakacje to rzecz miła!“

Porwał dziecko na ręce, podniósł w górę, pocałował w śmiejące się oczy i powitał potem resztę towarzystwa okrzykiem:

— Niech żyją pompy! Zwyciężyłem!

— Co? Wziąłeś nagrodę? — krzyknął radośnie Żabba.

— Napompowałem pięćset rubli. Nie będę spać ze strachu zbójców. Czy nie ma pani rewolweru?

— Ja, rewolweru! Jezus Marja!

Kuzynka Żabby cofnęła się przerażona samym dźwiękiem tej nazwy.

— Nie ma pani? To dziwne! Może pani zapomniała? Pewnie leży w toalecie!

— Co pan wygaduje? Proszę lepiej jeść. Obiad ostygł, a dziecko czeka dotychczas.

— Już sobie i pożeram. Chodź, Broniu! Co tak męczysz ten chleb?

Odebrał jej z rąk gałeczkę. Była to dość podobna do oryginału głowa pudla.

— Co to takiego? — zaśmiał się.

— To Medor! — odparła, pokazując mu białe ząbki.

— Bardzo piękne, ale o tem potem. Przeżegnaj się i jedz! Zbladłaś, biedactwo!

I on sam był blady i zmęczony. Egzamina i konkurs wycieńczyły go jak piwniczną roślinę.

— Co robisz z sobą, Ruciu? — zagadnął Żabba.

— Ach, dużo rzeczy! Tydzień śpię, tydzień jem, to dwa, tydzień przygotowuję Bronię do gimnazjum, to trzy.

— Nie jedziemy na praktykę?

— A poco? Mam moc pieniędzy dla nas trojga.

— Grocholski bardzo namawia.

— Dość się dla niego napracowałem. Co zanadto, to niezdrowo! Broniu, jakże tam z kaligrafją?

— Napisałam.

— A z rachunkami?

— Umiem.

— No, zobaczymy! Siedm razy ośm?

— Pięćdziesiąt sześć!

— Doprawdy? A może czterdzieści dziewięć?

— Nie; to ty nie umiesz, kiedy tak!

— Dziękuję za naukę. Masz książeczkę, com ci obiecał. Po wakacjach pójdziesz do szkół. A wiesz dlaczego?

— Wiem. Żeby być panią i cudzego chleba nie jeść!

Mówiła z przejęciem, topiąc weń swe piwne, myślące oczy. Rozumiała treść słów.

— Zuch z ciebie! A gałeczki możesz lepić, jeśli ci to robi przyjemność. Daj łapę, Medor!

— Ależ, Ruciu! — upomniał Żabba.

Dzwonek w sieniach przerwał początek gderania.

Hieronim skoczył otworzyć. Przed nim stał smukły młody człowiek. Podobni byli do siebie z rysów, tylko wyraz twarzy przybyłego był twardszy,

zużyty, wytarty swawolą, wyglądał starzej o lat dziesiątek.

— Jak się masz, Wojtaszku! — powitał student.

— Tysiąc razy mówiłem ci, żem Albert! Uwziąłeś się mnie prześladować tem śmiesznem imieniem!

— A, fe, tak się odzywać o biskupie męczenniku!

— Ja sam męczennik!

— Aj! Cóż tam? Dostałeś reumatyzmu na wyścigach? Mdli cię po wczorajszej kolacji?

— Ty zawsze błaznujesz! Czy dajesz mi audjencję na schodach?

— Ale, gdzie ci się podoba, choć na dachu; jestem obywatelem całego świata! Może wyjdziemy na miasto?

— Wolę wstąpić do ciebie, jeśli tam niema tego tam Żabby.

— Tego tam, Żabba! Poczekaj, aż wrócę; wysłuchaj tymczasem lekcji Broni! — zakomenderował Hieronim, zamykając jedne drzwi, a otwierając przeciwległe, prowadzące do ich schronienia.

Wojciech padł na łóżko, nie rozbierając się z paltota. Student, podśpiewując, zapalił świecę i stanął przed milczącym kuzynem.

— Czy chcesz się przespać? — zagadnął.

— Jestem zgubiony! — wyrzucił z siebie rozpacznie zagadnięty.

— To smutno. Podziel się tą troską, zamiast jęczeć jak w melodramie!

— Dziad kazał przybywać na ślub!

— Cóż w tem tak okropnego? To się ożenisz! Będzie was dwoje, potem troje...

Wojciech wstał gwałtownie, położył ręce ciężko na ramionach stryjecznego brata.

— Ja się nie mogę żenić; rozumiesz?

— Bo co?

— Bom już żonaty!

— Uf, — rzekł Hieronim, jak ktoś, co nagle wpadnie w wodę — uf, to źle! To nawet bardzo źle! I dziad wie o tem?

— Albo ja wiem? Pewnie! To wezwanie jest zrobione umyślnie!

— I pojedziesz?

— Wolę kulą w łeb!

Zamilkli. Hieronim przeszedł się po pokoju.

— Wiesz co? — ozwał się nagle — Najlepiej, żebyś tam, do Tepeńca, posłał swoją żonę! Niema jak kobiety do dyplomacji.

— Niech cię kat porwie z takiemi radami! Przyszedłem po ratunek do ciebie, a ty drwisz!

— Po ratunek, do mnie! Chcesz może, żebym i woją żonę przyjął do siebie, jak tamtą wtedy? Servus, na to mnie nie weźmiesz!

— Chcę cię błagać o łaskę! Jedź do dziada!

— Dobrze; a potem co?

— Wstaw się za mną!

— Ja do dziadunia? Czyś oszalał? On mnie psiarnią wyszczuje!

— Nie. On już stracony dla mnie! Przeklnie! Teraz twoja gwiazda wzejdzie. On cię kocha.

— Miałem tego rozczulające nawet dowody.

— To nic! Pojedź! Wytłómacz mu, że kochałem!...

— Ach, to już twoje kochanie!

— Kochałem, mówię ci, postąpiłem bez rachunku; że go błagam o przebaczenie, żem niewinny i proszę o pozwolenie...

— Rychło wczas! Z kimżeś się wreszcie ożenił?

— Z panną B., córką radcy dworu.

— Oh? — gwizdnął przez zęby Hieronim. Był to bardzo wątpliwy objaw zadowolenia.

— Zrób mi to, bracie! Do śmierci ci nie zapomnę, a potrafię się wywdzięczyć!

Student namyślał się chwilę. W duchu klął kuzyna, ale głośno odparł:

— Na nic się to nie zda, ale jeśli ci na tem zależy, zrobić mogę. I tak nie wiedziałem, co robić z wakacjami. Użyję ich na dyplomatyczną misję! Potrzebny ci był ten kłopot! Tfu! Sameś nie wiedział, co z dolą począć. Szczęście ci samo szło w ręce, nic ci nie brakło. Ech, żeby dziadunio ci wlepił sto kijów na kobiercu, miałbyś, czego trzeba!

— Jakiś ty rozumny! — mruknął kuzynek, orzeźwiony obietnicą bratanka. — Nie będziesz mędrszy, gdy się zakochasz!

— Nie będę się bał dziadunia, ani oglądał, co on na to powie, to pewne! — odparł hardo Hieronim.

Wojciech zamilkł, wziął za czapkę.

— Jak tu u ciebie czarno i ciasno! — zauważył już zupełnie swobodnie.

— Żółwia skorupa! — zaśmiał się właściciel izdebki.

— Chodźmy na miasto!

— Dziękuję. Mam jeszcze wyżej głowy zajęcia.

— Wszakżeś chlubnie zdał egzamina. Wolnyś!

— Prawie!

— Kiedyż pojedziesz?

— Jak trochę wypocznę.

Uścisnęli sobie dłonie. Wojciech wyszedł.

— Słuchaj-no! — zawołał za nim Hieronim — Jak mi psy dziadunia poszarpią odzienie, to sprawisz nowy garnitur!

— Wszystko, co zechcesz! Bywaj zdrów!

— Dobranoc, Wojtaszku!

— Albercie — upomniał Żabba, wychodząc z pokoju starej panny.

Hieronim stał chwilkę zamyślony, z marsem na twarzy, wreszcie ramionami ruszył.

— Tak się zmarnować haniebnie — zamruczał, — na to trzeba być głupcem, głupcem, głupcem!

— I tacy się pomieszczą na ziemi! — uspokajał Żabba.

Hieronim rzucił się na łóżko. W pięć minut już chrapał.

Rozmowa z kuzynem była powodem, że go w tydzień później znajdujemy na statku parowym, kursującym po Prypeci.

Lato objęło płaskie brzegi monotonną zielonością daleko, jak okiem zajrzeć. Krajobraz był równy, smutny, pusty, tchnący przygniatającą tęsknotą. Niekiedy przerywała to zielone morze traw siwa, brudna wieś lub lesiste czarne wzgórze. Czasem z za szuwarów wysuwało się chłopskie czółno lub stado kaczek. Kłąb dymu maszyny słał się jak czarne plamy po łąkach, gwizd parowca drżał w dzikiej ciszy, biegł po toni, ginął po zakątkach.

Oprócz Hieronima, jeden był tylko podróżny, wpół chłop, wpół mieszczanin, ćmiący lulkę na przedzie i spoglądający sennym wzrokiem na wodę. Student, oparty o galeryjkę, był skazany na milczenie i samotność.

Późnym wieczorem zostawił go statek w nieznanej nieludnej osadzie. Chłopi na brzegu przed karczmą objaśnili go, że do Tepeńca nie więcej mili, ale on się nie kwapił. Szynkowa gościna ponętniejszą mu

była niż dziadowska, mocno wątpliwej serdeczności. Został na nocleg w osadzie.

Towarzysz podróży, ów pół-mieszczanin, pół-chłop, był znów z nim, kopcąc lulkę i rozglądając się sennie po karczemnej izbie.

Nazajutrz, o świcie, chłopskim wózkiem ruszył nasz bohater do celu podróży.

Droga się wiła grobelkami, to się oddalając, to zbliżając do rzeki; widok zakrywały łozy i olchy, cisza bezludna tłoczyła piersi.

Pomimo fantazji wrodzonej pan Hieronim miał coraz silniejszą pokusę drapnąć z powrotem; chłop powożący odbierał mu resztę odwagi opowieścią o „strasznym panu“. Tak się zwał dziadunio Polikarp w ustach ludu okolicznego.

— Serdytyj pan! — powtarzał ciągle, trzęsąc kołtuniastym łbem i cmokając na konika.

— A widziałeś go kiedy? — badał Hieronim.

— Dzięki Bogu, nie, ale mój swojak widział go raz jeden. Bardzo się zląkł.

— Milutki być musi! — pomyślał student.

Słońce wyjrzało zupełnie z za wody i w tejże chwili rozchyliły, się, jak brama, olchy na grobelce, i roztoczył się przed okiem jadącego szeroki, w słonecznych złotych ramach krajobraz. Na lewo pomarszczona, białawo sina toń Prypeci, na prawo bór jodłowy, wprost, na stromem wzgórzu, jakby z wody wyrosły, przepyszny dwór, otulony stuletnią wysadą.

Słońce biegło po fali, po koronach drzew, złociło krzyż kaplicy, słało się po łąkach i zaglądało aż na wózek chłopski i w zachwycone oczy Hieronima. A przed nim coraz bliżej wychodziły, jakby na powitanie, czy obronę, mury z czerwonej cegły, stare lipy ciekawe

łupkowe dachy, wieżyczki, ogrodzenia i mrugał coraz jaśniej krzyż kaplicy.

— Prr! Stój, siwa! — przerwał mu oglądanie głos chłopa.

— A cóż tam? To Tepeniec? No, to jedź do dworu!

— Ej, panoczku, ja już zawrócę! Do dworu nie puszczają furmanek, a psy mi klacz rozszarpią. Pan piechotą pójdzie.

I, nie czekając odpowiedzi, postawił na drodze torbę studenta, pomógł mu wysiąść, zaciął konia i uciekł.

Pan Hieronim ruszył, śmiejąc się, ku bramie.

— Smocza jaskinia! — monologował — Dziadunio posiada ogromną popularność u sąsiadów, aż miło, jak go kochają! Aa, jak się macie, przyjaciele?

Ta ostatnia interpelacja stosowała się do gromady psów, wszystkich gatunków i koloru, co jak pułk zbirów powitała go u bramy.

Student, bezpieczny za sztachetami, ukłonił się im bardzo nisko.

— Bardzo mi przyjemnie oglądać wasze czcigodne oblicza, bardzo przyjemnie! Wiem, wiem, że macie szczerą ochotę wejść w bliższe stosunki z moją garderobą, ale to gusta niechrześcijańskie i niestosowne do naszego klimatu! Tak, tak! Nawet zupełnie nieprzyzwoite! Nie krzyczcie tak wszyscy naraz, bo was nie rozumiem. Niech się każdy rozmówi pokolei ze mną! Odpowiem na wszelkie zapytania, mogę nawet pokazać papiery!

Ale psy nie zadawalniały się gawędką. Hałas rósł, zamiast się zmniejszać, a nikt nie przybywał na pomoc oblężonemu. Nie pomogły protesta i prośby

o pokój, nawet obietnica łokcia kiełbasy; psiarnia obstąpiła szczelnie wejście i, szczerząc kły, broniła heroicznie wstępu.

— Nie chcecie kiełbasy? Jesteście osły! Bywajcie zdrowi! — zawołał zniecierpliwiony student, pokazując im figę i odchodząc od bramy.

Szczekanie towarzyszyło mu chwilę, potem ucichło.

Szedł wzdłuż muru, zaglądając czasem do wnętrza. Wszędzie było pusto. Ruch skupiał się na gospodarskich dziedzińcach; po szpalerach ogrodu, które mijał, świergotały ptaszki i brzęczały pszczoły, ogród był jak zaklęty.

Tak idąc, obszedł połowę fortyfikacyj, wydostał się z obrębu sadu, okrążył park nad rzeką. Gąszcz nieprzebyty zasłaniał mu widok do środka, gdy nagle nad samą wodą zagrodziły mu drogę sploty brzóz płaczących i zabiegł mu przed oczy grobowiec familijny, świecący białemi ścianami, i nieco dalej stara kaplica, uwieńczona krzyżem. Chłopiec zatrzymał się.

Dzieciństwo mu stanęło jak żywe przed oczyma: i matka, i ojciec, którego znał tylko z napisu na grobowym kamieniu, i przechadzki po parku.

Jeszcze w ostatniej chorobie mówiła matka, jak jej żal, że nie zobaczy grobowca w Tepeńcu, że się nie położy w grobie obok trumny męża, i ta skarga ozwała się po latach w sercu syna-sieroty.

Położył ją daleko na obcym cmentarzu; jak zawsze, tak i w spełnieniu tego ostatniego jej pragnienia, stał na przeszkodzie dziad Polikarp.

W Hieronimie zagrała krew, wszystkie krzywdy i bóle odżyły we wspomnieniu i wnet duma ofiary ozwała się gwałtownie: „Poco iść do tego starca bez

serca? Poco przestępować próg tego domu, który powinien być dla niego rodzinnym, a był wrogim?

— Zajdę do grobu, za ojca się pomodlę i wrócę! — zamruczał, przeskakując mur.

Krypta była otwarta, w półcieniu świeciły napisy na zapełnionych niszach; puste czerniały ponuremi otworami, czekały na lokatorów.

Obok grobowca szemrała krynica, wąskim strumykiem zbiegając ku rzece; zresztą nic nie przerywało ciszy.

Hieronim ukląkł na kamieniach i zaczął odmawiać pacierz.

Wtem z ogrodu doszedł jego uszu krok dwóch ludzi i cicha rozmowa. Słów nie rozpoznawał z powodu szmeru strumienia, i nie ruszał się z miejsca.

Po chwili rozmowa ucichła, krok się zbliżał, ale już pojedynczy i czarny cień stanął u wejścia do grobu.

Student podniósł oczy.

Wchodzący, był to człowiek olbrzymiego wzrostu, ubrany w samodziałową kapotę i jałowicze buty. Krótko ścięty, biały jak mleko, włos, pokrywał głowę; twarz była opalona, chuda, z wyrazem kamiennej ostrości. Potęgowały ten wyraz brwi olbrzymie, krzaczaste, złączone prawie z sobą, z pod których wyglądały zmrużone, siwe oczy, przenikliwie świdrujące w spojrzeniu i wielkie, siwe wąsy, spadające po tatarsku wdół.

Przestąpiwszy próg, starzec zatrzymał wzrok na Hieronimie przez sekundę, potem na napisie grobu, u którego on klęczał, a potem przeszedł nim cały rząd katakumb. Nareszcie oparł się oburącz na lasce, zakończonej srebrnym toporem, i, jakby czekał końca

modlitwy chłopca, pozostał nieruchomy, zagradzając mu drogę.

Hieronim odmówił wszystkie wiadome sobie pacierze, a widząc, że cierpliwością nie zwycięży, wstał, żegnając się pobożnie.

Starzec się wyprostował jednocześnie.

— Dlaczegóż to wchodzicie przez mur, mój młody panie? — zagadnął bez żadnego wstępu.

— Bo mi nikt bramy nie otworzył — odparł student.

— Jakże wam na imię i czego tu chcecie?

— A wam co do tego? — zapytał hardo Hieronim.

Błyskawica przeszła po oczach starca.

— I bardzo mi do tego, bom tu pan!

— Aa, to przepraszam! Hieronim Białopiotrowicz mi na imię, a przy tym grobie pomodlić się mam wszelkie prawo! Dlatego tu jestem.

— Może też znajdziesz słusznem z dziadem się przywitać po modlitwie za ojca?

— I owszem. Dziad mi daruje niegrzeczną odpowiedź. Nie wiedziałem, do kogo mówię.

— Doprawdy! Ze znajomością wcale się nie spieszyłeś. Czy mam obecną twoją bytność uważać za wypełnienie wezwania?

— Tak; wcześniej być nie mogłem. Teraz służę dziadowi, jeśli jestem potrzebny.

— O usługi nigdy nie proszę. Miałem wówczas interes do ciebie, spóźniłeś się!

— Bardzo mi przykro; byłem zajęty.

— Wiem, patronowaniem temu dziecku, córce zbrodniarza i nierządnicy. Nasienie wiele obiecującej rośliny.

Hieronim poczerwieniał, zagryzł wargi, hamując gwałtowny wybuch. Stary śledził uważnie jego rysy.

— Ta filantropja niedaleko cię zaprowadzi. Dziewczyna, gdy dorośnie, odda ci kamieniem za chleb — mówił dalej z wyraźną chęcią rozdrażnienia wnuka.

— Może być, ale to moja osobista rzecz. To żaden interes.

— Ach, tak, wiem, że jesteś tu za interesem, i to nie osobistym. Jest to druga niepotrzebna filantropja. Może wstąpimy do domu?

— Jeżeli dziad mówi, żem się spóźnił, to może odjadę zaraz.

— Pójdziesz ze mną, błaźnie, a odjedziesz, gdy cię odprawię! — odparł starzec, miażdżąc go spojrzeniem.

Jak kula o pancerz, ośliznął się rozkaz i wzrok o niefrasobliwą naturę chłopca. Zaśmiał się.

— Ani pójdę z musu, ani będę czekał odprawy. Wolnym ptak i pan sobie, a ci, co mieli władzę nademną, dawno pomarli. Idę za wami tymczasem.

Polikarp Białopiotrowicz zatrzymał się jak wryty, ciężka dłoń spadła na ramię mówiącego.

— A ja ci mówię, że będziesz mnie ślepo słuchał i robił, co każę! Ja ci będę władzą! Rozumiesz?

— Bardzo niedostatecznie. Ejże, spróbować można; ale nie warto, będzie fiasko!

Starzec zbył milczeniem przechwałkę; szedł ku domowi.

— Ile masz lat? — zagadnął po chwili.

— Dwadzieścia.

— Stawałeś do poboru?

— W jesieni mnie to czeka, ale odsłużę po skończeniu kursów, jeśli mnie zupełnie nie uwolnią.

— Kogoż-by brali, jeśli tacy, jak ty, silni, nie pójdą? Nie masz zresztą żadnego prawa do ulg. Będziesz żołnierzem, panie inżynierze, to cię nie minie!

— Sześć miesięcy, to nie wieki!

— Karabin nosić, to dostatecznie. A potem lat parę rządowej służby za stypendjum.

— Dziad to tak dobrze zna, jakby sam przechodził.

— Ja wszystko wiem. Mogę ci na palcach wyliczyć biedy, które cię czekają.

— To mi nie nowina. Bieda hartuje człowieka.

— Różnie bywa. Mierna, przeplatana lżejszą dolą, ożywiona nadzieją i młodością, pobudza do czynu. Są inne, które demoralizują. Te dopiero przyjdą na ciebie.

Zamilkli znów. Głos dziada chłodem i przykrością ściskał duszę studenta. Przypomniał sobie dzieciństwo i gniotącą atmosferę Tepeńca, którą lat tyle znosili z matką. Bogu dziękował w duszy, że to tylko przemijająca wizyta, i klął przez zęby obmierzłego Wojciecha i wszelkie dyplomatyczne misje.

Po szerokich, marmurowych schodach, weszli do domu. Minęli przepyszne, gobelinami obwieszone salony, dębem wykładaną jadalnię, długi szereg mieszkalnych komnat. Pusto było i głucho, dreszcz wstrząsnął pomimo lipcowego słońca; ze ścian nieruchomym wzrokiem patrzyły na młodzieńca portrety protoplastów, pod nogami niekiedy skrzypiała mahoniem wykładana posadzka. Straszny to był dom.

Służba milcząca, pokorna, otwierała im drzwi, gnąc się aż do ziemi przed panem; szli tak, mijając przepych ów ponury, pyłem zasnuty, martwy i zimny.

W biurze swem, jedynym zamieszkalnym pokoju,

zatrzymał się pan Polikarp, ruchem wskazując krzesło kuzynowi. Usiadł też sam.

— A zatem do interesu! Twój godny bratanek prosił cię o wstawienie się do mnie! Cóż powiesz?

— To samo, co mówiłem Wojciechowi, że zrobił kapitalne głupstwo i niema żadnej mocy poprawienia mu w czem losu.

— I słusznie! Cóż ty znaczysz dla mnie, żeśby mi śmiał radzić, lub się mieszać w moje plany! Wojciech mi mówił, że na ciebie przyszła kolej moich łask. Możeś myślał, że tak jest istotnie?

— Jeśli dziad, nie wiem jakim sposobem, chyba cudem, zna naszą rozmowę, to nie może mnie o to posądzać; zresztą dowiodłem tylekroć, że mi o wasze łaski nie chodzi.

— Zapewne, zapewne, zuchwałości i uporu nikt ci nie odmówi. Jesteś niecdrodnym synem swej matki.

— Dziękuję dziadowi za to zestawienie. Jest to dla mnie najwyższa pochwała!

— Niewybrednyś!

Znów poczerwieniał chłopiec, ale się jeszcze pohamował.

— Wracając do Wojciecha — zaczął po małej przerwie, targając swe początkujące wąsiki — postępek jego był do przewidzenia. Dziad się pewnie go spodziewał?

— Przynajmniej nie zadziwił mnie. Dziwię się raczej, że chce zbliżenia ze mną. Żona jego posiada miljonowy majątek, jestem mu niepotrzebny.

— Alboż on o majątku myśli? Cierpi nad zerwaniem stosunków, nad niełaską i utraceniem serca dziada.

— Taak! Ale ja ani cierpię, ani żałuję, ani wierzę w to, co mówisz. Wasz świat składa się z frazesów, ale tu, w Tepeńcu, nikt ich nie używa i nie potrzebuje. Wojciecha wykreśliłem z rachunkowej księgi i z pamięci. Sądzę, że nie mam żadnego wnuka.

— To wasza wola. Darujcie Wojciechowi...

— Nie darowywam nigdy! — przerwał ostro starzec.

Hieronim zamilkł. Sprawa była zakończona bez apelacji.

Pan Polikarp wstał i zadzwonił.

— Śniadanie tutaj! — rozkazał lakonicznie.

Student był rad tej dywersji. Rozmowa się rwała co chwila, po raz pierwszy w życiu brakło mu konceptu i werwy; dziad mu pomimowoli imponował.

Dla dodania sobie rezonu wstał i poszedł do okna, aby wyjrzeć na ogród; nie śmiał nawet zapalić papierosa.

— Dziad zupełnie samotny — zauważył po chwili.

— Osamotnienie jest właściwością starości — odparł zwolna zagadnięty — ja zresztą nie znoszę towarzystwa. Ludzie nie zapełniają życia, wnoszą w nie tylko chaos.

— Są różni; można wybierać. Samemu trudno wytrzymać. Nie wszyscy są lekkomyślnymi młodzikami, bez sądu i rozwagi!

Znów zaległo milczenie.

— Czy myślisz u mnie spędzić wakacje? — zagadnął nagle stary, rzucając w stronę wnuka przelotne spojrzenie.

— Broń Boże! Jakżebym śmiał! Nie lubicie ludzi, a musielibyście patrzeć na mnie i rozmawiać. Przy-

byłem, boście mnie wzywali przed rokiem i myślałem, że mi się należy prosić za bratankiem.

— Dla siebie nie masz żadnej prośby?

— Nie; to jest... miał-bym może...

Starzec obrócił się frontem do niego; był ciekawy.

— Kiedy miał-byś, to mów! Nie słuchałeś mnie nigdy, może ja cię posłucham!

— Chciałbym przewieźć tu, do grobowca zwłoki matki; jeśli dziad pozwoli, będę mu bardzo wdzięczny!

— Nie, nie pozwolę. Matka twoja wyrzekła się tego domu i rodziny; przez bunt przeciw mej władzy straciła prawo leżeć wśród moich przodków i dzieci

— Błogosławię ją za ten bunt i wolę. Zrobiła mnie człowiekiem; umarła jak święta. Nie mówcie mi nic na nią, dość odmowy, nie poproszę was o nic więcej.

— Nigdy? — zapytał z przyciskiem starzec.

— Nigdy! Jak ona, tak i ja, nie mam rodziny i domu i o prawa się moje nie upomnę. Wyklęliście nas oboje, jak zbrodniarzy: Zaco? Zato, że ona mnie kochała, a ja, że pracowałem, jak mnie nauczyła, bez pomocy. Szpiegi dziada nie potrafią na mnie znaleźć nic nieszlachetnego, wstydu nie zrobiłem nazwisku. I za to cierpię od was! Jeśli mnie dziad sprowadził, by ranić i naigrawać się z tego, co czczę, to mogę was opuścić. Nie trzeba mi ani złota, ani łask!

Starzec słuchał go zimno, obojętnie.

— Nie dostaniesz ani złota, ani łask — odparł powoli — i możesz być przekonanym, że nie przez czułą troskliwość szpiegowałem cię dotąd i szpiegować będę nadal. Potrzebny mi jesteś jak pion na szachownicy, i co zechcę, zrobię z tobą.

— Ze mną? Ha! ha! — chłopiec zaśmiał się szyderczo. — Dziadowi się to dotąd tak udawało.

— Skądże, błaźnie, możesz wiedzieć, czy mi się udawało? Woskiem jesteś w moich rękach, mówię ci!

— To dobre i wcale dla mnie nowe! Dziad widocznie niewiele wymaga!

— Owszem, bardzo wiele!

Podczas tej rozmowy służba wniosła śniadanie. Po ostatniej odpowiedzi pan Polikarp ruchem zaprosił młodzieńca do stołu. Sam ledwie tknął jadła, obserwował swego gościa i milczał.

Skończywszy, chłopiec się skłonił i powrócił na swe obserwacyjne stanowisko, do okna.

Gospodarz domu wydawał lokajowi krótkie rozkazy.

— Możeś ciekawy mych bogactw? — zagadnął, gdy się służący oddalił — Przejdziemy się trochę!

— Nie ocenię rolnych bogactw, bo nie mam o wsi najmniejszego pojęcia, ale przejść się, to i owszem.

Poszli tedy szpalerami ogrodu na łąki i pola, a wracali przez folwarczne dziedzińce.

— Czy znasz się choć trochę na maszynach? — spytał pan Polikarp, stając u drzwi stodoły.

— Jakże? Przecież to mój fach. Wziąłem niedawno huk pieniędzy za projekt pompy.

— No, to mi zreparuj młocarnię!

— Z największą przyjemnością. A gdzież ten defektowy okaz?

Było to jakieś przedpotopowe cudo, sklecone z belek, klekocące, niesforne, odmawiające posłuszeństwa.

— Arko przymierza! — śmiał się chłopiec, drapiąc się po kołach i wałkach, zaglądając we wszystkie szczeliny. — Toż ona pamięta patrjarchów! Czemu

dziad nie kupi maszyny nowego systemu, lekkiej i małej? Tę najlepiejby było podarować na opał, do archeologicznego muzeum!

— Więc nie potrafisz zreparować?

— I owszem, ale to praca na kilka tygodni i bardzo nieprodukcyjna.

— A no, to zabawisz parę tygodni. Co do korzyści, to już moja rzecz. Cóż chcesz za robotę?

— Ależ nic, to niewarte wzmianki. Nie jestem rzemieślnikiem.

— Jednak brałeś pieniądze za tę tam pompę. Dam ci to, com obiecywał mechanikowi: sto rubli i dwóch cieśli do pomocy. Przytem utrzymanie.

Chłopiec śmiechem przyjął umowę. Pozostał w Tepeńcu dla tej ważnej przyczyny i reparował starannie ten zmurszały zabytek przeszłości.

Natura jego była jeszcze potrosze dziecięcą. Bawiło go to zajęcie. Śpiewał, gwizdał, komenderował majstrom, często sam się brał do dzieła. Uwalniało go to od pobytu z dziadem, którego widywał tylko chwilowo, a nie rozmawiał prawie nigdy.

Starzec niekiedy wstępował do stodoły, opierał się obu rękoma na belce i obserwował wnuka z pod nawisłych, siwych brwi. O czem myślał wtedy? Zapewne o swych skarbach.

Czasem o zmroku, masztalerz podawał chłopcu pysznego araba do konnej przejażdżki; czasem rybacy zapraszali go na połów po jeziorach; czasem nadleśny przychodził z propozycją polowania.

Pan Polikarp ich wysyłał, sam nie zaproponował nigdy, a chłopiec, choć lubił to wszystko, nie prosił także. Po paru tygodniach swobody, dostatków i roz-

rywek wiejskich, zatęsknił za towarzystwem, za przyjacielem, za życiem studenckiem.

Wyhasał się konno, nastrzelał mnóstwo zwierzyny, zwiedził okoliczne lasy i pola, dokuczyła mu samotność, cisza i spokój. Prypeć wydała mu się kałużą, okolica pustynią, dziad wawelowym smokiem. Napędzał majstrów, jak mógł.

Wtem pewnego wieczora wręczono mu depeszę od Żabby. Zbladł, przeczytawszy podpis. Nielada bieda napędziła flegmatyka do elektrycznego pośrednictwa.

„Dziecko chore, przyjeżdżaj natychmiast, bo straciłem nadzieję“ — przeczytał.

Skoczył do pałacu i wpadł jak bomba do gabinetu dziada.

— Muszę jechać dzisiaj! — zawołał zdyszany.

— Tak? Skończyłeś robotę? — spytał starzec zimno.

— Ej, co mi tam robota! Muszę wracać! Dziad daruje, ale to nie cierpi zwłoki!

— A co mi tam do twojej zwłoki? Jak złożysz maszynę, to możesz sobie jechać, dokąd chcesz. Pierwej nie!

— Maszyna może poczekać, wrócę ją dokończyć.

Starzec wstał, zatrzymał go za ramię.

— Słuchaj i wybieraj! Jeźli zostaniesz, wszystko, co mam, twoje będzie, jeśli odjedziesz, wyrzekam się ciebie; choćbyś głodem marł, nie dam ci chleba kawałka, zginiesz! No, wybieraj: raz ostatni podaję ci rękę!

— Dziękuję dziadowi! Skarby wasze, to niewola. Macie zresztą dwóch wnuków, nie możecie krzywdzić Wojciecha, a ja nie chcę niesprawiedliwości!

— Więc odrzucasz!

— W takich warunkach odrzucam.

— A więc giń! — krzyknął starzec, odtrącając go od siebie. — Idź mi z oczu i abyś nie śmiał wspominać, żeś moim wnukiem!

Hieronim pobladł śmiertelnie.

— Nie zrobię wam tego honoru! Do piekła prędzej pójdę po pomoc, niż do was! Niech was dławią skarby i pycha!

Drzwi się za nim zamknęły. Pan Polikarp słuchał chwilę odgłosu kroków, potem usiadł przy biurku, sięgnął po wielką rachunkową księgę i zadzwonił.

Lokaj zjawił się natychmiast.

— Bazylego! — rozkazał pan krótko.

Twarz jego uspokoiła się zupełnie. Nie było na niej śladu obrazy i gniewu. Schylił głowę nad księgą i pisał, nie zważając, że drzwi rozwarły się znowu.

Gdy skończył, podniósł oczy.

W progu stał wezwany, sztywny, nieruchomy, milczący. Hieronim byłby poznał tę figurę. Był to ten sam pół-chłop, pó-mieszczanin, który mu towarzyszył na statku.

— Pojechał? — spytał lakonicznie pan.

— Poszedł — odparł podobnież sługa.

— Możesz i ty wracać. Wszystko dobrze. Pieniądze ma?

— Ma!

— Oto są dla ciebie. Pilnuj-że starannie i nie rób na markach oszczędności. Dziecko ciężko chore?

— Szkarlatyna, miałem wczoraj wiadomość.

— Przez depeszę, to dobrze. Rad jestem z ciebie! Tamten wyjechał zagranicę?

— Do Paryża. Szczepan jest z nim.

— Nic już Szczepan nie pomoże. Skończone! Ty mi tego strzeż, Bazyli, nie przemilcz niczego!

— Złego nie znajdę, chyba skłamię.

— To dopiero początek. Przyślij mi zaraz swój adres, skoro wrócą do Petersburga. Będziesz miał trudną robotę.

— Na rozkazy pańskie.

Człowiek się skłonił głęboko, zgarnął pieniądze i wyszedł, cofając się do drzwi.

Nad Tepeńcem zaległa znów ponura cisza. Nie słychać było śmiechu i śpiewu chłopca; młocarnia, nawpół skończona, sterczała jak szkielet, a pyszny wierzchowy arab napróżno grzebał nogą, czekając jeźdzca. Hieronim był daleko. Spieszył jak mógł, do małej mieściny rybackiej nad Bałtykiem, gdzie Żabba z Bronką i panią Dulską spędzali wakacje. Po tygodniu, nad wieczór, dobił się do celu, niewyspany, głodny, upadając ze zmęczenia.

Na progu domostwa zetknął się z przyjacielem, aż się zachwiali obadwa.

— Żyje dziecko? — huknął Białopiotrowicz.

Żabba, nim odpowiedział, pomacał swój nos, który przy starciu najwięcej ucierpiał.

— A to zawsze tak, z twojej gorączki! — zamruczał.

Hieronim odtrącił go bez ceremonji na bok i poszedł dalej. W pierwszym pokoju pani Dulska mieszała jakąś miksturę. Na jego widok złożyła ręce jak do modlitwy.

— Dzień dobry pani! Jakże Bronia?

Na dźwięk tych paru słów, nim zdumiała stara panna zdołała oprzytomnieć, srebrny głosik dziecięcy rozległ się z sąsiedniej izby:

— Panie, panie, ja tutaj! Proszę przyjść, bo mi wstać nie pozwalają!

Hieronim poskoczył. Dziecko z pościeli wyciągnęło do niego rączęta, wstało nawpół i przytuliło mu się do piersi zdyszane, szczęśliwe, obejmując go z całych sił za szyję.

Cień z niej został przeźroczysty prawie, płakała z radości i dotykała rączkami włosów, twarzy, odzienia, jakby wątpiła, że to on.

— Cóż to, Broniu, gdzieżeś się napytała tej biedy? — zagadnął, gładząc ją po główce. Patrzył na nią całem sercem, uśmiechnięty i uspokojony.

— W całej wiosce grasowała szkarlatyna — odparła pani Dulska, podając jej lekarstwo.

— Czemużeś nie doniósł mi zaraz? — spytał Hieronim Żabby, który wchodził właśnie, a jeszcze tarł nos.

— Wybierałem się napisać — odparł flegmatyk.

— Ale co?

— Alem zapomniał, bo dziecko było uparte, nieposłuszne, złe. Mieliśmy z ciocią koło niej tyle roboty, co przy dwudziestu pacjentach.

— Wiesz — ozwała się Bronisia, a oczy jej nagle zabłysły — pani chciała mnie wybić!

— Czemuż nie wybiła? — śmiał się Hieronim.

— On nie pozwolił! — odparła poważnie, wskazując na Żabbę — Za to go kocham i słuchałam potem. Nikt nie ma prawa mnie bić, nikt!

— Doprawdy? Nawet i mnie nie wolno?

Spojrzała mu zdziwiona w oczy, myślała chwilę.

— Nie; tatuś mnie nie bił, to i ty nie będziesz. A gdybyś kiedy wybił, to.. — zawahała się chwilę, poczerwieniała, potem schowała twarz na jego piersi i zamilkła.

— To co? — badał ubawiony — Tobyś mnie pewnie pokąsała?

— Nie, ale uciekłabym!

— Wiem; masz do dezercji lekkie nogi! Tylko ostrożnie, bym cię nie złapał, bo odpokutujesz ciężko!

— Poco jej gadać takie rzeczy i straszyć bez potrzeby — zamruczał Żabba. — Dostanie gorączki. Ledwie ją i tak uratowaliśmy. Ty bo masz dziwną ochotę drażnienia!

— A ty do gderania! Każ mi dać co jeść i gdzie spać, bom bez sił prawie. Czy cię główka boli, dziecko? — dodał, dotykając rozpalonej skroni.

— Et, kaprysy! — wmieszała się stara ciotka. — Pan ją rozpieścił bezmiernie, nauczył grymasów! Czy kto słyszał, żeby taki drobiazg śmiał się obrażać za każde słowo, słuchał tylko tych, którzy się jej podobają, robił, co chce i rezonował ze starszymi? Józef nie śpi ani jednej nocy od dwóch tygodni, bo ona chce, żeby jej coś opowiadał; ja znoszę miny tej błaźnicy, jakby jakiej księżniczki; a pan gotów trzymać ją tak na ręku do rana! Et, to już za wiele!

— Pewnie, że za wiele cioci skarg! — ujął się Żabba. — Choremu trzeba dogadzać. Niech żyje tylko. Wiesz, Ruciu, mnie się ciągle zdawało, że to Wandzia. Pamiętasz?

Hieronim ucałował dziecko w czoło, położył je, okrył i wyszedł, przeprowadzony łzawym wzrokiem.

Pomimo zmęczenia, długo w noc rozmawiał z przyjacielem. Żabba, zwiesiwszy długi nos nad szklanką piwa, słuchał, myślał i milczał.

— Jakże ci się dziadunio podoba? — zagadnął Hieronim, skończywszy opowieść. — Milutki, co? Ani słowa!

Litwin wypił zawartość swej szklanki, skrzywił się i głową pokiwał.

— Podoba mi się bardzo — odparł.

— Z czego, bąkało?

— A no. ze wszystkiego. On jest wielki uczony; robi próby in anima vili!

— Cóż to, ja mam mu być psem, czy królikiem?

— I morskie świnki biorą do tych prób.

— No, więc cóż z tego?

— A nic. Zobaczymy, jak wyda dzieło.

— Et, głupiś, Żabba! Co do mnie, rad jestem, że się wreszcie odczepiłem od niego!

— To dopiero zaczepka, a nie odczepka — wygłosił patetycznie Litwin.

— Resztę mózgu morze ci wypłukało ze łba! Gadasz, jak wyrocznia, dwuznacznikami. Chodźmy spać!

— Zobaczymy, czy dziecko spokojne — poprawił Żabba.

Dziecko miało trochę gorączki. Gdy weszli pocichu, usłyszeli, jak mówiła wpółsennie do siebie:

— Żebym miała czarne perełki, tobym zrobiła i oczy; z chleba nie można; żeby dużo, dużo chleba, toby był cały człowiek, albo koń — taki duży!

— O figurkach swoich myśli — szepnął Hieronim.

— Aha, lepiła tu przed chorobą twój wizerunek z chleba, na prezent. Perełek na oczy ciągle się napierała. Jak wyzdrowieje, trzeba jej zacząć dawać lekcje rysunku.

Po chwili mała przestała majaczyć; oddech się uspokoił; koledzy wysunęli się niepostrzeżenie. Byli o nią spokojni, a niewiadomo, który się czuł więcej szczęśliwym jej życiem.

IV.

PUSTKA.

Minęło lato. Znów w ciasnem petersburskiem mieszkanku zebrało się pracowite grono. Codzień rano dwóch młodych ludzi schodziło na śnieżną ulicę, eskortując małą dziewczynkę z tornistrem książek na ręku. Doprowadzali ją do gimnazjum, a o zmroku zabierali do domu. Śpieszyli bardzo, zziębnięci wszyscy troje, głodni i zmęczeni. Mniej śmiechu było wieczorami, bo Hieronim wracał późno z prywatnych lekcyj, odrabiał z Bronią jutrzejsze zadania, pomaga Żabbie, sam pracował więcej.

Przy lampie siedzieli we troje, zatopieni w nauce. Dziecko zbladło, spoważniało, pożerało wiedzę zajadle, podnosząc niekiedy z niemą prośbą oczy na przyjaciela, którego uśmiech, zawsze jasny, dodawał jej otuchy. Wówczas pochylał się ku niej i cierpliwie tłómaczył trudną kwestję, szepcząc, by nie przerywać skupienia kaszlącemu Żabbie.

A Żabba kaszlał nieustannie. Napadło go to z pierwszemi mrozami i nie chciało opuścić, pomimo ziółek ciotki. Na inną kurację, a choćby na kilkotygodniowy wypoczynek, nie było środków pieniężnych i sposobu, przy małych zdolnościach biedaka.

Ślęczał nocami nad bibułą, mozolił się, sechł i kaszlał. Za każdym cięższym atakiem czoło Hiero-

nima pokrywała chmura. Znajomy student medycyny mówił mu, że na to był jeden ratunek: klimat i spokój, a on, choć się zabijał pracą, nie mógł tego zrobić przyjacielowi.

Więc coraz częściej na twarz wesołego chłopca występowały cienie, coraz mniej się śmiał, coraz rzadziej żartował z panią Dulską i swawolił z Bronią. Z Żabbą już się nigdy nie drażnił.

Życie upominało się o swe prawa nad niefrasobliwą, śmiałą, a serdeczną duszą sieroty; roztaczało wokoło niego ponure mgły, rzucało na silne barki coraz to nowe ciężary.

Nie stało mu czasu na swawolę i wytchnienie, musiał pracować na dwoje teraz; a gdy, pomimo trudu, odzywała się ochota do żartu i gawędy, to ją zabijał kaszel Żabby, krótki, suchy, złowieszczy. Chłopiec zwieszał głowę.

Bronia była mu jedyną otuchą i pociechą w życiu, przywiązywał się do niej z dnia na dzień coraz silniej, poznał, jak drogą mu była po tym strasznym niepokoju, gdy ją mógł utracić; odtąd strzegł ją jak oka i nie opuszczał nigdy.

Rzadkie wolne chwile i święta spędzał w domu z nią, wypytując o koleżanki i strapienia klasowe, przeglądając rysunki, pomagając lepić figurki.

Koledzy śmiali się z niego, Żabba gderał, ciotka ruszała ramionami tylko, dziecko dziękowało pieszczotą, cieszyło się z owych chwil na tydzień przedtem i to go zadowalniało.

Pewnego dnia, wychodząc z instytutu, Żabba rozminął się z Hieronimem. Tłum kolegów ich rozdzielił i Litwin sam ruszył ku domowi.

Przypomniał sobie, że przyjaciel miał lekcje na mieście i obiecał wrócić późno, więc zawrócił w stronę gimnazjum po Bronię.

Przed drzwiami przybytku wiedzy było pusto. Dziewczęta już się rozpierzchły do domu, na całe dwa tygodnie. Była to właśnie sobota przed świętami Bożego Narodzenia. Żabba wstąpił do znajomego stróża, u którego Bronia czekała czasem na przybycie opiekunów.

— Poszła już — objaśnił stróż.

— Sama?

— Nie widziałem. Wyszedłem na miasto, a kiedym wrócił, nie zastałem jej. Będzie temu pół godziny.

Litwin trochę się zaniepokoił, ale wnet pomyślał, że może Rucio go wyprzedził i wziął dziewczynkę do sklepu farb. Od miesiąca marzyła o malowaniu.

Poszedł do domu na spóźniony obiad. W mieszkaniu ciotka była sama, drzemiąca nad pończochą.

— A gdzie to Bronia? — zagadnął.

— Niema jeszcze.

— A bo i w gimnazjum niema!

— Znajdzie się. Nie twój kłopot. Jedz spokojnie. Coraz trudniej zebrać was na obiad!

Litwin umilkł, ale co chwila był niespokojniejszy. Gdy skończył, zamiast wypocząć, chodził od okna do okna i mruczał. Minęło parę godzin.

— Czy to pan Hieronim dziś nie przyjdzie? — zagadnęła ciotka frasobliwie.

— Zaraz będzie. Poszedł na lekcje.

Żabba zapalił lampę w swojej izdebce, ale czytać nie mógł; nasłuchiwał.

Nareszcie rozległy się kroki na schodach; Hieronim wszedł, ale sam.

— Gdzie Bronia? — zawołał Litwin.

— Jakto, gdzie? Nie chodziłeś po nią?

— Owszem, ale mi powiedziano, że ty zabrałeś.

— Ja? Wszakżem ci mówił, że dziś nie wrócę, aż wieczorem. Byłem na drugim końcu miasta!

— Nie rozumiem w takim razie! Dziecka nie było u stróża, gdym zaszedł i dotąd nie wróciła.

Hieronim zbladł jak ściana.

— Pewnie poszła sama i gdzieś zabłądziła! Gwałtu, jeszcze ją konie zatratują! Chodźmy szukać!

Poszli i, pomimo trzaskającego mrozu, szukali wytrwale do późnej nocy. Ciotka darmo ich czekała, nie pojmując nieakuratności.

Wrócili wreszcie bez tchu i sił i, bez dziecka. Żabba opowiadał nieszczęście ciotce, Hieronim padł na łóżko i płakał.

Nazajutrz cały instytut wiedział o zniknięciu żony Białopiotrowicza, wiedziała policja, dorożkarze, koleżanki i profesorowie, wiedziała cała falanga młodzieży.

Przyjaciele nie jedli, nie spali, nie nocowali nawet w domu, szukali, nie szczędząc pieniędzy, próśb i starań. Daremnie!

Daremnie Rucio zwiedzał najczarniejsze stołeczne nory, daremnie policja rozesłała swoich agentów, daremnie koledzy szperali każdy zosobna.

Dziecko zginęło, jak ziarnko piasku na pustyni, bez śladu, bez wieści; została po niem garstka rupieci, kilka zabawek, figurek z chleba, rysunków i straszna pustka dla dwóch młodych, co, po dwutygodniowych poszukiwaniach, straciwszy resztę nadziei, wracali o zmroku, milcząc, do domu.

Nie tknęli jadła i, aby uniknąć ciekawości i utyskiwań ciotki, poszli wprost do swej stancyjki.

Nazajutrz upływał termin wakacyj świątecznych; zapalili lampę i wzięli się do nauki. Żaden nie myślał o kursach. Myśleli o ciemnej główce, co tyle miesięcy, pochylona nad stołem, towarzyszyła im ochoczo; myśleli o jej srebrzystym śmiechu, co rozrywał im suche formuły, o myślących, serdecznych oczętach i drobnej postaci dziecka.

Na stole walały się jej zeszyty i książek kilka; zda się, że wejdzie co chwila, przytuli się do Hieronima, gwarząc lub wydając lekcję, albo usiądzie koło Żabby i prosić będzie o ciekawą, straszną historję.

Po długiem milczeniu obadwa podnieśli jednocześnie głowy, spojrzeli sobie wzajem w oczy i otarli parę natrętnych łez. Tracili jedyną radość w życiu.

Tej samej nocy Żabba, wyczerpany ostatecznie, dostał pierwszego krwotoku i nazajutrz leżał bez sił, blady, zestarzały o całe lata. Hieronim poszedł sam na kursa i lekcje.

Coraz czarniej robiło się na horyzoncie biedaka. Ze wszech stron opadało go życie, owo istotne, ciężkie, straszne, jak moc piekielna; zabierało mu ufność młodości, wiarę w swe własne siły, pogodę duszy. Bez przerwy, bez odetchnienia, spadały nań troski i bóle, zawody i choroby; nieszczęście uwzięło się go podeptać, zdruzgotać, zniszczyć.

Borykał się z dolą, jak mógł, opędzał się od mar złowieszczych, co go i we śnie prześladowały, pracował, zamęczał się, mozolił.

Była jednak troska, której praca nie mogła zwalczyć, dla której nie było ulgi; troską tą był Żabba. Choroba piersiowa, dawna, zwalczana młodością, tajona

może długo, podminowała wreszcie organizm, powaliła go, jak robak wali stuletnie sosny.

Od owego pierwszego krwotoku już nie wrócił do dawnych sił, choć po kilku dniach zaczął znów chodzić na kursa i pracować wieczorami.

Była to już daremna praca, były to już kursa bez przyszłości; wyglądał już, jakby go śmierć naznaczyła swym porządkowym numerem, już bliskim. Kto wie, może on to sam widział, choć milczał po swojemu, skulony nad pracą, to trzęsąc się z chłodu, to dysząc z wewnętrznego żaru; może jego krótkowidzące oczy widziały dalej, niż reszta ludzi, gdy, leżąc bezsennie w nocy, patrzył błędnie przed siebie.

Nigdy się nie skarżył, nigdy, ani na ból, ani na słabość, ani na swą młodość straconą. Był spokojny, pogodny, cichy, jak zawsze.

Kto wie, może się mamił nadzieją.

Hieronima, na myśl o przyjacielu, dławiły łzy; nie mógł patrzeć w jego wpadłe oczy, słuchać jego ciężkiego oddechu. Uciekał na miasto, sprowadzał doktorów, znosił, jakie mógł przysmaki. Doktorowie mówili: „powietrze“, inaczej petersburska wiosna go weźmie, nie zniesie podmuchów Ładogi; dawali jakieś półśrodki, które nie przynosiły żadnej ulgi i odchodzili, zabierając ostatni grosz studenta. Żabba mruczał niechętnie na te odwiedziny.

— Dałbyś pokój. Jak zdamy egzamina, to odpoczniemy. To mi przejdzie. Głupstwo! Jakiś ty zawsze niecierpliwy, Ruciu; chciałbyś z chorobą rozprawić się w trzy słowa. Trzeba mieć cierpliwość i czekać.

— Czego czekać? — rzucił się zrozpaczony — Śmierci?

— Na wszystko trzeba czekać — odparł Litwin spokojnie, ostrząc ołówek bez przerwy i przykrości. — Po kolei wszystko przejdzie. A jak śmierć, to co?

Hieronim zagryzł wargi, by nie jęknąć.

— Jak śmierć, to koniec! — wyszeptał, dławiąc się łzami.

— A jak koniec, to co? — ciągnął flegmatycznie Żabba, jakby mówili o najobojętniejszym przedmiocie. — Koniec, to dobra rzecz. Od dzieciństwa koniec nas nęci; kończyć napędzają; my sami, czyśmy kiedy przestali marzyć o końcu? W każdej klasie gimnazjum, na każdym kursie, zawsze wzdychamy, żeby też prędzej skończyć. Nie tak?

— Wcale nie tak! — mruknął Hieronim. — Nie wzdycham wcale, żeby się rozstać z tobą. Ty to nie masz czucia i nerwów, tobie wszystko jedno, żyć, czy umrzeć, zostać ze mną, czy rzucić mnie samego na świecie! Jak na złość, nie chcesz jeść, o co cię proszę, ani przestać chodzić do instytutu. Tybyś rad skończyć, wierzę!

Żabba umilkł pod gradem zarzutów. Była to jego zwykła taktyka; upór swój bezmierny krył pod tem spokojnem milczeniem. Przekonać go i uprosić nie było sposobu.

A Hieronim dzień i noc myślał o tem dobroczynnem powietrzu, które miało wrócić przyjacielowi życie; myślał, gryzł się, posępniał, przeklinał biedę.

Ludzie z upragnieniem czekali wiosny, onby ją rad był odsunąć na lata, wykreślić z kalendarza; wiosna nie niosła mu odrodzenia i słońca, niosła mu śmierć i zgubę.

Grosz po groszu, oszczędzając bezmiernie, nic prawie nie jedząc, nie śpiąc, chodząc prawie w łachmanach, zebrał sześćdziesiąt rubli. Więcej nie mógł.

A wiosna nadchodziła tak szybko, jak nigdy, a Żabba sechł w oczach.

Stara ciotka miała coraz częściej zapłakane oczy, szyła coś nocami. Gdy się zeszli z Hieronimem, wzdychali oboje. I ona była biedna. Żyła ze studentów, a to dość powiedzieć w Petersburgu, a jednak i ona myślała o tym wyjeździe, i ona zbierała grosz do grosza, równie z trudnością, jak Białopiotrowicz.

Na współkę mieli sto rubli.

Pewnego wieczora, w marcu, Hieronim zastał w mieszkaniu awizację dla siebie, na ośmdziesiąt rubli.

— Co to? Skąd to? — pytał Żabby.

— Z poczty — odparł mruk.

— Któż mi może przysyłać pieniądze?

— Zobaczysz, jak odbierzesz.

Chłopiec pobiegł, ile miał tchu. W biurze, przy gazowym płomyku, przeczytał, co następuje:

„Jesteś marnotrawca i próżniak. Zrobiłeś mi kłopot z maszyną; majster wziął za jej ustawienie 20 rubli, odtrącam to od należnej ci sumy, a resztę odsyłam, wedle umowy. Drugi raz za podobne zerwanie stracisz całą zapłatę, jako karę za niesumienność. Twój dziad Polikarp Białopiotrowicz".

Hieronim, jak huragan, wpadł do przyjaciela.

— Józef, jedziesz jutro! — krzyknął.

— Ja? Dokąd?

— Do Krymu! Leczyć się! Mam pieniądze!

— Jakie pieniądze? Jaki Krym? — Żabba wytrzeszczył oczy.

— Krym jest jeden! A pieniądze masz!

— Et, durzysz mi głowę. Co mi tam Krym! Nie chcę!

— Józef!

Litwin zatkał uszy dłońmi, wnurzył nos w książkę. Wyglądał, jak uosobienie uporu i zaciętości.

Ale Hieronim na nic już nie zważał. Książkę cisnął w kąt, przyjaciela wziął obu rękami za głowę, przypuścił szturm do mruka.

— Bracie! Zlituj się nademną, jeśli nie nad sobą! Daj mi tę jedną pociechę, żebym był o ciebie spokojny, żebym ciebie miał jednego! Toż ja sierota, ni domu, ni łomu, ani duszy rodzonej nigdzie. Tyś mi jeden i bratem i rodziną. Tyle lat byliśmy razem, cóżem ci zawinił, że samochcąc chcesz ginąć i mnie rzucić? Było nam dobrze razem. Życie tak przeżyjemyj Józik, mój ty drogi, kochany, serdeczny! Zrób mi tę łaskę, jedź! Da Bóg, poprawisz się, dopędzisz te podłe kursa! Józik, nie upieraj się, zlituj się nademną! Żebym mógł w biedzie choć ciebie mieć zdrowym!

Głowa Litwina szamotała się zrazu energicznie w objęciu przyjaciela, aż mu spadły okulary, potem uspokoiła się trochę, odwracał ją tylko, by mu Hieronim nie mógł spojrzeć w oczy, wkońcu skrzywił się, zmarszczył i zaczął burczeć.

Student odetchnął. Litwin, gdy odzyskiwał mowę, tracił upór, można było trafić do jego duszy.

— Rozdepcesz okulary! — mruczał. — Już trzecia para w tym roku z twojej gorączki.

— Bierz djabli okulary! Pojedziesz, Józefie? — pytał chłopiec z serdeczną prośbą w głosie.

— Nie wiedzieć czego! Zawsze ci głupstw się zachciewa. Skąd wziąłeś pieniędzy?

— Dziad przysłał. Ustawiałem mu młocarnię latem.

— Nie kłamiesz?

— A cóż, myślisz, że nie potrafię złożyć maszyny? Żebyś ją widział, jaka głupia!

— Et, bredzisz. Pewnieś krwią i potem zebrał pieniądze.

— Anim sobie na nie i palca nie skaleczył. Jedziesz, Józik?

— Sam, nie chcę.

— A jakże?

— Z tobą. Inaczej nie, nie!

— A no, to pojadę i ja. Dziękuję ci, bracie!

Uściskał Litwina z całych sił.

— Nie zaduś mnie! — burczał Żabba, wykręcając się, by kolega nie zobaczył łez, które mu się do oczu cisnęły. — Ot, lepiej podnieś okulary! Ja ci mówię, że rozdepcesz! Trzecia para!

Hieronim był już u ciotki z radosną nowiną.

Nazajutrz wyjechali na południe. Stara ciotka pobłogosławiła obu, kazała pisać często, płakała, dopóki pociąg nie zniknął jej z oczu. Wróciła ze ściśniętem sercem do domu.

Praca i jej rozrywała smutne myśli, zresztą pierwsze listy Żabby i Hieronima pokrzepiły otuchę. Przez miesiąc listy szły regularnie. Chory miał się lepiej; Hieronim znalazł jakieś zajęcie, zarabiał i tam na życie. Pisali o kwitnących sadach, o morzu pogodnem, o bogatym kraju, obiecywali wrócić po wakacjach. Staruszka była weselsza. Potem nagle, w pół lata, urwały się wieści.

Tydzień, dwa, miesiąc, ani słowa; pisała — żadnej odpowiedzi, wysłała depeszę — bez skutku.

Studenterja zaczęła wracać do stolicy. Biednej staruszce zdawało się codzień, że i oni wrócą z innymi. Codzień wyglądała, słuchała znajomego kroku na schodach, cieszyła się myślą, że może listy zaginęły, lub nie pisali o powrocie, chcąc jej zrobić niespodziankę.

Niespodziankę, ha! Tak, niespodzianką była sina koperta, którą jej wręczył posłaniec z telegrafu pewnego wieczora, i niespodzianką krótka wiadomość: „Żabba umarł“.

V.

„BĄDŹ PRAWYM".

Z tumanów mroźnej, jesiennej mgły wynurzył się pociąg na dworzec petersburski. Na ławce trzeciej klasy ostatniego wagonu siedział Hieronim Białopiotrowicz, patrząc posępnie na majaczące kontury stolicy.

Trudno było poznać swawolnego chłopca. Wychudł, jak trzaska, zczerniał, postarzał. Z bladej twarzy sterczały kości, jak u szkieleta; wesołe, jasne, oczy, ledwie wyglądały z jam; poprzeczna brózda przecięła czoło, na ustach osiadł smutek i powaga.

Wyjechał młodzieńcem, wracał człowiekiem; stopień dojrzałości dała mu ta ciężka szkoła, którą każdy, chcąc nie chcąc, odbyć musi — nieszczęścia.

Na dalekiem krymskiem wybrzeżu położył w grób jedynego przyjaciela, brata, towarzysza doli i niedoli od tylu lat, i wracał od tego grobu, przygnieciony całym ciężarem ziemi, która go na wieki z nim rozłączyła.

Za tym tumanem mgły leżało miasto, bój życiowy tam czekał samego już.

Sam nie wiedział, poco wracał i jakim cudem dobił się do stolicy. Łaską konduktorów jechał, od kilku dni nic nie jadł, w kieszeni miał dwanaście groszy: na mieszkanie, opał, światło, jedzenie i wpisowe.

Czasami brał czoło w dłonie i chciał śmierci, czasem na myśl o Żabbie płakał, to zmarszczony ponuro myślał, że nie warto być dobrym i pracować na tym świecie; resztę czasu spędzał nieruchomy, bezmyślnie patrząc na mijane krajobrazy. Głód mu odbierał resztę siły.

Ostatni wyszedł z wagonu na dworzec. Szedł jak człowiek bez celu i bez zajęcia, popychany to tu, to tam ruchem ciżby.

Koło drzwi dworca trącił wychodzącego na peron eleganckiego panicza. Obadwa spojrzeli na siebie i podali dłonie.

— Hieronim! Witam! Masz minę strasznie nieprzyzwoitą. Cóż to, z hulanki wracasz?

— Wracam z Krymu — odparł, wchodząc z bratankiem do sali.

— Z Krymu? Cóżeś tam robił?

— Pochowałem Żabbę.

— Jaką Żabbę? A, tego tetryka! No, mała szkoda! A teraz, co robisz z sobą?

— Nie wiem jeszcze.

— Jedź ze mną! Wyrzucę cię, gdzie zechcesz. A może u mnie się zatrzymasz? Mam pół pałacu na twe rozkazy.

— Dziękuję. Wyrzuć mnie na Sadowej!

Przed dworcem sanki Wojciecha czekały na pana. Wsiedli oba i ruszyli. Hieronim trząsł się w swym wytartym paltocie, kuzyn opiął się szczelnie sobolami i klął klimat.

— Cóż się dzieje z tobą? — zagadnął po chwili. — Skończyłeś kursa?

— Nie zdałem zeszłorocznego egzaminu, straciłem stypendjum i rok czasu i oto wracam.

— Przy twych zdolnościach odzyskasz czas stracony.

Hieronim zaśmiał się ironicznie. Co tu mogły pomóc zdolności choćby genjalne?

— A ja, mój drogi, wypłynąłem na bystrą wodę — mówił Wojciech dalej, zapalając wonne cygaro. — Aż mi śmiech teraz, żem się tak bał dziada wtedy, pamiętasz! Aż mi lżej, żem się go pozbył! Jestem wolny i bogaty. Trochę tu nudno w Petersburgu. Cyganki mi zbrzydły; ale latem jedziemy do Ostendy, nabiorę znów werniksu i rozerwę się; wpadnę do Monte-Carlo, odwiedzę Paryż. Ach, Paryż! Co to za miasto! Eden, mój drogi!

— A żona twoja tu?

— Tu. No, ale miodowe miesiące minęły, trzeba już świata. Nie lubimy oboje cichego życia.

Hieronim zamilkł.

— Nie widziałeś dziada? — zaczął Wojciech.

— Nie.

— Źle robisz. Zamiast biedę klepać, umizgnąłbyś się do starego, a potem, nacieszywszy się jego łaskami, naszastawszy spleśniałych pieniędzy, dałbyś kominka, jak ja. Przewietrzyłem mu sporo dukatów! Nie rozumiem twego amatorstwa nędzy! Użyłbyś życia i nie łamałbyś głowy dla kilkudziesięciu rubli. Złóż pychę z serca i szepnij staremu słodkie słówko. To wystarczy; on cię lubi.

— Ale ja go cierpieć nie mogę i nie zwykłem całować ręki, która katuje! Dam sobie sam radę.

— To istna *idée fixe*, ta samodzielna praca. Zobaczysz, że, goniąc tę marę, dostaniesz konsumcji. Ale, *à propos* głodu, czy wiesz, żem dotąd bez śniadania, a to już blisko południe. Okropność! Otóż i Sadowa

Wysiadasz? No, bywajże zdrów! Jeśli ci będę potrzebny, to się nie formalizuj. Mieszkam na Wielkiej Morskiej. Do widzenia!

Podali sobie dłonie i Hieronim wyskoczył.

Na Sadowej mieszkał Grocholski; spytał o niego. Don Juan i elegant przed pół rokiem się ożenił i wyjechał do Królestwa. Chłopiec powlókł się leniwie dalej do dwóch innych kolegów, lepiej znajomych. I tam go spotkał zawód.

Jeden dostał posadę na południowych drogach, drugi też wyjechał z Petersburga i zginął.

Za każdą wieścią coraz czarniej robiło się w duszy chłopca; rok stracony wykopał mu przepaść pod stopami, koledzy się rozpierzchli, stracił pozycję i grunt.

Głód, zmęczenie i zimno odebrały mu resztę otuchy, błądził po ulicach, nie znajdując w głowie ratunku. Instynktem ściganego zwierza lub wędrownego ptaka przyszedł jednak na znaną ulicę, do starego mieszkania. Począł się mozolnie wdrapywać na schody, które lat tyle deptali z Żabbą dawniej.

Ach, dawniej biegł po nich, gwiżdżąc, skacząc co cztery stopnie; dawniej, już zdaleka bystre uszy dziecka poznawały jego kroki, biegło otwierać, wołając radośnie; za drzwiami czekały go wierne serca i serdeczne powitanie. Dziś się wlókł leniwie, ze zwieszoną głową, dysząc, z kroplami potu na czole, a tam, za drzwiami, obcy głos nucił kuplety z modnej operetki. Zadzwonił po chwili namysłu.

Odsunięto krzesło, ktoś szedł mu otwierać, nie przerywając śpiewu. Głos był kobiecy, bardzo ładny, i ta, co stanęła przed nim, była piękną dwudziestoletnią dziewczynką, z krótko obciętym włosem, binoklami na nosie i piórem za uchem.

Słuszna, zgrabna, smagłej cery brunetka, o wyzywającem, śmiałem spojrzeniu, o lekceważącym, roztropnym wyrazie twarzy. Studentka — stało jej wypisanem na czole.

— *Servus!* — pozdrowiła obcego.

— Czy tu nie mieszka już panna Uziębło? — spytał Hieronim, kłaniając się lekko.

— Tu mieszkam ja, mój panie.

— Pani daruje! Wracam dziś zaledwie, a wyjeżdżając, zostawiłem tu pannę Uziębło.

— Że też wy, panowie, nie możecie nawet dopilnować adresu swych kochanek! To wstyd szukać ich po mieście!

Blady uśmiech przeszedł po twarzy Hieronima na to zestawienie pani Dulskiej i kochanki.

— Że też wy, panie, zawsze myślicie o kochaniu! — odparł. — Panna Uziębło ma, jeśli żyje, blisko sto lat.

— Ach, tak. Byłaby mocno pogłaskana moją uwagą, ale jej tu niema, niestety!

— Tak, niestety! Pani mi daruje! Żegnam!

Kiwnęła mu głową i zamknęła drzwi.

Hieronimowi robiło się coraz słabiej; ciemne płatki snuły mu się przed oczyma, pot zastygał na skroni, zaczął jednak schodzić nadół.

Na każdym stopniu ustawał, odpoczywał, chciał gwałtem stłumić słabość; przecierał oczy, oddychał z całych płuc — daremnie. Nogi się uginały, nieznośna niemoc ogarniała wszystkie członki, w głowie szumiała krew.

Zszedł jeszcze trochę, zachwiał się i upadł na schodach, jak drewno, bez czucia. Noc go ogarnęła i chłód. Stracił przytomność.

Gdy się ocknął, był wieczór. Rozejrzał się, przetarł oczy i usiadł. Był w dawnej swej izdebce, tylko, że nie stało dawnych sprzętów, a zamiast Żabby, w kącie siedział człek jakiś i jadł z miski. W pokoju panował upał tropikalny i rozchodził się silny zapach kapusty. Student leżał na tapczanie w kącie.

— Kto tam? — zawołał, odzyskując resztę pamięci.

— Stróż, Bazyli, do usług! — odparł człek z kąta, podchodząc z miską w jednej, a łyżką w drugiej ręce.

Był to chłop już niemłody, chudy, jednooki, z pozoru roztropny i dobry. Zdało się Hieronimowi, że gdzieś już widział tę twarz.

— A ja się tu skąd wziąłem? — spytał zdumiały.

— Ze schodów. Leżał pan, to podniosłem, żeby kto nie rozdeptał.

— A wy tu mieszkacie?

— Aha, tymczasem, bo mi komórkę na dole restaurują.

— Może mi pozwolicie zostać tu na noc, bom słaby. Za kawałek snu oddałbym kawałek życia.

— Jużbym nawet pana nie wypuścił. Straszny dziś mróz i dochodzi północ. A zostać, to może pan choć na zawsze, byleście mieli papiery w porządku. Mnie w takim dużym pokoju czegoś straszno. Będę wam rad. Możeście głodni?

— Nie, dziękuję!

— To zjedzcie na zapas! Ot, macie! Mam dziś nocny dyżur, zaraz pójdę. Śpijcie spokojnie! Musiał się pan strasznie czegoś zmordować, a młode, to jeszcze słabe. Jedzcie, panie, ja wam rad daję...

Postawił przed chłopcem jadło i małą lampkę, sam się odział w dwa kożuchy i wyszedł, życząc gościowi dobrego snu.

Niktby delikatniej nie zaofiarował pomocy. Hieronim myślał długą chwilę; posiłek pokrzepił go, rozejrzał się wokoło, potem spojrzał w okienko i coś szeptał niewyraźnie.

Potem się przeżegnał i położył. Czuł w tej chwili Boga nad sobą. Ktoby mu powiedział, gdy leżał na schodach, że nie zginie marnie z głodu, zimna i wycieńczenia? Bóg był nad nim. Musiał długo spać, bo się obudził rzeźki i wesół. Wstał, ubrał się, zeszedł na dół, szukając swego dobroczyńcy, by mu podziękować. Jednooki widocznie śledził go, bo ledwie się pokazał na dole, nadbiegł kłusem z końca podwórza.

— A dokąd to pan idzie?

— Szukałem was, by podziękować. Uratowaliście mi życie! — rzekł, podając mu rękę.

— To chwała Bogu! Niechno tylko pan jeszcze nie wychodzi, bo słaby, a zimno. Ja zrobię, co potrzeba.

— Oj, kiedy mi wiele potrzeba, czego wy nie zdołacie zrobić.

Proszę przecie powiedzieć. Może lekcyj?

— I lekcyj też.

— Tu jest urzędnik na rogu, co dla swych chłopców potrzebuje studenta. Ja pana zaprowadzę.

Po godzinie wracali z dobrym rezultatem. Chłopiec miał kilkadziesiąt rubli zadatku w kieszeni, wróciła mu otucha, a nowy opiekun dodawał ochoty, radził, cieszył.

— Gospodarz da stancję, nie wymagając zaraz komornego, tymczasem pan pomieszka ze mną —

mówił, wtajemniczony już w kłopoty lokatora. — Trzeba tylko do instytutu się dostać.

Ale tam znano Hieronima, zrobiono miejsce, profesorowie się za nim wstawili, i po tygodniu w dawnej izdebce dwóch przyjaciół paliła się lampa, oświetlając jasnowłosą głowę chłopca, schyloną nad technicznym rysunkiem, tak jak dawniej, tylko że sam był teraz i sam miał pozostać; nie wróci już tych dwoje, co z nim pracowali niegdyś, nie wróci.

I nie wróciła też, pomimo wznowionej nadziei i pracy, wesołość. Już mu swawola nie postała w myśli, a żart na ustach; zcichł, spoważniał, nie szukał towarzystwa wśród kolegów, nie wybierał druha, nie dokazywał po kursach, nie śpiewał.

Pracował bez chwili rozrywki i wytchnienia, i tylko niekiedy podnosił smutne oczy na puste miejsce naprzeciw i wzdychał. Ból go chwytał za gardło, żałosna tęsknota za przyjacielem ogarniała duszę. Żył z umarłymi. Skąd miał być wesół?

Odnalazł wreszcie panią Dulską — na klepsydrze pogrzebowej, i odprowadził poczciwą opiekunkę sam jeden na cmentarz. Była to niedziela.

Zabawił godzin parę wśród grobów, rozmyślając smutno. Ileż-to on już sam osób i uczuć pochował, a miał zaledwie 22 lata?

Nieoceniona praca. Pochłaniała smutki i biedę, i myśli złe, co z niedolą opadają człowieka, dawała siły i nadzieję, hartowała go na życie.

Pracował dni całe, nieraz i nocy większą część, pożerał wiedzę, przygotowywał się do ostatecznego egzaminu. Żebyż tylko ten rok przetrwać!

Potem otwierały się przed wyobraźnią biedaka szerokie horyzonty: pyszne posady, dobrobyt, bogactwo, sława. Szumiało mu w głowie.

Po miesiącu stróż przeniósł się do komórki, gospodarz zgodził się czekać na komorne, student został prawym posiadaczem izdebki, kulawego stołu, drewnianego krzesła i tapczana z garścią słomy. Była to spuścizna po Bazylim, który często zachodził do chłopca, nieproszony spełniając drobne usługi; czasem nawet wieczorem siadywał w kącie, ćmił lulkę i patrzył na młodzieńca. Spojrzenie było dziwne, ojcowskie prawie, pełne serca.

Oprócz niego i kilku kolegów nikt w izdebce nie przerywał skupienia nauki. Za to u sąsiadki za ścianą panowała codzień wrzawa. Do późnej nocy pito tam, tańczono, grano, śpiewano; studenci chodzili tłumnie do pięknej koleżanki. Prowadziła wesołe życie.

Koledzy często namawiali Hieronima, ale się wymawiał. Łatwość w miłości zniechęcała go. Nie lubił tego rodzaju kobiet i stosunków.

Spotykał dziewczynę często na ulicy lub na schodach, kłaniał się tylko, nie mówili z sobą nigdy.

Czasem z za ściany dochodziły go urywki rozmów, śmiechy, dwuznaczne dowcipy. Marszczył się. Przykro mu było, że izdebka staruszki i Broni taką miała lokatorkę, ale znosił cierpliwie roztargnienie i hałas, byle nie zmieniać mieszkania.

Pewnego wieczora wrzawa była jeszcze większa, niż zwykle, student był zły i zniecierpliwiony; gdy ucichło, zaczął się uczyć, chcąc odzyskać czas stracony.

Wtem zapukano do drzwi.

— Czego tam chcecie? — spytał niechętnie.

— Żebyście otworzyli — odparł niecierpliwy głos sąsiadki.

Spełnił żądanie. Zajrzała do wnętrza.

— Stróża tu niema? Wszak tu mieszka?

— Tu mieszkam ja, pani. Czem mogę służyć?

— Niech mi pan wyrzuci tego pijaka za drzwi! — rzekła, cofając się do swego mieszkania.

— Jakiego pijaka?

— A tego oto, na kanapce. Wszedł tu nieproszony i ani myśli ustąpić. Obmierzłe próżniaki!

— Na cóż go pani wpuściła? — mruknął.

— Daj mi pan spokój z morałami!

Hieronim przystąpił do kanapki. Spał na niej bez ceremoji młody medyk, czerwony jak rak. Student wziął go na plecy. Innego sposobu nie było.

— O, jaka siła! A gdzie go pan niesie?

— W najwłaściwsze miejsce, do rynsztoka.

— Olszyc w rynsztoku! *Tableau!* Jak się dowie, że go tak sponiewierano, gotów pana zabić!

— To mnie najmniej obchodzi! — odburknął.

— Oho, pan nie zna Olszyca!

— Mała szkoda. Niech pani drzwi zamyka, bo zimno!

W pokoju kłębił się dym z tytoniu i para ponczu. Dziewczyna była zarumieniona, oczy jej błyszczały jak węgle. Patrzyła za nim.

— Byle go nie roztratowano! — rzekła.

— Bądźcie spokojni!

Zaśmiała się i wróciła do mieszkania.

Hieronim położył śpiącego pod ścianą domu i zasiadł znów do nauki. Nie podziękowała mu, ani się odezwała więcej.

Nazajutrz, wracając z kursów, Hieronim spotkał w bramie kilku medyków, z czapkami na bakier, a zuchwalstwem na twarzy. Wczorajszy pijak stał na czele.

Jak się pan nazywasz? — spytał obcesowo.

— A panu co do tego? — odparł Hieronim hardo.

— Bardzo mi do tego, boś mnie pan obraził wczoraj! Chcę satysfakcji!

— Doprawdy! Jakżem to pana obraził?

Jakiem prawem wyniosłeś mnie pan na ulicę?

— Prawem pańskiej bezwładności, a mojej siły!

Jakiem prawem nachodzisz obce mieszkanie i wtrącasz się w moje prywatne sprawy? Ja cię nauczę bałamucić mi dziewczynę, intrygancie! Chcesz być obitym?

— Chcę, żebyś się pan miarkował w wyrażeniach i nie krzyczał tak, bom nie głuchy! Ta pani kazała mi waści wynieść z pokoju, boś był pijany!

— To i co, żem był pijany? Mam prawo pić, gdzie mi się podoba, tembardziej u swojej kochanki! A panu co do tego?

— Nic! Nikt panu prawa pić nie przeczy, ale też nikt nie zabroni wyrzucić pijaka, gdy pani domu dokuczył.

Olszyc chciał coś odrzec, ale w tejże chwili postać jakaś z głębi sieni przyszkoczyła do niego i wymierzyła mu policzek. Stracił głos.

— Masz! — rozległ się głos studentki. — Żebyś mi burd nie zaczynał! Ja ci pokażę prawo, pijaku! Ja cię nauczę wykrzykiwać moje imię wśród tych brudów! A wy tu czego, reszta? Gromadą napadacie na jednego, zbóje! Precz mi stąd i ani łapą do mnie!

Olszyc oprzytomniał, uśmiechał się przez zęby.

— Medycy wychodzą z mody, ha, ha! Podobał się białowłosy niedorostek, podobny do kościotrupa! Winszuję zdobyczy, tyczko miernicza! Nadgraniczna prowincja! Kto żył, pustoszył, ha, ha!

Teraz już Hieronim stracił cierpliwość. Porwał medyka za kołnierz, obrócił jak frygę i cisnął z bramy w ulicę.

Koledzy poszkodowanego rzucili się na pomoc. Tu już wynikła formalna bójka na pięści. W ciemnej sieni zakotłowało, jak w garnku, i nie wiadomo, czyby Hieronim wyszedł żyw z rąk ośmiu, gdyby stróż, widząc, na co się zanosi, a nie chcąc alarmować policji, nie wytoczył sikawki i w kłąb walczących nie puścił strumienia lodowatej wody.

Po chwili na pobojowisku zostali: Hieronim, studentka i stróż, klnąc awanturników. Reszta uciekła przed kąpielą.

Chłopiec zmarszczony, zły, wyminąwszy dziewczynę, wbiegł na schody. Zatrzymała go u drzwi.

— Przepraszam pana i dziękuję! — rzekła zmienionym głosem, podając mu rękę.

Promyk różowej lampy przez szczelinę drzwi padł jej na twarz. Wskutek oświetlenia, czy podniecenia wydała mu się nad wyraz piękną i, co gorsza, niesłychanie ponętną. Miała na ustach i w oczach niebezpieczny, drażniący urok; zmieszał się po raz pierwszy w życiu przed wzrokiem kobiety.

Przykre wspomnienie awantury rozwiało się jak sen pod tem zupełnie nowem wrażeniem. Jakiś dziwny niepokój ogarnął mu duszę.

Wziął podaną rękę i uścisnął lekko.

— Niema za co pani ani przepraszać, ani dziękować — rzekł, opanowując się po chwili, już zupełnie

chłodno. — Ten pan sam się nie szanuje, więc też nie uszanuje nikogo. Uważam go za niegodnego dalszej wzmianki i pamięci.

— Łotr! — mruknęła przez zęby. — Ciekawam, co też pan myślał o mnie, słuchając go.

Chłopak zawahał się chwilę.

— Szkoda mi pani było. Trzeba wybierać ludzi. Nie dawać się takim na poniewierkę.

Zaśmiała się dziwnie i, zmieniając nagle ton, spytała, wpatrując się weń:

— Panu na imię Hieronim, podobno?

— Hieronim Białopiotrowicz.

— Powinno być Hieronim Savonarola. Kobiety wszystkiegoby się wyrzekły dla pana, a mężczyźni przez zawiść upiekliby pana żywcem.

— Miła perspektywa! — uśmiechnął się. — Mieć tłum kobiet, to zbytek, a stos — niezabawny kres życia. Nie zazdroszczę imiennikowi honoru!

— Ale panu będą zazdrościć.

— Winszuję, jest czego! — szepnął gorzko.

— *Vederemo!* — uśmiechnęła się po swojemu, zagadkowo, niknąc w głębi mieszkania.

Nazajutrz już na progu instytutu koledzy przywitali Hieronima śmiechem i setką konceptów.

— Ostro obszedłeś się z medycyną!

— Oho, nie chciałbym rywalizować z tobą! Cicha woda z ciebie!

— Jesteś tedy pasowany na rycerza pięknej Afry!

— Co za Afra znów? — zawołał oszołomiony.

— A no, twoja sąsiadka!

— Nawet nie wiem, jak się wabi! Afra! A toby było w guście dziadunia! Pogańskie akuratnie!

— Co ty tam prawisz o guście dziadunia, kiedy tu o twoim mowa? Nie pomogło odżegnywanie złego ducha. Na kogo ona parol zagnie, ten jej nie ujdzie.

Chłopiec zatkał uszy dłońmi.

— Gwałtu! Bierzcie ją sobie, a mnie zostawcie w spokoju!

— Ejże! Znasz Afrę, to już tam ze spokojem krucho. No, no, nie zapieraj się! Przyszła kreska.

— A no, to cicho, dosyć! Jest o czem mówić tyle! Żebym ja tyle o was mówił, tobym dostał astmy. Chodźmy do sali!

Tak, ze spokojem studenta było krucho. Gdzieś go odleciał nagle i nie wracał. U sąsiadki było cicho, nikt nie przychodził; naukę Hieronima przerywał tylko śpiew cichy, lub delikatne dźwięki pianina.

Pomimo to uczyć się nie mógł; drżał na każdy szelest za drzwiami, słuchał pieśni i tonów; w nocy niepokój go męczył i nieokreślona tęsknota. Zrobił się roztargnionym, nieuważnym, czasem niecierpliwił się i gniewał bez przyczyny, czasem napadały go wybuchy wesołości.

Raz, wracając z lekcji, posłyszał za ścianą dawny gwar. Posłuchał chwilę, zaklął i uciekł z mieszkania wściekły. Czego? Nie potrafiłby określić.

Przez tydzień nie wrócił do domu. Tułał się po mieście, noclegował u kolegów; wreszcie wmówił w siebie, że musi Bazylego uspokoić, i wrócił.

Cicho wsunął się do mieszkania, zapalił lampę, usiadł do roboty, kopcąc papierosa.

Po chwili zapukała do drzwi.

Milczał i nie poruszył się.

— Otwórz pan! — zawołała niecierpliwie

Opieszale obrócił klucz w zamku i ukłonił się, milcząc.

— Po tygodniu hulanki wracasz pan przecie! Życie arcymoralne! Coby to pana święty imiennik na to powiedział?

— Nie wspominajmy lepiej o cnotach w tej okolicy! — mruknął. — Czem mogę pani służyć?

— Niczem! Chce mi się tu czytać. Możesz się pan o mnie nie kłopotać. Zostanę, póki mi się podoba.

Stół ich dzielił tylko. Usiedli, ale Hieronim nie mógł skupić uwagi nad matematyką. Dziewczyna siedziała na miejscu dziecka, pochylona, wnurzywszy rękę w ciemne, bujne włosy; nie miała swych impertynenckich binokli.

Szafirowe oczy chodziły po kartkach książki, koralowe usta poruszały się niekiedy.

Gdzie spojrzał, czy oczy zamknął, twarz ta urocza stała mu ciągle w pamięci, mąciła rozum, odbierała resztę siły woli. W duszy szalała burza.

Kobieta wchodziła do niej po raz pierwszy w życiu, niosła jak zwykle z sobą niszczące, gorące tchnienie afrykańskiego samumu.

Czyż miał swe całe, dotąd nietknięte serce rzucić jej pod nogi i zostać tysiącznym kochankiem?

Zakrył dłońmi oczy i myślał, szamocąc się z samym sobą.

Nagle gałka z papieru, celnie rzucona, trafiła go w czoło i rozległ się szalony śmiech dziewczyny.

— Cóż panią tak bawi? — spytał, brwi marszcząc.

— Pańska mina natchniona. W głowie pewnie się rodzi Minerwa!

Uśmiechnął się. Inna bogini wkraczała do niego, nie mająca żadnej z rozumem styczności.

— Ale kiedy się pan nie uczy, to proszę mnie bawić!

— W jaki sposób?

— Ano, gawędką. Co pan porabiał przez ten tydzień?

— To samo, co zawsze.

— Dawniej pan domu pilnował.

— Zaraziłem się od innych cyganerją.

— Winszuję. Jabym na pana miejscu wolała być szukaną, niż szukać.

— Szukając, słuchamy własnego gustu, i to lepsze.

Spojrzała mu w oczy, jakby chcąc zbadać, czy nie było dwuznacznika w tem, co mówił, ale twarz studenta była poważna i smutna. Zaśmiała się i, przeskakując po swojemu do całkiem innego przedmiotu, spytała:

— Czy lubi pan śpiew?

— Jak kiedy i jak jaki.

— Mój, teraz.

— Niebardzo. Sprawi mi roztargnienie.

— Ah, Savonarolo, miewasz tedy czasem roztargnienia. No, to dlatego właśnie będę śpiewała.

Śpiewała. Ballada to była cygańska o wielkiem, gorącem kochaniu, rozmarzająca i namiętna. Głos dziewczyny to szalał, to cichł, chwilami się łamał i drżał, jak zbyt naprężona struna. Student słuchał.

Wspomnienie przyjaciela, dziecka, matki, ciężkie życie, praca, poczucie wyższe, usuwało się wszystko w głąb przed tą nową potęgą; cypryjska bogini wabiła go wiecznie nową, a tak pospolitą bajką młodości.

Zapalił papierosa drżącą ręką i chodził po izbie podrażniony, a jednak smutny.

Wtem śpiew urwał się wśród taktu. Studentka wstała gwałtownie i uciekła do siebie, zatrzasnąwszy drzwi z hałasem. Hieronim po chwili zapukał

— Nie można! — odparła kapryśnie.

— Pani zostawiła książkę.

— Niech sobie leży!

— Dziękuję za piosnkę.

— Obejdę się bez podziękowania. Śpiewałam dla siebie.

Pierwsza to była noc bezsenna dla chłopca.

Zmęczony, słaby, z gorączką wewnętrzną poszedł na kursa. Nie mógł ani uważać, ani się bronić przed żartami kolegów, on, taki dowcipny i sprytny; lekcje prywatne odbył nawpół przytomny. Chciał wracać do domu i bał się, że nie wytrzyma i pójdzie do niej, jak inni. Dla otuchy zaprosił z sobą kolegę już żonatego. Idąc, rozmawiali o parowych motorach.

Nagle na pół drogi jednokonka podbiegła pod sam chodnik i dźwięczny głos zawołał Hieronima.

Stanęli. Siedziała w sankach, zarumieniona od chłodu, uśmiechnięta napół szyderczo.

— Hej, Piotr! — zainterpelowała starszego A ustąp-no mi swego towarzysza na dzisiejszy wieczór!

— A czy wiesz, że ci zechce towarzyszyć?

— Nie twój kłopot. Wracaj do żony! Nam wolnym daj żyć! Twoje minęło.

— Ej, Afra! Doigrasz się ty biedy! Trafisz na swego.

— Już może trafiłam! Daj mi go tu!

Hieronim cofnął się o krok.

— Siadaj pan! — zawołała niecierpliwie. — Pojedziemy na spacer!

— Daleko? — spytał. — Bo mam dużo zajęcia na wieczór.

— Chodź pan bliżej, to powiem tę tajemnicę, żeby tamten nie słyszał!

Zbliżył się. Pochyliła się do niego.

— Jedź! — szepnęła, dotykając ustami jego skroni.

Wskoczył do sanek bez wahania.

Kolega się zaśmiał.

— Romulus nie miałby teraz kłopotu z Sabinkami! — krzyknął za nimi.

Tamci milczeli. Dokąd jechali, nie troszczył się Hieronim. Już nie walczył z wrażeniem, dawał się pociągnąć, coś mu szeptało, że miał, jak inni, prawo do miłości, mógł kochać, jak reszta ludzi.

Szybka jazda i mróz otrzeźwiły go trochę. Gdy stanęli, rozejrzał się wokoło. Byli przed jedną z owych zimowych, pysznych restauracyj, w które obfituje Petersburg.

— „Pod zwrotnikiem" — rzekł, uśmiechając się. — Pani lubi palmy?

— Lubię upał — odparła.

Sięgnął do kieszeni, chcąc zapłacić woźnicę, ale wstrzymała go ruchem i wściekłem spojrzeniem.

— Nie należę do pana, żebyś za mnie płacił. Ja dziś ugaszczam! Sanki będą czekały na nas! Chodźmy!

Weszli pod rękę. Setki osób roiły się po salonach. Tu obiadowano, tu tańczono, tam grano w karty. Cygańska trupa śpiewała chórem, gdzieś dalej grała orkiestra; wśród tego ścisk, gorąco, wrzawa kilku języków, brzęk oficerskich ostróg, śmiechy kobiet, szczęk szkła, strzelanie korków od szampana.

Nasza para szła dalej, niepostrzeżona w tłumie.

— Widzi pan Olszyca przy zielonym stole? — rzekła zcicha, pokazując mu czterech karciarzy w kącie.

— Widzę — odparł lakonicznie.

— Nie spotyka go pan nigdy?

— Nie pamiętam. Czy tu zostaniemy?

Pójdziemy dalej. Chce mi się dziś ciszy i spokoju.

Zeszli wdół. Mniej było światła i wrzawy, znajdowali się w zimowym ogrodzie.

Hieronim znał to miejsce. Grupy palm i paproci tropikalnych, fontanna w gęstwinie wodnych roślin, rozrzucone tu i tam siedzenia i stoły.

Wilgotna atmosfera cieplarni łączyła się z odgłosem muzyki, lampy drżały jak gwiazdy wśród zieleni, gwar dochodził stłumionem echem. Wodotrysk szemrał monotonnie. Kilka osób snuło się jak duchy po zakątkach, lub gwarzyło w cieniu fantastycznym.

I oni usiedli na jednej z oddalonych ławek; na skinienie studentki lokaj postawił przed nimi gorący poncz i papierosy, i odszedł dyskretnie. Dziewczyna zdjęła okrycie i futrzaną czapkę, podała mu kieliszek.

— Dobrze tu! Wypij pan za moje zdrowie!

Spełnił rozkaz bez wahania. Poncz wypędził mu krew na twarz, a ogień do oczu.

Studentka umoczyła tylko usta w kieliszku.

Lubi pan pić?

— Niebardzo.

— A bawić się?

— Zapomniałem o tem.

— Cóż więc pan robi z życiem?

— Pracuję.

— Tylko? Niema pan rodziny?

— Nikogo.

— Cóż więc pan lubi wreszcie? Nic?

— No, nie! Tylko to, co lubię, za daleko, za wysoko, a dogadzać sobie nie mam możności. Jestem biedny i sierota. Co mnie cieszyło, straciłem. Boję się teraz do czego przywiązywać, by nie cierpieć.

— Nawet kochać pan nie chce?

— Kochać nie można wedle woli. Przychodzi miłość i bierze nas sobie, choćbyśmy walczyli całą mocą.

— Czy pan to mówi z teorji, czy z praktyki? — zagadnęła głucho.

— Z praktyki — rzekł, siląc się na uśmiech.

— Pocóż walczyć? — szepnęła.

— Żeby nie tracić i nie cierpieć — odparł.

— To pan nie wie, co jest miłość, gdy możesz rozumować.

Odrzuciła głowę na poręcz siedzenia i patrzała zadumana w cienie palm. Twarz jej się mieniła tysiącem wrażeń. Nieprzeparta siła zmuszała go patrzeć na nią, upajać się czarem, odurzać ostatecznie. Nagle wzrok ich się spotkał, stopniał razem, zamigotał skrami.

Powoli pieszczotliwym ruchem przechyliła się ku niemu, aż ciemna główka dotknęła ramienia, oczy zaszły mętnym cieniem.

— Czy pan mnie kocha? — szepnęła z ustami koło jego ust.

— Szalenie! — wyjąkał w pocałunku, biorąc ją w objęcia i cisnąc namiętnie do piersi.

* *
*

Bazyli, stróż, daremnie pukał do izdebki, daremnie wyglądał lokatora, daremnie wypytywał, czy go kto nie widział. Wieczór minął, dochodziła północ. Nie

spieszyło się studentowi ani do obiadu, ani do nauki, ani do snu.

Bazyli siadł w bramie i czekał cierpliwie, tupiąc nogami od mrozu i uderzając rękoma. Miał widocznie do Hieronima ważny interes. Na dźwięk dzwonka skoczył żywo otwierać; chciał gderać, ale przed winowajcą szła dziewczyna i powitała jednookiego wesołym uśmiechem.

— Kogo to wyglądacie do tej pory?

— Tych, co o tej porze wracają — odburknął. Dobry wieczór panu!

— Jak się masz, Bazyli!

— Proszę na chwilę wstąpić do mnie. Mam interes.

— Czy bardzo pilny? Może jutro go załatwię. Chce mi się spać, stary.

— Uhm, spać! — mruczał stróż, zamykając furtę. — Czeka na pana obiad!

Studentka pobiegła na górę. Chłopiec patrzył z utęsknieniem na schody, ale Bazyli zastąpił mu drogę.

— Nie głodnym!

— Czeka też na pana list z czarną pieczątką.

— A to niech sobie czeka! Jeśli kto umarł, to go nie wskrzeszę ani dziś, ani jutro. Puść mnie!

— Nie puszczę. Pan zje obiad, przeczyta list, będzie czas na sen. Nie trzeba było tak późno wracać.

— A bodajeś przepadł z twoim listem i obiadem! wybuchnął student zniecierpliwiony.

— Niech tylko panicz przeczyta i zje!

Burcząc, wszedł chłopiec do komórki. Chciał się prędko pozbyć interesu, ale człek marudził, tupał, zastawiał ucztę, gawędził. Hieronim gryzł ze złości wąsiki.

Po obiedzie, którego ledwie dotknął, Bazyli dobył list. Miał na sobie istotnie czarną pieczątkę i adres pisany dobrze znaną ręką dziada Polikarpa.

Student skoczył, jakby węża nadeptał.

Koperta poleciała w szmaty. List był jak zwykle krótki, lecz dosadny.

„Kiedyś, będąc u mnie, zdało mi się, że szanujesz pamięć matki. Odzywałeś się o niej z szacunkiem, a zaczepiony, broniłeś zażarcie. Przypominam ci to, bo jestem pewny, że, zajęty będąc romansem z awanturnicą, zapomniałeś o niej i może ci już nic nie zależy na przeniesieniu jej zwłok do grobu rodzinnego, o coś mnie prosił wtedy. Jeżeli rozpusta nie zatarła (o czem wątpię) w tobie tego ostatniego wspomnienia, to odpisz mi, czy chcesz, by, wedle ostatniej swej woli, spoczęła obok mego syna w Tepeńcu. Sądzę jednak, że już teraz nic nie szanujesz, nic nie pamiętasz, o nic nie dbasz, tylko o dogodzenie swym zachciankom. Zatem odpowiedzi się nie spodziewam“.

Hieronim, klnąc, schował list do kieszeni i wyszedł. Zawrócił na górę, ale już nie biegł. Krok mu wolniał. Na pierwszym skręcie stanął, oparł się o uszak okna, wychodzącego na podwórze, i wpatrzył się posępnie w czerwony odblask zorzy północnej.

Co mu się stało? Szalał przed chwilą do niepamięci; wszystkie, ile jest strun młodości, grały mu hymn kochania, serce mu skakało weselem; nagle hymn się zmieszał, zamiast rozkosznych tonów, struny zajęczały dysonansem. Słyszał już nie głos dziewczyny, nie słowo namiętne — z dna duszy wybiły się na wierzch, zgłuszyły resztę, dotknęły go jak grom dwa wyrazy: „bądź prawym, bądź prawym!“

Słyszał je, jakby brzmiały jeszcze echem, jakby dopiero wyszły z ust konającej; słyszał je i wzdrygał się jak winowajca na wspomnienie krzyku ofiary...

„Bądź prawym, bądź prawym“!...

I on zapomniał. Matka zostawiła mu legat pośmiertny, nie dotrzymał; dała sierocie jedyny skarb, a on go zgubił — sponiewierał spuściznę.

Zbladł jak ściana, o którą się opierał i bardzo, bardzo nisko zwiesił głowę; ale był młody, podniecony, więc się buntowało coś wewnątrz i szeptało: wszakże ja kocham, czy mi kochać nie wolno? Ale wspomnienie powtarzało uparcie:

— Bądź prawym! Jutro już nie spojrzysz śmiało, będziesz złodziejem! Nie kocha ten, kto poniewiera!

Poniewierka! Chłopiec wzdrygnął się cały.

Tak, poniewierką był taki stosunek, poniewierką uczuć, duszy, własnego sumienia. A potem...

Matczyna dusza zapłacze nad synem i we śnie już nawet do niego nie przyjdzie; sponiewierał jej pamięć, zapomniał ostatniej prośby.

Chłopiec zatoczył się jak pijany; jęk mu się z piersi wydzierał, a potem rękoma wziął się za bijące skronie i załkał.

A głos w duszy już nie groził, nie wyrzucał, ale prosił coraz łagodniej i słodziej:

— Bądź prawym, dziecko, bądź prawym!

Cofnął się napowrót do sieni, zapukał do stróża.

— Otwórzcie mi, Bazyli. Muszę iść.

— Chryste! Co panu? Słabo, czy co? Dalibóg, nie puszczę! W taki mróz, nocą, śmierć pewna!

— Nie pójdę do siebie! — mruknął stłumionym głosem.

— To niech pan u mnie zostanie! Z troską, czy z weselem, zawszem panu rad. Ot, posłanie gotowe. Połóż się pan, wypocznij! Smutek minie, panie. Będzie jeszcze dobrze, boś sprawiedliwy.

Hieronim nie słyszał pociechy; siadł na zydlu i przebył tak do rana bez wytchnienia.

Była to najcięższa noc, jaką spędził.

Nazajutrz, zamiast iść do instytutu, poszedł na górę, zapukał do drzwi studentki.

— Chodź, niezamknięte! — odparła.

Wszedł, drżąc nerwowo.

Cofnęła się na jego widok, jak stróż w nocy.

— Człowieku, do czegoś podobny! Z grobu cię odkopano! Gdzieś był noc całą?

Uśmiechnął się z wysileniem; przystąpił bliżej wziął jej rękę i pocałował. Cofnęła ją szybko.

— Czyś zwarjował? — rzekła, uśmiechając się. — Mojej ręki nikt jeszcze nie całował.

— Bo może jeszcze nikt nie prosił o nią, co ja czynię w tej chwili.

— Co takiego?

— Chcę się ożenić z panią, jeśli zezwolisz. Kocham cię!

Dziewczyna zmierzyla go osłupiałym wzrokiem od stóp do głowy.

— Kochasz? Żenić się? Co to wszystko znaczy? Tyś się upił chyba?

— Nie, pani, jestem trzeźwy i przytomny. Oddaję w pani ręce swe serce i honor. Chcę cię kochać, pracować dla ciebie, iść razem przez życie, śmiało wobec ludzi i Boga. Chcę cię posiadać, nie jak złodziej, chcę szanować ciebie i siebie.

Mówił to niegładko, jąkając się, ale miał prawdę w oczach, a na bladej twarzy powagę przebytej walki i zwycięstwa. Patrzała nań, nic rozumiejąc jeszcze. Takiej mowy nie znała. Nagle parsknęła śmiechem:

— Ha, ha, ha! Pyszny jesteś! Żenić się ze mną! Jakto? Myślisz, że ja dla ciebie poświęcę swą swobodę, niezależność, zabawę, młodość? Że będę ci hodowała dzieci i gotowała jeść, a za całą uciechę słuchała wrzasku niemowląt? Oszalałeś, człowieku! Czyś nie słyszał mojej zasady: lepszy najgorszy kochanek od najlepszego męża! Ha, ha, ha!

— Kochankiem pani być nie chcę, bobym przez to okazał, że siebie przenoszę nad ciebie. Nie zejdę do poziomu Olszyca!

— A ja ciebie za męża nie chcę! Wyperswaduj sobie to *absurdum!* To przechodzi moje siły!

Spojrzał ponuro na nią. Złe słowo miał na myśli, ale się pohamował, ukłonił i wyszedł.

Nie oceniła szacunku, zasad moralnych, nie posiadała żadnych, i on ją pokochał pierwszą miłością! Poszedł zgnębiony na kursa.

Przez jakiś czas stosunki zerwały się zupełnie. Spotkawszy, nie odpowiadała na jego ukłon, traktowała jak obcego.

Pewnego razu posłyszał za ścianą głos Olszyca i jej wesoły śmiech. Krew mu zalała twarz.

— Nikczemna! — zamruczał z bezmierną pogardą.

Tak, Olszyc wrócił, a z nim wróciły hałaśliwe wieczory, z całym kompletem pijatyki, grubych żartów, dzikich śpiewów, kłótni i łajania.

Było to jednak najlepszem, bolącem lekarstwem na serdeczną ranę studenta. Otrzeźwiał.

Dawniej kobiet nie znał, teraz, żeby nie wspomnienie matki, toby niemi pogardzał.

Zaniedbana ostatniemi czasy praca, dokonała reszty, czas zatarł pierwsze wrażenie, nadchodziły egzamina. Natłok zajęcia wyrwał go z błędnego koła tęsknoty, żalu i zobojętnienia. Nie siadywał wieczorami samotnie w domu, nie wzdychał; szedł do kolegów na ogólne mieszkania, odzyskiwał dawną werwę i żywość.

Znów, jak przed laty, kupiła się młodzież wokoło niego, pracowano tęgo, bawiono się ochoczo, tworzono plany na przyszłość.

Raz na podobnem zebraniu spotkał się Hieronim z Olszycem i musiał być zupełnie wyleczony z miłości, bo na ukłon rywala odpowiedział ukłonem. Szczęśliwy rywal zaczepił go pierwszy:

— Pana mieszkanie stoi pustkami — rzekł.

— To pewne, żeście nawet szczury z niego wypłoszyli! — odparł swobodnie. — Jeśli jaki został, to niezawodnie dogorywa na nerwową gorączkę!

— Dawniej panu hałas nie szkodził?

— Nie miałem egzaminów na karku. Przysięgnę, że z was żaden nie przebrnie tego Rubikonu!

— Mniejsza! Za to jesteśmy kochani! — uśmiechnął się triumfalnie medyk.

— Nie wiem, co ma wspólnego miłość z pijatyką! Państwo urządzacie wieczornice z Łysej Góry!

— Ach panie! — rzekł Olszyc z cynicznym grymasem. — Dlatego to pan dostał tam czarnej polewki! Kobiety nie znoszą delikatności, lubią być poniewierane. Im je lżej traktujesz, tem silniej się przywiązują.

— Winszuję upodobania! — odparł Hieronim, ruszając ramionami. — Rad jestem ze swej czarnej polewki, kiedy tak.

— Jeżeli panu nie dogadza mieszkanie, tobym je wziął dla siebie.

— I owszem. Oto klucz! Garść mych rupieci proszę odesłać tu. Życzę panu powodzenia!

Medyk podał rękę, ale Hieronim nie zauważył tego ruchu i odszedł.

— Oto się dopiero będą na wyścigi poniewierać w tak bliskiem sąsiedztwie! — pomyślał z goryczą.

Miłość jego przeszła wszystkie fazy, końcową był wstyd.

Mijały tygodnie. Nadeszły ostatnie egzamina. W studenckim świecie zrobiło się cicho. Wszystkie twarze miały wyraz zmęczenia, niepokoju i oczekiwania. Próżniacy drżeli przed rezultatem.

Przyszedł wreszcie ów dzień sądu.

Hieronim, idąc z innymi po swe losy, dowcipkował:

— Staniemy po prawicy i lewicy! Będzie płacz i zgrzytanie zębów! Oj, oj, czuję w powietrzu woń siarki piekielnej! Ach, bracia, nie opuszczajcie mnie w złej chwili! Złóżmy razem wizytę w kraje potępienia!

— Nie bredź, prawica ci się należy!

Tak, mieli słuszność. Hieronim Białopiotrowicz dostał dyplom z odznaczeniem.

I oto stała przed nim droga otwarta. Dobił się celu.

Dziwna rzecz. Ten koniec, o którym tyle lat marzył, nie olśnił go, nie zachwycił.

Z dyplomem w ręku słuchał pochwał i powinszowań roztargniony.

Coby dal, żeby w ów dzień radosny mieć Żabbę przy boku, z nim razem się cieszyć. Myśl jego poszła do Krymu, do tego końca, co mu wziął druha na wieki.

Jak wąż wyśliznął się pierwszy z sali, uciekł z pośród kolegów i przepadł bez wieści.

Wołano go i szukano naprożno przez dzień cały. Miał być bankiet triumfalny, bohater się nie stawił. Zasiedli bez niego do stołu.

W pół uczty wpadł do sali. Powitano go radośnie.

— Coś robił? — krzyczano.

— Nic ciekawego! — odparł. — Jestem na czas, by spełnić toast z wami! Dajcie szampana!

Nalano szumnie kieliszki. Chłopiec podniósł swój w górę.

— Na zakończenie i początek! Co złe, niech ginie; co dobre, niech żyje!

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

— Bez strachu przed trudem idziemy w życie! Próżniak niech ginie, praca niech żyje!

— Niech żyje!

— Niech żyje! — powtórzył Hieronim. — Była nam drużbą i swatem, wyprowadziła na ludzi! Cześć jej! Nie zmarnieje, kto ją kocha, a nie rzuci!

— Nie rzucimy! — krzyknęli wszyscy razem.

Spełniono toast duszkiem.

Oczy Hieronima paliły się zapałem.

— Piosenki, bracia! Kto tam za słowika się ofiaruje? Ja umiem tylko hukać jak bąk błotny, będę wam służył za basetlę!

Po chwili jeden głos począł śpiewać:

Hej użyjmy żywota,
Wszak żyjem tylko raz!

Kilkadziesiąt głosów zawtórowało ochoczo:

Niechaj ta czara złota,
Nie próżno wabi nas!

A czara złota młodości stała pełna. Na dnie jej były dla jednych męty, dla drugich słodycz nektaru. Smak zależał od ust, które piły.

Nazajutrz wczesnym rankiem Hieronim poszedł do kościoła. W przeddzień zamówił mszę żałobną za przyjaciela i wysłuchał jej, klęcząc w oddalonym końcu. Modlitwą tą żegnał Petersburg, naukę, życie studenckie — zaczynał nowy okres życia.

VI.

WOJCIESZEK.

Na pogodnem, wiosennem niebie, odcinał się ostro szkielet nawpół skończonego żelaznego mostu. Z obu stron równo, jednostajnie, bielał świeżutki nasyp kolei. Woddali buchały światłem baraki robotników, wrzące zgiełkiem, a na stronie, u brzegu rzeki, drzemała wieś długą, czarną linją.

Robota dzienna była skończona. Na moście stało dwóch mężczyzn, snadź przewodniczących robotom, a na szynach kilku ludzi otaczało ręczny wagonik, gotowy widocznie do drogi.

— Żegnam pana i dziękuję! — mówił starszy do towarzysza, podając mu rękę. — Przyjeżdżam tylko, by chwalić i podziwiać, niema tu dla mnie roboty. Za miesiąc przybędę na otwarcie drogi. Czy wyśpieszycie?

— Chyba wymarudzimy, bo prawie wszystko gotowe — odparł z uśmiechem młodszy. — Co do mnie, wolałbym ten epilog odegrać z panem. Nadchodzą szalone wypłaty.

— Masz pan wszakże Eljasmana i jego kasę. Bierz, ile trzeba i dawaj weksle! Gdy mi rząd zapłaci, wykupię wszystkie. Pokładam w panu bezwarunkową ufność.

— To chyba ja w panu! — zaśmiał się młody. — Wszakże to moje, a nie pańskie nazwisko będzie figurowało na stęplowym papierze!

— Wszystko jedno. Wszak mnie znasz, panie Hieronimie. Co powiem, dotrzymam! Eljasman był dziś u mnie. Słyszał to samo. Pieniędzy nie zabraknie. Tymczasem bywaj pan zdrów, pilnuj tych zbójów — dodał, wskazując zdala na robotników — i zostań mi, jak dotąd, przyjacielem!

Młody człowiek skłonił się, milcząc, i poszedł za zwierzchnikiem w stronę nasypu. Ludzie zajęli swe miejsca, inżynier siadł i minjaturowy wagonik potoczył się po szynach, burcząc jak bąk w ciszy wieczora.

Pozostały zawrócił z powrotem po uginających się kładkach rusztowań. Na środku mostu stanął, zapalił papierosa i, oparty o galerję, patrzył zamyślony na bystry wir rzeki pod stopami.

Hałas oddalającej się drezyny niemile mu dźwięczał w uszach. Na nim zostawała ogromna odpowiedzialność, olbrzymia praca, ciągła czujność i kontrola, nieograniczona władza i rząd paru tysiącami ludzi. Straszno mu się zrobiło, jakby przeczuwał nieszczęście.

Naczelnik wesół i spokojny wracał do rodziny, był pewien dobrego rezultatu, bez trudu weźmie rządową zapłatę, zarobi dobrą sumę. Miał na swe rozkazy unikat człowieka, który myślał, rysował, liczył, wykonywał za dwieście rubli miesięcznie i uważał to jeszcze jako świetny los dla siebie, a zamiast zawiści i niechęci, miał dla pryncypała wdzięczność i przywiązanie. Gdzie się podziały marzenia studenckie o świetnej karjerze, które go krzepiły do wytrwania w pracy?

Pięć lat minęło od chwili, gdy, triumfujący ze zwycięstwa, pił toast na zakończenie biedy i trudu,

szedł po należne laury dla swej wytrwałej pracy. W tych pięciu latach nie spełniło się żadne marzenie, zaznał wiele dni głodnych, wiele nocy bezsennych, o chłodzie i zawiedzionych nadziei.

Przez ten czas był palaczem przy kolei, przepisywaczem akt, zwrotniczym, korepetytorem, a portem, do którego się dobił, uważając za świetną posadę, były warsztaty kolejowe, gdzie dostał pięćdziesiąt rubli wynagrodzenia i obowiązek podmajstrzego. Nie dziw więc, że obecny zwierzchnik wydawał mu się dobroczyńcą.

Teraz pod koniec strach go zdjął; niechętnych miał wielu, którym kraść i próżnować nie dawał; dostawcy, nie mogąc go skusić łapówką, knuli intrygi; koledzy bali się go i nie zaczepiali bez interesu.

Położenie było trudne, uciążliwe, niesłychanie przykre dla prawej, otwartej natury. Stał zupełnie osamotniony, broniąc interesów pieniężnych i prawie honoru obcego człowieka.

Wiedział, że nie sobie buduje sławę, nie sobie zbiera kapitały, nie dla niego będą pochwały zarządu; sobie on tylko zrobił wrogów, on, Hieronim Białopiotrowicz.

Wtem w barakach ucichł chwilowo hałas i do uszu stojącego doleciały piskliwe tony ręcznej harmonji. Ludzie ci kamienni, zamiast spocząć, tańczyli; kilkadziesiąt czarnych cieniów uwijało się około ognia.

Inżynier się uśmiechnął. Ludzie ci byli mu jedynym przyjaznym żywiołem w otoczeniu. Tam nie knuto przeciw niemu intryg, lubiono go i szanowano powszechnie.

Złe myśli pierzchnęły spłoszone. Przypomniał sobie Eljasmana, wypłaty, rachunki, rzucił niedopa-

lonego papierosa w rzekę i ruszył, gwiżdżąc, ku mieszkaniu.

Cóż znów! Miał sumienie czyste, nikogo nie skrzywdził, wypełniał ściśle obowiązki, wierzył w siebie, a był młody, więc troska nie mogła go powalić i dziwną reakcją myśl, zamiast smutnych obrazów ludzkiej niechęci, przyniosła mu na pociechę piosenkę jakąś, którą zaczął nucić półgłosem.

Zeszedł z rusztowań, zsunął się z wysokiego nasypu na brzeg rzeki i ruszył raźno udeptaną ścieżką obok baraków, pozdrawiając rozbawionych.

Chór ochrypłych głosów odpowiedział wesoło. Rzucił im parę rubli na wódkę i, pożegnany grzmiącym okrzykiem, poszedł dalej.

Mieszkał w budzie, skleconej z desek, o paręset kroków dalej, otoczony warsztatami i magazynami.

Na progu tego, wcale nie eleganckiego pomieszczenia, wyciągnięty na burce, okurzając się dymem fajki, czuwał stróż inżynierski, w budzie świecił ogień przez małe okienka.

— Bazyli! — huknął Hieronim zdaleka.

Człek się porwał skwapliwie i biegł na wezwanie, wołając:

— Jestem!

Był to jednooki jego opiekun petersburski, we własnej osobie.

— Jak się masz, stary! A jest tam co zjeść przypadkiem? Karmiono mnie dziś pochwałami i tysiącem poleceń! Tyle to warto, co ciastka z kremem!

— Jest pieczeń i butelka wina, ale pan chyba tylko popatrzy, bo zjeść pewnie nie dadzą.

— Cóż tam nowego? Eljasman jest?

— Eljasmana, to niema, ale jest ktoś inny.

— Dostawca?

— Nie wiem. Cudzy. Przyjechał pocztą. Zjadł, wyspał się, siedzi i czeka na pana.

— A no, to mu zazdroszczę! Jadł i spał niecnota. Pewnie obywatel z propozycją jakiego kupna.

Mrucząc, pan Hieronim otworzył drzwi budy, potknął się na progu, uderzył głową o uszak i zaczął kląć.

Bazyli pocieszał po swojemu, gderliwie:

— A poco pan taki duży wyrósł? Wszyscy chodzą bez szwanku, a u pana codzień nowy guz.

— To pewne, że mam kalendarz na głowie — rzekł poszkodowany, otwierając drzwi do biura.

Lampa z zielonym kloszem rzucała nisko na stół krąg jasności, oświetlając stosy ksiąg i papierów, reszta pokoju była ciemna.

Hieronim rzucił czapkę i rękawiczki i, zapominając o zapowiedzianym gościu, chciał iść dalej, do swego osobistego mieszkania, gdy wtem z kąta podniósł się strasznie chudy cień człowieka i chrypliwy głos ozwał się posępnie:

— Nie poznajesz mnie?

Inżynier cofnął się pomimowoli, jak przed widmem.

Nie, nie poznał dawnego, świetnego eleganta, a swego bratanka, w człowieku wynędzniałym, obrosłym prawie łysym, którego oczy szkliste wyglądały bezprzytomnie, a ręka, podana do uścisku, była sucha i gorąca.

— Wojciechu! — wyjąknął przerażony. — Co się z tobą stało?

Widmo zaśmiało się krótko, przerażająco.

— Djabli wszystko wzięli, wszystko! — rzekł, krzywiąc się cynicznie. — Niema żony, niema pieniędzy, niema stanowiska! Fiut, poszło!

Hieronimowi pociemniało w oczach. Bazyli miał słuszność: nie dla niego był dziś odpoczynek, jadło i sen. Nowa troska wyrastała, jak z pod ziemi.

— Gdzież żona? — zagadnął ogłuszony.

— Uciekła do Paryża! Wszystkie one takie! Trzoda! Mniejsza! Ale z nią uciekły ruble. Teść złajał i wypędził. Dzieci niema. Ot, i zostałem na bruku!

— Nieszczęście! Cóżeś robił potem?

— Piłem i grałem; dopóki dawali żydzi! Chciałem wygrać, jechać za nią, żywą, czy nieżywą przywieść napowrót?

— Pocóż ci ona, to błoto, ta awanturnica?

— Żeby wrócić do teścia, do mego pałacu!

— Tfu! — splunął Hieronim ze wstrętem.

— Przegrałem! — ciągnął dalej Wojciech ponuro — Opublikowano mnie po gazetach!

W pierwszej chwili, na widok brata, żal okropny chwycił za serce Hieronima. Widział w nim ruinę życia, nieszczęśliwego rozbitka. Chciał go wziąć w ramiona, pocieszyć, natchnąć nadzieją, pomóc, ile mógł, podzielić się z nim kawałkiem chleba.

Teraz oburzyło się w nim wszystko. Nie rozbitek to był nieszczęśliwy, ale nędznik bez czci i sumienia. Ręce, wyciągnięte do uścisku, opadły mu, odstąpił o krok, purpura oburzenia okryła twarz, zmarszczył brwi, zagryzł wargi i słuchał z niewypowiedzianą przykrością tej cynicznej spowiedzi.

Co żyło, odstąpiło mnie! Psy! Karmiłem ich i poiłem, przegrywałem do nich setki tysięcy! Potem

nikt nie pożyczył rubla, nie zaprosił na obiad! Łotry! Udawali, że mnie nie znają, nie przyjmowali do klubów! Musiałem wyjechać z Petersburga!

Wojciech się zatrzymał, zgrzytnął zębami.

— Pojechałem do dziada!

Wymówił to z wściekłością w głosie i spojrzeniu. Hieronim zzieleniał, skoczył jak ryś ranny.

— Jakiem czołem śmiałeś mu stanąć przed oczy? Czyś oszalał? Chciałeś policzka?

— Chciałem pieniędzy! Muszę je mieć, rozumiesz? Inaczej chyba śmierć!

— Lepsza śmierć od wstydu! Dziad cię opływał pewnie pogardą, sponiewierał i wyrzucił z dziedzińca! I tyś to zniósł!

— A cóż miałem robić? Chciałem mu folwark podpalić, ale się zląkłem. Tak się zostało!

Hieronim przeszedł się po pokoju, tłumiąc straszny wybuch. Milcząc, podał krzesło bratu i sam usiadł.

W tej chwili szelest się zrobił za drzwiami, dialog stróża z kimś obcym i Bazyli otworzył podwoje, zajrzał i rzekł lakonicznie:

— Ryży jest.

— Niech wejdzie! — mruknął Hieronim.

Wysoki, chudy żyd, z biegającemi oczyma, wsunął się cicho i ukłonił w progu.

— Są pieniądze? — spytał krótko inżynier.

— Są.

— To dawaj!

Żyd się obejrzał po izbie, przyjrzał się świadkowi, dobył potężny zwit banknotów, zaczął liczyć monotonnie i podawać odbiorcy.

W świetle lampy migały tęczowe papierki; Hieronim odkładał je obojętnie, Wojciech wpatrywał się uważnie, oddychając ciężko.

— Dwadzieścia pięć tysięcy. Gdzie reszta? — rzekł Hieronim, biorąc stemplowy papier i pisząc od niechcenia weksel.

Oczy Wojciecha ścigały pióro brata, czytały każdą głoskę. Kwit był terminowy, miesięczny, pod spodem podpis: H. Białopiotrowicz.

— Resztę mogę wysłać pojutrze. Pan raczy przysłać kogo z kwitem, bo ja sam przybyć nie mogę.

— To dobrze. Obejdę się, sądzę, do tygodnia. Oto weksel! Pan naczelnik uprzedził podobno, że możecie dawać na mój podpis.

— Ja i bez niego dałby miljony! Dziękuję panu!

Żyd wziął kartkę, skłonił się i wycofał za drzwi.

Hieronim rzucił paczkę do ogniotrwałej kasy, coś zapisał i siadł napowrót.

— Tyś bogaty pan! — rzekł Wojciech.

— Biorę dwieście rubli miesięcznie.

— A te tysiące?

— Cudze. Na wypłaty.

— Tak, tak! Fortuna kołem się toczy! Dawniej ja tego śmiecia miałem furami! Asygnatami mogłem wyklejać pokoje! Storublówkami zapalałem cygara! Konie nosiły turkusy na uzdeczkach, służba chodziła w sobolach. Ktoby mi powiedział, że ja do ciebie przyjdę żebrać pomocy?

— Bardzo dobrze, jeśli potrafię ci jej udzielić. Czego ci trzeba? — spytał zimno Hieronim.

— Pieniędzy! Pożyczki tylko: zwrócę z podziękowaniem, jak wypłynę! Bo mam nadzieję, że to

fatum mnie opuści! Trzeba tylko do Paryża się dostać, tę babę odzyskać koniecznie.

Hieronim wyjął pugilares, wytrząsnął do dna.

— Bierz i jedź! Oddawać nie potrzebujesz!

Wojciech poruszył głową.

— Mało! — rzekł. — Muszę w Paryżu stanąć na właściwej stopie! Cóż to znaczy?

— Ileż chcesz?

— Tyle, ileś tam włożył. — Wskazał kasę.

Hieronim wzruszył ramionami.

— To przechodzi moją możność — odparł. — Nie rozumiesz, co mówisz, sądzę. Mam rocznie 2.400 rubli, jeżeli znajdę po skończeniu tutejszego mostu posadę, jeżeli nie, będę bez chleba za miesiąc. Com zebrał, oddaję.

— Wszakże to tylko pożyczka! Daję ci słowo honoru, że oddam, złotem cię osypię, wróciwszy z zagranicy! Dam ci wszelkie zapewnienia!

— Nie pożyczam nigdy.

— Przed chwilą dawałeś weksel.

— Bo mam na to upoważnienie zwierzchnika. Są to pieniądze na interes, a nie dla mnie, w nich jest tylko moja miesięczna pensja.

— Żebyś chciał, mógłbyś pożyczyć dla mnie. Żyd da na twój podpis, a ja zwrócę, na Boga się klnę, za miesiąc odwiozę!

Hieronim nie panował nad sobą. Skoczył do bratanka.

— Czemuż nie powiesz odrazu: złodzieju, kiedy mi kraść radzisz? — krzyknął. — Za kogo mnie masz? Jam z tobą nie hulał, nie pił, nie grał, nie rzucał w błoto cudzych pieniędzy, honoru, sumienia, zdrowia i duszy! Jam ci nie był kolegą i znać cię nie chciałem, boś mi

wstydem był! Mało ci własnej hańby, chcesz mojej? A no, to idź mi z oczu, bo ja siebie nie mam na zbyciu, ani cię ratować nie myślę pod takim warunkiem! Szukaj sobie łotrów w swoim świecie! Idź precz! Słyszysz? I pamiętaj, że gdy na głowie uczciwego człowieka jest wstyd, a on żyje, to chyba muru niema, żeby głowę roztrzaskać! Idź!

Wojciech zwiesił głowę, wyszedł, potykając się, przestraszony głosem i spojrzeniem młodszego. Pierwej jednak zgarnął skwapliwie pieniądze ze stołu.

Na podniesiony ton pana, Bazyli ukazał się z pomocą. Gość zniknął za drzwiami.

— Wyrzucić jego rzeczy, jeśli są! — krzyknął na sługę inżynier. — Już on nie wróci tu więcej!

Jednooki spełnił gorliwie polecenie, ale Wojciech nie czekał na manatki. Z odkrytą głową, bez płaszcza, przepadł w cieniach nocy.

— Niema — mruczał Bazyli posępnie. — Bodaj go czart zdusił! Nie wróci, pan powiada! Oho, to on go nie zna! Tacy wracają! Tfu!

Hieronim długo w noc chodził po biurze. Sen go odbiegł. Ohydna twarz Wojciecha wyglądała z każdego kąta, to chychocząc piekielnie, to grożąc. Był to nowy wróg do tylu innych.

Rano nie znaleziono tłómoczka przed progiem. Czy go kto ukradł, czy zabrał właściciel? Nad tem rozmyślał Bazyli po odejściu pana, siedząc na ławeczce koło budy i paląc nierozłączną fajkę. Pytanie to nie dawało mu spokoju.

Hieronim powróciwszy, znalazł wprawdzie obiad, ale Bazylego nie było wbrew obyczajom, na wieczerzę nie wrócił także, aż się inżynier zaniepokoił.

O północy przyszedł zmęczony, chmurny i trochę jakby pijany. To się zdarzyło po raz pierwszy.

— Gdzieżeś to był? — zagadnął młody człowiek, odrywając na chwilę oczy od jakichś planów.

— W barakach — odparł lakonicznie.

— To widać — zamruczał Hieronim. — Zaglądałeś w kieliszek, stary!

— I panu warto tak zrobić, zamiast pisać po całych nocach! Czy się pan dziś nie położy?

— Nie, mam dużo do roboty. Możesz spać, stary.

Bazyli zamruczał coś niewyraźnie, nie usłuchał pozwolenia po staremu, zapalił fajkę, siadł w kącie i, korzystając ze swych zasług, napełniał pokój dymem.

Coś sumował, nie spuszczając oka z pracującego; wyglądał teraz już zupełnie trzeźwy, ale posępny.

I tak spędzili noc, nie odzywając się do siebie. O brzasku inżynier wziął za czapkę i do baraków poszedł, budząc po drodze pomocników i dozorców. Bazyli przeprowadził go do progu.

— Pan nie chce śniadania? — spytał.

— Dziękuję, stary, nie mam czasu.

— A na obiad pan wróci?

— I to nie, bo mnie dziś czekają u kolegi.

— To i ja sobie pójdę!

Tak się rozstali. Wysmukła sylwetka młodzieńca znikła w gęstej, białej mgle wodnej, sługa przezornie zamknął budę, otulił się w szary szynel żołnierski i, mrugając na wsze strony swem jedynem okiem, ruszył w przeciwnym kierunku, ku warsztatom.

Ze ślusarzami to, najgorszą hałastrą robotniczą, zaprzyjaźnił się sługa Hieronima; trafił na śniadanie, usiadł u kotła i wdał się w żywą dyskusję z samymi

hersztami tej wiecznie pijanej, dzikiej, a w gruncie dobrodusznej zgrai.

Jedli jednak cicho, pochylając ku sobie olbrzymie, jasne czupryny i błyskając białkami; czasem wznosiła się nad głowy pięść twarda, ciemna, obrosła i groziła komuś. Bazyli mrugał oczkiem, mitygował niby, ale co chwila jakiemś słówkiem dolewał oliwy do ognia. Gotowało się coś strasznego w barakach.

Dzwon, wzywający do roboty, rozproszył zgromadzenie. Bazyli poszedł dalej, przez nasyp ku wsi, gdzie stały baraki Eljasmana.

Rotszyld powiatowy miał tam swe magazyny, był dostawcą żywności dla robotników.

Wkoło składów roiło się pełno podrzędnych figur, furami rozwożono mięso i krupy, z podwału wytaczano kufy wódki.

Wśród tego zamętu Bazyli dobił się do drzwi mieszkania kupca, oparł się niedbale o sztachety, obserwował fizjognomje wchodzących i wychodzących z całą cierpliwością próżniaka z profesji.

Dopiero o południu poruszył się nieco. Przed dom zajechała furmanka chłopska, widocznie obstalowana, bo zaraz żydek służący zaniósł na nią walizkę i coś powiedział woźnicy, który ruszył ku wsi.

Bazyli wyszedł na drogę, zatrzymał chłopa.

— Zawieźcie mnie do Olszowa. Dam rubla — rzekł, pokazując asygnatę.

— Nie można. Pojadę z kupcem do Żarnej.

— A gdzie twój kupiec?

— Poszedł przodem.

Woźnica zaciął konie, ale Bazyli miał rącze nogi, szedł za nim w odległości kilkunastu kroków przez całą wieś.

Za wsią, w lesie, chłop stanął i Bazyli stanął. Z pod krzaka wyszedł pasażer, obejrzał się trwożnie i wskoczył na wóz, ruchem ręki wskazując pośpiech.

I Bazyli się zawrócił z powrotem ku barakom. Znał tłómoczek, znał płaszcz i widział rękę podróżnego. Wiedział, co wiedzieć pragnął.

Tymczasem koło kantoru Eljasmana panował sądny dzień.

Hieronim znalazł czas na obejrzenie prowjantów. Fury z nieświeżem mięsem i stęchłemi krupami wracały od kuchni, eskortowane przez tuzin klnących robotników, wraz z kartką Białopiotrowicza, że dostawca za oszustwo podlega kilkutysięcznej karze.

Nie dbał o skarby Rotszylda hardy chłopak i ani przeczuwał, co za burza zbierała się nad jego głową. On się nigdy nie troszczył o następstwa, gdy spełniał swój obowiązek.

Dokonawszy z doktorem rewizji produktów i wymierzywszy sprawiedliwość, wrócił do mostu, rozmawiając swobodnie z medykiem.

Był to człek niemłody, odludek, opryskliwy, nielubiany ogólnie. Hieronim go lubił, bo był to rzetelny pracownik, z obowiązku swego wywiązywał się doskonale, a nie patrzył nań niechętnie i fałszywie, jak reszta podwładnych.

Doktór zaś obserwował go uważnie, chłodno, świdrując wzrokiem, ilekroć się zeszli, nikomu nie zdając sprawy ze swych spostrzeżeń. I teraz, gdy szli we dwóch wśród rusztowań, doktór, zmrużywszy oczy, patrzył uparcie za inżynierem, snującym się ze zwykłą ruchliwością wśród szkieletu żelaznego olbrzyma.

Ślusarze, wisząc prawie w powietrzu, wyglądali jak pająki, między sztabami metalu, kuli zajadle, z niesłychaną wprawą i śpiewali chórem.

— Doktorze! — zawołał Hieronim. — Czy podlegasz pan zawrotowi głowy?

— Nie; a pan?

— Dotąd nigdy. Dziś mi raz pierwszy coś podobnego się zdarza. Prawda, żem naczczo.

— Uhm, naczczo. Po bezsennej nocy.

— To już trzecia, doktorze. Doprawdy, sam nie wiem, co mi jest. Wcale mi nawet spać się nie chce. Odwykłem.

— Przed ciężką chorobą zawsze się cierpi bezsenność — zamruczał doktór.

— Ejże, nie żyw czarnych nadziei, konsyljarzu. Że mnie pacjenta mieć nie będziesz! — zaśmiał się Hieronim. — Jestem zdrów, jak ot ta sztaba. A bezsenność przymusowa, to żaden symptomat choroby. A tam co się dzieje?

Wykrzynik stosował się do wrzawy, co się nagle podniosła u jednego ze słupów mostowych.

Hieronim przechylił się za parapet. Kilkunastu ludzi tłoczyło się, gestykulując, około otworu do żelaznej bezdennej studni. Wśród nich błyszczał galonik inżynierski.

— Co tam, panie Domański? — huknął Hieronim.

— Coś się stało murarzom w głębi. Nie dają znaku życia.

— To zejdź pan sam i zobacz! Może omdleli z braku powietrza.

— Nie może nikt wytrzymać, lampy gasną. Posłałem po innych murarzy, oni się znają z tem, żaden z nas nie zniesie.

— To mi dopiero facecja! A ci się duszą tymczasem; murarze pewnie pijani! A iluż ich tam jest na dnie?

— Trzech — odparł obojętnie.

— To mi pachnie półroczną turmą. Winszuję! Dajcie mi sznur!

Doktór ani się spostrzegł, jak dzielny chłopiec go opuścił, po drabinie zbiegł na dół, poczęstował pięścią gapiów po drodze, rozpędził połowę do roboty, obwiązał się jednym końcem sznura, zapalił papierosa i kazał otwierać klapę do żelaznej bezdni.

— Weź pan gąbkę z octem do ust! — krzyknął doktór, schodząc powoli.

Ale Hieronim był zajęty komendą.

— Puszczajcie sznur powoli, jak targnę, ciągnijcie w górę! Rozumiecie? Weź no go ty, Janie!

Olbrzymi ślusarz przyskoczył skwapliwie. Oczy jego, czerwone od wódki i niewczasu, śmiały się do naczelnika psiem przywiązaniem.

— Ja wyciągnę wczas, nie bójcie się! — rzekł chrypliwie.

Hieronim jak kot wśliznął się w otwór, zamknięto go natychmiast, cement się psuł haniebnie od powietrza. Sznur się rozwijał powoli, ruch ten śledziło z natężeniem kilkanaście par oczu.

Długa minuta pauzy, za długa widocznie dla Jana, bo spojrzał pytająco na Domańskiego, nagle poczuł targnięcie, szarpnął w górę, za nim inni. Ciągnęli ciało.

— Ciężko idzie — zamruczał — otwierajcie!

Dobyto na wierzch ładunek. Było to dwóch murarzy, sinych, strasznych, napół uduszonych. Doktór rzucił się do nich cucić naprędce. Żyli jeszcze.

— Rzucaj sznur! — krzyknął Domański.

Ślusarz bez rozkazu to uczynił.

Targnięto znów. Ładunek był lżejszy o połowę, bo też u końca liny było tylko jedno ciało, a równocześnie z niem po szczeblach żelaznej drabinki wypełzł Hieronim zdrów i cały, trzymając w ręku *corpus delicti* wypadku. Była to próżna butelka od wódki.

— Łotry, pijaki! Rewidować ich trzeba przed robotą! Tylem razy to nakazywał! To karygodne niedbalstwo, panie Domański! Oto masz pan rezultat dzisiejszej pracy i pańskiego urzędowania!

Rzucił mu butelkę z gniewem pod nogi i nie odezwał się więcej do zawstydzonego młodzika.

— Wziąć ich do szpitala, posłać po drugą partję, jeśli trzeźwa! Żywo!

Na głos ten rzuciło się wszystko, ile tchu i mocy; miejsce wypadku opustoszało w mgnieniu oka, za oddalającymi się pogonił rozkaz:

— Jak wyzdrowieją, przysłać ich do mnie!

Robotnicy zaśmieli się zcicha.

— Oj, da on im, da! — zamruczał Jan.

— Od niego dobrze wszystko brać. To zuch!

— To nasz kochany pan! Ot, na śmierć idzie za robotnika, a z nas żaden nie chciał!

— Ale jakby na niego przyszła bieda, to my pójdziemy! Póki my tu, niech go nikt nie tknie!

— Alboż chcą? Słyszałeś co, Janie? — spytano ciekawie, z iskrzącemi oczyma na hasło awantury.

— Jak trzeba będzie, to huknę na was! Teraz cicho, bierzcie za młoty!

— A hukaj tylko dobrze!

Zamiast Jana, dziesiętnik zaczął krzyczeć i napędzać, umilkli posłusznie.

Późno wieczorem Hieronim wracał do domu z kasy. Zdziwiło go światło w gabinecie, gdzie zwykle pracował, zajrzał przez szczelinę firanki i zdumiał. Przy biurku, wśród stosów sprawozdań, planów, kosztorysów, rozsiadł się w fotelu Bazyli we własnej osobie i pisał coś pracowicie, niezgrabnie, na wielkim arkuszu papieru. Jednem okiem przyglądał się swemu arcydziełu i drapał, potniejąc, koszlawe litery.

— Tam do djaska! A do tego co przystąpiło? — zamruczał ubawiony inżynier.

Zdumienie jego nie miałoby granic, żeby mógł dojrzeć adres na kopercie; stało tam łokciowemi literami: „Jaśnie Wielmożny Pan Polikarp Białopiotrowicz w Tepeńcu". Nie, takie zestawienie osób i podobna znajomość nie postała mu nigdy w myśli.

Na kroki pana Bazyli uprzątnął swą osobę z fotelu, a pismo ze stołu i zajął się nakarmieniem prycypała.

— Czy to do kochanki pisujesz? — spytał go żartobliwie inżynier.

Człek się zaśmiał.

— Aha! — odparł jakiś nieswój.

— Toś ją w Petersburgu zostawił?

— A tak, tam, gdzie pan rzucił swoją.

— Ja, stary, kochanek nie miałem i nie mam. Wiesz o tem najlepiej, boś mnie pilnował, jak smok.

— Et, różnie bywało w sąsiedztwie! Kto tam ustrzeże ognia w słomie! Ta czarna, co to ja aż z sikawką musiałem...

— Nie klekoc głupstw! Czyś ty i dzisiaj odwiedzał baraki? Ot, lepiej pokaż list! Zobaczę, jak wyrażasz afekta.

— Tak samo, jak pan! Kto z kim przestaje, takim się staje.

— To fałsz! Gustu do amorów nikogo nie nauczę, bo go sam nie posiadam. Chyba ty mi go udzielisz.

— Et, kto pana przegada. Na co pan odesłał mięso Eljasmanowi?

— Chciałeś chyba, żebym je sam skonsumował przez grzeczność dla żyda. Robotnicy nie bydło, a truć ich nie pozwolę.

— Żyd strasznie zły, cały zarobek dziś stracił. Domański zły, że pan go złajał przy ludziach, wszyscy źli. Co z tego będzie? Jak zechcą się mścić...

— To niech się mszczą! Honoru mi nie wezmą, czci mi nie odbiorą, więcej o nic nie dbam! Ty mi nie wspominaj tych ludzi! Dzień cały trują mi zgryzotą! Daj spocząć w domu przynajmniej!

Wziął się za głowę ruchem desperackim.

— Bo mi szkoda pana! — zamruczał Bazyli. — Wychudliście jak cień! Co z tego będzie? Położy się pan z wysiłku! Żeby odpocząć jaki miesiąc!

— Czy i ty mi kraczesz chorobę, jak ten skorupiak doktór? — zaśmiał się chłopiec z przymusem i zamyślił chwilę. — Chciało się i mnie wypocząć, stary — zaczął po pauzie. — Miałem paręset rubli oszczędności, myślałem po skończeniu tutejszej roboty pojechać gdzie, na swobodzie przebyć czas jakiś. No i nic z tego. Ruble poszły, trzeba znów pracować. To dziwna jednak rzecz, jak mnie się pieniądze nie trzymają.

— Co to za dziwo! Złodziej jest na nie gotowy! — mruknął ponuro Bazyli. — Bodaj go ziemia pochłonęła!

— Cóż robić? Nie warta żalu ta nikczemna mamona! Daj butelkę czerwonego wina. Będę pisał w nocy.

— Czwarta noc! Jezus Marja! Co pan wyrabia? — zawołał przerażony sługa.

— No, cicho, cicho! Wszakże cię nie proszę do towarzystwa. Idź sobie śnić o kochance, w braku jej samej. Mnie nie wystarcza dnia na tyle roboty.

— Bo pan robi za dziesięciu. Oj, będzie źle!

— Wynoś się do djaska ze wzdychaniem!

Bazyli się wyniósł, ale wzdychać nie przestał. Żal było istotnie patrzeć na biedaka, który brał nad siły, sądząc, że ich ma niewyczerpany zasób.

Im bliżej było ukończenia i upragnionego wypoczynku, tem uciążliwsze były zajęcia.

Rzadko widywał pana Bazyli i tylko chwilowo. Zdawano roboty, musiał je oglądać, przyjmować i płacić. Kasa pełna była interesantów, pieniądze płynęły jak woda. Hieronim ostatnie dziesięć dni trzymał się na nogach siłą woli i wina; palił bez przerwy cygara, zachrypł, zczerniał, oczy mu świeciły sztucznem podnieceniem.

Gdy olbrzymi most stanął gotowy, oczyszczony z rusztowań, umajony przez robotników, inżynier odetchnął, zatelegrafował po próbny pociąg do zarządu, przyjął go przy wstępie na swoje terytorjum.

Pierwsza twarz, co doń wyjrzała z oszklonego wagonu, była to rozpromieniona fizjognomja pryncypała.

Kazał zatrzymać pociąg, ciągniony przez trzy lokomotywy, wysiadł, za nim ze stu przeróżnych inżynierów; poczęły się hałaśliwe przywitania i okrzyki.

— Hajda na most! — zawołał dobrze podchmielony naczelnik.

Całe towarzystwo było po częstych libacjach, nawet obsługa pociągu. Maszynista, który miał sam pierwszy wjechać na most, zalał też sobie stracha spi-

rytusem, bełkotał coś Hieronimowi o nierównych strzałkach.

— Zejdź, ja poprowadzę! — fuknął młody człowiek w odpowiedzi, biorąc go za kołnierz i oddając w ręce dróżników.

— Pan zostań z nami! — krzyczał zwierzchnik.

— Jeszcze kark pan skręcisz! — wołali koledzy.

— Proszę pana! — wrzeszczał pijany maszynista. — A moje premjum! Obiecywano pięćdziesiąt rubli!

— To je sobie zabierzesz, zuchu, jak się prześpisz — odparł Hieronim. — Nic mi się nie stanie, panie naczelniku. Panowie, raczcie obliczyć, ile osiądzie ten gmach podemną. Dużo ważę teraz. Puszczaj parę!

Zagrały tłoki i walce. Żelazne trzy potwory poruszyły się majestatycznie i, buchając dymem, weszły na most. Na środku Hieronim stanął, sygnał rozległ się przeraźliwie, donośnie, na triumf, most stał; pociąg go przeszedł tam i napowrót i znów zatrzymał się na środku; próba była skończona.

Powracającego Hieronima pryncypał chwycił w ramiona, omal nie udusił.

— Złoty z ciebie, nieoceniony człowiek! Co chcesz za taką pracę?

— Spać, panie naczelniku! — zaśmiał się szczerze chłopiec. — Zdejmij pan z mej głowy zarząd i władzę i uwolnij do domu!

— Takiś mi kolega! My się bawić chcemy! Ale idź, idź, śpiochu! Jak sobie nie dam rady bez ciebie, to przyślę!

Ah, spać! Od iluż to tygodni marzył o tem. Tak, mógł wreszcie wypocząć. Odetchnął z całych płuc w swej sypialni. Skończył, był wolny. Uf! Jak to brzmiało rozkosznie. Dał radę wszystkiemu, przebył

ogniową próbę, wybrnął. Niech sobie teraz oszukują, kradną, intrygują, już nie zaszkodzą.

Dziwna rzecz jednak. To nagłe przejście z zamętu do zupełnej ciszy, zamiast go uspokoić, rozdrażniało nieznośnie. Sen uleciał. Bolały go tylko nieznośnie wszystkie członki i głowa. Będzie pewno migrena.

Ubrany rzucił się na łóżko. Upał panował okropny; na domiar biedy, Bazylego nie było. Oddalał się często ostatniemi czasy.

Inżynier rozpiął mundur, objął rękoma bolącą głowę i rozmyślał.

Ha, przecie dobił się celu, zdobył sobie byt, uznanie, sławę.

Coby to rzekł dzisiaj pesymista Żabba, który nie wierzył w pomyślność? Nawróciłby się przecie i powesełał biedny, poczciwy, skrzek melancholik.

Hieronim przypomniał sobie piosnkę studencką, śpiewaną o głodzie i chłodzie, która okropnie gniewała mruka. Była tam mowa o poście, który poprzedza Wielkanoc, a Żabba mruczał zawsze z uporem:

— Święconego nie ukąsisz, prędzej ucho swe zobaczysz! Ja ci to mówię i ręczę!

Nie zgadł Litwin. Minęła bieda, utrapienia, ciężki post — była Wielkanoc.

Żeby tylko ta głowa tak nie bolała i byle zasnąć trochę. Przecie miał urlop.

Aha, prawda. Miał wszakże jakąś miksturę doktora, któremu się skarżył na bezsenność. Zażył jej, chwilę leżał jeszcze i myślał, aż wreszcie triumf, wspomnienia, ból głowy, zlały się razem w jakiś chaotyczny kłębek wrażeń i tyle upragniony sen uspokoił go wreszcie.

Obudziło go po niewiadomej liczbie godzin targanie za rękę i zdyszany głos dziesiętnika:

— Proszę pana wstawać!

— Doprawdy, a czego tam?

— Naczelnik potrzebuje natychmiast!

Hieronim podniósł się, stękając. Nie czuł się ani silniejszym, ani zdrowszym. Tak, jak przedtem, bolała go głowa, członki, zbity był i odurzony. Rozejrzał się błędnie.

— Czy ja długo spałem?

— Trzy doby. Doktór aż się zląkł.

— Osioł. Spałbym drugie tyle. Gdzie naczelnik?

— W swojem mieszkaniu, w biurze. Dziś będzie wielki bal; jutro przyjeżdża cała komisja.

— Czegoż tam chcą odemnie? Braknie tancerzy, albo jaka inna bieda? Daliby mi pokój. Niech się bawią i przyjmują choćby sułtana samego. Odstąpię im zaszczytu i przyjemności. Brr! jak tu zimno.

— Dwadzieścia trzy stopnie. Upał jak w piekle. Pan może chory?

— Czyś ty doktór? Wracaj i powiedz, że zaraz idę. Marsz!

Nadrabiając energią, chłopiec się porwał, zlał głowę wodą, trochę się przebrał i ruszył. Nogi mu ciążyły jak ołowiane, zataczał się i choć szedł wolno, dyszał ze zmęczenia. Coś się z nim działo niedobrego, z czem się szamotał z całej siły.

Okna naczelnikowskiego mieszkania gorzały światłem. Dźwięki strojonych instrumentów zwiastowały rychły początek zabawy. Na górze w salonie snuli się lokaje, kończąc przygotowania; przed drzwiami był tłum robotników, gawiedzi, interesantów; w biurze panował gwar mnóstwa głosów.

Na widok Hieronima robotnicy i służba zrobili szpaler; wszedł do sieni, a stamtąd do kancelacrji naczelnika.

Na jego widok umilkła ożywiona rozmowa. Inżynierowie koledzy cofnęli się na stronę; ktoś syknął jakby hasło.

Przeczucie czegoś niefortunnego przeszło dreszczem po Hieronimie, ale z całą śmiałością czystego sumienia przystąpił do biurka, za którem siedział posępny, namarszczony naczelnik.

— Pan po mnie przysyłał? — rzekł Hieronim, kłaniając się grzecznie.

— Istotnie, potrzebuję pana do rachunków. Co to znaczy, że mi żyd przedstawił weksli o 25,000 wyżej, niż jest w rozchodach. Nie zapisałeś pan czego?

— Ja? Zapisałem wszystko co do grosza, podsumowałem z kasjerem księgi, dochód i rozchód.

Ha, cóż to znaczy w takim razie?

— Co, panie naczelniku? — spytał Hieronim, blednąc.

— Ta przewyżka? To nie fraszka, taka suma!

— Jaka suma? — nieszczęśliwemu poczynało się kołować w zbolałej głowie.

— Czyś pan nie słyszał? Weksli jest o 25,000 więcej, niż rozchodu!

— Wszakże zapisano, ilem brał!

— Ta suma nie jest zapisana!

Chłopiec za głowę się porwał.

— Gdzieżbym ja ją podział? Co panu się zdaje? Wszakżem nie warjat!

— Może tylko lekkomyślny. Oto księgi, a oto weksle. Licz pan sam!

— Bez ksiąg się obejdę. Mam przy sobie w notatniku datę i cyfrę każdego obligu. Będę panu dyktował, pan raczy sprawdzić.

Drżącemi rękami wyjął z kieszeni wyszarzaną książeczkę i czytał owe daty i cyfry.

Nikt się nie odzywał, ale i nikt nie wychodził, chociaż tego wymagała delikatność. W głuchej ciszy słuchało całe grono zmęczonego głosu Hieronima, przeplatanego szelestem papieru i krótkiem „jest" starszego.

Twarze wyrażały złośliwą ciekawość, niepokój, lub kompletną obojętność.

Posądzenie, którego jeszcze nie rozumiał Hieronim, a o którem wzmiankował nieznacznie naczelnik, było absurdem dla każdego, kto znał Białopiotrowicza, a jednak, kto wie, może.

Zawistni drżeli z niecierpliwości, inni słuchali przebiegu śledztwa ze zgrozą i oburzeniem, kilku zaledwie nie wierzyło stanowczo nawet w prawdopodobieństwo winy jakiejkolwiek, czuli w tem brudne, nikczemne oszustwo.

Hieronim skończył. Otarł pot z czoła, spojrzał śmiało w oczy naczelnikowi.

— To i wszystko! — rzekł.

— A ten oto! Pan go opuścił, proszę czytać.

Podał mu świstek stemplowego papieru i śledził pilnie grę wrażeń na twarzy.

Hieronim ruszył brwiami i ramionami, jakby mówił: nic o nim nie wiem; wziął spokojnie papier, pochylił się nad lampą, przebiegł oczyma uważnie raz, drugi i trzeci.

Z początku widać było zdumienie na jego wynędzniałej twarzy, potem natężenie pamięci i namysł

głęboki, potem nagle zbladł, zzieleniał prawie, przez oczy przeszła bezmierna groza, prawie obłęd; utkwił je nieruchomo w kreskach podpisu. Upuścił papier, zadygotał cały, jak rzucony iskrą elektryczną, odstąpił o krok, rękoma objął głowę, krew mu ustąpiła nawet z warg, a w piersi szarpało się coś, dławiąc głos, paraliżując wszystkie uczucia. Stał jak słup nierówno chwytając powietrze, i milczał, zwiesiwszy ciężką głowę.

Ha, więc był winowajcą.

Między inżynierami powstał ruch i szepty; odsunęli się jeszcze dalej, jak od trędowatego. Pryncypał tylko ani się usuwał, ani triumfował. Odezwał się pierwszy:

— Cóż, panie Białopiotrowicz? To pański podpis?

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Może pan zapomniałeś o jakim wydatku?

— Nie! — wyrwało się z piersi nieszczęśliwego.

— Cóż więc znaczy ten weksel? Przyznajesz się pan do niego? Może to fałszerstwo, pomyłka? Mów pan, co?

Na ten wyraz „fałszerstwo" Hieronim opamiętał się nieco. Podniósł oczy, chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał.

Oczy te, pełne bezbrzeżnej rozpaczy, podkrążone czarno, zaognione bezsennością, były tak nieszczęśliwe i smutne, że inżynier nie pytał dalej. Opamiętał się i on także.

— Nie martw się tak bardzo! — zaczął pobłażliwie. — Młody pan jesteś, lekkomyślny! Każdy z nas prawie w tym wieku może zrobić głupstwo, zapomnieć się. Weksel zapłaciłem. Bądź pan spokojny.

Jeżeliś pan pieniądze stracił, daruję bez żalu, z wiarą, że się to drugi raz nie powtórzy.

Hieronim i na to nic nie odpowiedział. Był równie nieczuły na wspaniałomyślność i pobłażanie, jak na surowy sąd. Na twarzy jego zatarły się wszelkie wrażenia; była ona twarda, zimna jak kamień.

Z opuszczonemi rękoma słuchał i znosił wszelkie ciosy, co mu gruchotały życie; nie bronił się, nie przeczył, tylko wciąż patrzył na imię swe i nazwisko, skreślone u spodu nieszczęsnego wekslu. Ten tylko szmatek papieru występował dla niego wyraźnie, zrozumiale, z całego otoczenia.

Było to „*Mane-Tekel*“ Baltazarowej uczty, była to zatrata!

Naczelnika widocznie męczyła ta scena. Ruchem niecierpliwym zgarnął weksle do szuflady i wstał:

— Dosyć o tem! Nic do tańca teraz panu, więc na bal nie proszę. Wygląda pan zmęczony. Proszę odpocząć. Daję panu nieograniczoną swobodę. Panów proszę z sobą na górę, do dam i muzyki. Moja żona pewnie się niecierpliwi.

Hieronim oprzytomniał. Spojrzał po zebranych, skłonił się i wyszedł, wśród rozstępujących się skwapliwie kolegów. Nikt mu nie podał ręki, nie przeprowadził, nie rzekł słowa.

Gdy był już za progiem, zaczęto rozmawiać i śmiać się, gdy mijał dom, zrobił się ruch w salonach, a w pół drogi do mieszkania posłyszał pierwsze takty walca, i mijały go wciąż powozy z damami i resztą towarzystwa.

On szedł w czarną noc, nie podnosząc głowy, nie patrząc, nie słuchając, jak lunatyk lub obłąkany.

VII.

DZIAD POLIKARP.

Podczas wizyty u naczelnika, Bazyli musiał być w mieszkaniu; zapalił lampy, ustawił wieczerzę i odszedł znów.

Troskliwości tej nie zauważył jednak Hieronim. Co go obchodziło światło lub noc, co go obchodziła wieczerza?

Jak drzewo złamane burzą, runął na pierwszy spotkany fotel, ręce wnurzył w roztargane włosy, skurczył się jak robak zgnieciony stopą; coś niby wycie, czy łkanie, dobywało się z gardła. A zatem taki był kres, taki! Ha, ha! Stał się złodziejem! Tak, tego nie dostawało jeszcze w rozkoszach jego doli, przyszło i to po kolei, nic nie brakło teraz!

Był złodziejem! Wziął sobie i stracił cudze pieniądze, jeszcze udawał, że nie rozumie, nadrabiał miną, aż się przyznał pod naciskiem faktów! Ha, ha! zostać złodziejem!

Słyszeli koledzy, zapewne już wiedzą żydzi, czerń robotnicza, kto żyje, jutro dowie się minister. Tak, dowie się! Z małego piona Hieronim Białopiotrowicz będzie bohaterem jutrzejszego dnia — złodziej!

Napiszą o nim przecie gazety nawet; dobił się smutnej sławy. Ha, ha! przebył wielki post, miał swoją Wielkanoc, o której niedawno tyle marzył!

Nic mu nie brakło, nic!

Korowodem jędz tłukły się myśli po czaszce nieszczęśliwca. Czasem z niewyraźnego jęku wyrywał się wybuch krótkiego śmiechu. Chychotała rozpacz — szalał.

Krew hulała po pulsach, trzęsła nim gorączka, a zarazem ogarniała członki okropna martwota, jak rozbitka, co bez sił już i nadziei opuszcza ramiona, czekając śmierci.

— O Boże, Boże! I wartoż było tyle pracować, żeby tak skończyć — ohydą, wstydem?

Wartoż było tyle znieść, by dobić się od losu takiej zapłaty — złodziej!

Marzona złota dola! ha, ha! Domki karciane. Wieść już poszła, chwycona przez zazdrosnych kolegów. Jutro mu nie żyć lepiej! Nie żyć! Myśl stanęła przed tą furtką wyzwolenia. Nie żyć!... Albo to co złego? Żyć teraz nie sposób. Dosyć tej próżnej walki, dosyć!

Torturowany na kole pożądliwie pragnie jednego jeszcze, ostatniego obrotu korby, to koniec!

A żyć poco, dla kogo? On sam!

Żal go chwycił, sierocy żal i w gardle stanęły gorzkie łzy; poza życiem, tam, z lepszej strony, była matka, Żabba, wszyscy — tu była pustka i srom dozgonny.

Wstał. Nogi mu się chwiały: zataczając się, doszedł do biurka. Było mu strasznie słabo, głowę rozrywał ból, ręce się trzęsły.

Dobył kluczyka, ledwie zdołał otworzyć szufladę; zebrał w pakiet różne listy i pamiątki, wziął rewolwer, spróbował cyngla.

Suchy trzask sprężyny wrócił mu nieco przytomność; położył go przed sobą i zamyślił się. Była to sroga męka i ciężka pokusa.

Czystym szedł na śmierć, a potępiał się tym faktem ostatecznie.

Ludzie powiedzą, że był pyszny i nie zniósł winy, więc się zabił ze wstydu.

Żeby choć kto jeden poznał prawdę, choć jeden go zrozumiał, oszczędził.

Już ręką sięgnął do pióra, ale się cofnął.

Gdzież ofiara w takim razie? Czemuż nie rzekł nic wobec oskarżenia? Nie; będzie milczał do końca; niech go wszyscy potępią, byle nie własne sumienie i matka — tam!

Był już teraz zupełnie spokojny, głowa tylko bolała go coraz gorzej; to nic, zaraz przejdzie.

Dobył z zanadrza medaljonika z matczynemi włosami, pocałował go, wziął broń, przyłożył do skroni i spuścił sprężynę.

Kurek spadł bez strzału.

— Przeklęty! — wyrwało mu się wściekle.

Rewolwer był nienabity.

Z nerwowym pośpiechem zaczął nakładać naboje. Nie słyszał szmeru u wnijścia i kroków.

Może to Bazyli? Za późno! Tylko jeden nabój, ale ręce się trzęsły, ładunek potoczył się na ziemię.

Hieronim sięgnął po inny. Cicho; ktoś drzwi otworzył. Odwrócony plecami inżynier nie zważał na to, kończył swe przygotowania.

Nagle silna dłoń ujęła go za ramię, druga ręka wyrwała rewolwer, zanim się opamiętał.

Obejrzał się z okrzykiem gniewu.

— Idź precz! — zawołał, myśląc o Bazylim.

Spotkał oko w oko przejmujące spojrzenie dziada Polikarpa. Tak, był to on sam we własnej osobie, żadna halucynacja.

Olbrzymi, suchy, górował o głowę nad młodzieńcem i świdrował go nawskroś oczyma. Rewolwer schował do kieszeni samodziałowej kapoty.

— Poco dziad tu przyszedł? — wybełkotał Hieronim nieludzkim głosem.

— Po ciebie przyszedłem w samą porę — odparł starzec zmienionym tonem.

— Ja nie mam czasu. Kto dziada przyprowadził? Ja jestem chory!

— Widzę, ale pomimo to musisz pójść ze mną. Zbierz siły! Nie miałeś siły znieść sromu, on silniejszy od ciebie. Trzeba go zdjąć, bo cię złamie. I tak za długo leżał ci na duszy. Spóźniłem się o godzin parę. Chodź, chłopcze!

Co się stało tyranowi i czy on to był istotnie? Takim nie znał go Hieronim; patrzył błędnie na twarz surową, lecz całkiem inną, niż zwykle. Mieszało mu się w głowie.

— Chodź! — powtórzył stary, biorąc go pod ramię.

Poszli znów w czarną noc. Przed nimi nagle zjawił się Bazyli, świecąc latarką i oglądając się co chwila. Starzec prawie niósł wnuka. Droga była niedaleka do mieszkania naczelnika, które bucha światłem. Bal był w samej pełni, muzyka grała mazura.

Złoty półimperjał otworzył im drzwi biura, drugi popędził lokaja do salonów, z wezwaniem samego gospodarza.

Milczeli obydwa. Młody, dysząc wewnętrznym żarem, wpółprzytomny; dziad poważny, a dziwnie rozpromieniony. Bazyli zginął przy progu domu.

Po dość długiem oczekiwaniu naczelnik wszedł. Pomimo licznych toastów, chmurę miał na czole; z pod oka spojrzał na gości.

— Czem mogę służyć? — spytał z przymusem.

Starzec, oburącz wsparty na lasce, kiwnął niedbale głową.

— Nazywam się Polikarp Białopiotrowicz — zaczął. — Mam dwóch wnuków; za nich obu przychodzę na obrachunek tu.

— Znam tylko obecnego tu inżyniera, Hieronima.

— Zaraz pan poznasz drugiego. Przystępuję do interesu: przedstawiono panu weksle z podpisem Hieronima, których suma przewyższała rozchody. Sprawę tę rozstrzygnąłeś pan wobec setki osób wspaniałomyślnem darowaniem winy, weksel wykupiłeś pan od żyda. Winowajca, ten oto chłopiec, zniósł w milczeniu łaskę, jak się w milczeniu przyznał do złodziejstwa. Poszedł do domu sam, sponiewierany, i zastałem go oto z rewolwerem w ręku. Żebym się spóźnił minutę, mielibyśmy, pan i ja, śmierć niewinnego na sumieniu. To ciężko!

Starzec się zatrzymał, szarpnął swe siwe wąsy.

Inżynier wyciągnął do niego rękę.

— Pan nie uwierzy, jak mi przykro — zaczął.

— Nie chodzi tu o przykrość, panie, ale o sprawiedliwość — przerwał ostro pan Polikarp — a przedewszystkiem o pokrycie długu. Proszę o ten weksel.

To mówiąc, sięgnął do siwej kapoty, dobył książeczkę z czekami do banku, wystawił właściwą sumę i położył na biurku.

Nagle, na widok nieszczęsnych weksli, ożywiła się martwa dotychczas twarz Hieronima, postąpił o krok.

— Dziadku! — zawołał.

— Milcz, niedorostku! Dobrocią swą doigrałeś się wstydu i ohydnego posądzenia. Teraz ja będę działać. Dosyć ustępstw! A czy mi jedno, ty lub on, to jeszcze pokażę. Gdy płacę, chcę, żeby ludzie wiedzieli, za kogo i za co płacę. Ty się nie mieszaj do mnie!

Znów jeden po drugim, weksle przesuwały się w promieniu lampy, aż bystre oczy pana Polikarpa znalazły ów nieszczęsny.

I on go potrzymał minutę w dłoni, pokiwał głową, podał przez stół naczelnikowi.

— Niech pan porówna podpisy! — rzekł.

Wezwany nałożył binokle, wpatrzył się uważnie, porównał z drugim i nagle porwał się za głowę.

— Kto to sfałszował? — krzyknął. — Mów, panie Hieronimie! To nie pan pisałeś, to podrobione!

— Czemuś pan tego nie dojrzał, zanim go potępiłeś? — odparł gorzko pan Polikarp.

— Czemuż on milczał i tak się zmieszał okropnie? Któż to sfałszował? Wiecie?

— Wszakżem panu mówił, że mam dwóch wnuków. A może panu i nieobcy Albert Białopiotrowicz, mąż córki radcy B. O nim szeroko mówi stolica.

— Słyszałem. To brat Hieronima?

— To jego bratanek i fałszerz. Przed miesiącem odwiedził go tu i chciał pieniędzy. Hieronim oddał mu wszystko, co zarobił z takim mozołem — kilkaset rubli. Była to kropla w morzu; żądał więcej, zrobił propo-

zycję pożyczki na pański kredyt. Hieronim za drzwi go wyrzucił. Oto i wszystko. Żyd dostawca, skarany za jakąś nieakuratność, dał pieniądze, Albert podpisał brata i uciekł.

— Okropne! Byłem ślepy i w nawale interesów nie spostrzegłem różnicy! Panie Hieronimie, pan mnie zna, to posądzenie nie dawało mi spokoju! Żebyś wymówił choć słowo obrony!

— On! — wybuchnął dziad Polikarp! — Ha, to wy go nie znacie, panie naczelniku! To człowiek, na którym niema ani jednej skazy, ani jednej winy. Ze złota i stali ulany, szlachetny aż do dziwactwa, dobry aż do szpiku kości! On bronić się kosztem brata? On, oskarżać krewnego o fałszerstwo? Wolał się zabić! On, złodziej!... Dlaczego? Poco? Wszak on nie hula, nie pije, nie gra w karty, a panu służył jak wierny pies, znosząc niechęć kolegów, szczędząc każdy grosz, pracując za dziesięciu. Zbierał panu skarby i chwałę za kawałek chleba, przywiązał się do pana jak do dobroczyńcy, a pan go zrobił złodziejem! Ej, nie będziecie mieli sług i przyjaciół, jeśli tak płacicie! Oto pańskie pieniądze; dziękujemy za łaski i służbę. Chłopca mego mi dajcie, teraz on chory śmiertelnie. Bóg wie, czy przeżyje to nieszczęście!

— Co pan chce, zrobię dla niego. Nie za sługę go miałem, ale za syna. Nie rozstawajmy się w gniewie, panie Hieronimie. Darujcie mi!

Młody chciał wyciągnąć rękę, ale dziad go zatrzymał.

— Hańbę jego słyszało sto osób, panie! — rzekł ostro. — Niechże przy nich odbędzie się rehabilitacja.

— Jestem gotów. Proszę panów za sobą.

W salonach sto osób bawiło się ochoczo, ale na widok tych trzech ludzi zmieszał się taniec; przeczuwano coś ważnego.

Gospodarz skinął na muzykę, by umilkła.

— Panowie! — zawołał donośnie. — Byliście świadkami ciężkiej krzywdy, jaką najniesłuszniej wyrządziłem waszemu koledze. Kto go zna, ten pewnie nie wierzył w posądzenie, ten pewnie mnie potępił, i słusznie! Weksel był podrobiony; a że pan Białopiotrowicz, choć to spostrzegł, nie zwrócił mojej uwagi, miał smutne osobiste powody. Ja jeden byłem winny! Wobec was wszystkich proszę go o przebaczenie za śmiertelną obrazę. Zawiniłem ciężko względem człowieka, któremu zawdzięczam pomyślność robót, doskonałą karność robotników, który jest uosobieniem rzetelnej pracy i nieposzlakowanej uczciwości.

Przepraszam go teraz słowem, a czynem gotów jestem zawsze dowieść, jak go cenię wysoko i ufam nieograniczenie. Daj mi pan rękę, panie Białopiotrowicz i przebacz! Bóg świadkiem, jak mi ciężko było przebyć te kilka godzin! Zapomnij mi tej nieszczęsnej sceny i zostań przyjacielem, jak dotąd, na zawsze!

Hieronimowi kołowało się w głowie, ledwie zdołał podnieść rękę i uścisnąć dłoń inżyniera.

Za naczelnikiem inni poczęli się cisnąć ku niemu, zapewniać o życzliwości, pytać o zdrowie, twierdzić, że byli pewni takiego zakończenia.

Znajome damy zbliżały się także, witając go z uśmiechem, ale on patrzył dziko, nie rozumiejąc dobrze, nie odpowiadając prawie.

Obejrzał się na dziada.

— Chodźmy stąd! — szepnął.

Wtem u drzwi hałas się podniósł, bieganina, wołania i do salonu wpadł dozorca, w poszarpanej bluzie, bez czapki, czerwony jak upiór.

— Czego chcesz? Co się stało? — zawołał naczelnik.

— Palą się baraki Eljasmana, magazyny, podwał, wszystko!

Damy zaczęły krzyczeć i mdleć. Inżynierowie rzucili się do drzwi i okien. Istotnie przez szyby biła łuna pożaru.

— Sikawki! Pobudzić robotników! Ratować! My zaraz idziemy! — zakomenderował naczelnik.

— Robotników nie trzeba budzić! Oni sami podpalili! Żyda upiekli podobno! Bunt — bełkotał dziesiętnik. — Niech pan wyjdzie! — zwrócił się do Hieronima.

— Czegóż chcą?

Naczelnik szukał czapki i aż sapał z gniewu.

Nim człowiek zdołał odpowiedzieć, pod oknami salonu powstał wrzask piekielny. Tysiąc może głosów zawyło *unisono:*

— Białopiotrowicza nam! Dawajcie zaraz! On pieniędzy cudzych nie brał, on nasz! Żyd brał! Niema żyda!

Na taką pretensję, gniew naczelnika opadł natychmiast. Sądził, że tu jest rabunek, rzeź, chciał telegrafować po wojsko. Wieść o śmierci Eljasmana miernie go dotknęła. Spojrzał na Hieronima.

— Niebezpiecznie pana zaczepiać! — rzekł.

— Panie naczelniku, panie naczelniku !— zawyła tłuszcza.

Otworzył okno. Na dole roiło się jak mrowia czarnych postaci.

Choć go nikt nie widział i nie strofował, Wawer wstydem płonął i, spuściwszy głowę, szedł, jak winowajca, zaprzysięgając sobie następnego piątku odjechać stanowczo, oprzeć się wszelkim prośbom i zaklęciom rodziny.

Zstępował na gościniec właśnie, gdy go turkot wozu doleciał i raźne parskanie koni, więc się obejrzał machinalnie.

Wieczór jasny był, więc zdaleka poznał siwego i kasztanka starego Szwedasa i zwolnił kroku.

Wóz się wnet z nim zrównał, a Szwedas, siedzący na ładunku beczek i tłumoków, pozdrowił po zwyczaju Bożem imieniem.

— Dobre macie oczy, dziadziu, żeście mnie poznali! — rzekł młody, uchylając kapelusza z uszanowaniem.

— I poznałem i zapamiętałem, chociem ciebie mało widział — odparł stary, wstrzymując koniki do kroku pieszego.

— Dziękuję wam za pamięć!

— Ty może myślisz, że to z powodu owych pieniędzy, coś moim chłopcom po ogniu rzucił? Otóż nie z tego! Zapamiętałem cię dla twego rozumu i zastanowienia! — ciągnął Szwedas dalej, lejce zarzucając na luśnię i dobywając z kieszeni fajkę. — Inni wszelaką rozpustę i swawolę do kraju z obczyzny przynoszą, a tyś przyniósł uczciwy grosz i naukę. Będzie ta chata twoja dobrą szkołą i przykładem!

Na zagrodę ręką wskazał.

Wawrowi niesnadno było wobec tych pochwał powiedzieć, że niebawem odejdzie, więc, by rozmowę zmienić, spytał:

— A wy, dziadziu, do domu wracacie?

— Wracam. Wiozę Butkisowi piwo, a do dworu smarowidło i sól. Konięta mam też zmordowane szpetnie.

— Zabawicie w chacie?

— Zabawię, bo odpust niedaleko, a ślubowałem do Szydłowa z ofiarą i pokutą.

Wawer na furę spojrzał i pomyślał sobie, jaka to ofiara była pod beczkami piwa i worami soli.

— Szczęść wam, Boże! — rzekł szczerze.

— Dziękuję! — odparł stary dobrodusznie.

Skinął przyjaźnie głową i, koniki zaciąwszy, oddalił się ku wsi.

Wawer go oczami przeprowadził i widział, że, zamiast do Butkisa, do swojej chaty skręcił, jakby tam zostawić miał najcięższy ładunek.

U Szwedasów znano obyczaje ojca, słuchano go ślepo, nie pytano nigdy o nic. Gdy wóz się na podwórze wtoczył, synowie wyszli obadwa, ucałowali ojcowską rękę, zamknęli wrota. Stary nic do nich nie mówił, bo właśnie, przesuwając paciorki, różaniec odmawiał.

Koniki, nie kierowane, same zaszły pod szopkę i stanęły.

— Wyprzęgać, *tewe?* — starszy syn zapytał.

Szwedas głową potrząsnął. Nie złaził z wozu i tylko im drzwi chaty ręką wskazał. Zrozumieli i odeszli.

Po dość długiej chwili stary na progu stanął. Podnieśli się wszyscy z ław i czekali rozkazu. Wstał i Szługuris swawolny, który z Magdalenką w kącie coś szeptał, wstała Barbara, karmiąca u pieca niemowlę.

Szwedas różaniec właśnie skończył i, krzyżyk ucałowawszy, na szyi go powiesił. Wtedy się odezwał:

Zimna krew i stanowcza decyzja opuściły go zupełnie. Nie był to już dumny satrapa, nieprzystępny żadnej ludzkiej słabości i uczuciu; był to zwykły śmiertelnik, dotknięty w samo serce, znękany, nieszczęśliwy.

Wyglądał jak ten, co, zbierając skarb całe życie, zostanie z niego odarty; jak ten, co strawiwszy wiek nad wielkiem dziełem, traci je nagle, w dzień triumfu staje wyzuty ze wszystkiego, nędzarz.

Przerachował się. Hartował stal i oto rozpryskiwała mu się w dłoni na atomy; chciał mieć klingę najprzedniejszą, zostanie mu może garść prochu.

Dziwny psychologiczny proces rozgrywał się w tej skrytej, nad wyraz pysznej duszy. Może raz pierwszy w życiu sumienie wstało nieubłagane, jak oskarżyciel kryminalny i wołało wobec wielkiego tłumu myśli, jak w sądzie, wołało wielkim głosem: Zabiłeś! Jesteś zbrodniarzem! Patrz na swą ofiarę!

I pan Polikarp patrzył pełną zgrozy źrenicą. Twarz wnuka chuda, ostra, ciemna purpurą gorączki, była tuż przed nim, obraz fizycznego i moralnego wysiłku, nadmiernej pracy, długiej biedy. Darmo wzrok starca szukał w niej win osobistych, upadku, grzechu, jakiejś obrony dla siebie. Nic; twarz ta była wykrzywiona bólem, stwardniała od walki, ale szlachetna i surowa, a wokoło ust rysował się nieubłagany rys żelaznej woli i uporu — rys rodzinny.

I nagle, z ofiary człowiek ten zmienił się w sędziego. I zdało się starcowi, że usta te wydadzą wyrok na niego, że one jedne zdołają zagłuszyć wołanie strasznego oskarżyciela, coraz straszniejsze: zabiłeś!

Pan Polikarp obejrzał się wokoło. W pokoju było w tej chwili pusto; musiało minąć wiele godzin, zabierało się na brzask.

Nikt nie widział, jak starzec na klęczki się osunął i, bijąc się w piersi, prosił pokornie:

— Boże bądź miłościw mnie grzesznemu! Nie bierz mi tego dziecka! Niech mu oddam za to, co wycierpiał!

A potem pochylił się i pocałował po raz pierwszy skroń biedaka.

— Czy ty mi zapomnisz kiedy? — szepnął.

Ale dusza Hieronima była gdzieindziej.

— Wiesz, Józik — mówił niewyraźnie — wszystko domki karciane! Cokolwiek zrobisz, wiatr dmuchnie i niema! Tak zawsze! Już nic robić nie będę! A jak koniec, to co? Domki karciane!...

Straszne było to bredzenie w głuchej nocy. Śmierć wyciągała kościste ramię i w oczach starca wydzierała mu jego skarb, a on był jak dziecko bezsilny! On, pyszny jak szatan i taki możny!...

VIII.

EPILOG.

Purpurowa i złota jesień słała się po drzewach Tepeńca i uścielała ścieżki szpalerów szeleszczącym dywanem suchych liści. Ciepło było, pogodnie i bardzo uroczo w owym olbrzymim parku, otoczonym huczącą Prypecią.

Nie brakło tam rzadkich kwiatów, ani fantastycznych gęstwin, z których niekiedy wymykała się oswojona sarna, ani ślicznych altanek, opiętych winem lub kapryfoljum, a chyba najpiękniej było przed samym pałacem, gdzie kwitły setki szczepionych róż, a u stóp marmurowych schodów ganku szemrała fontanna, obryzgując perłami wody bukiety cieplarnianych roślin.

Wśród tych róż siadywał całemi dniami cień człowieka, chudy, zarosły, apatycznie patrzący przed siebie w próżnię.

Nawet Żabba nie poznałby wesołego Rucia. Tyfus go strawił ze szczętem, odarł z sił, z woli, z myśli, zostawił nieczułą, wyniszczoną ruinę. Śmierć nie wydarła go dziadowi, ale jak na urągowisko, rzuciła ten żółty szkielet, który nie miał mocy żyć. Zemściła się okropnie.

Starzec myślał to właśnie z goryczą, patrząc na wnuka z drzwi ganku. Jak plama wyglądał biedak na tle jasnego nieba, krasnych liści i tych róż, odurzających wonią.

Pan Polikarp westchnął ciężko i zeszedł powoli ze schodów. Przybycia jego nie zauważył Hieronim, ale nie okazał zdziwienia, ani radości na głos dziada, choć był to głos nieznanej słodyczy.

— Jakże ci dziś, chłopcze?

— Dobrze — odparł obojętnie.

Starzec się schylił i pocałował go w czoło.

— Głowa nie boli?

— Nie. Nic mi nie jest.

— Może chcesz czego?

— Nic, dziadku, dziękuję!

Było to zwykłe pytanie i niezmienna odpowiedź od kilku tygodni.

Była to rozpacz dziada, ta niczem niezwalczona apatja.

— No przecie, możebyś się przejechał? Ruch ci służy.

— Kiedy bo nie chcę.

— Możebyś się przeszedł trochę?

— Ej, nie.

— Możebyś rad czytać?

— Dobrze mi tak. Nic mi się nie chce, dziadku, nic, nic.

Stary targnął wąsy desperacko. Szukał sposobu na ten nieszczęsny brak woli.

Medycyna nie miała na to środka. Wróciła życie, nie dała do niego chęci. Co ono było warte?

Nagle twarz chorego poruszyła się nieco. Popatrzył na szereg okien, w lewem skrzydle, potem na dziada i ozwał się po raz pierwszy niezapytany:

— To matki okna, tam?

Pan Polikarp rozjaśnił czoło. Jakaś myśl jak piorun tknęła go, aż się zatrzymał z odpowiedzią, potem uśmiechnął się lekko.

— Tak, chłopcze. A te obok, to z twego pokoju.

— Czy mogę tam pójść?

— Nie mój drogi, nie możesz.

Hieronim oczy podniósł. Odmowa spotykała go raz pierwszy, wtedy, gdy czegoś żądał. Od czasu choroby był samorządcą w Tepeńcu.

— Czemu? — spytał.

— Bo te pokoje są zamknięte pod nieobecność lokatorki. Klucz u niej. Jeśli chcesz bardzo, to napiszę, niech przyśle.

— E, nie, wszystko mi jedno, kiedy zajęte.

Patrzył jednak ciągle w okna też same i po przerwie zapytał znów:

— Czemu tam firanki ciemniejsze od dołu?

— Ona potrzebuje takiego światła — rzekł lakonicznie starzec.

Sądził, że obudzi ciekawość wnuka tajemniczością odpowiedzi, ale Hieronim urwał zupełnie rozmowę.

Milczał, ale zaczynał myśleć. Okna te obudziły uśpioną duszę. Jak zawsze w wielkich wypadkach życia, pamięć matki podniosła mu z głębi wspomnień tysiące, a gdzież ich mogło być więcej, jak nie w Tepeńcu?

I poszedł myślą w dalekie lata, gdy dzieckiem bawił się po trawnikach, a z owych okien śledziły jego każdy ruch śliczne, szafirowe oczy smutnej kobiety.

Patrzył w górę, jakby czekał, że lada chwila uchyli się firanka i wyjrzy, jak wtedy, złotowłosa głowa, a dźwięczny głos zawoła go po imieniu.

Ale okna były szczelnie zamknięte i nikt go nie wołał z pieszczotą. Daleko były te lata, daleko odeszła smutna kobieta.

Ale zaczarowane koło martwoty przedarła ta myśl, snuła się teraz jak strumyk, tęskna, żałosna. Czy też dziad wypełnił obietnicę ostatniego listu, zaspokoił żądania zmarłej, czy leżała teraz obok męża w rodzinnym grobie?

Przez wrodzoną delikatność nie pytał o to dziada. Mogło mu to zrobić przykrość, wzbudzić złe wspomnienia, może się rozgniewać, a on był teraz taki dobry! Poco drażnić? Można samemu zobaczyć.

Raz pierwszy poruszył się żywo, szukał pretekstu pozbycia się starca.

— Dziadku — rzekł — jabym poczytał jaką gazetę.

— Dobrze, mój drogi, zaraz ci przyślę przez Bazylego.

Pan Polikarp wszedł do domu, chłopiec się obejrzał i ruszył pomału znanemi ścieżkami. Była to jego pierwsza przechadzka.

Dziad dotrzymał obietnicy; obok ojca zajęte było miejsce i świecił złocony napis na płycie marmuru. Smutna kobieta wróciła do Tepeńca. Hieronim usiadł przed grobem, rzewnie uśmiechnięty. Matka musiała być szczęśliwą teraz.

Odtąd codziennie biedny rekonwalescent odwiedzał swych zmarłych, stroił kwiatami mogiły, znalazł dla dziada smętny uśmiech i serdeczną podziękę.

— Nie dziękuj, a wyzdrowiej! — rzekł starzec, gładząc go po głowie. — Zechciej czego, choćby moje brogi podpalić, zrobisz mi największą przyjemność.

Ale Hieronim nic nie chciał, byle mu nie przerywano dumań posępnych i samotnych odwiedzin grobowca.

Zdziwiła go jednak pewnego ranka zmiana, zaszła w lewem skrzydle. Otwarto okna, podniesiono firanki, służba uprzątała tam, jak na królewski przyjazd; drzwi jednak od swego pokoju znalazł szczelnie zamknięte.

— Co tam się dzieje, Bazyli? — spytał wiernego sługi.

— Trzepią meble, paniczu, od moli.

Była to bardzo prozaiczna informacja.

Hieronim udał się do dziada.

— Może mi wolno tam pójść teraz? — prosił.

— Jakże chcesz, mój drogi. Po cudzych mieszkaniach nie wypada.

— Któż tam mieszka?

— Moja pupilka, sierota. Wziąłem ją na wychowanie.

— Gdzież ona teraz?

— Zagranicą. Spodziewam się jej temi czasy. Zwykle jesienią odwiedza Tepeniec.

Hieronim się skrzywił jak po gorzkiem lekarstwie.

— Nie lękaj się! — uspokajał dziad. — Ona ci wody nie zamąci. Możecie się nie spotykać, jest tu dosyć miejsca.

— Kobieta i koza wszędzie się wciśnie, dziadku — rzekł kapryśnie chłopiec. — Gatunki to bardzo podobne, wszystko ogryzą, popsują, zawsze je znajdziesz w szkodzie. Że też dziad to znosić może!

— Cóż robić? Nietylko znoszę, ale mam słabość dla tej jedynej kobiety. Była mi na starość, jak kwiatek zimą: rozgrzała serce.

— To ci majster dopiero! — pomyślał Hieronim, bynajmniej nieprzejednany.

Kobiety nie miały nigdy łaski w jego oczach. Miał jeszcze Afrę w pamięci.

Gniewały go przygotowania i mina rozradowana pana Polikarpa, gdy go powitał raz wieścią, że pupilka przysłała depeszę i patrzył złem okiem, gdy oznaczonego dnia kareta i sześć koni, pod eskortą liberyjnej zgrai, ruszyła do przystani, skąd on niegdyś furmanką jechał do Tepeńca.

W całym pałacu panował ruch odświętny. Bazyli nawet biegał uśmiechnięty z miną tajemniczą sfinksa, pomagając ogrodnikom znosić wazony i kosze owoców.

— Czy nie będzie jeszcze bramy triumfalnej i moździeży na salwę honorową? — pytał chłopiec zgryźliwie.

— Panienka nie pozwala rwać kwiatów — odparł Bazyli.

— A ty skąd możesz o tem wiedzieć?

— Każdy w Tepeńcu musi znać jej gusta, żeby potrafić dogodzić. Panby się gniewał inaczej!

— Tej fatygi ja sobie nie zadam — burknął Hieronim, ruszając od grobowca i zrywając najpiękniejsze róże.

Dziad był niewidzialny w ów dzień uroczysty. O naszego bohatera nikt się nie troszczył. Schodził na drugi plan przed nową gwiazdą.

— Trzeba ruszać sobie znów w świat, matusiu — poskarżył się żałośnie grobom. — Dosyć pasorzytem być. Już niedługo będę tu przychodził. Pójdę za

chlebem, jakeś nauczyła! Tak, dosyć próżniaczej rozkoszy. Trzeba wzbudzić całą siłą chęć do pracy, trzeba ruszać w świat po nowe klęski i zawody.

Dawny pryncypał pisywał co tydzień, dopominając się o swego ulubieńca, wzywał go coraz gwałtowniej, gdy tylko co wstał z posłania, zasypywał go prośbami. Trzeba ruszać.

Z nagłą determinacją porwał się z miejsca, chciał iść do dziada, za łaski podziękować i ruszać choć jutro.

Był w pół drogi do domu, gdy usłyszał turkot, palenie z bata, zajazd nowych gości.

— Masz djable tabaki! — mruknął, zawracając do ustronnej altanki.

Przysiadł tam jak szczwany zając, ledwie go Bazyli znalazł pod wieczór.

— Jezus Marja! Co pan wyrabia? Taki chłód! Gotowa choroba! — wrzasnął przerażony.

— Czekam aż się uspokoją z tą panną.

— Proszę wracać prędzej! Panie już śpią oddawna.

— To ich jest kilka? Kilka wychowanic, sierot?

— Albo to jasny pan nie może utrzymać i tuzina? — odparł Bazyli dumnie.

— I owszem! Niech ma sobie cztery tysiące i świętą Urszulę z niemi, bylebym ja ich nie spotykał.

— Stary pan zaraz na wstępie powiedział, żeby nie chodziły w stronę grobowca. Ma panicz lewą połowę parku, a one prawą.

— Z tem wszystkiem dosyć nam tu popasać. Pakuj manatki, jutro wyjeżdżamy do roboty nad Wołgę.

— A cóż pan tam robić będzie? Toż pan ledwie chodzi, pióra w ręku nie utrzyma.

— To nie twoja rzecz! Pakuj się i basta! Chyba, że zostać wolisz.

— Jak pan każe.

Pan Polikarp szukał już wnuka i zburczał go należycie za nieoględność na zdrowie.

Spędzali razem wieczory. O przybyłej nie wzmiankował żaden z nich.

Nazajutrz raniutko wymknął się z domu Hieronim, myśląc, że wszystkich wyprzedzi. Mylił się. Na odkrytej łączce, skąd otwierał się szeroki widok na Prypeć i okoliczne bory, dama jakaś, w szarej bluzie i kusej spódniczce, rozstawiła stalugi, rozpięła karton i szkicowała gorliwie krajobraz, podnosząc co chwila od roboty śpiczasty nos, blado-niebieskie oczy i pomarszczoną twarz czterdziestoletnią. Zielony parasol barwił ją w dodatku trupim kolorytem.

Hieronim skoczył jak przed widmem i uciekł w gęstwinę, widział jednak dosyć, żeby móc krytykować dowoli.

— Śliczna, powabna, urocza! Stworzona do rozgrzania serc! To dopiero śliczny kwiatek znalazł dziad na zimę! Winszuję! Ale smaruje zapamiętale, można pokazać figę o krok, pewnie nie dopatrzy! Jak na złość, poszła na lewo w moje państwo! Nie byłaby kobietą vel kozą! Już w szkodzie! Bodaj się udławiła blaszanką od farb, albo przebiła tym pięknym parasolem! Nie można się rozminąć z tą biedą!

Przepadły samotne dumania. Cały dzień mu zeszedł w popłochu przed zielonym parasolem. Podróżował bezustannie ów nieszczęsny deszczochron z jednego punktu w drugi; zawsze tam, gdzie on był się ulokował.

Dama była strasznie łakomą na piękne widoki; szkicowała to drzewo, to wysepkę, to strumyk, to bydło; niewiadomo, kiedy jadła i odpoczywała.

Hieronim klął, na czem świat stoi. Pod wieczór, widząc, że nie zdoła uciec przed złym losem, wyszedł prosto na obmierzły parasol.

— Niech i mnie odszkicuje! Może się uspokoi! — mruczał, zły jak piorun.

Dama podniosła dziobaty nos, obejrzała go obojętnie i rysowała dalej dwoje młodych sarniąt na łączce.

Ukłonił się i minął ją, obdarzając eleganckim przymiotnikiem. Czekała go jeszcze druga niespodzianka.

Pod kwitnącemi różami stał stolik z herbatą, przy którym rozparty w fotelu siedział dziad Polikarp, paląc flegmatycznie fajeczkę, a naprzeciw niego, plecami do ogrodu, postać kobieca. Rozmawiali wesoło. Było zbyt daleko, żeby głosy rozróżnić i Hieronim widział tylko białą sukienkę i słomiany, duży kapelusz. Schował się za krzak.

Dziad go widocznie zobaczył, bo rzekł słów parę, biała sukienka mignęła na ganku i znikła wewnątrz domu. Wówczas chłopiec podszedł.

— Coś taki kwaśny, Hieronimie? — zagadnął dziad.

— Czy to dziadka wychowanka, ta dama z zielonym parasolem? — zawołał cały wzburzony.

— Albo co? Poznajomiłeś się z nią?

— Uchowaj Boże! Ścigała mnie bezustannie swą pasją malarską. Nie dała tchnąć, zjeść, odpocząć.

— No, to siądź tu, posil się, uspokój! Będę cię strzegł.

— Dziękuję, pójdę do siebie. Mam list do pisania.

— Do kogo?

— Do mego naczelnika. Wzywa mnie oddawna. Myślę wziąć się do pracy. Już wyzdrowiałem zupełnie.

— Czyż się zaraził pracowitością od pani z parasolem?

— Nie, ale czas wziąć się do czego. Trzy miesiące jem darmo dziadka chleb. To dla mnie niesłychana rzecz. Zresztą teraz goście...

— Nie sądziłem, żeś taki dziki. Co ci szkodzą te dwie damy? Od jutra zabronię robić studjów w tej stronie, gdzie się obracasz. Zostań jeszcze!

— Dziękuję, dziadku, za waszą dobroć! Czy wam się może próżniak podobać? Lubicie samotność.

— Lubiłem — poprawił stary — teraz rad jestem tobie. Chodź do siebie! Każesz sobie tam podać jeść.

Wieczór był chłodny i mglisty. Bazyli rozłożył ogień na kominie, dziad z wnukiem usiedli koło niego. Trzask suchych szczap zastępował rozmowę, milczeli obadwa.

Słyszeli za to wyraźnie, za ścianą, powrót malarki, zachwyty nad przyrodą, wołanie o posiłek, zapytania, wykrzykniki, wybuchy śmiechu. Mieszało się w tem kilka języków.

— Twoja prześladowczyni jest znów niedaleko — rzekł dziad zcicha.

Hieronim nic nie odrzekł. Może nie słyszał. Patrzył w węgle, po dawnemu, bezmyślnie. Wyglądał zmęczony, osłabły. Zwiesił ręce i głowę.

— Może ci czego braknie, Ruciu?

— Mnie, dziadku? Nie, nic mi się nie chce.

Po chwili pan Polikarp zadzwonił na Bazylego, dał mu jakieś zlecenie pocichu i zabrał się do czytania.

gazet. Gwar na ścianą się oddalił. Nagle Hieronim podniósł głowę. W sąsiednim pokoju rozległy się delikatne tony fortepianu.

Ktoś preludjował bardzo biegle, snać bez nut, z myśli; dotknięcie było mistrzowskie.

Smętna, cicha melodja snuła się, milknąc chwilowo zupełnie; czasem parę huczniejszych akordów i znów tażsama pieśń bez słów, z ciągłą zmianą jednego motywu, dziwnie przejmującą.

— Kto to gra, dziadku?

— A któżby? Bronia zapewne.

Młody podniósł oczy.

— Bronia nazywa się dziadka pupilka?

— A tak. Albo co? Znasz ją może?

— Ej, nie. Ale mi to imię kogoś przypomina. Dziwna rzecz. I tamta była sierotą. Nigdybym nie przypuszczał, żeby ta dama z parasolem nosiła to imię.

— A któż mówi o damie z parasolem? Ona się wabi Adelgunda podobno, czy coś równie dzikiego.

— Więc to nie wychowanica dziadka?

— Co za *absurdum!* Jest to dama do towarzystwa, cerber, strzegący zaczarowanej księżniczki! Wychowano ją w zamierzchłej przeszłości.

— Ah, tak! Ta panienka ślicznie gra!

— A nieźle! Patrz-no, twój naczelnik podjął się budowy drogi żelaznej w gubernji samarskiej. Siedmnaście mostów żelaznych. I ty się tam wybierasz?

— Tam. Mosty, to moja specjalność.

Zamilkł i słuchał. Z preludjów wybiła się wreszcie czysta melodja pieśni i śliczny sopran zaczął śpiewać.

Pan Polikarp udawał, że czyta. Z nad gazety utkwił oczy we wnuka, śledził wrażenia.

Hieronim słuchał, przejęty nie tyle pięknością głosu, jak znajomym dźwiękiem. Gdzieś go on już słyszał w życiu, ale gdzie i kiedy, nie mógł sobie przypomnieć.

Zrazu cichy, głos opanował po kilku taktach akompaniament i brzmiał pełnią młodych płuc. Można było rozróżnić słowa:

A gdy będziesz dzwon ulewał,
Czarodziejski dzwon,
Coby szczęścia pieśni śpiewał
Przecudowny ton —
To nie wrzucaj doń metali
Ani srebra, ani stali,
Ani w wrzątek strun lutnisty,
By dźwięk był jak lutnia czysty,
Ani ognia po iskierce,
Ale daj mu złote serce!
Daj mu serce!...

— Dziadku — szepnął Hieronim niepewnym głosem — gdzie ja słyszałem ten dźwięk?

— Słyszałeś? Może zagranicą. Bronia tam się kształciła.

— A ona sama skąd, dziadku?

— Sierota po żołnierzu.

— Dziad ją dawno wychowuje?

— Oh, dawno. Może ci przykry ten śpiew? Każę przestać!

— Przykry! Ale to śliczne, słuchałbym wieki! Ten głos tak mi kogoś przypomina!

— No, to zamiast tu pleśnieć, chodźmy do niej. Będziesz słyszał wyraźniej.

— Może ta pani będzie nierada przerwie?

Mówił to, a drżał z niepokoju. — Ten głos, ten głos!

Zamiast odpowiedzieć, dziad podszedł do drzwi i zapukał,.

Śpiew ustał.

— Broniu, czy przyjmujesz gości na herbatę?

— Z całą przyjemnością, dziadku! — odparł srebrny głosik.

Otwarto żwawo drzwi.

Hieronim spojrzał. Przed nimi, oświetlona z góry wiszącym świecznikiem, stała smukła postać dziewczęcia, otulona w biały batyst i koronki. Jedną ręką podnosiła wdzięcznym ruchem portjerę u drzwi, drugą wyciągnęła z powitaniem.

Twarzyczka ściągła miała wyraz trochę dziki w piwnych głębokich oczach, ale za to na ustach błyskał szczery uśmiech, pokazując dwa rzędy drobnych, białych ząbków.

Nie widziała Hieronima w cieniu i on ją ledwie dostrzegł z za pleców dziada.

— Ale ja nie sam. Jest ze mną kawaler, który chce posłyszeć drugą zwrotkę tej piosenki. Oto go masz. Czy mam go przedstawić?

Pan Polikarp się usunął. Młodzi spojrzeli sobie w oczy i nagle, jednocześnie dwa okrzyki wyrwały im się z piersi. Był to wybuch szczęśliwości, rozradowania, bezbrzeżnego podziwu. Dziewczyna puściła portjerę, przez chmurne jej oczy mignęła fala blasków, pokraśniała jak różyczka.

Rzucili się ku sobie. Rączki jej chwycił Hieronim i patrzyli na siebie, nie mogąc się nasycić widokiem, odurzeni kompletnie.

— Bronka, mój dzieciak! — mówił chłopak zmienionym głosem.

— Panie mój, panie! — szeptało dziewczę.

Z za portjery wyplątał się wreszcie dziad i zajrzał.

— To wy się znacie? — spytał.

Hieronim się obejrzał.

— Dziadku! — zawołał z wyrzutem — Toście wy mi ją wzięli wtedy? Zabraliście mi słońce życia!

— Oddaję ci teraz to słońce. Niech ci świeci. Żżymać się nie masz czego. Płataliśmy sobie nawzajem figle, alem ci tego skarbu strzegł, jak oka w głowie. Oddaję w całości. Proszę tylko o szklankę herbaty. Zadowolę się towarzystwem panny Adelgundy tymczasem.

Ale młodzi nie słyszeli, co mówił. Pan Polikarp zeszedł na drugi plan. Niemka spała oddawna; herbaty mu przyniósł Bazyli; zostały mu na pociechę gazety.

Tych dwoje usiadło obok, patrzyli na siebie i opowiadali dzieje długich lat.

Było tyle do mówienia. Zapomnieli o świecie. Oczy dziewczęcia podczas opowieści Hieronima stanęły łez pełne za Żabbą i panią Dulską. O swojej nędzy nie wspominał Hieronim; zapomniał, że niegdyś istniała; był niezmiernie szczęśliwy.

Potem on słuchał.

Dziecko porwano podstępem ze stolicy. Gryzła i drapała; nic nie pomogło. Bazyli coś wiedział o tem; on ją przywiózł do Tepeńca.

Nie słodki mieli żywot nauczyciele i służba; nie chciała słuchać nikogo, ani się uczyć. Morzyła się głodem, próbowała ucieczki. Złowiona, zapadała w swój upór piekielny; była na wszystko głuchą i niemą.

Wówczas to dziad Polikarp użył innego argumentu:

— Jeśli się będziesz uczyć i ulegniesz, to cię oddamRuciowi. Inaczej nigdy go nie zobaczysz!

Nauka poszła jak czarem na to zaklęcie. Znalazła się ochota i zdolności, rosła, kształciła się, ale nie zapomniała nigdy obietnicy dziada. Od roku w Dreźnie uczyła się rzeźby, skończywszy zakład zagraniczny. Do Tepeńca przyjeżdżała co jesień. Oto i wszystko.

Spojrzeli znów na siebie. W oczach chłopca błyskała gorąca łuna, w jej źrenicach zjawił się cień jakiś; spuściła powieki. Milczeli, ogarnięci wielką potęgą, co nagle stanęła wśród nich.

— Czy to już koniec, dzieci? — zagadnął pan Polikarp, wstając. — Rucio wyznał swoje grzechy, a ty, Broniu, wyspowiadałaś się detalicznie, ilu podrapałaś ludzi, gdy cię od niego zabrali? No, teraz gdzież ta piosenka? Chcemy ją słyszeć.

— Jutro dziadku! — prosiła dziewczynka — Dzisiaj nie mogę!

— A to coś nowego! Nabierasz chimerów, dziecko! To zły znak. Za to zabieram ci teraz Rucia. Nie zobaczysz go więcej; wyślę na koniec świata.

— Dwa razy jedna sztuka się nie udaje! — zaśmiał się chłopiec. — Że mnąby sobie dziad nie dał rady.

— Z człowiekiem bez woli można zrobić, co się chce! Jemu wszystko jedno! Dobranoc, Broniu!

Stary pocałował ją w czoło i wyszedł. Hieronim wyciągnął dłoń. I on ją całował niegdyś, ale dziś zamiast w skroń, podniósł rączkę do ust. Wyrwała mu ją i spojrzała z wyrzutem, lecz nie przygarnęła się, jak niegdyś, do jego ramion; pożegnała chmurnem spojrzeniem.

Dawny stosunek ich był pochowany bezpowrotnie.

Nazajutrz rano Hieronim wyszedł do ogrodu. Przed nim mingął zielony parasol. Szanowna Adelgunda uprzedziła go. Teraz go to mało obchodziło.

Spojrzał w okna lewego skrzydła; były jeszcze zasłonięte, ruszył więc do grobowca.

Przez tę jednę noc stał się z niego inny człowiek. Dawny, szalony Rucio, zbudził się znów, z domieszką czegoś głębszego, poważniejszego, w błyszczących oczach. Szedł lekko, wesoło, znikła chorobliwa bladość i znękanie; był wyświeżony, ogolony, ubrany elegancko, z kwiatkiem u surduta, z uśmiechem na ustach. I — rzecz dziwna, przez tę noc stracił też swój brak chęci do czegokolwiek.

O, teraz pragnął wielu rzeczy, pragnął gorąco, niecierpliwie, całą siłą duszy. Był zdrów nareszcie.

Ktoś go uprzedził i w odwiedzinach katakumby. Na progu spotkał oko w oko Bronię.

Powitali się rumieńcem i uśmiechem.

— Pani tak rano! — rzekł.

Owo „pani“ rosło także przez tę jednę noc, niewiadomo skąd.

— O, ze mnie ranny ptak! Oboje z dziadkiem wstaliśmy o świcie, on mnie przyprowadził tu i pojechał w pole do robót.

Hieronim dużoby dał za usłyszenie owej wczesnej rozmowy opiekuna z pupilką!

— Pani tu na długo? — spytał.

— Ja, ile dziadek zechce. A pan?

— Tydzień. Czekają na mnie roboty.

— Tylko tydzień! — szepnęła smutno.

W tej chwili sylwetka Bazylego ukazała się na zakręcie, oznajmił śniadanie.

Hieronim napadł na niego zgóry.

— Szpiegu! Zaprzedańcze! Toś ty donosił o wszystkiem dziadowi! Toś ty dręczył panienkę!

— Uchowaj Boże! Panienka mnie drapała i gryzła; sądny dzień miałem. Służyłem wiernie staremu panu; co kazał, robiłem. Wy go nie znacie, paniczu. On mi nie mówił, poco to lub owo każe robić, ale ja pojąłem. Chciał, żeby z panicza był człowiek, jakiego drugiego nie znaleźć na świecie, i zrobił. Oj, to wielki pan, rozumny! Prowadził was przez biedę i różne utrapienia, żeby wypróbować. Ot, i ma pociechę! A tamtemu sypali złoto i zmarniał! Kto chce duszę zgubić, niech się czepia pieniędzy!

— Tyś na to niełakomy, zdaje się?

— Ja? Ot, pieniądze kosztowały mnie oko, to dosyć! Nie cierpię ich za to.

— A to jakim sposobem? — zagadnęła dziewczynka. — Dziad zawsze cię drażni, żeś je postradał w przeprawie ze mną.

— Rodzony brat mi je wybił kamieniem w kłótni o dziesięć rubli! Warto było? A panicz niech do mnie złości nie ma. Pan każe, sługa musi!

— Ja dziś nawetbym do djabła złości mieć nie potrafił! — zaśmiał się chłopiec.

Śniadali we dwoje w wielkiej jadalni, potem dziewczyna wezwała go za sobą.

— Pokażę panu moją pracownię. Pamięta pan główkę Medora? Figurek nie zapomniałam lepić.

Pracownia to była urządzona z całym przepychem. Mnóstwo studjów, modeli, gipsów, napełniało ją po brzegi. Zaprowadziła go do niewielkiej grupy z gliny, świeżo ukończonej.

— To moja pierwsza praca na wystawę — rzekła.

Grupa przedstawiała młodzieńca wyzwolonego, kruszącego w ręku laskę, godło niewoli. Ruch był śmiały i naturalny, postać gibka i wyniosła, szczęście promieniało z oblicza.

— Pani lubi sztukę? — spytał Hieronim.

— Ubóstwiam! W życiu kochałam tylko figurki swoje i...

Zająknęła się i urwała.

— I co? — spytał, obejmując ją spojrzeniem.

— Ej, nie! Pomyliłam się! Widzi pan tę główkę dziada? Czy podobna?

— Figurki i kogo? — spytał powtórnie.

Podniosła na niego przelotne oczy.

— Po co pan pyta, kiedy wie? — rzuciła z odbłyskiem dawnej dzikości.

Męczyła ją ta rozmowa widocznie. Nie umiała udawać.

— Znałem panią dzieckiem. Co mogę wiedzieć o dorosłej?

— A jednak ja wiem wszystko o panu! I pan kochał w życiu tylko matkę i...

— I panią! — rzekł — Ot, jestem szczery!

Uśmiech szczęścia rozjaśnił chmurną twarzyczkę. Spojrzała mu w oczy tak cudnie, tak miłośnie, że ani się spostrzegł, jak podawnemu wziął ją w ramiona i przycisnął do piersi.

— Figurki i mnie? — szepnął pochylony.

— A kogożby innego? — mruknęła niewyraźnie. — Ja nie zapominam nigdy!

— Dziękuję!

Usta chłopca znalazły koralowe wargi dziewczęcia i spoczęły na nich długo, gorąco.

Bronia po chwili podniosła głowę i spojrzała mu w oczy przejmująco.

— Niech pan pamięta, jak ja — szepnęła głucho — bo teraz już nie potrafię żyć bez pana. Wolę umrzeć.

— Jeśli dochowałem wiary dziecku, to teraz nie będę miał żadnej trudności i zasługi! — odparł wesoło, całując jej spuszczone powieki.

— Broniu, Broniu! — rozległ się w dalszych pokojach głos dziada Polikarpa.

Dziewczyna spojrzała żałośnie na ukochanego i wyrwała mu się z objęć.

— Słucham! — zawołała, wybiegając na spotkanie.

— Czy nie wiesz, gdzie się schował Hieronim? — pytał dziad.

— Jest tutaj. Pokazywałam mu pracownię.

—To jednak dziwne, żeby się przy artystycznych odwiedzinach tak zgrzać okropnie. Czerwonaś jak upiór! Myślałem, że co najmniej tańczyliście trzy godziny mazura.

Hieronim parsknął śmiechem.

— Mogę zaręczyć, żeśmy nie pokazywali żadnych sztuk choreograficznych! — zawołał z za pleców Broni.

— Coście robili zatem?

— Kochaliśmy się, dziadku! — zaśmiał się chłopiec, cały promieniejąc szczęściem.

— W to wierzę. To wam z oczu patrzy. Bronia od wczoraj nauczyła się kłamać. To smutny nabytek! No, nie licz kwadratów posadzki, dziewczyno! Nie marnuj chwil szczęścia! Ono się wam obojgu całe, wielkie należy. Nie rozrzuciliście go po świecie, jesteście warci dobrej doli.

Oboje pochylili się do jego rąk. Objął dwie młode głowy i przycisnął do piersi.

— Słuchajcie mnie! — rzekł. — Byłem suchy jak próchno, to dziecko nauczyło mnie kochać. Pogardzałem ludźmi, nie cierpiałem ich. Ten chłopiec wrócił mi wiarę w szlachetność i dobroć. Przeprowadziłem go przez piekło życia, wyszedł z niego czysty jak złoto; weź go sobie, Broniu, on cię potrafi uszczęśliwić. A ty, chłopcze, byłeś wzorowym synem, bratem, przyjacieciclem — wszystkiem. Bądź-że mi teraz wnukiem i podporą, a ją kochaj i szanuj. To nie petersburska studentka. No, a teraz powiem wam naukę na przyszłość. Jeśli będziecie wychowywać ludzi, bierzcie lepiej dziewczęta. To wynik mego doświadczenia.

— A chłopcom nie dawajcie pieniędzy! — dopowiedział wesoło Hieronim.

— A prawda! Przypomniałeś mi, z czem szedłem do ciebie. — Masz — czytaj.

Starzec podał mu gazetę. W rubryce *fait divers* paryskiego *Figara* Hieronim przeczytał:

— „Wczoraj w klubie X. zdarzył się tragiczny wypadek. Podczas gdy w *baccarat* wynikła sprzeczka, wskutek której jeden z grających wystrzałem z rewolweru zabił na miejscu przeciwnika, któremu dowiedziono oszustwa. Zabójcą był książę O., zabitym Albert B., przybyły od niedawna do Paryża. Śledztwo się toczy“.

— Jakie życie, taka śmierć! — rzekł ponuro Hieronim, opuszczając gazetę.

— Kosztował mnie dwa miljony rubli. Mogę ci pokazać rachunki — dodał stary.

— Wielkopolski patron nie dodał mu wiele cnót, a miljony nie dały szczęścia. Szkoda Wojtaszka.

— Bardzo mała! Nie sfałszuje nic więcej. Niech go tam sobie chowają. Ten kochany książę. O. godzien orderu. Oczyścił świat z jednego zbrodniarza. Dosyć o nim. Nie wart wzmianki. Chodźcie, dzieci, do salonu. Bronia nam dokończy piosenki. Jest tu jeszcze list do ciebie. Naczelnik widocznie nie może istnieć bez twojej obecności. Dziś ci pozwalam odpisać! Spokojny jestem, że nie zdezertujesz! Piosenki, Brońciu!

Dziewczynka siadła do fortepianu i, zapatrzona marzycielsko przed siebie, snuła melodję:

A gdy będziesz kuł z granitu
Posąg bohatera,
Aby stworzyć cel zachwytu,
Który nie umiera:
Nie kładź laurów mu na skronie.
Nie dawaj mu gromów w dłonie,
Nie staraj się, żeby głazy
Były śnieżne i bez skazy,
Bo te ludzi nie poruszą,
Lecz pierś natchnij wielką duszą!
Natchnij duszą!...

Przy końcowych wierszach oczy jej przeszły na Hieronima, pełne gorących blasków i zachwytu.

Śpiewała o nim i dla niego z serca.

* * *

A naczelnik wyglądał z dnia na dzień przybycia swego socjusza; zamiast niego, przyszedł nareszcie list następującej treści:

„Szanowny Panie! Nie mogę panu służyć, bo dziś wyszły moje pierwsze zapowiedzi. Zresztą nie mógłbym być teraz użyteczny, bo zapomniałem nietylko matematyki, ale nawet prostego dodawania.

Smutne to byłyby mosty, budowane przez zakochanego, i to szalenie! Popsułbym sobie reputację i stracił pańskie zaufanie, które cenię nadewszystko“.

„Za miesiąc wyjeżdżam z żoną na zimę do Włoch. Jeżeli kiedy oprzytomnieję z miłości, a żona zechce, to stanę na usługi pana. Sądzę jednak, że to dalekie czasy“.

— I ja tak sądzę! — mruknął naczelnik, rzucając ze złością list na stół. — On co robi, to robi dobrze i wytrwale! Jak kocha, to kocha. Już ja go nie zobaczę! Biedne moje mosty!...

WYDAWNICTWO POLSKIE
SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ
LWÓW
ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15.
POZNAŃ
ULICA św. MARCINA L. 48.

PROSPEKT

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA. STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała bibljoteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nie tylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„*BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA*" jest pierwszem tego rodzaju przedsiębiorstwem wydawniczem w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagranicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko

było dorywczym i przygodnym tłomaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłomacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Serja pierwsza, składająca się z 12 tomów, obejmuje następujące utwory:

ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ
RABINDRANATH TAGORE — NOC ZISZCZENIA
MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ
BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — SYNNÖVE SOLBAKKEN — MARSZ WESELNY
SELMA LAGERLÖF — SKARB ARNEGO I INNE UTWORY
HENRYK SIENKIEWICZ — NOWELE
KNUT HAMSUN — STŁUMIONE DŹWIĘKI — POWIEŚĆ
KAROL SPITTELER — IMAGO — POWIEŚĆ
RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI
PAWEŁ HEYSE — NOWELE WŁOSKIE
WERNER v. HEIDENSTAM — LAS SZUMIĄCY.
H. PONTOPIDDAN — ZIEMIA OBIECANA — POWIEŚĆ

„BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ ukazywać się będzie w odstępach mniejwięcej miesięcznych. Każdy tom obejmuje od 15 do 20 arkuszy druku i stanowi dla siebie całość. — Do nabycia we wszystkich większych księgarniach, gdzie takiej nie ma, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE
Sp. z ogr. por.

DOTYCHCZAS pojawiły się:

TOM I.: ROMAIN ROLLAND

COLAS BREUGNON

Z GŁOSÓW PRASY:

... „Książka ta nie tylko jest przepojona słońcem. Jest ona słońcem samem, które działa dobroczynnie, krzepi i uzdrawia. To słońce pijemy pełnymi haustami a ono rozchodzi się nam po tętnicach, dopływa do serca, sięga w samą głąb duszy i godząc z życiem, wywołuje na usta uśmiech i pozwala w mózgu kiełkować radości ...

... Życzyć sobie należy, aby „COLAS BREUGNON“ rozpowszechnił się jaknajszerzej i trafił do rąk jaknajliczniejszych czytelników.“

ZDZISŁAW DĘBICKI (Kurjer Warsz. Nr. 314/921).

... „COLAS'A BREUGNON'A“ powinni czytać wszyscy. Takie książki darzą zdrowiem wewnętrznem, bez przesady rzec można — leczą. Leczą z pesymizmu i zwątpień, uczą radości i śmiechu. Takich książek dać nam jaknajwięcej“ ...

PIOTR CHOYNOWSKI (Tyg. Ilustr. Nr. 47).

MAREK 600.—